



Jak dobrze
znasz tych,
których kochasz?

Gilly
Macmillan

INNE DZIECKO

Kolejna sprawa bohaterów *Dziewięciu dni*

Wyśmienita i zarazem
porażająca.
Zdecydowanie polecam.

Shari Lapena

Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

POPZEDNIEJ NOCY

Po północy

Wcześnie tego samego wieczoru

ŚLEDZTWO

Dzień pierwszy

Dzień drugi

Dzień trzeci

Dzień czwarty

Dzień piąty

Dzień później

Podziękowania

Gilly
Macmillan

I N N E
D Z I E C K O

Z angielskiego przełożył
Kamil Bogusiewicz


Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
ODD CHILD OUT

Wydawca
Urszula Ruzik-Kulińska

Redaktor prowadzący
Beata Kołodziejska

Redakcja
Joanna Popiołek

Korekta
Marzenna Kłos
Ewa Grabowska

Copyright © Gilly Macmillan 2017
Copyright © for the Polish translation by Kamil Bogusiewicz

Wydawnictwo Świat Książki
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Warszawa 2020

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Skład i łamanie
Akces, Warszawa

Dystrybucja
Dressler Dublin Sp. z o.o.
05-850 Ożarów Mazowiecki
ul. Poznańska 91
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
tel. + 48 22 725 19 31/32
www.dressler.com.pl

ISBN 978-83-813-9620-2

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Mojemu tacie.
Brakuje mi Ciebie

POPZEDNIEJ NOCY

Po północy

Pod chłodnym nocnym niebem Bristol przecina czarna wstęga wody. Odbicia ulicznych latarni unoszą się i falują na jej powierzchni.

Po jednej stronie kanału znajduje się złomowisko, na którym sterty pogniętego metalu lśnią na mrozie. Naprzeciwko stoi porzucony magazyn z czerwonej cegły. W jego oknach nie ma szyb, a na parapetach gnieźdzą się gołębie.

Jedwabista powierzchnia wody kanału w żaden sposób nie zdradza, że pod nią płynie nurt – głębszy, szybszy i silniejszy, niż można by przypuszczać.

Na złomowisku włącza się lampa, a siatka ogrodzeniowa zaczyna chrzęścić. Piętnastoletni chłopiec skacze z niej i ląduje ciężko przy zniszczonej karoserii samochodu. Podnosi się i puszcza biegiem przez plac, odwracając głowę, wymachując rękami, dysząc. Ścieżka, którą biegnie, jest nierówna, więc potyka się raz czy dwa, ale się nie zatrzymuje.

Za jego plecami siatka znów chrzęści i ponownie rozlegają się odgłosy lądowania i tupot stóp. To inny chłopak – porusza się szybciej, mocnymi, miarowymi krokami, i nie potyka się ani razu. Dziеляcy ich dystans coraz bardziej maleje, pierwszy z chłopców dociera bowiem do nieogrodzonego kanału i w jednej chwili pojmuje, że nie ma żadnej drogi ucieczki.

Stoją obaj nad brzegiem wody, zaledwie kilka metrów od siebie. Noah Sadler, z falującą klatką piersiową, odwraca się do tego, który go ściga.

– Abdi – mówi. W jego głosie słychać błaganie.

Nikt, kogo obchodziłby ich los, nie wie, że tutaj są.

Wcześniej tego samego wieczoru

Pod koniec mojej ostatniej sesji z doktor Manelli, policyjną psychoterapeutką, niezręcznie się całujemy.

Mój błąd.

Sądzę, że to przez euforię, wywołaną tym, że sesje z doktor Manelli – do których mnie zmuszono – wreszcie się skończyły. To nic osobistego – po prostu nie lubię omawiać swojego życia z obcymi ludźmi.

W chwili pożegnania wyciągnęła do mnie dłoń do profesjonalnego uściśnięcia – miała długie, eleganckie palce i pojedynczą srebrną bransoletkę na okrytym czarnym mankietem smukłym nadgarstku – ale się zapomniałem i nachyliłem ku niej, żeby pocałować ją w policzek, i to właśnie wtedy znaleźliśmy się w drętwym, krępującym póluscisku.

– Przepraszam – mówię. – No to tak. Dziękuję.

– Nie ma za co. – Odwraca się do swojego biurka i zaczyna porządkować jakieś papiery, na policzkach wykwitły jej dwa małe rumieńce. – Jeśli chodzi o przyszłość, pozostaję do dyspozycji, kiedy tylko będzie mnie pan potrzebował – mówi. – Moje drzwi zawsze są otwarte.

– A raport?

– Zgodnie z naszą wcześniejszą rozmową, zarekomenduję pański bezzwłoczny powrót do Wydziału Kryminalnego.

– Jak pani sądzi, kiedy uda się pani go przekazać? – Nie chcę wyjść na natręta, ale jednocześnie wolałbym uniknąć zbędnych opóźnień.

– Gdy tylko opuści pan mój gabinet, inspektorze Clemo. – Uśmiecha się, ale nie umie się powstrzymać od udzielenia mi pouczenia na pożegnanie. – Proszę nie zapominać, że wyjście z długiego okresu depresji może sporo potrwać. Co do uczuć i stanów, z którymi się pan zmagał, gniewu, bezsenności... proszę nie liczyć, że ustąpią zupełnie. Musi pan też czujnie obserwować, czy nie powracają. Jeśli poczuje pan, że zaczynają pana zalewać, proszę dać mi znać – właśnie wtedy, a nie kiedy będzie za późno.

Zanim znowu wbiję pięść w ścianę komisariatu – to ma na myśli.

Kiwam głową i po raz ostatni rozglądam się po gabinecie. Jest utrzymany w stonowanych kolorach i emanuje spokojem; to przestrzeń do osobistych rozmów i kłopotliwych wyznań.

Od początku terapii minęło sześć miesięcy. Jej celem było rzucenie mi koła ratunkowego, ocalenie mnie przed utonięciem w poczuciu winy i wyrzutach sumienia, które dopadły mnie po śledztwie w sprawie Bena Fincha, a także nauczenie, jak pogodzić się z tym, co się zdarzyło, i jak żyć dalej.

Ben Finch miał osiem lat, gdy zaginął, była to bardzo głośna, bardzo poważna sprawa, której szczegóły całymi tygodniami w kółko wałkowano w mediach. Zadręczałem się tym chłopcem i czułem się osobiście odpowiedzialny za jego los, choć nie powinienem. Człowiek musi zachować jakiś zawodowy dystans, bo inaczej nie będzie z niego żadnego pożytku.

Wierzę, że w końcu – mniej więcej – pogodziłem się z tym, co się stało. A przynajmniej przekonałem o tym doktor Manelli.

Zbiegając po schodach w budynku psychoterapeutki, dzwonię do swojej szefowej, oczy mam wbite w szybę nad drzwiami wejściowymi. Rozjaśniona światłem dnia jest symbolem mojej wolności.

Fraser nie odbiera, więc nagrywam się na automatyczną sekretarkę, powiadamiając ją, że jestem gotów wrócić do pracy, i pytając, czy mogę zacząć od jutra. „Wezmę każdą sprawę” – mówię. Nie żartuję. Pasuje mi wszystko, co tylko da mi szansę na powrót do gry.

Gdy jadę rowerem trójpasem ulicą, przy której mieści się gabinet doktor Manelli, myślę o tym, ile wysiłku będę musiał włożyć, by na nowo wdrożyć się do pracy po tym, co się zdarzyło. Będę musiał wyrzucić dobre wrażenie na wielu ludziach.

Płynę na takiej fali optymizmu, że nie wydaje mi się to niemożliwe.

Jestem w tak dobrym nastroju, że zauważam nawet pierwsze kwiaty na drzewach i krzakach i czuję przypływ uczucia do tego atrakcyjnego, pełnego energii miasta, w którym mieszkam.

* * *

Światło z galerii wylewa się na ulicę, rozjaśniając brudny chodnik.

Na oknie wykonane za pomocą szablonu wysokie, białe litery elegancko anonsują tytuł wystawy:

EDWARD SADLER:
PODRÓŻE Z UCHODŹCAMI

Poniżej znajduje się opis prezentowanych prac:

Wysiedlone życia i zniszczone miejsca:

Widoki z krawędzi istnienia

Fotografia, którą wystawiono w oknie, jest duża i oświetlona punktowo.

Przedstawia chłopca. Zmierza on w kierunku obiektywu, za plecami ma wielkie błękitne niebo, lazururowy ocean usiany grzywiastymi falami i panoramę zbombardowanych budynków. Chłopiec wygląda na jakieś trzynaście, czternaście lat. Ma na sobie sięgające za kolana spodnie, klapki i piłkarską bluzę z obciętymi rękawami. Ubranie jest brudne. Chłopiec kieruje wzrok poza kadr, a jego twarz i postawa zdradzają wysiłek, na ramionach dźwiga bowiem ciało rekina młota. Zakrwawiony pysk zwierzęcia jest wystawiony w stronę obiektywu aparatu. W połączeniu z czerwonym od krwi rozcięciem na umięśnionym białym brzuchu tworzy szokująco sugestywny widok na tle zrujnowanej architektury – oznaki życia, śmierci i przemocy.

„W drodze na targ rybny. Mogadiszu, 2012” – głosi podpis.

Nie jest to wprawdzie zdjęcie, dzięki któremu Ed Sadler zyskał renomę oraz pięć minut sławy, ale i tak prawa do niego nabyło wiele prestiżowych mediów.

Galeria jest wypełniona ludźmi. Wszyscy trzymają w rękach kieliszki i tłoczą się wokół mężczyzny stojącego na krześle na końcu pomieszczenia. Mężczyzna ma na sobie spodnie khaki, znoszone brązowe oksfordy, wyblakły skórzany pasek i jasnoniebieską koszulę z zagięciami charakterystycznymi dla nowych ubrań wyjętych prosto z opakowania. Jego włosy barwy piasku są ciemniejsze u nasady, a jaśniejsze na końcach, i gęstsze, niż można by się spodziewać po mężczyźnie nieco po czterdziestce. Jest atrakcyjny – ma szerokie ramiona i mocno zarysowaną szczękę – choć zdaniem jego żony odrobinę za bardzo odstają mu uszy, by mógł uchodzić za idealnie przystojnego.

Mężczyzna ociera opalone czoło. Trochę się upił – dobrym piwem, zadziwiającą frekwencją oraz faktem, że ten wieczór to szczyt jego kariery, a zarazem druzgocąca klęska w życiu osobistym.

Minęły zaledwie cztery dni, odkąd Ed Sadler i jego żona Fiona usiedli wraz z synem Noahem i prowadzącą go onkolożką i usłyszeli najgorsze z możliwych wieści na temat rokowań Noaha. Zszokowani na razie zatrzymali tę informację dla siebie.

Ktoś stuka łyżeczką o kieliszek i zapada cisza.

Z głową i ramionami ponad tłumem Ed Sadler wyciąga z kieszeni kartkę i wkłada okulary do czytania, by po chwili znowu je zdjąć.

– Chyba nie będę tego potrzebował – mówi, mnąc papier. – Wiem, co chcę powiedzieć.

Rozgląda się po pomieszczeniu, chwytając spojrzenia przyjaciół

i znajomych.

– Wieczory takie jak ten są wyjątkowe, nieczęsto bowiem zdarza mi się zebrać w jednym miejscu tak wielu ważnych dla mnie ludzi. Jestem bardzo dumny, że mogę wam pokazać ten zestaw prac; to dorobek całego życia. Muszę przy tej okazji podziękować kilku osobom, bez których by on nie powstał. Pierwszą jest mój dobry przyjaciel Dan Winstanley, choć może powinienem teraz powiedzieć: profesor Winstanley. Gdzie jesteś, Dan?

Rękę podnosi uśmiechający się z zażenowaniem mężczyzna w niebieskiej koszuli, któremu przydałaby się wizyta u fryzjera.

– Na początek chciałbym ci podziękować za to, że gdy chodziliśmy do szkoły, co tydzień dawałeś mi odpisać zadania z matmy. Sądzę, że minęło już wystarczająco dużo czasu i mogę bezpiecznie się z tym zdradzić! – Wśród gości rozległ się śmiech. – Ale, co o wiele ważniejsze, chcę ci podziękować za to, że dzięki tobie mogłem się dostać do wielu rozmaitych miejsc w Somalii, a zwłaszcza do Hartiszejk, obozu dla uchodźców, gdzie zrobiłem fotografie, które zapoczątkowały moją karierę. To właśnie Dan zabrał mnie tam po raz pierwszy, gdy tworzył SomaliaLink. Ci z was, którzy nie słyszeli o SomaliaLink, powinni nadrobić zaległości. Dzięki czystej przekorze i talentowi Dana stała się ona nagradzaną organizacją, która wykonuje w całej Somalii kawał niesamowitej roboty w ramach projektów związanych z edukacją i odbudową. Blisko dwadzieścia lat temu zaczynała jednak od o wiele skromniejszego celu, jakim było rozwijanie sieci relacji między naszym miastem a somalijską społecznością uchodźców, spośród których wielu trafiło do Bristolu przez Hartiszejk i sąsiednie obozy. Czuję wielką dumę, że mogę być częścią tego przedsięwzięcia. Dan, pomagałeś mi z logistyką, odkąd tylko sięgam pamięcią, ale także stanowiłeś dla mnie inspirację. Nigdy nie mogłem się na wiele przydać w sprawach wymagających tęgiego łba, mam jednak nadzieję, że te fotografie przyczynią się jakoś do tego, że więcej ludzi usłyszy o twojej pracy. Robienie tych zdjęć często jest niebezpieczne i czasem napawa strachem, ale wierzę, że są one konieczne.

Rozlega się burza oklasków i zagrzewający okrzyk jednego z jego kolegów z boiska do rugby, co wywołuje uśmiech na twarzy Eda.

– Robię je też z innego powodu i przede wszystkim o nim chciałbym dziś opowiedzieć. – Przez moment z emocji nie potrafi wydobyć z siebie głosu, ale po chwili dochodzi do siebie. – Przepraszam. Chcę powiedzieć, jak dumny jestem z mojej rodziny i że bez niej nie udało by mi się tego osiągnąć. Fi, Noahu, nie zawsze było nam lekko, mówiąc delikatnie, ale dziękuję wam, bez was byłbym nikim. Wszystko to robię dla was i kocham was.

Stojąca u jego boku Fiona lekko się krzywi, mimo że mocno się stara,

by nie było po niej widać emocji.

Ed przebiega wzrokiem pomieszczenie w poszukiwaniu syna. Nietrudno go znaleźć, obok niego bowiem stoi jego przyjaciel Abdi, jedna z zaledwie czterech czarnych osób w całej galerii, nie licząc tych znajdujących się na fotografiach.

Ed unosi butelkę piwa w kierunku syna, saltuje mu nią i z radością przygląda się fali zadowolenia, która pojawia się na twarzy chłopca. Noah odwzajemnia gest szklanką coli.

Mniej więcej połowa osób w pomieszczeniu mówi: „Oooch”, po czym ktoś woła: „Za Fionę i Noaha!” i wszyscy unoszą kieliszki. Oklaski, które rozlegają się chwilę później, są z początku głośne, potem wręcz gromkie, i dopełnione kilkoma gwizdami.

Ed daje znak muzykom, by zaczęli grać. Schodzi z krzesła i całuje żonę. Oboje mają już łzy w oczach.

Wokół nich narasta zgłęb przyjęcia.

* * *

W czasie gdy Abdi Mahad jest ze swoim przyjacielem Noahem na wernisażu, pozostali członkowie jego rodziny spędzają wieczór w domu.

Jego matka Maryam ogląda somalijski talent show emitowany przez stację Universal TV. Uważa występy za głośne i głupie, są one jednak na tyle wciągające, że przykuwają jej uwagę, głównie dlatego, że są beznadziejne.

Oglądanie programu jest jej wstydliwą przyjemnością. Śmieje się z kobiety śpiewającej żałośnie źle i marszczy brwi, oglądając występ akrobatyczny dwóch mężczyzn, od którego włosy jeżą się na głowie.

Ojciec Abdiego, Nur, siedzi na kanapie obok żony i śpi z odchylną do tyłu głową i otwartymi ustami. Maryam spogląda na niego od czasu do czasu. Dostrzega, że skronie lekko przyprószyła mu siwizna, i podziwia jego profil. Teraz jednak nie ma w nim cechującej go zwykle godności, chrapie bowiem tak głośno, że niemal zagłusza dobiegający z telewizora jazgot prezenterów. Dziewięć godzin spędzonych za kierownicą taksówki w połączeniu ze spotkaniem z członkami lokalnej społeczności i obfitym posiłkiem ze znajomymi znokautowały go równie skutecznie jak uderzenie obuchem.

Gdy w telewizji prezenterzy rozplývają się w zachwytach nad występem rapera – w odczuciu Maryam co najwyżej przeciętnym – Nur chrapie tak głośno, że wyrывa go to ze snu. Maryam wybucha śmiechem.

– Kładziesz się do łóżka, staruszk?

– Jak długo spałem?

- Niezbyt długo.
- Abdi przysłał jakiegoś esemesa?
- Nie.

Fakt, że Abdi wybierał się na wystawę fotograficzną, budził ich obawy. Wiedzieli, że jej tematem są wędrówki uchodźców, wiedzieli też, że część zdjęć, które przyniosły Edwardowi Sadlerowi sławę, została wykonana w obozie, gdzie kiedyś sami przebywali. To ich niepokoi.

Abdi nigdy nie mieszkał w obozie. Nur i Maryam wiele ryzykowali, by dostać się do Wielkiej Brytanii i zyskać pewność, że ich syn nie doświadczy życia, jakie musieli wieść od chwili, gdy wszystko, co niegdyś znali, skończyło się nagle i brutalnie w trakcie somalijskiej wojny domowej. Oboje zostali wyrwani spośród wygodnych, zamieszkałych przez wykształconych ludzi domów, gdzie w niektóre wieczory puszczano z gramofonu Jamesa Browna, a na półkach stały powieści Ernesta Hemingwaya i książki włoskich autorów, gdzie córek nie poddawano obrzezaniu, a dzieci nie wychowywano do uczestniczenia w rozłamowej polityce plemiennej, która z czasem miała nieść śmierć.

Nur i Maryam bardzo starali się odwieść Abdiego od pójścia na wystawę, on jednak nie chciał nawet o tym słyszeć.

– Nie trzymajcie mnie pod kloszem – powiedział i trudno było z tym polemizować. Ma piętnaście lat, jest pewny siebie, bystry i elokwentny. Wiedzą, że nie mogą w nieskończoność chronić go przed światem.

W końcu doszli do wniosku, że skoro jego ciekawość co do ich uchodźczej wędrówki ogranicza się do odwiedzenia wystawy, to chyba powinni uznać, że im się udało, pozwolili mu więc iść i życzyli udanego wieczoru.

Maryam wyłącza telewizor, a ekran z pstryknięciem czernieje, ujawniając kilka rozmazanych odcisków palców, na których widok kobieta cmoka z dezaprobatą. Zetrze je rano.

– Martwisz się? – pyta Nura.

– Nie. I tak nie spodziewałem się od niego żadnej wiadomości. Idźmy spać.

Rodzice znajomym zestawem ruchów rozkładają kanapę, a Sofia Mahad, siostra Abdiego, siedzi przy biurku we własnej sypialni za ścianą. Właśnie dostała mejl od dyrektorki swojego dawnego liceum, z pytaniem, czy chciałaby odwiedzić szkołę po latach i na spotkaniu poświęconym wyborowi przyszedłemu zawodu wygłosić mowę dla uczniów ostatnich klas.

Sofia ma dwadzieścia lat i studiuje na drugim roku położnictwa. Nigdy wcześniej nie przemawiała publicznie. Jest nieśmiała, więc unikała tego jak ognia. Teraz jednak poczuła się mile polechtana zaproszeniem, a zwłaszcza zdaniem, w którym opisano ją jako „jedną

z najzdolniejszych absolwentek”.

– Zgadnijcie, co się stało! – woła do rodziców. – Poproszono mnie, żebym wygłosiła przemówienie!

Wyciąga z ucha jedną ze słuchawek i czeka na ich odpowiedź, ale żadnej nie ma. Najwyraźniej jej nie usłyszeli. Powie im później, myśli, twarzą w twarz, gdy będzie mogła zobaczyć, jak uśmiechają się dumnie.

Czyta mejl ponownie. „Tym, co najbardziej mogłoby zainteresować naszych maturzystów – pisze dyrektorka – są powody, które skłoniły cię do zostania położną”.

Sofia – tak jak zazwyczaj, gdy się nad czymś zastanawia – wstaje i wygląda przez okno. Na zewnątrz dostrzega nieduży park, pusty i cichy, oraz wielki blok mieszkalny po jego drugiej stronie. Niezasłonięte okna ukazują życie innych ludzi, rozjaśnione wszystkimi barwami światła, od ciepłej po mdląco neonową, niektóre migoczą od ekranów telewizyjnych.

Doskonale wie, co ją skłoniło – narodziny Abdiego. Problem jednak w tym, że nie jest pewna, czy może o tym mówić, bowiem nikt z jej rodziny nigdy nie powiedział otwarcie, co wydarzyło się tamtej nocy. Jej matka o narodzinach Abdiego opowiada bardzo skrótowo: „Abdi przyszedł na świat pod gwiazdami”.

Sofia wie także, że na tym historia się nie kończy, pamięta bowiem tamtą noc w szczegółach. Jej wspomnienie – podobnie jak wszystkie inne, które zachowała z Afryki – jest intensywne. Niekiedy myśli o tej części swojego życia sprzed przenosin do Anglii jako o pewnego rodzaju hipperrzeczywistości.

Abdi przyszedł na świat na pustyni, a Sofia jest w stanie przywołać w wyobraźni widok tamtych gwiazd. Wędrowały po niebie w wielkich, przypominających chmury gromadach. Wyglądały jak komórki rozmnażające się pod mikroskopem. Ich mleczna jasność stała się widoczna, gdy ciężarówka się zatrzymała i jej reflektory zgasły.

Mężczyźni nie wypuścili Maryam z ciężarówki, dopóki poród naprawdę się nie zaczął. Rodziła już od kilku godzin, upchnięta na pace z innymi ludźmi, i męczyła się dalej na saharyjskim pustkowiu. Nie było żadnej innej kobiety, która mogłaby jej pomóc, więc to Sofia klęczała i trzymała głowę matki, czując pod palcami pot na policzkach Maryam i jej zaciśnięte szczęki. Nur klęczał obok nich i drżącymi rękami przyjmował chłopca na świat.

Sofia pamięta, że czuła kamienie wbijające się w jej golenie, kolana i podbicie stóp. Pamięta, w jaki sposób światło gwiazd i sierpowatego księżycy sprawiały, że ruchome powierzchnie piaszczystych wydmy wydawały się lśnić. Pomyślała wtedy, że ich jasność uniosła krzyki Maryam ku niebiosom i wydobyła dziecko z jej ciała.

Przemytnicy odzywali się do Maryam szorstko, nakazując jej, żeby

była cicho i żeby się pospieszyła. Zarysy ich sylwetek wyglądały tak, jakby każdy z nich miał trzecią nogę w postaci długiego kija albo karabinu. Opierali się na nich, stojąc niecierpliwie, pełni przemocy i pragnący szybkiego i jak największego zysku ze swojego ludzkiego towaru.

Sofia pamięta, jak ostrze noża błyszczało w świetle pochodni, gdy mężczyźni odcinali Abdiemu pępownię. – Pospieszcie się! Wracajcie do ciężarówki! – popędzali, a w ich oczach widać było groźbę, że porzucą tu Maryam, jeśli nie posłucha. Kilka minut później posłusznie urodziła łożysko, wilgotne i zakrwawione, na wysuszoną ziemię, a wiatr przysypał je ziarnkami piasku.

Twarze pozostałych pasażerów ciężarówki były zasłonięte dla ochrony przed piaskiem i wiatrem. Maryam zemdlła – jej ciężkie ciało było spocone i między nogami ścisnęła ciemny od krwi kawał materiału. Nur ją podtrzymywał, a jego oddech drżał w rytm obrotów silnika. Sofia kołysała w ramionach nowego braciszka. Grzała go. Przysunęła twarz do twarzy dziecka i zaczęła mu się przyglądać. W świetle gwiazd przypatrywała się jego zamkniętym powiekom, wilgotnemu, miękkiemu ciału i włosom, i już wiedziała, że go pokochała.

Podczas gdy ciężarówka kołysała się i zarzucała na ścieżce biegnącej przez pustynię, ta myśl dawała dziewczynie poczucie ciepła, mimo że bardzo się bała.

Sofia bierze nagle wdech – niemal wzdycha – i wyrywa ją to z zamyślenia. Odpowiada na mejl dyrektorki swojej szkoły, dziękuje w nim za zaproszenie i pisze, że chciałaby się nad tą sprawą nieco zastanowić.

Gdy ma to już za sobą, raz jeszcze popada w zadumę nad Abdim i nad tym, jak dziwnie byłoby urodzić się w drodze, tak jak on, pod spojrzeniami przemytników i zbirów. Gdzie tak naprawdę by się przynależało? W jaki sposób by to wpłynęło na człowieka, w głębi jego duszy? Czy ktoś taki zdawałby sobie sprawę, że to groźby wyrwały go ze spoconego, przerażonego ciała matki?

Nie roztrząsa tego jednak zbyt długo, bowiem jej uwagę prędko odwracają brzęczyki powiadomień z mediów społecznościowych i wszelkie pozostałe rozpraszacze.

Tej nocy Sofia nie myśli już więcej o Abdim. Podobnie jej rodzice – nie licząc krótkiej wymiany zdań, przeprowadzonej, gdy wsunęli się pod kołdrę i sennie dyskutowali o tym, czy Abdi powinien zrezygnować z klubu szachowego, by mieć więcej czasu na naukę do egzaminów, do których przystąpi tego lata. Mają wielką nadzieję, że uzyska wystarczająco dobre wyniki, by ubiegać się o miejsce na prestiżowej uczelni.

W nocy w domu Mahadów panuje kompletna cisza. Ale

w lodowatych wczesnych godzinach poranka dzwonek do ich mieszkania zaczyna brzęczeć raz po raz, długo i głośno, by po jakimś czasie, wskutek rozładowanej baterii, wygasnąć jak rzeźenie umierającego. Nur gramoli się z łóżka, żeby otworzyć. Jest tak zaspany, że ledwo trzyma się na nogach.

– Tak? – mówi. Jest w stanie zobaczyć własny oddech.

W odpowiedzi słyszy słowo, którego nauczył się bać już we wczesnych latach życia:

– Policja.

ŚLEDZTWO

Dzień pierwszy

Dobrze jest po tylu miesiącach przerwy móc znów zawiesić sobie na szyi legitymację policyjną. „Inspektor” to tytuł, na który ciężko zapracowałem.

Kiedy jadę rano do Kenneth Steele House, głównej siedziby bristolskiego Wydziału Kryminalnego, powietrze jest rześkie i chłodne, a ruch uliczny wydaje się mniejszy niż zazwyczaj.

Szybko pokonuję trasę na nowej kolarzówce. Kupiłem ją, gdy miałem sporo czasu do dyspozycji, między sesjami terapeutycznymi a wypełnianiem nudnych obowiązków związanych z prowadzeniem szkoleń. Jedzie mi się świetnie.

Tu i ówdzie dostrzegam pozostałości po marszu, który tydzień temu odbył się w centrum miasta – skupisko żółtych pacholków drogowych, przypominających przewrócone częściowo kręgle, czeka nieopodal nabrzeża, aż ktoś je zabierze; na tle odbijających światło szyb odcina się kilka zabitych deskami okien.

Z początku marsz był niewielkim problemem, zorganizowaną przez grupę neonazistów paskudną antyimigrancką demonstracją, której jedyną zaletę stanowiło to, że według przewidywań miała mieć bardzo nieliczne grono uczestników. Gdyby odpowiednio nad nim zapanowano, marsz ten mógłby wygasnąć po kilku godzinach – tak właśnie powinno było się stać, ale sprawy wymknęły się spod kontroli. Średnich rozmiarów zamieszki i grabieże doprowadziły do wielkich rozmiarów wstydu dla policji. Całe to fiasko pozostawiło u wielu mieszkańców miasta paskudne wrażenie.

Nie rozmyślałam nad tym jednak, gdy pędzę ulicą do pracy. Skupiam się na tym, by przekroczyć próg komendy z podniesioną głową.

Starsza inspektor Corinne Fraser w ogóle się nie zmieniła, odkąd widziałem ją po raz ostatni, dobrych parę miesięcy temu – szare oczy, kręcone popielate włosy tylko trochę ujarzmione strzyżeniem oraz spojrzenie o przenikliwości tomografu. Wstaje od biurka i ściska mi ciepło rękę obiema dłońmi, ale życzy mi powodzenia tonem, który nie pozostawia wątpliwości, że będę musiał się napracować, by odzyskać jej zaufanie. Wita mnie, robi to jednak w deprymujący sposób. Klasyczna Fraser.

Pozostali koledzy witają się ze mną dość uprzejmie. Najczęściej w sposób kordialny, który sprawia wrażenie dość autentycznego, choć jedna czy druga osoba nie utrzymała kontaktu wzrokowego na tyle długo, ile by wypadało. Nie powinienem się wstydzić, powiedziała mi kiedyś doktor Manelli, tego, co mi się przytrafiło – że szlag mnie trafił w miejscu publicznym – ale jak sądzę, części moich kolegów z pracy może być wstyd w moim imieniu. Staram się nie brać tego do siebie. To ich problem, mówię sobie. Moim zadaniem jest dowieść swojej sprawności w roli śledczego.

To podczas „modlitwy porannej” – zebrania, które Fraser zwołuje każdego dnia – szefowa przekazuje mi sprawę kanału Feeder. Wyczuwam, że cieszy się, mając pod ręką nieszczęśnika, któremu może ją przydzielić. O jej ważności jednoznacznie świadczy fakt, że jest przedostatnią pozycją na liście kwestii do omówienia, tuż przed prośbą ekipy sprzątającej o to, żebyśmy zdobyli się na wysiłek i zaczęli wyrzucać plastikowe kubeczki z dystrybutora wody do odpowiednich pojemników.

Fraser zwraca się do kogoś o znajomej twarzy z prośbą o zreferowanie mi szczegółów sprawy.

Posterunkowy Justin Woodley rzuca w moim kierunku półuśmiech i odchrząkuje, po czym zaczyna czytać ze swojego notatnika. Nie miałem z nim za wiele do czynienia, odkąd zobaczył, jak wymiotuję do przydomowego ogródka jednego z głównych świadków w sprawie Bena Fincha. Była to poniżająca reakcja na porcję złych wieści.

Było, minęło, mówię sobie. Trzymaj nerwy na wodzy. Odwzajemniam się kiwnięciem głowy.

– Zeszłej nocy piętnastoletni chłopiec wpadł do kanału, zaledwie kawałek drogi stąd, przy złomowisku. Został wyłowiony przez służby porządkowe i zabrany do szpitala dziecięcego. Obecnie jest z nim bardzo źle, przebywa na oddziale intensywnej terapii, a jego stan jest krytyczny. Towarzyszył mu inny chłopak, którego spotkano w pobliżu kanału. Nie odniósł żadnych ran, ale był w szoku, obecnie badają go w Szpitalu Królewskim.

– I chcą kogoś z Wydziału Kryminalnego, bo...?

– Mamy świadka, kobietę. Mówi, że na jej oko, zanim chłopak wpadł do kanału, coś zaszło między nim i jego kolegą. To ona zadzwoniła po służby. Wciąż jest na miejscu.

– Co mówi chłopak, który nie doznał obrażeń?

– Na razie nic nikomu nie powiedział.

– Dlaczego nie?

– Najwyraźniej po prostu nie mówi. Czy nie jest w stanie, czy też nie chce, tego nie wiemy.

Woodley zamyka notatnik.

– Ofiarą jest biały chłopak, a ten drugi dzieciak pochodzi ze społeczności somalijskiej, więc sprawa jest niezwykle delikatna – dorzuca Fraser.

– Oczywiście – przytakuję.

Fraser kontynuuje:

– Jak sądzę, nie będziesz zaskoczony, jeśli powiem, że budżet mamy napięty, niemal zerowy, więc nie uruchomię śledztwa, o ile nie będzie ku temu naprawdę ważnego powodu. Jeżeli uda nam się łatwo z tym uporać, to tak zrobimy i niech mundurowi się tym zajmą. Jim, będziesz pracował nad tą sprawą razem z Woodleyem.

Krótką wymiana spojrzeń mówi mi, że nie ja jeden podchodzę do tego nerwowo.

Woodley i ja piechotą udajemy się na miejsce zdarzenia. Znajduje się ono przy Feeder Road, nieco ponad pół kilometra od Kenneth Steele House, i nie sposób uznać go za najbardziej malowniczy fragment Bristolu.

Przechodzimy pod poplamioną i pomazaną graffiti betonową estakadą, której cztery pasy ruchu służą bristolczykom do przemieszczania się z jednego końca miasta na drugi. Jest przytłaczająca. Nawet w ładne dni jej dolna część wygląda ponuro i rzuca głęboki cień.

Za estakadą, koło biegnącej wzdłuż kanału drogi znajdują się głównie magazyny, garaże i jakiś dziwny warsztat samochodowy, a większość z tych budynków ma widoczną z daleka ochronę w postaci ogrodzeń zwieńczonych szpikulcami lub drutem kolczastym.

– Czy ta sprawa wygląda ci na podpuchę? – pyta Woodley.

– Nie wiem. Zależy, co widział świadek. Może coś z tego będzie, a może nie.

– Sam skoczył czy też go popchnięto? – Woodley moduluje głos tak, by brzmiał jak kwestia ze zwiastuna filmowego. Zapomniałem już, że ma cięte poczucie humoru. Uświadamiam sobie, że się uśmiecham.

– Coś w tym stylu.

Woodley odchrząkuje.

– Kładę karty na stół: srogo dałem dupy w jednej ze spraw. Zgubiłem część dowodów.

Chwilę zajmuje mi przyswojenie tej informacji. Wygląda więc na to, że nie tylko ja jestem poraniony.

– Czego dotyczyła sprawa? – To istotne.

– Znęcania się nad dziećmi.

– Ta sytuacja z dowodami odbiła się znacząco na wyroku?

– Tak. Ojcu pozwolono wrócić do rodziny. Był winny jak diabli. Mój błąd.

To absolutnie najgorszy rodzaj sprawy na popełnienie błędu.

– Zdarza się najlepszym z nas – mówię, chociaż nie łudzę się, że dodałem mu tym choć odrobinę otuchy. Nie wiem, co jeszcze mógłbym mu powiedzieć. Nie mam prawa go osądzać, ale teraz rozumiem, dlaczego Fraser kazała nam pracować razem. Jesteśmy jak dzieciaki, których na boisku nikt nie chce wziąć do swojej drużyny. Ta sprawa to dla nas wóz albo przewóz.

– Jak dla mnie – odzywa się Woodley, gdy pokonaliśmy już kawałek ścieżki prowadzącej do kanału – przy sprawie Bena Fincha odwaliłeś kawał dobrej roboty. Sporo ludzi też tak uważało. Poszedłeś za tropem, w który wierzyłeś. Postawiłeś na to, co było zgodne z twoimi przekonaniem.

Patrzę na niego. Nos jak skocznia narciarska, na głowie niewielka łątka przerzedzających się włosów, no i te bystre oczy, dopatrujące się w moich jakiejś reakcji. Wciąż mu zależy, by pozostać w grze, myślę. To dobrze dla nas obu.

– Dzięki. Ja... – Ale nie wiem, co jeszcze powiedzieć; mam wrażenie, że jest za wcześnie, by omawiać tę sprawę z kolegą z pracy. Nie jestem jeszcze gotowy. Woodley nie naciska.

Idziemy dalej i zatrzymujemy się przy krawędzi kanału, by popatrzeć na miejsce zdarzenia. Woda wygląda brudno i niezachęcająco. Na brzegach zalegają zwały mulistego, jasnobrązowego błota, a leżące wzdłuż niej liście wyglądają tak, jak gdyby długa zima osadziła je tu na dobre. Kilkaset metrów na wschód od nas widać skulonego wędkarza w nieprzemakalnym stroju.

Obok nas znajduje się opuszczony magazyn i skromny wiktoriański most dla pieszych, który wznosi się nad kanałem. Ścieżka biegnąca przez jego środek jest pokryta zielskiem i zaśmiecona. Pod warstwą czarnej farby, która odłazi, jakby dotknął ją ciężki przypadek łuszczycy, konstrukcja wygląda na tak przerdzewiałą, że wydaje się mało prawdopodobne, by miała przetrwać kolejnych sto lat.

Po drugiej stronie wody widać złomowisko, gdzie doszło do zdarzenia. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, co dwóch nastoletnich chłopaków mogłoby tam robić. Człowiek ma tutaj wrażenie, że trafił na pustkowie. Pewnie przyszli, żeby się powyglądzać. Porobić zakłady, który z nich odważy się wkroczyć na zamknięty teren, albo rozejrzeć się za miejscem na wypicie czegoś mocniejszego czy zapalenie dżointa.

– Myślę, że ta sprawa to błahostka – mówię. Spoglądam w mętłą wodę. Nie widać w niej niczego poza kółkami sklepowego wózka na zakupy, który rozpedzony przekoziółkował na brzegu. – Zwykła błahostka. Ale lepsze to niż drogówka.

Patrząc z perspektywy czasu, widzę, że wprowadziłem Woodleya w błąd, żaden z nas bowiem nie zorientował się, jaka ta sprawa była naprawdę – groźna, ważna i delikatna, z początku może

i niewzbudzająca niepokoju, ale zdolna momentalnie obrócić się o sto osiemdziesiąt stopni i zaskoczyć cię nagłym ciosem. Ta sprawa była czymś przerażającym.

Oczywiście, że się nie zorientowałem. Nikt inny się nie zorientował, więc dlaczego niby nam miałyby się to udać?

Fraser nigdy nie pozwoliłaby nam się zająć tą sprawą, gdyby wiedziała, jak się ona potoczy.

* * *

Ciemność nad miastem już się rozprasza, zalegając jedynie w zaułkach, gdy Mahadowie przybywają na oddział ratunkowy bristolskiego Szpitala Królewskiego. Podano im bardzo niewiele informacji, nic ponad skromny opis tego, co przydarzyło się Abdiemu.

Policjanci towarzyszący Mahadom witają się z dwoma kolegami stojącymi przed tylnym wejściem na SOR. Ci dwaj funkcjonariusze rozmawiają z mężczyzną, który opiera się plecami o ścianę, a włosy ma zlepione krwią. Mocno zaciąga się papierosem. Mówi o odkupieniu. Połowa jego twarzy jest pogrążona w mroku, lecz lampa w drucianej osłonie rzuca dokładnie tyle światła, by Sofia mogła dostrzec, że jego źrenice mają wielkość główki szpilki. Zobaczywszy Maryam, mężczyzna jeszcze bardziej się ożywia.

– O tym właśnie mówię – stwierdza. – Noszą te kiecki, żeby móc ukryć pod nimi bomby. – Przechylił się chwiejnie w stronę Mahadów. – Możecie sobie wrócić do swojego jebanego kraju. Jesteście z ISIS, pierdoleni terroryści!

Funkcjonariusze natychmiast go powstrzymują, kropla jego śliny zdążyła jednak wylądować tuż przy stopach Sofii.

Nur staje między swoją rodziną a mężczyzną i prowadzi kobiety do środka. Jego twarz nie zdradza żadnych emocji, choć klatka piersiowa mu faluje. Wie, że słowa te padają z ust człowieka pełnego ignorancji i niemal na pewno dotkniętego szaleństwem, i tak jednak go ranią.

Poczekalnię wypełniają rzędy krzeseł ustawionych jak na lotnisku, tak że ranni i chorzy mogą zabijać czas, obrzucając się wzajemnie spojrzeniami. Policjanci upewniają się, że recepcjonistka przyjmie Mahadów poza kolejką. Pielęgniarka prowadzi ich wąskim korytarzem, przy którym znajdują się sale z łózkami; łóżka oddzielone są zasłonkami zapewniającymi niewielką prywatność.

Przy wejściu do jednej z sal stoi policjant, nieodrywający ust od kubka z kawą. Odsuwa się na bok, tak by Mahadowie mogli się wślizgnąć za zaciągniętą zasłonkę.

Abdi leży na łóżku. Patrzy na członków swojej rodziny, choć wydaje

się ich nie widzieć.

Rodzice i siostra przyglądają się jego twarzy w poszukiwaniu oznak tego, co przeszedł, i nie znajdują niczego, co dodałoby im otuchy. Abdi ledwo przypomina chłopca, którego kochają.

Na jego twarzy nie ma żadnego ożywienia, żadnej iskry w oczach, żadnego drgania mięśni wokół ust, sugerującego, że zaraz się uśmiechnie albo zacznie się wesoło droczyć. Wycofał się do miejsca pełnego pustki i bezruchu.

Widząc go, Maryam czuje w sercu mroczny trzepot strachu. Nie ma odwagi spojrzeć na Nura, boi się bowiem, że w wyrazie jego twarzy dostrzeże lustrzane odbicie własnego narastającego przerażenia.

– Och, Abdi – szepcze.

Sofia obserwuje, jak matka pochyla się ku Abdiemu i przykłada policzek do jego twarzy. Widzi, że Maryam próbuje go objąć, lecz Abdi nie robi nic, by odwzajemnić ten gest. Maryam odsuwa się i zamiast tego chwyta syna za rękę. Sofia myśli sobie, że tych dwoje łączy dziwna energia.

Przy łóżku nie ma zbyt wiele miejsca, ale Sofia i Nur krążą wokół siebie, tak by też móc objąć Abdiego. Nie reaguje na żadne z nich. Obojgu wydaje się sztywny, nie do końca obecny. Wracają na swoje miejsca i stają niezręcznie wokół łóżka, starając się nie gapić, nie wiedząc, jak mają się zachować ani co ze sobą zrobić.

Sofia w poszukiwaniu wskazówki spogląda na matkę, często bowiem to Maryam nadaje emocjonalny ton w ich rodzinie. Dziewczyna nie jest pewna, czy matka zada Abdiemu jakieś pytanie, zbeszta go, czy też okryje go szczelniej kocem i pogłodzi po czole. Oczekuje po Maryam, że ta zrobi którąś z tych rzeczy, albo i wszystkie trzy. Myśli o miłości swojej matki jako o lekkim deszczu – delikatnie zrasza, a gdy jest ciepły, wywołuje najwspanialsze uczucie na świecie. Gdy jest zimny, już nieszczęśliwie. Tak czy inaczej, w odczuciu Sofii miłość jej matki to coś intensywnego i nieprzerwanego.

Maryam wpatruje się w syna przez chwilę, która wydaje się bardzo długa. Zerka na Nura, a on, odczytując tę niemą prośbę, zajmuje jej miejsce przy łóżku Abdiego.

– Abdi, jesteś tu z tobą. Cokolwiek się stało, możesz nam o tym powiedzieć.

Delikatnie przesuwa wierzchem dłoni po skroni chłopca.

Abdi wzdryga się i porusza głową na poduszce.

Sofia czuje ukłucia napływających do oczu łez. Myśli, że prawdopodobnie wolałaby zobaczyć Abdiego z fizycznymi ranami niż w takim stanie.

– Wszystko jest w porządku – mówi do niego Nur. – Będzie dobrze. Nikt nie będzie się gniewał.

Abdi zamyka oczy.

Nur nalega:

– Abdi, możesz mi powiedzieć, co się stało?

Żadnej reakcji. Sofia ledwo jest w stanie na to patrzeć.

Przy sąsiednim łóżku lekarz kogoś bada, a Sofia co jakiś czas wsłuchuje się w jego rozmowę z pacjentem.

– Dlaczego pan to zrobił? – pyta lekarz. Pacjent mamrocze w odpowiedzi coś, czego Sofia nie potrafi zbyt dobrze usłyszeć przez dzielącą ich zasłonę.

– Abdi. – Nur się nie poddaje. Dręczy go to, że z synem nie da się nawiązać kontaktu. Kiedy dotyka jego ramienia i delikatnie nim potrząsa, Abdi przetacza się na drugą stronę i odwraca do niego plecami.

– Dlaczego? – rozbrzmiewa podniesiony głos lekarza przy sąsiednim łóżku.

Nur spogląda na Maryam, a ta wzrusza ramionami. Podobnie jak on nie wie, co zrobić, by ich słowa dotarły do Abdiego. Dłonią zasłania usta.

– Dlaczego pan to zrobił? – powtarza pytanie lekarz. – Proszę powiedzieć dlaczego.

Pewnie próba samobójcza, myśli Sofia. Nie da się tego słuchać. Nic dziwnego, że Abdi jest w takim stanie. Nie powinien tu leżeć.

Gdy Nur po raz kolejny próbuje nakłonić Abdiego do mówienia, Sofia szarpnięciem odsuwa zasłonę, zaskakując stojącego za nią policjanta.

– Dlaczego mój brat trafił akurat tutaj? – domaga się wyjaśnień; skupiona jedynie na tym, by zabrać Abdiego do domu, zapomina o swojej nieśmiałości. – Nie powinien być leczony w tym miejscu. Powinien leżeć w szpitalu dziecięcym. Ma dopiero piętnaście lat.

– Jedynym dokumentem, jaki przy nim znaleźliśmy, była karta biblioteczna, więc skoro się do nas nie odezwał, nie mogliśmy ustalić jego wieku – odpowiada policjant. Nad nim i rodziną Mahadów mruga świetlówka. – Musieliśmy zgadywać, więc uznaliśmy, że ma szesnaście lat albo więcej, bo kawał chłopca z niego.

Sofii nie obchodzą wyjaśnienia. Chce działać.

– No cóż, ma piętnaście lat i chcielibyśmy zabrać go do domu. – Jest przekonana, że Abdi jest w szoku i że odezwie się do nich i znowu stanie się bardziej rozpoznawalną wersją samego siebie, jeśli tylko uda im się go stąd wyciągnąć.

Czeka, aż doktor wyjdzie zza sąsiedniego parawanu, i domaga się od niego wieści o stanie Abdiego.

– Fizycznie nic mu nie dolega – stwierdza lekarz, zdejmując zakrwawione rękawiczki i wyrzucając je do kosza. – Sądzymy jednak, że może cierpieć z powodu szoku. Możecie wziąć go do domu, ale będziecie musieli się upewnić, że jest mu ciepło i wygodnie, no i mieć na niego

oko.

– Czy powiedział choć słowo, odkąd tutaj trafił?

Myśli o zachowaniu Abdiego w dniu, w którym wpadł po nią, gdy odbywała staż w tym szpitalu. Nie było na całym oddziale osoby, z którą nie przywitałby się wylewnie. Nie było ręki, której by nie uścisnął, nie było końca pytań, które zadawał konsultantowi, gdy ten znalazł chwilę, żeby z nimi pogadać.

– Nie wydaje mi się. Możliwe, że wskutek tego, co zobaczył, dotknęła go pewnego rodzaju trauma emocjonalna. – Lekarzowi najwyraźniej zrobiło się żal dziewczyny, więc postanowił rzucić jej ochłap informacji. – Odpoczynek w domu na pewno będzie dla niego lepszy od leżenia tutaj.

Gdy rodzice Sofii odchodzą, by dopełnić formalności związanych z wypisaniem Abdiego, Sofia zajmuje miejsce Nura przy łóżku brata.

– Odpoczywaj, Abdi – szepcze. Niepewnie kładzie mu dłoń na ramieniu; on przez chwilę jej na to pozwala, po czym odtrąca ją ruchem barku.

– W porządku – mówi. – Dam ci spokój. Niedługo pójdziemy do domu.

Splata dłonie na kolanach i wspomina, jak w dzieciństwie Abdi, odkąd tylko nauczył się chodzić, nie odstępował jej na krok i starał się naśladować we wszystkim, co robiła. Jeśli ona studiowała twarz brata w pierwszych minutach po jego narodzinach, to on studiował jej twarz milion razy w ciągu następnych lat. Pamięta jego bezzębny uśmiech, jego uśmiech odsłaniający mleczaki, uśmiech ze szczerbami oraz ten, który nadszedł później, gdy nowo wyrosłe stałe zęby sprawiały wrażenie za dużych. Czuje, że w chwili narodzin Abdiego zostali ze sobą połączeni i że więź ta będzie trwała zawsze.

Odzyska mowę po powrocie do domu, mówi Sofia w myślach i powtarza to na głos rodzicom, gdy ci znów pojawiają się przy łóżku.

Policjanci eskortują ich w drodze na zewnątrz i proponują, że odwiezą ich do domu.

Gdy opuszczają parking, Sofia dostrzega znajdujący się naprzeciwko szpital dziecięcy. Powiedziano jej, że to w nim leży Noah. To oczywiste. Nie ma mowy, by ktoś wziął go za szesnastolatka.

Noah jest w stanie krytycznym. Policjanci powiedzieli o tym Abdiemu, licząc najwyraźniej, że skłoni go to do mówienia. Sofia ma poważne wątpliwości, czy na pewno było to rozsądne posunięcie.

Poza tym zastanawia się, co takiego zobaczył Abdi i co obaj z Noahem zrobili.

Gdy przelęka ślinę, jedyne, co czuje, to strach.

– Noah – mówi mama. – Możesz otworzyć oczy, kochany?

Nie mogę.

Prosi, żebym uścisnął jej dłoń, ale tego też nie mogę zrobić. W ogóle nie potrafię się ruszyć.

– Jakież postępy? – pyta tata.

– Żadnych.

Wydaje mi się, że czuję, jak palce mamy zaciskają się wokół moich, po czym słyszę, że – nieco głośniejszym głosem niż za pierwszym razem – mówi:

– Noah! Skarbie, słyszysz mnie? Jesteś w ogóle w stanie uścisnąć moją dłoń, choćby troszeczkę?

Moją pierwszą reakcją jest myśl: będę w stanie, wprawdzie jeszcze nie teraz, ale będę na pewno. Po chwili jednak zdaję sobie sprawę, że wcale nie jestem tego taki pewny, bo na razie wszystko wokół wydaje się okryte szarą mgłą. Nie mam pojęcia, co się wokół mnie dzieje. W moim umyśle wyraźne jest tylko jedno: pojedyncze, bardzo świeże wspomnienie. Jest nim niemożliwy do zapomnienia, nieodwracalny fakt, że wziąłem udział w TEJ rozmowie – rozmowie z rodzaju tych, w których mówią ci, że koła od roweru odpadły i że nie ma żadnej szansy, by przymocować je z powrotem.

– Ile nam zostało czasu? – mama zapytała Sashę w dniu, w którym usłyszeliśmy wieści. Siedzieliśmy wtedy na oddziale onkologii dziecięcej, w pomieszczeniu, które miało służyć rodzicom jako schronienie w sytuacjach, gdy sprawy ich przerosną. Używają go jednak wyłącznie ci, co mają do czynienia z tym oddziałem dopiero od niedawna, bo wszyscy pozostali wiedzą, że nazywa się go „pokojem złych wiadomości”. Ludzie prędko uczą się unikać go jak zarazy.

Sasha to moja pani onkolog. Stopień, imię i nazwisko: doktor Sasha Mitchell, a dalej wiele literek układających się w skróty specjalizacji i tytułów, ale ponieważ leczy mnie od lat, mówimy sobie po imieniu.

– Nie jestem w stanie tego dokładnie określić – powiedziała mamie. – Przykro mi. – Wzięła mamę za rękę, co mnie cieszyło, mama bowiem wyglądała, jakby miała się rozpuścić w powietrzu, gdyby ktoś jej nie przytrzymał. – Wolno nam jednak mieć nadzieję, że o ile nie zdarzy się nic niespodziewanego, to może być parę miesięcy. Możemy omówić, w jaki sposób złagodzić objawy Noaha, tak by pozostały czas upłynął tak przyjemnie, jak to tylko możliwe, ale obawiam się, że to jedyne, co jesteśmy w stanie zrobić.

Cisza.

– Bardzo mi przykro – powtórzyła Sasha. Nie chciałem, żeby skierowała wzrok na mnie.

Tamtego ranka nie było z nami taty. Wraciał skądś wtedy samolotem do Bristolu.

W pokoju była moja ulubiona pielęgniarka, Sheila, również siedząca

w kręgu złych wieści. Opiekowała się mną od lat, tak jak Sasha.

Na jej kolanach spoczywała moja dokumentacja medyczna, stos papierów, który był tak gruby, że nikt jeszcze nie przeniósł jego zawartości do systemu elektronicznego. Kartki były ułożone w wielu kartonowych segregatorach, każdy był wypełniony po brzegi papierami z zagiętymi rogami i plamami po kawie i spiętymi z sąsiednimi. Chodzą za mną po całym szpitalu, do każdego miejsca, w którym akurat mnie leczą. Wózki na dokumenty sprawiają wrażenie, jakby miały się ugiąć pod ich ciężarem, a pielęgniarki muszą je nieść w obydwu rękach. Dokumentują wszystko, co kiedykolwiek mi się w tym szpitalu przydarzyło. Rodziny, które nie były w tym systemie tak długo jak my, patrzą na nie ze strachem. W kartonową okładkę właśnie wsiąknęła jedna z łez Sheili. Ciekawe, co szpital zrobi z tą kartoteką, gdy mnie już nie będzie. Pewnie wyrzucą ją do śmieci.

Oczywiście poryczałem się w „pokoju złych wiadomości”, jakżeby inaczej. Wszystkie trzy zebrały się wokół mnie, ich ramiona skrzyżowały się na moich plecach, a mama powiedziała:

– Noah, kochany, Noah.

– Ale przecież mam tyle rzeczy do zrobienia – stwierdziłem.

Gdy wracałem do mojej sali – w towarzystwie mamy, Sheili i toczącego się na kółkach stojaka z kroplówką, do której byłem podłączony – zauważyłem, że pielęgniarki w dyżurce odwracają wzrok. Wiedziały. Chciałem, żeby spojrzały mi w twarz. Łokciem strąciłem tacę, którą jedna z nich zostawiła w niebezpiecznym miejscu. Strzykawki i próbówki z krwią z brzękiem potoczyły się po linoleum. Czwarte piętro Szpitala Dziecięcego w Bristolu jest utrzymane w niebieskiej kolorystyce, jeśli kogoś to interesuje. Niebieska podłoga, niebieskie ściany. Probówki pokonały satysfakcjonująco duży dystans. Miałem wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie.

Z rozmyślań wyrывa mnie głos mamy. Mówi powoli, jak gdybym był niedorozwinięty albo głuchy.

– Kochanie, przydarzył ci się wypadek. Wpadłeś do kanału i uderzyłeś się w głowę pod wodą. Lekarze wywołali u ciebie śpiączkę farmakologiczną, bo według nich to najlepszy sposób, żebyś wydobrzeał. Jesteś na intensywnej terapii.

– Przypominasz sobie, że byłeś wczoraj nad kanałem? – pyta tata.

Kanał – czarna woda, której powierzchnia tworzyła grubą, śliską błonę, dopóki nie przerwałem jej własnym ciałem, a lodowata woda nie zacisnęła się wokół mojej klatki piersiowej.

– Z Abdim? – dodaje tata.

– Przestań – mówi mama.

– Może pamięta.

– Nawet nie jest przytomny.

– To w takim razie po co do niego mówisz i prosisz go, żeby ci uściśnął rękę?

– Bo myślę, że dobrze by było, żebyśmy do niego mówili, ale nie sądzę, że powinniśmy zadawać mu przygnębiające pytania. Tak naprawdę nie wiemy, co się stało.

– To był wypadek. Co niby innego?

– Nie zamierzam o tym teraz rozmawiać. Już ci przed chwilą powiedziałam, że może go to przygnębić.

Mówiła ściszym głosem, ale i tak zdołałem rozpoznać ton, którego używała zawsze, gdy chciała dać tacie do zrozumienia, że wie lepiej od niego. I faktycznie wie lepiej. Tata za rzadko bywa w domu, by rozeznawać się we wszystkich sprawach związanych z moim leczeniem.

Moi rodzice przez chwilę milczą, po czym mama oznajmia, że idzie do toalety. Tata czeka, aż odgłos jej kroków ucichnie, i wtedy znowu zaczyna do mnie mówić.

– Twardziel z ciebie, chłopie, wylizesz się z tego. Porobiliśmy plany, Noah, i je zrealizujemy. To nie skończy się w taki sposób.

Chodzi mu o moją listę z postanowieniami i rzeczami, które chciałbym zrobić przed śmiercią. Przygotowaliśmy ten spis, gdy zjawił się w szpitalu po tym, jak dostałem TE wieści. Przez całą noc leżał obok mnie na łóżku, roztaczając wokół siebie zapach lotnisk i obcych miejsc, i spisaliśmy tę listę krótkim, grubym ołówkiem, który zawsze nosi w kieszeni koszuli. Wspólnymi siłami udało nam się zamknąć ją w trzynastu punktach. Trzynastka nie jest szczęśliwą liczbą, wiem, ale teraz już chyba potraficie zrozumieć, dlaczego szczególnie się tym przejmuję.

„Lista postanowień i planów do zrealizowania przed śmiercią, punkt nr 1: Nikomu nie mówić, że umieram. Nawet Abdiemu”.

– Jesteś tego pewny? – zapytał mnie tata.

– Całkowicie. – Swoje ostatnie kilka miesięcy chciałem spędzić, robiąc rzeczy na własnych zasadach, a tego się nie da, jeśli wszyscy dookoła szlochają albo próbują cię rozśmieszyć.

Tamtej nocy policzki taty pokrywał kilkuniedniowy zarost. Zawsze liczyłem, że w przyszłości będę miał zarost, ale teraz to już nie wchodziło w grę.

Rak to kawał złodzieja, zgodziliśmy się podczas rozmowy tamtej nocy. Od czasu mojej diagnozy odebrał mi tak wiele – rzeczy, które zamierzałem zrobić, przyjaciół, których planowałem poznać, doświadczenia, których nie chciałem przegapić, zwykłe życiowe sprawy – a teraz, gdy postanowił złożyć podpis na moim wyroku śmierci, miał mnie pozbawić także przyszłości.

Mam świadomość ciężaru spoczywającego na mojej dłoni i sądzę, że ktoś ją trzyma. Musi to być tata, bo znowu do mnie mówi, czy raczej

stara się mówić. Nie potrafię dziś wyczuć ich temperatury, ale wiem, że jego ręce zawsze są cieplejsze niż ręce mojej matki.

– Taka szkoda, że nie nauczyliśmy cię porządnie pływać – mówi. Głos mu się łamie.

Przed diagnozą byłem na paru zajęciach z nauki pływania, ale w chwili rozpoczęcia leczenia na stałe instalują ci rurkę w klatce piersiowej. Nazywa się to wkłuciem centralnym. Służy ono lekarzom do tego, żeby mogli podawać ci przez nią toksyczne leki i wysysać z ciebie krew, kiedy tylko mają na to ochotę, nie musząc kłuć cię igłami.

Przypomniała mi się fajna rzecz, którą zrobiła Sasha. Spanikowałem kiedyś z powodu któregoś z podawanych mi leków, bo podsłuchałem, jak jedna z pielęgniarek mówiła, że wypala skórę. Sasha pokazała mi wtedy na swoim telefonie zdjęcie małego fioletowego kwiatka.

– Po pierwsze – powiedziała – ten lek nie może wypalić ci skóry, bo masz wkłucie i będziemy ci go podawać przez nie. Po drugie, przypatrz się dobrze temu kwiatu. Nazywa się barwinek i to z niego zrobiono lek, który podajemy ci w trakcie chemioterapii. Gdy będziesz w domu, rozejrzyj się po swoim ogródku, może uda ci się go znaleźć. Jeśli znajdziesz, złóż mu niewielki ukłon, bo mimo swojego niepozornego wyglądu okaże się ogromnie pomocny w walce z komórkami rakowymi. To obecnie twój sprzymierzeniec.

Sasha Bezkitowa. Tak nazywa ją mój tata, i ma rację. Już gdy byłem mały, podobała mi się jej bezpośredniość.

Tak czy inaczej, bez względu na swoją użyteczność, wkłucie było też okropnie upierdliwe. Nie wolno mi go było zamoczyć. Zajęcia z pływania skończyły się, zanim nauczyłem się bez pomocy i postojów pokonywać więcej niż jedną długość basenu. Żalodne.

Tata zaczyna się powtarzać, i robi to w ten samobiczujący sposób, który doprowadza mamę do szału:

– Powinniśmy byli dopilnować, żebyś nauczył się lepiej pływać.

Gdy zaczyna się nakręcać z tymi wszystkimi „powinniśmy byli”, to znaczy, że zaraz porządnie się posypie, i faktycznie tak się dzieje.

Jedno z urzędzeń zaczyna pisać.

– A niech to szlag. Odłączyłem cię – mówi tata. Robi to non stop. Mama wie, jak ostrożnie, po kocie mu przekradać się wokół mojego łóżka, on jednak co rusz się potyka, zaczepiając o rurki albo wpadając na aparaturę.

Dochodzi mnie metaliczny świst odsuwanych energicznie kółek, na których wiszą zasłony.

– Przepraszam – mówi tata. – To chyba moja wina.

W sali musiała się znaleźć pielęgniarka. Na dziecięcym oddziale intensywnej terapii zawsze zjawiają się bardzo szybko. Jestem pod wrażeniem, choć w sumie ma to chyba sens.

– Nie wydaje mi się, żeby to był pan – odpowiada pielęgniarka. –
Wzywam lekarza.

Ciśnienie się podnosi i rośnie mi w głowie.

– Co się dzieje? – pyta tata.

– Proszę pana, proszę nas przepuścić. – Nowy głos.

– Noah! – krzyczy tata. – Noah!

– Proszę się odsunąć!

– Ładuję. Już!

Czuję na klatce uderzenie jak młotem.

W moim umyśle woda zamyka się wokół mnie i porywa mnie ze sobą. W płucach mam ogień. Nad powierzchnią wody widzę Abdiego. Jego postać jest rozmyta. Ma w sobie równie niewiele materialności co nachodzące na siebie cienie. Jest czymś i jednocześnie niczym.

Przypatruje mi się, jak tonę.

* * *

Wraz z posterunkowym Woodleyem odnajdujemy świadka w jednym z przenośnych baraków na złomowisku. Siedzi w towarzystwie funkcjonariusza w mundurze, który rozgościł się nieco bardziej, niż powinien. Gdy wchodzimy, błyskawicznie zrywa się na nogi; przypomina dzieciaka przyłapanego na gmeraniu w puszcze na biszkopty.

Niewielką przestrzeń wypełnia obrzydliwie gorące powietrze nawiewane przez termowentylator zasilany z gniazdka prawie wyrwanego ze ściany. Biurko, które zajmuje większą część pomieszczenia, pokrywają faktury i formularze zamówień. Na stojaku na płaszcze wisi mnóstwo żółtych kasków i kamizelek odblaskowych, a obok rzędek kluczy na haczykach, psia smycz i kalendarz ze zdjęciami sportowych samochodów.

Świadek nie wygląda tak, jak się tego spodziewałem po równie industrialnej okolicy jak ta. Jest młodą kobietą, na oko przed trzydziestką, atrakcyjną i – pomijając cienie pod oczami, bez wątplenia spowodowane nieprzespaną nocą – zadbaną.

Gdy zostajemy sobie przedstawieni, wstaje, by uścisnąć mi rękę, i robi to w pewny siebie sposób. Pod żakietem ma tylko cienką bluzkę, więc już rozumiem, dlaczego termowentylator jest nastawiony na maksimum. Reszta jej stroju to dżinsowe legginsy i para bardzo wysokich szpilek. Dziękuję jej za to, że zaczekała, by z nami porozmawiać.

– Wyjmowałam rzeczy ze swojego garażu, o, tego tam. – Wskazuje w kierunku kilku niskich budynków położonych za złomowiskiem. –

Było tuż po północy. – Panuje nad sobą; mówi spokojnym głosem.

– Co pani wyjmowała?

– Towar. Prowadzę sklep z bielizną. A zanim zacznie pan, inspektorze, wyciągać pochopne wnioski, dodam: z szykowną bielizną. W Clifton.

Moje mieszkanie znajduje się w jednym z budynków na skraju Clifton, w tej samej okolicy mieszka też chłopak, który niemal utonął, i jego rodzice. Clifton tworzą głównie szerokie, zadrzewione ulice, wzdłuż których stoją wiktoriańskie rezydencje, a za wieloma z nich kryją się eleganckie domy przerobione z dawnych stajni. Obrazu dopełniają bardzo ładne tereny zielone oraz słynny most wiszący, a wszystko to razem sprawia, że nieruchomości w Clifton należą do najdroższych w całym Bristolu. Tamtejsze sklepy są w większości małe, stylowe i drogie. Chyba wiem, który jest jej. Tylko jeden z nich ma na wystawie manekiny ubrane w małe skrawki koronki, na których metkach widnieją wyjątkowo duże ceny.

Świadek, jak gdyby czytała mi w myślach, posyła mi uśmiech, zarazem słodki i porozumiewawczy, a ja muszę się powstrzymać, by odruchowo go nie odwzajemnić. Kątem oka dostrzegam szczerzącego się Woodleya.

– Zawsze wyjmuje pani towar w środku nocy?

– Nie, zazwyczaj nie, ale wczorajszy wieczór spędziłam na mieście i dopiero w drodze powrotnej do domu zauważyłam esemes z informacją, że potrzebujemy więcej towaru.

– Jest pani w stanie opisać, co pani widziała?

– Raczej słyszałam. Gdy ładowałam towar do samochodu, usłyszałam krzyki. W pierwszej chwili nie przejęłam się tym jakoś szczególnie, bo brzmiało to tak, jakby ktoś kogoś wołał, ale później krzyki stały się bardziej gwałtowne.

– Słyszała pani, co krzyczano?

– Nie bardzo, ale brzmiało to jak imię, tak jakby ktoś kogoś nawoływał. Trudno było się zorientować, skąd dochodzą te dźwięki, ale wydawało mi się, że od strony złomowiska.

– Widziała pani cokolwiek z tego, co się działo?

– Z początku nie. Pozamykałam wszystko, bo zaczęłam czuć lekki niepokój, i wsiadłam do samochodu. Kiedy przejeżdżałam obok złomowiska, zobaczyłam nad brzegiem kanału dwie postacie. Wyglądały na dwóch młodych chłopaków.

– Widziała to pani z wnętrza samochodu?

– Byłam za bardzo zdenerwowana, żeby wysiąść. – Jej wzrok prześlizguje się po mojej twarzy, jak gdyby chciała wyczuć, czy skrytykuję ją za to wyznanie. – Coś w nich było takiego.

– Mogłaby pani nieco dokładniej określić, co pani przez to rozumie?

- Mieli w sobie coś groźnego.
- Była pani świadkiem jakiegokolwiek przemocy między nimi?
- Przepychali się.
- Czy to przez to jeden z nich wylądował w wodzie?
- Nie jestem pewna, ale chyba łatwo dodać dwa do dwóch, prawda?

Jeden był dużo większy od drugiego.

- Ale nie widziała pani samego momentu upadku?
- Nie. Wyjmowałam wtedy telefon z torebki, żeby do was zadzwonić.
- A gdy znowu pani na nich spojrzała, co pani zobaczyła?
- Tylko jednego z nich, stojącego nad brzegiem i wpatrującego się

w wodę.

- Próbował pomóc chłopcu, który wpadł do wody?
- Z tego, co widziałam, nie.
- Próbował uciec?
- Nie.
- Groził pani?
- Nie. Nie widział mnie. Miałam wrażenie, że są nachlani.
- Dlaczego pani tak myśli?

Jej oczy strzelają na boki.

– Jeden z nich, wydaje mi się, że ten, który wpadł do wody, trochę się wcześniej kiwał.

- W jaki sposób?
- Tak jakby na boki. O tak.

Wstaje i odgrywa kuriozalną pantomimę pijackiego zataczania się. Woodley i ja uciekamy wzrokiem w bok aż do chwili, gdy świadek z powrotem siada na krześle. Pomieszczenie jest małe, a ona ma apetycznie zaokrągloną figurę.

- Widziała pani, w jaki sposób dostali się na złomowisko?
- Nie. Pewnie wspięli się na płot.

Woodley wtrąca:

– Służby porządkowe musiały przeciąć łańcuch, na który zamknięte było główne wejście, więc faktycznie musieli się wspiąć, chyba że gdzieś w płocie jest dziura.

Mimo że w pomieszczeniu jest gorąco, kobieta ma dreszcze. Wygląda na zmęczoną.

Komórka leżąca na biurku pomiędzy nami zaczyna buczeć i wibrować. Ma błyszczącą obudowę. Kobieta podnosi ją i zerka na ekran. Przez chwilę jej palce zastygają z wahaniem, po czym odrzuca połączenie.

- To mój partner. – Ostrożnie odkłada telefon.
- Musi pani do niego oddzwonić?
- Nie, wszystko w porządku, już rozmawialiśmy. Po prostu się martwi. – Coś w sposobie, w jaki to powiedziała, sprawia, że na chwilę

milknę, wyłącznie po to, by przekonać się, czy jakoś rozwinie tę wypowiedź. Rozwija, zawsze tak jest. Większość ludzi czuje nieodpartą potrzebę, żeby się tłumaczyć.

– Nie chodzi o to, że wydaje mu się, że coś mi grozi. Wiedzą panowie, po prostu chce, żebym wróciła już do domu.

Gdy posyła mi uśmiech, który jest raczej ćwiczeniem w panowaniu nad mięśniami twarzy niż wyrazem emocjonalnego ciepła, na jej zębach zauważam odrobinę szminki.

– Oczywiście – mówię. – To zrozumiałe.

Niezręcznym ruchem obejmuje się ramionami, na moment odsłaniając przy tym kawałek czegoś koronkowego pod rozchylającą się bluzką. Znowu odwracam wzrok. Termowentylator nadal wydymuje gorące powietrze, a my dwaj z Woodleyem ciągniemy za swoje kołnierzyki, by je poluzować.

– To tak tylko dla jasności: nie widziała pani, co się stało dokładnie w chwili, w której jeden z chłopców wpadł do kanału, bo wyjmowała pani telefon z torebki?

– Nie widziałam, ale gdy tylko wybrałam numer, usłyszałam plusk, a kiedy znowu podniosłam wzrok, białego chłopca już nie było. Stał tam tylko czarny chłopak i patrzył na wodę.

– Była pani w stanie rozpoznać kolor skóry chłopców z miejsca, w którym się pani znajdowała?

– Nie, ale widziałam ich później.

– Kiedy później?

– Po tym, jak na miejscu zjawiły się służby porządkowe i wyciągnięto chłopaka z wody. Naprawdę dziwię się, że jeszcze żył. Nie mogę uwierzyć, że ten drugi nie zrobił nic, by mu pomóc. Gdybym do was nie zadzwoniła...

– Postąpiła pani właściwie.

Gdy tylko świadek wychodzi, wyłączam termowentylator i zostawiam otwarte drzwi. Patrzymy z Woodleyem, jak idzie przez złomowisko, żeby dostać się do swojego stojącego za bramą samochodu. Jest nim mały mercedes z najwyższej półki, sportowy i szybki.

– Co o tym wszystkim myślisz? – pyta mnie Woodley.

– Nie widziała samego zdarzenia – odpowiadam.

– Ale za to dobrze wypadłaby w sądzie – stwierdza, gdy obserwujemy, jak kobieta odjeżdża.

Przyznaję mu rację. Jest elokwentna, pewna siebie i dobrze się prezentuje.

– Po co miałyby grzebać w torebce w poszukiwaniu telefonu, skoro jeździ takim wozem? – pytam. – Na pewno ma wszystko połączone przez Bluetooth. Możesz sprawdzić, czy raport ratowników pokrywa się z jej wersją wydarzeń? Chciałbym też usłyszeć nagranie jej rozmowy

z dyspozytorem numeru alarmowego, jeśli tylko możemy do niego dotrzeć.

* * *

Gdy Mahadowie całą czwórką wracają ze szpitala do domu, Abdi o własnych siłach pokonuje schody wiodące do mieszkania, choć Nur z niepokojem idzie tuż za nim. Trwa to wszystko boleśnie długo.

Abdi udaje się prosto do łóżka. Wciąż nie wypowiedział ani jednego słowa.

Sofia, Maryam i Nur – w nadziei, że pomoże to chłopcu wyjść z szoku – postanowili, że najlepiej będzie pozwolić mu się wyspać. Mimo to przez kolejnych kilka godzin Sofia nie potrafi się powstrzymać od sprawdzania, czy wszystko u niego w porządku. Przypomina jej to zachowanie pełnych obaw świeżo upieczonych matek, którym pomaga w szpitalu.

Przez jakiś czas siedzi koło brata i czuwa w ciszy, trzymając podręcznik, na którym nie potrafi się skupić, ale w końcu widok jego nieruchomego ciała zaczyna jej przeszkadzać. Wierci się, a w chwili gdy do pokoju zagląda ojciec, zasłaniając światło, jej głowa gwałtownie podskakuje.

Sofia darzy ojca głęboką miłością i każdy centymetr jego sylwetki zna równie dobrze jak wierzch własnej dłoni. Ostatnimi czasy zauważyła, że nieco się przygarbił, co jest czymś nowym i co napawa ją smutkiem.

– Sofio – szepcze Nur – możesz zadzwonić do Fiony Sadler? Chcielibyśmy zapytać, jak miewa się Noah.

Fiona Sadler to mama Noaha; Sofia za nią nie przepada. Zapytana o powody nie potrafiłaby wskazać żadnych konkretnych uczynków ani słów Fiony, które uzasadniałyby tę niechęć – chodzi raczej o to, że pani Sadler nie wydaje się ciepłą osobą. Zdaniem Sofii jest drażliwa i trudno się z nią rozmawia.

– Myślisz, że powinniśmy to zrobić? – pyta. – Pewnie jest teraz w szpitalu.

To jedynie kiepska próba odsunięcia w czasie rozmowy telefonicznej, Sofia wie bowiem, że skoro rodzice ją proszą, to decyzja już zapadła. Zwracają się do niej, bo to ona zawsze dzwoniła do Sadlerów. Gdy Noah i Abdi byli młodszy, Maryam nigdy nie zatelefonowała w sprawie umówienia chłopców na wspólną zabawę, za słabo bowiem знаła angielski, dlatego też zadanie to spadało na Sofię. Nur wprawdzie mówi po angielsku lepiej, ale nie tak biegle jak jego dzieci.

Ta bariera językowa w ciągu lat dała Sofii i Abdiemu wiele okazji do psot, podobnie zresztą jak dzieciom z innych imigranckich rodzin, które

znają.

Sofia wybiera numer, modląc się w duchu, żeby nikt nie odebrał. Z powodu nieśmiałości rozmowy telefoniczne z zasady są dla niej drogą przez mękę, teraz zaś na dodatek szósty zmysł podpowiada jej, że akurat ten telefon jest kiepskim pomysłem.

Dokładnie w momencie, gdy już zaczęła mieć nadzieję, że lada chwila włączy się poczta głosowa, w słuchawce rozlega się wypowiedziane na wydechu:

– Halo?

– Pani Sadler? Tu Sofia, siostra Abdiego. Bardzo przepraszam, że panią niepokoję, ale chcielibyśmy wiedzieć, jak się miewa Noah.

Ma wrażenie, jakby jej usta wypełniały kawałki cytryny.

Po drugiej stronie słuchawki Fi Sadler wydaje z siebie dźwięk przypominający łapanie tchu, po czym jęczy, przeciągle i cicho, a Sofia czuje, jak ten dźwięk odzywa się echem w głębi niej. Czuje coś przywodzącego na myśl wstyd, zdaje sobie bowiem sprawę, że miała rację. Telefonowanie teraz było do gruntu złą decyzją. Cokolwiek stało się Noahowi, jest z nim bardzo źle.

Odwraca się do rodziców plecami.

– Tak mi przykro... – zaczyna, ale na linii pojawia się inny głos.

– Kto mówi?

– Pan Sadler? Tu Sofia Mahad. Tak mi przykro, po prostu chcieliśmy się dowiedzieć, jak się miewa Noah, ale nie powinnam była dzwonić.

– Sofia – brzmi to jak westchnienie – Fi nie da rady rozmawiać. Przez chwilę było z Noahem niedobrze, ale już jest stabilny. Lekarze wprowadzili go w śpiączkę farmakologiczną, bo pod wodą uderzył się w głowę. To jedyne, co mogę ci powiedzieć.

Czując się, jakby sama tonęła, Sofia zdobywa się jedynie na bardzo oficjalne słowa:

– Chciałabym, żeby pan wiedział, że myślimy o nim i modlimy się za niego i pańską rodzinę.

– Dziękuję – mówi. A zaraz potem, gdy już jej się wydawało, że uda się uniknąć dalszej rozmowy, pyta: – Co z Abdim?

Milczy, myśli Sofia, ale fizycznie najwyraźniej wszystko z nim w porządku. Zważywszy, że sytuacja Noaha przedstawia się tak rozpaczliwie, wypowiedzenie tych słów wydaje jej się nie na miejscu.

– Jest mocno wstrząśnięty. Wrócił już do domu, ale jest w szoku. Właśnie śpi.

– Zastanawialiśmy się... czy Abdi mówił, co się stało? Policjanci powiedzieli nam, że się do nich nie odezwał.

Sofia nie ma pewności, czy lekko oskarżycielski ton pobrzmiewający w tych słowach jest prawdziwy, czy stanowi tylko wytwór jej wyobraźni. Wątpliwości dziewczyny są na tyle silne, że udziela bardzo ostrożnej

odpowiedzi.

– To z powodu szoku. Nie jest w stanie teraz mówić, ale to minie, gdy tylko się obudzi, jestem tego pewna.

Na linii zapada cisza, która zdaniem Sofii trwa odrobinę za długo. Dziewczyna jednak momentalnie karci samą siebie za tę myśl, mówi sobie, że to tylko jej paranoja.

Zaledwie trzy wieczory temu Abdi, stojąc przed telewizorem, przyjął pozę siłacza. „Oto czarny muzułmanin” – powiedział, napinając mięśnie, chodząc w tę i z powrotem, by je zaprezentować, i śmiejąc się z samego siebie. Miał na sobie nowy T-shirt i udawał modela na wybiegu.

Sofia się śmiała – Abdi był bowiem dobry w żartowaniu z samego siebie – ale uśmiech prędko zamarł jej na ustach, gdyż nawiązanie do koloru skóry i religii członków jej rodziny zawsze zwiększa strach, który czuje dniami i nocami. Nigdy nie była w stanie zbagatelizować myśli, że każda z tych cech dla niektórych osób w Wielkiej Brytanii stanowi powód, by ją nienawidzić. Bardzo boleśnie żyje jej się z tą świadomością.

W słuchawce znowu odzywa się Ed Sadler:

– Wiecie może, co chłopcy robili nad kanałem Feeder? Nie jesteśmy w stanie tego pojąć.

– Nie. Nie wiemy.

– Nie potrafimy wymyślić żadnego powodu, dla którego mieliby się tam znaleźć. Jak rozumiem, poszli na złomowisko?

– Też tego nie pojmujemy.

– Myślisz, że kierowali się w stronę waszego domu? Albo do jakiegoś miejsca w waszym sąsiedztwie?

Sofia rozważa ten pomysł, ale Feeder Road nie znajduje się na żadnej z tras, które ona sama wybrałaby, idąc z Clifton do Easton, choć zdaje sobie sprawę, że jej orientacja w terenie nie należy do najlepszych.

– Nie, nie sądzę, przykro mi. Myśleliśmy, że przez całą noc będą u państwa. Abdi na to liczył.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, prędko ich pożałowała – mogły bowiem zabrzmieć jak oskarżenie – ale uwagę Eda Sadlera coś odwróciło.

– Przepraszam, Sofio, muszę kończyć. Przyszedł lekarz.

Nie zdążyła nawet się pożegnać, a połączenie już się urwało.

Gdy się odwraca, widzi na twarzach rodziców taki głód dobrych wieści, że postanawia zbagatelizować sytuację Noaha.

– Jest w stabilnym stanie – mówi tylko.

– To była Fiona Sadler? – Chociaż Maryam nie mogła sama porozumieć się skutecznie z Fioną, zawsze była jej ciekawa.

– Nie, Ed.

Nur wstaje. Jest w takim napięciu, że nie potrafi usiedzieć spokojnie. Po cichu odmawia modlitwę za Noaha, za obydwu chłopców. Dopiero po

chwili słyszy, że Sofia zadaje mu pytanie.

– Gdzie dokładnie jest kanał Feeder?

– Za dworcem Temple Meads.

Nur ma w głowie obraz całego miasta widzianego z lotu ptaka. Jest w stanie wyobrazić sobie linie torów kolejowych wijących się na stacji, skąd w końcu docierają do reszty kraju. Wie, że niedaleko od tych splecionych torów biegną obok siebie prosta jak strzełił droga i prosty jak strzełił odcinek wody – Feeder Road i kanał Feeder.

Nur jest zapalonym czytelnikiem i samoukiem w każdej możliwej dziedzinie, wie zatem, że kanał stanowi część wielkiego wiktoriańskiego projektu inżynierskiego, w którego wyniku powstał bristolski port, a miejska kasa wypełniła się po brzegi. Wie wszystko na temat barwnej kupieckiej przeszłości swojego przybranego miasta, które, ogólnie rzecz biorąc, podziwia, nawet mimo jego mocno zawstydzających fragmentów. Nur podziwia Bristol, wierzy bowiem w możliwości i w to, że ciężka praca przynosi owoce. Wierzy, że ludzie mają w sobie dobro, wierzy też w życie. W nadzieję. To właśnie daje mu siły, by co dzień wstawać rano z łóżka. I właśnie to przywiodło tutaj jego i jego rodzinę aż z dalekiej Somalii.

– Zapytali mnie, czy wiem, co chłopcy tam robili – mówi Sofia.

– Abdi nam powie, jak się obudzi – stwierdza Maryam.

Ścierka do naczyń, którą trzyma w dłoniach, jest cała zmięta.

* * *

Kiedy znowu się budzę, pamiętam, że jestem na intensywnej terapii, ale nie wiem, ile upłynęło czasu. Mówiąc dokładniej, wiem, że fizycznie znajduję się na oddziale intensywnej terapii, czuję się jednak tak, jakbym unosił się gdzieś na wodzie i miał nad sobą wielkie, puste niebo. Tylko głosy moich rodziców od czasu do czasu ściągają mnie w stronę lądu. Większość czasu dryfuję, doświadczając jednocześnie przeszłości i teraźniejszości.

Poznałem Abdiego pierwszego dnia szkoły średniej. Miałem niecałe dwanaście lat.

Wyglądałem tamtego dnia jak wychudzone, szczurowate stworzenie. W czasie leczenia włosy wypadły mi nierównomiernie i zaczęły mi później nierównomiernie odrastać, więc moja głowa przypominała kiepsko ostrzyżoną owcę. Tu i tam miałem parę kędzierzawych łatek albo dziwnych, ułożonych w zaczeskę kosmyków, wszystkie w matowym, pozbawionym życia odcieniu brązu, któremu wcale nie pomagały trupia bladość mojej skóry i przekrwione oczy. Chemioterapia nie zachęca do robienia sobie jednego selfie za drugim.

Przed pójściem do klasy musiałem odsiedzieć spotkanie z dyrektorką, szkolnym koordynatorem kształcenia specjalnego, szpitalnym specjalistą kierującym moją nauką, z Molly i z mamą, podczas którego omawiano plan mojej nauki, mający pomóc mi na nowo wdroyć się w normalny tok edukacji. Był to najnudniejszy dokument na świecie.

W czasie gdy oni wszyscy szczegółowo omawiali każdy punkt i podpunkt, przymknąłem oczy. Kiedy mama mnie za to zganiała, powiedziałem, że oszczędzam siły, by móc jakoś przetrwać resztę dnia. Było w tym trochę prawdy. Miałem wrażenie, że jeśli jeszcze raz usłyszę słowo „specjalny”, dopadnie mnie chroniczne zmęczenie.

– Nie krępuj się – powiedziała mi Molly, gdy w końcu stanęliśmy na korytarzu przed moją nową klasą. Miała zawsze bardzo szczere podejście i najczęściej okruchy herbatników między dolnymi zębami. – Po prostu bądź sobą.

Trochę się bałem, ale nie zamierzałem jej o tym mówić, bo byłem zdeterminowany, żeby w Medes College poznać nowych przyjaciół i dobrze się bawić. Miałem wrażenie, że ludzie będą tu dla mnie mili. Mój tata też kiedyś był uczniem tej szkoły. Nasza rodzina znała co najmniej dwóch członków jej zarządu. Po moim ostatnim nawrocie jeden z nich wysłał mi oprawioną w ramkę fotografię bristolskiej drużyny piłkarskiej. Podpisali ją wszyscy zawodnicy. Nieźle na niej zarobiłem na eBayu.

Kiedy wszedłem do klasy, wszyscy się na mnie gapili i musiałem stanąć na środku i poczekać, aż zostanę przedstawiony.

Wszystkie dzieciaki siedziały w ławkach parami, nie licząc jednego chłopca, który był sam: Abdiego. Usiadłem na wolnym miejscu obok niego.

Gdy mama przyjechała, żeby odebrać mnie ze szkoły, nogi zdążyły mi już zupełnie zdrętwieć. Opierałem się o szkolne ogrodzenie w miejscu, z którego zgodnie z umową miała mnie zabrać. Nie musiała pytać, czy poznałem jakichś kolegów, bo tuż obok mnie stał Abdi, szczerząc zęby w uśmiechu. Kiedy ich sobie przedstawiałem, wysunął przed siebie dłoń, a mama uściśnięła ją i skomplementowała jego plecak.

Gdy wsiedliśmy do samochodu, powiedziała:

– Abdi wydaje się miłym chłopcem.

– Jest bardzo miły.

– A jak z pozostałymi dziećmi?

– Są okej.

– Rozmawiałeś z nimi?

– Trochę. To było bardzo męczące.

Prawda wyglądała tak, że nie zamieniłem słowa z nikim innym, bo skupiłem się na zakolegowaniu z Abdim. Miał poczucie humoru i pokazał mi wszystko, co powinienem wiedzieć. Mało kto się do niego

odzywał, więc głównie siedzieliśmy we dwóch w klasie i spędzaliśmy wspólnie czas na przerwach i w porze lunchu. Nie chciałem jednak, żeby mama się o tym dowiedziała, więc gładko odwróciłem jej uwagę wtrąconym we właściwym momencie komentarzem o nie najwyższym poziomie mojej energii.

– Byłeś taki dzielny, że wytrzymałeś cały dzień. Szczerze mówiąc, spodziewałam się, że zadzwonisz po mnie wcześniej.

Po szkole odpocząłem i wróciłem myślami do wydarzeń dnia. Wieczorem udało mi się usiąść do stołu na kolację. Tata był w domu.

– Za udany dzień – powiedziała mama i uniosła kieliszek wina. Cieszyłem się, widząc, że uśmiecha się nie tylko ustami, ale też oczami. Nie zawsze tak było.

Nie czułem się jakoś szczególnie głodny, ale zjadłem trochę, a resztę makaronu zepchnąłem na brzeg miski, gdzie według moich obliczeń mama nie była w stanie go zobaczyć z miejsca, w którym siedziała.

– Rozmawiałeś z Willem Kellym? – zapytała. – W szkole?

Pokręciłem głową.

– Chodzi do twojej klasy.

Wiedziałem o tym. Zauważyłem go, gdy usiadłem obok Abdiego. Will jest typem chłopaka, jakim prawdopodobnie zdaniem moich rodziców też powinienem być – rugbistą/hokeistą/piłkarzem, o tego rodzaju czystej cerze i pewnej sobie postawie, które można zyskać jedynie dzięki uprawianiu sportu przez całe lato i w każdy weekend. Na przerwie zobaczyłem, że otacza go grupka chłopaków i dziewczyn. Popychali się nawzajem i głośno gadali.

Pomyślałem, żeby do nich dołączyć, ale zamiast tego postanowiłem pójść z Abdim. Potrzebował pomocy w przeniesieniu jakichś książek ze szkolnej biblioteki. Will Kelly może poczekać, aż spotkamy się kiedyś tylko we dwóch, a ja odzyskam nieco sił. Nie chciałem, żeby oceniał mnie na podstawie moich patykowatych kończyn i mojego głosu, który nie miał nawet cienia szansy na dotarcie na drugi koniec stołówki. Byłem pewien, że to mądra decyzja, ale nie sądziłem, żeby mama była w stanie ją zrozumieć.

– Pogadam z Willem Kellym jutro – powiedziałem. – Po prostu nie miałem dzisiaj okazji.

– Kto to jest Will Kelly? – zapytał tata.

– Kojarzysz przecież państwa Kelly, którzy mieszkają przy Chantry Road? – odparła mama, tak jakby chodziło o Boga albo premiera, jakby było to coś zupełnie oczywistego.

– Ach! W porządku. Fajnie. – Widziałem, że tata dalej nie ma pojęcia, o kim mowa.

Cisza. Mama dołała sobie wina.

Tata wysilił się, żeby podtrzymać rozmowę:

– Kiedy ich poznaliśmy?

– Na kursie żeglarskim Noaha. Ostatniego lata.

Mama często pisze historię naszej rodziny na nowo. Tym zdaniem na przykład opisała poranek, podczas którego siedziałem na przystani i patrzyłem, jak moi rówieśnicy uczą się żeglować. Nie pozwolono mi do nich dołączyć z powodu włączenia centralnego.

Mama była tym porankiem zachwycona, bo choć raz miała okazję, żeby ubrać się nieco bardziej elegancko niż zwykle i pić kawę w słońcu w towarzystwie innych mam. Ja w tym czasie pomagałem córce instruktora w porządkowaniu kół ratunkowych.

Tata pokiwał głową.

– Pomyślałam, że moglibyśmy się z nimi umówić, że będziemy na zmianę zawozić chłopców do szkoły – powiedziała mama, jak gdyby to wszystko tłumaczyło.

Żeby zmienić temat, opowiedziałem tacie o Abdim.

– Skąd on jest?

– Nie wiem. Nie przychodzi do szkoły na piechotę. Tata podrzuca go swoją taksówką.

– Chodziło mi o to, skąd jest jego rodzina.

– Nie pamiętam. Ale powiedział, że jak będzie starszy, to może zacznie jeździć do szkoły autobusem.

– Tatusz pyta o to, z jakiego kraju pochodzi jego rodzina. – Mama nigdy nie mówi z pełnymi ustami, więc przed wypowiedzeniem tego zdania pracowicie wszystko przeżuła. Za oknem się ściemniało i zobaczyłem, jak sroka odpędza mniejsze ptaki od karmnika.

– Nie wiem.

– Jak ma na nazwisko?

– Ma dwa nazwiska, ale nie mogę ich sobie przypomnieć.

– To może z Somalii – stwierdził tata. – Zapytaj go, czy są z Somalii.

Mama przewróciła oczami – Somalia była jednym z ulubionych tematów taty. Mimo że słyszeliśmy to już wszystko wcześniej, zaczął nam streszczać historię somalijskich imigrantów w Bristolu:

– Jest ich znacznie więcej, niż myślicie... w ciągu dekad... mocne powiązania między obozami a Bristollem... teraz to już całkiem spora społeczność... pamiętacie ten sklep w Easton, do którego poszliśmy po kiszone cytryny potrzebne do przepisu Nigelli Lawson... większość z nich mieszka tutaj...

Gdy mama nie mogła już dłużej tego znieść, przerwała mu, pytając:

– Ktoś chce deser?

Kiedy poszła wyjąć lody z zamrażarki, tata pochylił się i zjadł resztę mojego makaronu.

– Powinieneś zapytać Abdiego, skąd pochodzi jego rodzina – powiedział. – Ciekawie jest się dowiadywać czegoś o ludziach.

- W porządku.
- Zgadnij, gdzie się wybieram w przyszłym tygodniu.
- Do Timbaktu?
- Ha! Pudło, ale tak bardzo się znów nie pomyliłeś.

Siorbiąc, wciągnął w usta nitkę makaronu i uniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: „Zgaduj dalej!”.

- Nie wiem.
- Do Namibii. Na Wybrzeże Szkieletowe.
- Tam gdzie są te wraki statków?
- Wraki statków, które wystają z piasku jak szkielety. I wydmy, które z lotu ptaka przypominają niewielkie fale, ale z poziomu ziemi są olbrzymie. Schodzą do oceanu jak klify.
- Lecisz tam samolotem?
- Małym samolotem, tak żebyśmy mogli zejść nisko i porobić zdjęcia.
- Nie użyjesz drona?
- Nie. Lubię trzymać aparat i własnymi rękami czuć ujęcie, samemu zobaczyć je przez wizjer. Wiesz wtedy, że robisz coś wyjątkowego, bo masz kontakt z fotografowanym widokiem. Sam jesteś autorem tego zdjęcia.

– Noah! – To była mama, która właśnie wróciła, niosąc lody ciasteczkowe i miseczki. – Jesteś zupełnie blady!

W jednej chwili z powrotem znalazłem się w krainie zmęczenia i panikowania z byle powodu.

Gdy położyłem się w pokoju obok, usłyszałem rozmowę rodziców. Mówienie szeptem nigdy nie było ich mocną stroną.

- Wygląda na to, że dziś dobrze poszło – powiedział tata.
- Tak myślę. Nauczycielka też dała mi to do zrozumienia.
- Rozmawiałyście?
- Mhm.

Zrobiło mi się przez to smutno, bo nie lubiłem, gdy ktoś mnie szpieguje albo na mnie donosi. Chciałem, żeby mama wierzyła mi na słowo.

- To w takim razie dobrze się zaczęło – stwierdził tata.
- Tylko że...
- Co?
- Chciałabym, żeby się wpasował.
- Wiem. Ja też.
- Myślisz, że tamten chłopak to dla Noaha odpowiedni kolega?
- Na pewno.

Powiedziała coś tak cicho, że nie dosłyszałem, a tata odpowiedział jej:

- Serio, nie rób tego.
- Czego mam nie robić?
- Nie obracaj dobrych wieści w złe. Dzień mu się udał. Poznał kolegę.

Nie powinniśmy się cieszyć?

Rozległ się brzęk sztućców i naczyń, a po chwili mama powiedziała:

– Przepraszam.

– Nie zamykaj się przede mną, Fi.

– To nic takiego. Cieszę się. Nie mogę uwierzyć, że w ogóle udało mi się wrócić do szkoły.

– Zakolegował się z kimś już pierwszego dnia. To musi być dobry znak. Uwielbiałem Medes College, jemu na pewno też się tam spodoba.

– Chciałabym po prostu, żeby mu się ułożyło.

– Ułoży się. Obiecuję, że tak będzie.

Zakryłem sobie głowę poduszką. Stłumiwszy tym dźwięki, wyobraziłem sobie, jak siedząc w małym samolocie, wysoko nad Wybrzeżem Szkieletowym, lecę w stronę słońca, dopóki nie zbliżę się do niego tak bardzo, że nie będę widział zupełnie niczego.

Kiedy następnego dnia przyszedłem do szkoły, Abdi rozmawiał z innym chłopcem, ale klepnąłem go w ramię i zapytałem, czy pomógłby mi w znalezieniu pokoju nauczycielskiego matematyków. Mogłem oczywiście poszukać go na własną rękę, ale chciałem, żeby Abdi mi towarzyszył.

Po drodze opowiedziałem mu ze szczegółami o podróży mojego taty do Namibii i o wydmach, które wznoszą się ku niebu jak klify. Mówiłem tak dużo, że zabrakło mi tchu i Abdi poprowadził mnie w stronę ławki, żebyśmy mogli usiąść i odpocząć przez kilka minut. Ławka znajdowała się w wykładanym marmurem korytarzu, więc pokazałem Abdiemu miejsce, gdzie złotymi literami na wielkiej drewnianej tablicy wypisano imię i nazwisko mojego taty, dawnego kapitana jednego z domów.

Było fajnie.

„Lista postanowień i planów do zrealizowania przed śmiercią, punkt nr 2: Polecieć na Wybrzeże Szkieletowe (nie ma na to zbyt wielkich szans, wiem)”.

* * *

Oprócz zapisu rozmowy z numerem alarmowym proszę też o nagrania z miejskich kamer rozsianych po centrum, wzdłuż wszelkich dróg, jakimi chłopcy mogliby się dostać z Clifton nad kanał Feeder. Potrzebuję nagrań ze złomowiska i otaczających je terenów, ale o to trzeba będzie się zwrócić do lokalnych przedsiębiorstw, które mogą dysponować kamerami przemysłowymi na własny użytek, więc proszę Woodleya, żeby się tym zajął.

Bierzemy z Woodleyem jeden ze służbowych samochodów i wybieramy się na krótką przejażdżkę do Easton. Woodley zgadza się

trzymać z boku podczas rozmowy. Chcę, żeby się przyglądał, podczas gdy ja będę zadawał pytania. Niektórzy członkowie społeczności somalijskiej mają opinię osób zamkniętych w sobie. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale wolałbym unikać zachowania, którym w jakikolwiek sposób moglibyśmy zrazić do siebie tę rodzinę.

Mahadowie mieszkają na osiedlu wciśniętym między Stapleton Road i autostradę. Nie jest to najbrzydsze osiedle w okolicy, nie ma też najgorszej reputacji, ale na moje oko to ten typ miejsca, z którego próbowaliby się wyrwać każdy, kto ma choć cień ambicji.

Pośrodku osiedla, między budynkami, znajduje się splachetek trawy, obok którego się zatrzymuję. Sprawia wrażenie brudnego i zaniedbanego, nie sądzę też, by stojąca na nim huśtawka była w stanie przejść kontrolę bezpieczeństwa, nawet jeśli dałoby się komuś łapówkę.

Nie dostaliśmy żadnych szczegółowych informacji o rodzinie Mahadów, więc gdy zbliżamy się do budynku, nie jestem pewien, czego mogę się spodziewać. W rzędku przycisków domofonu, które są popsute albo oznaczone samym numerem, Mahadowie jako jedyni mają obok dzwonka schludną kartkę ze swoim nazwiskiem, starannie wypisanym długopisem.

Wewnątrz budynku nie ma windy, a klatka schodowa jest kiepsko oświetlona, choć nie na tyle, żeby nie było widać obłazącej ze ścian farby. Mieszkanie Mahadów znajduje się na trzecim piętrze. Gdy do niego docieramy, uściskiem dłoni wita nas wysoki mężczyzna w okrągłych okularach w złotych oprawkach. Ma białą koszulę i szare spodnie, a na jego twarzy maluje się wyraz głębokiego zatroskania.

– Nur Mahad – mówi. My też się przedstawiamy.

W środku na jednym końcu kanapy w kształcie litery „L” siedzą dwie kobiety, obie w hidżabach. Chusta na głowie młodszej ma głęboki ciemnoczerwony kolor i stylowo opada na miękki sweter barwy owsianki. Poza tym dziewczyna ma też ciemne, obcisłe dżinsy i złotą bransoletkę, którą obraca sobie wokół nadgarstka. Jest nieco pulchna, a zarazem uderzająco ładna.

Ubiór jej matki jest znacznie bardziej konserwatywny – czarna chusta i długa, ciemnobrązowa suknia, sięgająca aż do stóp. Na suknię też ma narzucony sweter, bladoniebieski, ale mimo to można odnieść wrażenie, że jest jej zimno. Na twarzy nie sposób znaleźć nawet odrobiny nadmiaru ciała. Jej policzki są niemal zapadnięte.

Kiwam głową w kierunku kobiet, pamiętając, że jeżeli rodzina jest bardzo religijna, podanie ręki niekoniecznie będzie właściwe.

– Moja żona, moja córka – odzywa się Nur Mahad. – Maryam i Sofia. – Mężczyzna mówi z mocnym akcentem.

– A czy jest Abdi? – pytam. – Chciałbym z nim zamienić kilka słów, jeśli to możliwe.

Po pięciu krokach stajemy w drzwiach sypialni wyposażonej w pojedyncze łóżko i skromnych rozmiarów biurko. Zasłony na niewielkim oknie są zaciągnięte. Abdi leży plecami do nas, prawie całkowicie przykryty kołdrą.

– Abdi! – mówi jego ojciec. – Pan inspektor przyszedł z tobą porozmawiać!

Odsuwa zasłony i położywszy synowi dłoń na ramieniu, delikatnie nim potrząsa. Do pomieszczenia przesącza się szarawe światło, ale nie ma go zbyt wiele, okno wychodzi bowiem na znajdującą się naprzeciwko ścianę. Potrząsane ciało Abdiego się porusza, momentalnie jednak zamiera, gdy ojciec daje chłopcu spokój. Na tyle, na ile jestem w stanie to ocenić, Abdi wygląda na znacznie wyższego od Noaha Sadlera. Jest szczupły, ma długie ręce i nogi – charakterystyczna sylwetka dojrzewającego chłopca, który gwałtownie rośnie. Włosy ma schludne i krótko ostrzyżone. Wygląda jak typowy uczeń.

Nur Mahad wzrusza ramionami.

– Przykro mi – mówi. – Jest w takim stanie, odkąd wrócił do domu. Nie wiemy, co mamy robić.

Podchodzi, by znowu potrząsnąć chłopcem.

– Proszę pana – odzywam się. – Nic nie szkodzi. Mogę sam z nim porozmawiać?

Mężczyzna się odsuwa, a ja kucam przy łóżku, zachowując jednak odpowiedni dystans. Jeśli dzieciak cierpi, nie chcę zostać oskarżony o nękanie.

– Abdi – mówię do jego potylicy. – Jestem inspektor Jim Clemo. – Mam wrażenie, że rytm unoszenia się i opadania jego ramion nieco przyspiesza. Chłopak mnie słucha. – Prowadzę śledztwo w sprawie wczorajszych wydarzeń nad kanałem. Czujesz się na siłach, żeby porozmawiać ze mną o tym, co się stało?

Bez zmian. Intuicja podpowiada mi, że to nie jest zgrywa. Boi się. Albo zobaczył, albo zrobił coś, co przeraziło go na tyle, że zamilkł. Robi się ciekawie.

– Wcale nie wpadłeś w tarapaty, chłopcze – mówię, choć nie mam co do tego stuprocentowej pewności. – Przyszedłem, żeby cię wysłuchać.

Nic. Rozważam, jakie mam wyjścia, i decyduję się na to, które, realistycznie patrząc, jako jedyne jest dostępne.

– Abdi, zostawię tu swoją wizytówkę. – Wyjmuję jedną z portfela. W pokoju nie ma stolika nocnego, więc przypinam ją w rogu wiszącej nad łóżkiem tablicy korkowej. Całą tablicę pokrywają szkolne dyplomy i wyróżnienia. Jest też na niej zdjęcie przedstawiające dwóch chłopców – dwunasto-, trzynastoletnich, jak sądzę – którzy obejmują się nawzajem za szyje i trzymają pomiędzy sobą statuetkę. Ma kształt bierki szachowej.

Podpis głosi: „Nagroda w mistrzostwach hrabstwa wędruje do Abdiego i Noaha!”.

Świątujący zwycięstwo szczęśliwy, uśmiechnięty chłopak z fotografii nie mógłby się już bardziej różnić od tego bezwładnego ciała, które mam przed sobą.

– Możesz się ze mną skontaktować w każdej chwili, Abdi. Naprawdę chciałbym od ciebie usłyszeć, co stało się zeszłej nocy.

Staram się, żeby ton mojego głosu był jednostajny i żeby nie pobrzmiwała w nim groźba. To jedyne, co mogę w tej chwili zrobić. Gdybym wymusił przesłuchanie – nawet jeśli byłoby to możliwe – ryzykowałbym, że wszystko, co chłopiec by mi powiedział, zostałyby później odrzucone w sądzie, jeżeli stwierdzono by, że nie był w wystarczająco dobrym stanie, aby ze mną rozmawiać.

Zastanawiam się, co na ten temat miałyby do powiedzenia mój tata, i myślę, że chcąc zmusić chłopaka do mówienia, wysłałby paru posterunkowych, żeby podnieśli go z łóżka i odstawili na komisariat.

Gdy odwracam się, by wyjść z pokoju, kobiety znikają spod drzwi, mimo to nieustannie jestem świadomy ich spojrzeń, nawet w chwili, gdy zajmuję miejsce na kanapie w salonie. Woodley siedział tutaj cicho przez cały czas. Jest w tym dobry. Milczące podpieranie ścian to dla śledczego ważna umiejętność. Dzięki niej ludzie dookoła przestają się mieć na baczności i można się sporo dowiedzieć.

Rozglądam się po pomieszczeniu, ogarniając je wzrokiem po raz pierwszy. W oknie wiszą firanki ze złotą lamówką. Na regaliku w rogu salonu stoi miska z pomarańczami i leży kilka książek. Matka chłopca przynosi tacę z herbatą i stawia ją na szklanym stoliku kawowym. Z filiżanek unosi się aromatyczna para.

– Rzecz jasna, będziemy musieli porozmawiać z samym Abdim, gdy już poczuje się lepiej – mówię – ale na razie, jeśli nie mają państwo nic przeciwko temu, chciałbym zapytać o kilka szczegółów.

Nur Mahad kiwnięciem głowy wyraża zgodę. Zajął na sofie miejsce prostopadle do mnie. Nachyla się do przodu, a jego kolana niemal dotykają moich. Jego mowa ciała wprost woła, że chce się przypodobać. To nie jest nerwowe lub obojętne zachowanie rodzica kryjącego nastoletniego awanturnika.

– Ile lat ma Abdi?

– Piętnaście.

– Do której szkoły chodzi?

– Do Medes College. Zdobył pełne stypendium.

Medes College to droga szkoła prywatna z najwyższej półki, znajdująca się w centrum miasta. Jestem pod wrażeniem.

– Czy często zdarza mu się wychodzić późną nocą ze znajomymi?

– Nie! Nie, w żadnym razie. – To bardzo żywiołowe zaprzeczenie. –

Myśleliśmy, że został na noc u Noaha. Abdi nigdy, przenigdy nie miał problemów z policją, ze szkołą, z nikim. To bardzo grzeczny chłopiec. Zawsze ma najwyższe oceny, wygrał mistrzostwa szachowe, gra w drużynie badmintona.

– Czyli to do niego niepodobne?

– Bardzo niepodobne.

Jego córka obserwuje mnie uważnie, za to żona wydaje się bardziej nieobecna. Okazuje wyjątkowo niewiele emocji i jak dotąd nie udało mi się nawiązać z nią żadnego kontaktu poza przelotną wymianą spojrzeń. Kolejne pytanie kieruję do wszystkich.

– To ważne, żeby udało nam się uzyskać tak szczegółowy obraz Abdiego, jak to możliwe. Czy mogą mi państwo powiedzieć, co zazwyczaj robi w ciągu dnia? Z kim spędza czas, dokąd chodzi?

Nur wygląda tak, jakby chciał odpowiedzieć, ale wie, że powinien zdać się na pozostałych członków rodziny. Na komendzie powiedziano mi, że pracuje jako taksówkarz, więc przypuszczam, że przez większość czasu nie ma go w domu.

Odpowiada Sofia. Jej głos brzmi cienko.

– Abdi jeździ do szkoły autobusem. Wychodzi o wpół do ósmej rano i wraca do domu około siedemnastej, chyba że ma akurat zajęcia pozalekcyjne, turniej szachowy albo mecz badmintona. W takie dni przychodzi później. Noah jest jego najlepszym przyjacielem. To jedyny znajomy, którego Abdi odwiedza w domu.

– Mogłabyś mi powiedzieć coś więcej na temat ich przyjaźni?

– Jest udana. Są sobie bardzo bliscy. Zaprzyjaźnili się od razu, kiedy tylko Noah zaczął szkołę. Dobrze to Abdiemu zrobiło. Wcześniej kolegował się z jednym chłopakiem albo dwoma, ale nie miał najlepszego przyjaciela.

– Pokłócili się kiedykolwiek?

– Nie sędzę. Abdi nigdy o czymś takim nie wspominał.

– Żadnych pomniejszych sprzeczek? Zwłaszcza ostatnimi czasy?

– Ja w każdym razie o żadnych nie wiem.

– Jak opisałabyś tę przyjaźń?

– Szczęśliwa, z dość widoczną rywalizacją na punkcie szkoły i tego typu rzeczy. Trochę kujonowska. Chłopcy nigdy nie zrobiliby sobie nawzajem krzywdy. Abdi nie jest taki. To naprawdę dobry chłopak.

Ojciec skinieniem głowy przyznaje tym słowom rację, a matka kładzie dziewczynie dłoń na ramieniu i mówi jej coś po somalijsku.

– Przetłumaczę jej pana pytanie – mówi Sofia, po czym we dwie, błyskawicznie wyrzucając z siebie słowa, odbywają rozmowę w somalijskim i dopiero gdy kończą, znowu kierują wzrok w moją stronę.

– Czy twoja matka miała coś do dodania?

– Mówi, że chłopcy byli dla siebie dobrzy. Zachęcali się nawzajem do nauki.

Nie podoba mi się, że nie jestem w stanie zrozumieć ich słów. Moja praca polega na słuchaniu ludzi i jednoczesnym obserwowaniu ich mowy ciała. Właśnie w ten sposób można często wyłapać pęknięcia w opowieściach. Teraz jednak niewiele mogę pod tym względem działać, więc drążę dalej.

– Czy chłopcy wpadli kiedykolwiek w tarapaty?

– Nie. Abdi lubił szkołę. Chciał robić dobre wrażenie.

Brzmi to coraz bardziej obronnie, więc przełykam swoje kolejne pytanie i daję nam wszystkim chwilę wytchnienia. Ciszę przerywa Nur Mahad:

– Abdi czasami zajmuje się z matką wolontariatem w Centrum Powitalnym.

– Nie znam tego miejsca.

– To ośrodek dla uchodźców, do którego może wpaść każdy Somalijczyk. Tylko pięć minut drogi stąd. Maryam jest tam wolontariuszką, pomaga gotować. Uchodźcy pięć dni w tygodniu mogą tam dostać ciepły posiłek.

– Jak często Abdi bywa w tym miejscu?

– Czasami idzie tam wieczorami po szkole, zależy, ile ma zadań domowych.

– A czym się tam zajmuje?

– Wszystkim, do czego go potrzebują: tłumaczy, kroci warzywa, gra w ping-ponga z innymi chłopakami, myje naczynia. O cokolwiek go poproszą. Dobrze sobie radzi z pracą.

Przeglądam swoje notatki. Jak na razie mam wystarczająco dużo punktów zaczepienia, a niczego nowego się nie dowiaduję. Postanawiam wyjść i zająć się pozostałymi przesłuchaniami.

– Bardzo mi państwo pomogli. Dziękuję. Proszę skontaktować się ze mną niezwłocznie, gdy tylko Abdi poczuje się lepiej i będzie gotowy, by z nami porozmawiać, lub gdy przyjdzie państwu do głowy coś, o czym powinienem wiedzieć.

Na stoliku kawowym zostawiam kolejną wizytówkę.

Gdy siedzimy już w samochodzie, Woodley pyta:

– Co sądzisz?

– Jeśli ten chłopak ma coś za uszami, to wydaje mi się, że dla jego rodziny będzie to nowością.

– Ja w jego wieku wyprawiałem najróżniejsze rzeczy, a moja mama i tata nie mieli o tym bladego pojęcia.

Słuszna uwaga. Nie byłby to pierwszy przypadek nastolatka wiodącego sekretne życie. Chociaż w domu, w którym sam dorastałem, wyglądało to inaczej. Jeśli twój tata sprawuje władzę pięścią, porządnie

się zastanowisz, nim zrobisz coś niewłaściwego. A przynajmniej w moim przypadku tak to wyglądało. Moja siostra była odważniejsza – albo głupsza; zależy, jak na to spojrzeć.

– A ten obrazeczek „najlepszych przyjaciół” zupełnie nie pasuje do tego, co powiedział nam świadek.

– Mam przeczucie, że chłopak się wystraszył.

Kiedy jedziemy z powrotem na komendę, w pewnym momencie Woodley ni z tego, ni z owego wybucha śmiechem, jakby właśnie coś mu się przypomniało:

– Jak sam byłem w wieku tego chłopaka, odstawiłem parę porządnym numerów.

– Może się podzieliś?

– O nie. Ale doceniam próbę, szefie.

W czasie jazdy myślę sobie, że jeśli czegoś jestem pewien, to tego, że na kolejną wizytę u rodziny wezmę ze sobą tłumacza. Zaczynam też mieć przeczucie, że nie uda nam się zamknąć tej sprawy ani gładko, ani schludnie, ani nawet szybko.

Chcę się dowiedzieć, co tak diabelnie wystraszyło tego chłopaka.

* * *

Po wyjściu śledczych Sofię dopada silne pragnienie, by wyrwać się z mieszkania. Kocha swoją rodzinę i swój dom, ale bywają chwile, gdy ogarnia ją poczucie klaustrofobii i ma wrażenie, że musi się od nich oddalić, tak by nie być już dłużej córką i siostrą, tylko po prostu samą sobą. To najlepszy sposób na uporządkowanie myśli, jaki zna.

– Idę do biblioteki – mówi. Nikt nie zamierza się sprzeciwiać, bowiem edukacja jest w tym domu na pierwszym miejscu. – Tato, zadzwoń do mnie, jeśli będą jakieś wieści.

Wychodzi i idzie ulicą przed siebie, dopóki nie zyskuje jasności umysłu.

Dręczą ją wyrzuty sumienia, że zostawiła Abdiego, chociaż jest przekonana, że rodzice będą się o niego troszczyć. Sama nie wie, co ma myśleć o śledczych. Inspektor Clemo był całkiem miły, ale Sofia nie jest w stanie oprzeć się częstej wśród członków jej społeczności obawie, że policja będzie ich osądzać i podejrzewać na podstawie tego, że są Somalijszymi. Jeśli posłuchać na uczelni rozmów chłopaków, można odnieść wrażenie, że w ich okolicy biali studenci nigdy nie są zatrzymywani ani przeszukiwani przez funkcjonariuszy, za to chłopcom z Somalii przydarza się to często. Mają poczucie, że są bezradni i znajdują się na celowniku, czasami budzi to też ich gniew.

W Sofii coraz bardziej narasta obawa, że jeżeli Abdi nie zacznie

mówić – a niewykluczone, że nawet jeśli zacznie – może paść ofiarą dyskryminacji. Zastanawia się, co mogłaby dla niego zrobić, i przychodzi jej do głowy, że może dobrym pomysłem byłoby odwiedzić Sadlerów i odebrać rzeczy brata, tak by mógł je mieć pod ręką, gdy już poczuje się lepiej. Ta myśl daje jej nieco energii i upragnione poczucie celu.

Po podróży dwoma autobusami jest już w Clifton Village, idzie ulicą Noaha i zastanawia się, kiedy była tu po raz ostatni. Wie, że Sadlerowie najprawdopodobniej będą teraz w szpitalu, ale ma nadzieję zastać w domu ich gosposię. Gdy naciska dzwonek, drzwi otwierają się niemal natychmiast. Alvard, gosposia, wygląda dokładnie tak, jak zapamiętała ją Sofia – to niska, sprawiająca wrażenie zaniepokojonej kobieta o krótkich, ciemnych włosach, bystrych, ciemnych oczach i głęboko pobrużdżonym czole. Widząc ją, Sofia za każdym razem przypomina sobie, jak pewnego razu Alvard wcisnęła jej w dłonie serwetkę pełną ciepłych ciastek i powiedziała, że z całej Armenii najbardziej tęskni za sadem brzoskwiniowym swojej matki.

– Nikogo nie ma – mówi teraz Alvard. – Są w szpitalu. Powiedzieli, że mogę wrócić do siebie, ale chciałam najpierw posprzątać.

– Mogę zabrać rzeczy Abdiego?

Alvard prowadzi ją przez hol i pyta:

– Jak się ma Abdi? Wszystko z nim w porządku?

Sofia czuje, że zaczyna tracić opanowanie, które tak starała się utrzymać.

– Nie, nie bardzo – mówi obejmowana przez Alvard. Sofia nienawidzi płakać. Kiedy w pracy widzi płaczące po porodzie matki, wydaje jej się to czymś pięknym i właściwym, jednak gdy sama zaczyna wylewać łzy, czuje się brzydka i słaba.

Alvard przytula ją w przegrzanym holu domu Sadlerów. Odzyskawszy kontrolę nad emocjami, Sofia wsłuchuje się w głębokie, powolne tykanie zabytkowego zegara i myśli, jak smutno brzmi ten dźwięk.

– Weźmiemy rzeczy Abdiego – mówi Alvard. – Chodź.

Gdy Alvard jest już na schodach, Sofia odruchowo zatrzymuje się tuż przed nimi, nigdy bowiem nie wyszła w tym domu poza hol. To właśnie w holu czekała na Abdiego w dni, kiedy przychodził się tutaj bawić. Poganiała go wtedy w myślach, bo albo tata czekał na nich na zewnątrz w taksówce, albo musieli zdążyć na autobus. Fiona Sadler przystawała wtedy u stóp schodów i wołała ku górze, po czym posyłała Sofii słaby uśmiech; żadna z nich nie wiedziała, co powiedzieć.

– Chodź! – mówi Alvard, stojąca już na szczycie schodów, i Sofia zaczyna się po nich wspinać, po raz pierwszy w życiu kładąc dłoń na tej wytwornej poręczy i czując opuszkami palców jej masywną, wypolerowaną powierzchnię.

Pokój Noaha, znajdujący się na samej górze, robi na Sofii wrażenie. To wielka przestrzeń zalana światłem płynącym z dwóch okien dachowych i jednego zwykłego, z którego widać Clifton i dalej Leigh Woods. Noah ma dla siebie podwójne łóżko, pod ścianami stoją półki z książkami i pamiątkami, jest tu także telewizor i imponujący zestaw sprzętu do gier komputerowych. Tego rodzaju dziecięce pokoje Sofia widywała dotąd jedynie na filmach.

Kiedy Alvard rusza w stronę rozkładanego pojedynczego łóżka, Sofia rozpoznaje stojącą przy nim na podłodze torbę Abdiego, półotwartą, wyglądającą tak, jakby Abdi po prostu cisnął ją niedbale, co było zresztą typowe dla niego. Jego piżama leży rzucona na łóżku.

Podczas gdy Sofia pakuje torbę Abdiego, Alvard przegląda rzeczy stojące na biurku Noaha.

– Coś z tego tutaj może należeć do Abdiego.

W pewnej chwili uwagę Sofii odwraca mnóstwo przyborów medycznych, widocznych za uchylonymi drzwiami szafki. Jest tam pojemnik na zużyte igły, są paczki strzykawek, opatrunki, płyny do dezynfekcji, rękawiczki i butla z tlenem. Sofia styka się z tymi rzeczami na co dzień, podczas swoich szpitalnych praktyk, ale widząc je wciśnięte w kącie tej idealnej sypialni, przypomina sobie, wokół czego toczy się życie Noaha, a mianowicie to, że chłopak często był bliski śmierci. Sofia mimowolnie się zastanawia, czy kiedykolwiek znajdował się jej tak blisko jak dziś, i na myśl o tym przechodzą ją dreszcze.

– Sofia? – odzywa się Alvard.

Dziewczyna przeprosza. Ma nadzieję, że przez to tak oczywiste gapienie się nie wydała się sentymentalna.

Alvard podaje jej iPada.

– To nie należy do Abdiego – mówi Sofia.

– Nie wydaje mi się, żeby to było Noaha.

– Ach.

Sofia bierze od niej iPada i odwraca go. Z tyłu znajduje się naklejka szkoły. Abdi musiał to pożyczyć. Sofia wkłada urządzenie do torby.

– Sprawdźmy jeszcze na dole – mówi Alvard, a gdy schodzą, Sofia drecze tuż za nią. Wie, że Alvard nie wpuściłaby jej, gdyby to nie było w porządku, ale i tak nie potrafi pozbyć się wrażenia, że myszkuje za plecami Sadlerów. Modli się, żeby niespodziewanie nie pojawili się w domu.

Gdy są już na pierwszym piętrze, Alvard otwiera drzwi pokoju, który jest przestronny, ale przytulny, i prowadzi Sofię do środka. Zdecydowanie jest to pokój mężczyzny. Wewnątrz stoi podniszczona skórzana kanapa, przed nią leży porzucona para butów do biegania, jest też wielki telewizor, a w wiszącej na ścianie gablotce kij do krykieta z autografem. Naprzeciw okna stoi wielkie, nowoczesne biurko. Całość

bardzo się różni od stylistyki à la pałac Buckingham, w której utrzymany jest hol i pozostałe pomieszczenia, na które Sofia rzuciła okiem przez drzwi.

– Warto się tutaj rozejrzeć – mówi Alvard. – Noah lubi tu przychodzić i korzystać z biurka taty.

– Nie trzeba. – Teraz już Sofia desperacko chce stąd wyjść. To pomieszczenie jeszcze bardziej niż pokój Noaha przypomina sanktuarium.

I właśnie w chwili, gdy odwraca się do wyjścia, dostrzega folder. Nigdy nie zwróciłaby na niego uwagi, gdyby go tak wyraźnie nie oznaczono. W oczy rzuca jej się słowo „Hartiszejk”. Podchodzi bliżej, by mu się przyjrzeć.

Alvard wygląda poduszki na kanapie – wyglądają tak, jakby ktoś na nich spał – więc Sofia korzysta z okazji, żeby szybko zajrzeć do folderu. W środku znajduje się oficjalny raport, zatytułowany „Warunki życia w obozie Hartiszejk”. Jest też odcinek biletu lotniczego do Addis Abeby i kilka innych dokumentów – wśród nich mapa, odręcznie narysowana na liniowanej kartce A4, pozaginana na rogach i ze śladami po złożeniu na czworo.

Jednym palcem Sofia ostrożnie wysuwa mapę z folderu, żeby móc zobaczyć ją w całości. Przedstawia obóz dla uchodźców, w którym jej rodzina mieszkała przed przeprowadzką do Anglii. Ktokolwiek nakreślił tę mapę, zrobił to szybko i szkicowo, ale oznaczył wszystkie obszary. Sofia sunie palcem po mapie wzdłuż głównych dróg. Jej wspomnienie obozu nie jest idealne, była w nim bowiem jako mała dziewczynka, ale przypomina sobie szpital, budynki UNHCR, gdzie rozdawano jedzenie i wodę, targ, cmentarz oraz rejon, w którym mieszkała jej rodzina.

Wszystko to – i jeszcze więcej – znalazło się na mapie. Uchwycono na niej wiele szczegółów. Sofia jest nią tak pochłonięta, że aż podskakuje, gdy Alvard staje obok niej i mówi:

– Pan Sadler jeździ do różnych trudnych miejsc. Ma ciężką pracę.

– Tak – zgadza się Sofia. Nie jest w stanie oderwać wzroku. Urodziła się w tym miejscu. Reaguje całym ciałem. Marszczy nos, gdy przywołuje w pamięci zapach tamtej okolicy. Wyobraża sobie ogromne niebo i przechodzą ją ciarki, gdy czuje na skórze gorące słońce oraz chłostanie owego bezlitosnego wiatru, który wiał przez pustynię i dzień w dzień rwał na strzępy brezent pokrywający ich schronienie.

Już wcześniej dowiedziała się od Abdiego, że Ed Sadler spędził trochę czasu w obozie, ale nie poświęciła tej informacji zbyt wiele uwagi. Bo niby dlaczego miałyby to robić? Nie miała żadnych nostalgicznych wspomnień o tym, czego jej rodzina tam doświadczyła. Przeciwnie, rozmawiając o tym z Edem, Sofia czułaby raczej wstyd. Wyrzuciła z pamięci jego związek z tym miejscem i nie pozwalała, aby wrócił

nawet wtedy, gdy jej rodzice zadręczali się, czy powinni pozwolić Abdiemu na wzięcie udziału w wernisażu ojca Noaha.

Zobaczyć na własne oczy dowody bytności Eda Sadlera w obozie – jakkolwiek odległej w czasie – to jednak co innego. Związek łączący ich rodziny staje się przez to o wiele bardziej rzeczywisty i Sofia po raz pierwszy czuje ten sam głęboki niepokój co jej rodzice. Odrywa się od mapy, nie chcąc, by Alvard pomyślała, że przeciąga wizytę i myszkuje, gdzie nie powinna.

Na dole Alvard żegna się z nią wylewnie i ściska jej rękę obiema dłońmi.

– Modłę się za obu chłopców – mówi.

Oddalając się od domu Sadlerów, Sofia poprawia swój hidżab tak, by bardziej niż zwykle zakrywał twarz, po części ze względu na to, że zrobiło się bardzo chłodno, a po części dlatego, że nie chce, by ktokolwiek widział malujący się na jej twarzy smutek. Zaczyna żałować tej decyzji już po kilku minutach, gdy w autobusie jakaś kobieta cmoka na jej widok z dezaprobatą i przesuwa się na siedzeniu, żeby zwiększyć dzielący je dystans.

Sofia ma ochotę odwzajemnić pełne przygany cmoknięcie, kierując wzrok na krzyżyk wiszący na szyi tamtej kobiety – po prostu, żeby się jej zrewanżować – ale tego nie robi. Wie, że nie działa to w ten sposób, poza tym takie zachowanie nie leży w jej naturze. Siedzi więc tylko nieruchomo, z torbą Abdiego przy stopach, i czuje jednocześnie obawę i złość. Na następnym przystanku przesiada się do tyłu.

* * *

W podstawówce miałem przyjaciela o imieniu Matthew. Odwiedził mnie w szpitalu tuż po mojej diagnozie. Leżałem w głównej części oddziału, w sali, gdzie oprócz mojego były jeszcze trzy inne łóżka.

– Trochę to przypomina piknik, prawda? – zapytała moja mama, gdy przepakowaliśmy rzeczy do niewielkiej szafki przy łóżku. Doktor powiedział, że będziemy musieli zostać na co najmniej cztery dni. Lekarze zamierzali mnie operować, żeby zrobić mi wkłucie centralne, i przeprowadzić kilka dodatkowych badań, tak by mogli odpowiednio dobrać dla mnie lekarstwa. Była to moja pierwsza operacja i pierwszy pobyt w szpitalu.

W łóżku naprzeciwko większa ode mnie dziewczynka siedziała z różowymi słuchawkami na uszach i oglądała film na przenośnym odtwarzaczu DVD. Jej ramiona były cienkie jak patyczki, a do nosa biegła rurka. Jej mama siedziała na krześle obok. Na kolanach trzymała otwartą książkę, ale oczy miała zamknięte.

Na łóżku stojącym obok mojego leżał chłopak trochę młodszy ode mnie i z łysą głową, który przeglądał album pełen naklejek z Pokemonami. Był sam. Wstał z łóżka i wbił we mnie wzrok.

– Mój tata chce sobie kupić motor – powiedział. Miał solidną bliznę biegnącą przez cały wierzch głowy, a jedna z powiek mu opadała.

– To miło – odparła mama.

– Mam pięć lat – oznajmił.

Gdy przyszła pielęgniarka, położyła go z powrotem do łóżka, przykryła i włączyła telewizor wiszący na końcu plastikowego wysięgnika nad jego łóżkiem. Leciała w nim bardzo głośna kreskówka.

– Jeśli do końca tego programu nie będziesz się ruszał z łóżka – zwróciła się do chłopca pielęgniarka, zaciągając wokół niego zasłony – to kiedy przyjdzie twoja mamusia, opowiem jej, jaki byłeś grzeczny.

Rozpakowałem się, wypróbowałem wszystko dookoła i zacząłem czuć podekscytowanie na myśl, że odwiedzi mnie mój przyjaciel Matthew. Chciałem mu pokazać urządzenie sterujące, dzięki któremu można było przechylać i składać łóżko.

Matthew przyszedł z wizytą dwa dni później. Jego mama przyniosła mi prezent. Tego dnia byłem obolały po operacji, podczas której założono mi wkłucie centralne, i nie mogłem się za wiele ruszać, pokazałem jednak Matthew przezroczysty opatrunek na mojej klatce piersiowej, pokrywający miejsce, skąd rurka wychodziła z ciała. Pokazałem mu też niewielki materiałowy woreczek, który dały mi pielęgniarki, żebym nosił go na szyi i trzymał w nim końcówki wkłucia. Woreczek miał niebieską wstążkę i nadruk z uśmiechniętymi mordkami psów. Jedna z pielęgniarek powiedziała mi, że miłe panie szyją je specjalnie dla dzieci z oddziału. Gdy mama zobaczyła, co robię, powiedziała:

– Noah! Przestań! Zostaw to!

– Nic nie szkodzi – stwierdziła mama Matthew. – Bardzo dobrze to wygląda, Noah. Byłeś bardzo dzielny. Prawda, Matthew?

Matthew wgapiał się w to miejsce i ssał palec. Opuściłem koszulkę z powrotem.

Kiedy nasze mamy poszły po herbatę, włączyliśmy telewizor, ale nie znaleźliśmy niczego, co mielibyśmy ochotę obejrzeć. Moja mama nie pozwoliła nam bawić się urządzeniem sterującym łóżkiem, bo gdy wcześniej Matthew go wypróbował, wszystkie moje rzeczy pospadały na podłogę.

Przy łóżku było nam we czworo bardzo ciasno, poszliśmy więc do znajdującego się na oddziale pokoju zabaw. Powiedziałem Matthew, że dzień wcześniej odwiedził nas tu pies. Był to specjalny pies, który odwiedza ludzi, gdy są chorzy. Pogłaskałem go, a gdy powiedziałem „siad”, usiadł, ale kiedy poprosiłem go, by potarzał się po podłodze, nie

posłuchał. Polizał mnie tylko po rękę. Wspomniałem Matthew o tym, że planowałem mieć psa, ale po diagnozie musieliśmy powiedzieć hodowcy, że nie będziemy mogli wziąć szczeniaka. Mama obiecała mi, że kupimy psa, kiedy tylko wyzdrowieję. (To się nie zdarzyło, w związku z czym: „Lista postanowień i planów do zrealizowania przed śmiercią, punkt nr 3: Pożyczyć od kogoś psa”).

Gdy byliśmy z Matthew w pokoju zabaw, chłopak z łóżka sąsiadującego z moim zjawił się tam ze szpitalnym specjalistą od terapii zajęciowej. Zaczęli razem rozkładać elementy kolejki. Chłopiec miał na łysej głowie linie narysowane czarnym długopisem.

– Chyba radioterapia – wymruczała moja mama do mamy Matthew.

Matthew znowu się gapił. Wsunął rękę w dłoń swojej mamy, usiadł przy niej i nie chciał się bawić.

Gdy poszli do domu, powiedziałem mamie:

– Nie chcę już, żeby koledzy do mnie przychodzili.

Abdi był pierwszym po Matthew znajomym, który mnie odwiedził, a gdy przyszedł, zachowywał się jak trzeba.

Było to pod koniec semestru wiosennego w drugiej klasie szkoły. Abdi i ja byliśmy już wtedy najlepszymi przyjaciółmi. Wszystko robiliśmy razem – siedzieliśmy obok siebie w autobusach jadących na boiska sportowe, razem chodziliśmy na kółko szachowe i informatyczne, razem siedzieliśmy podczas lunchu i razem spędzaliśmy czas na przerwach. Pomagałem mu w zadaniach z angielskiego, a on mi w matmie.

Abdi przyjechał do szpitala pewnego wieczoru, gdy leżałem tam od około tygodnia. Pod pachą trzymał szachownicę i stosik komiksów. Miałem salę tylko dla siebie. Osobną salę dostają albo dzieci bardzo małe, albo te, które przeszły bardzo intensywne leczenie.

– Nie sądzisz, że szachy to trochę za dużo? – zapytała moja mama.

Abdi spojrzał na mnie.

– Żaden problem. Możemy tylko gadać – stwierdził.

– Chcę zagrać – oświadczyłem.

Musieliśmy włożyć nieco wysiłku w przełożenie rurek i aparatury, no i trochę czasu zabrało też ulokowanie mnie w pozycji siedzącej, ale w końcu nam się udało. Abdi przysiadł na brzegu łóżka i rozłożył szachownicę na poduszce, którą umieściliśmy między sobą.

– To cię może bardzo zmęczyć – powiedziała mama.

– Jeśli tak będzie, przerwiemy grę. – Zręcznymi ruchami Abdi rozstawił pionki i figury na planszy.

– A może byś poszła kupić sobie kawę, jeśli masz ochotę? – zwróciłem się do mamy.

Zrobiła taką zdziwioną minę, że przez chwilę myślałem, że odmówi. Powiedziała Abdiemu:

– Gdyby tylko zrobił się bledszy albo gdyby oddech zaczął mu się

rwać...

– Wezwę pielęgniarkę – dokończył Abdi. – Obiecuję.

Mama wiedziała, że Abdiemu dorośli mogą ufać, bo mówiłem jej o tym wielokrotnie, chociaż – jak na ironię – mówiąc to, sam nie byłem z nią w stu procentach szczerzy. Bo i kto niby jest?

– No dobrze, cóż, to chyba po prostu usiądę pod drzwiami, żebyś w razie czego mógł mnie zawołać.

– Mamo, wszystko ze mną w porządku. – To też nie była do końca prawda: czułem w plecach ból, którego nie łagodziła morfina, i miałem leciutkie zaburzenia widzenia, ale nie zamierzałem się do tego przyznawać.

Gdy zostaliśmy sami, Abdi rozpoczął grę ruchem, którego nigdy wcześniej nie widziałem w jego wykonaniu.

– Chcesz dać wycisk choremu chłopakowi? – zapytałem.

– Nie zamierzam pozwolić ci wygrać tylko dlatego, że tutaj leżysz.

Wykonałem swój ruch.

– Ostro! – skomentował.

Ani razu nie wspomniał o tym, jak bardzo niezdrowo wyglądam. Nie gapił się. W trakcie gry byłem tak skupiony, że przestałem słyszeć syk tlenu i odgłosy oddziału.

Po jakimś czasie Abdi uchylił okno. Wraz z chłodnym powietrzem do sali dotarły dźwięki z ulicy, na której padał deszcz. Przekonał pielęgniarki, żeby przyniosły nam szklanekę, tak by mógł włożyć do niej swój telefon, tworząc w ten sposób prowizoryczny głośnik. Przed wizytą przygotował dla mnie playlistę i teraz jej słuchaliśmy, kombinując jednocześnie, jak pozbić jeden drugiemu bierki szachowe. Nigdy nie bawiłem się w szpitalu tak dobrze, jak wtedy.

Wytrzymałem jakieś czterdzieści pięć minut, zanim dopadł mnie ból i musiałem dostać kolejną dawkę morfiny. Gdy odzyskałem przytomność, mama znowu siedziała na krześle obok mnie, Abdiego już nie było, a szachownica – z figurami i pionkami na swoich miejscach – znalazła się na parapecie i pozostała tam do czasu, kiedy Abdi znowu mnie odwiedził i wznowiliśmy partię.

A co jest w tym wszystkim najlepsze? Abdi odwiedzał mnie zawsze, kiedy tylko mógł. Nie zdarzało się to znowu aż tak często – musiał go podrzucać jego tata, próbujący zmieścić te podwózki między kolejnymi kursami – ale był on jedynym przyjacielem, który odwiedzał mnie regularnie.

Uświadamiam sobie, że otacza mnie sporo hałasu. Dochodzą do mnie dźwięki aparatury i muzyka jak gdyby ze słuchawek. Chyba robią mi tomografię.

Tomografia wywołuje u mnie panikę. Dawniej musiano mi podawać środki uspokajające. To przez klaustrofobię. Teraz też ją czuję, ale nie

jestem w stanie zrobić z tym nic poza czekaniem, przyglądaniem się czerni, wsłuchiwaniem się w hałasy i poczuciem, jak narasta we mnie strach. Po raz pierwszy zastanawiam się, kiedy wybudzą mnie z tego uśpienia i jaki jest mój stan. Czuję desperacką potrzebę, by zapytać o to mamę. Ona znalazła odpowiedź.

Wyczuwam ruch, obracanie się kółek i podskoki na progach, a po chwili musimy być już znowu na oddziale, bo słyszę słowa taty:

– Mówili coś?

– Porozmawiają z nami, gdy przeanalizują wyniki z konsultantem.

– Przyniosłem ci herbatę.

– Dzięki.

Słyszę, jak oboje piją.

Po chwili odzywa się mama:

– Ten azjatycki lekarz powiedział, że jeśli krwawienie w jego mózgu się ustabilizuje, to możliwe, że spróbują go jutro wybudzić.

– A jeśli nie?

– Nie wiem. Nie wnikajmy w to.

Słyszę, jak tata strzela palcami i stęka, przeciągając się. Ziewa jeszcze głęboko, po czym mówi:

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że żadne z nas nie usłyszało, jak wychodzili z domu.

– Nie biczuj się z tego powodu. To bez sensu.

– Nie powinienem był się zalewać w sztok.

– Był wernisaż twojej wystawy. Miałeś prawo się napić.

Chciałbym teraz powiedzieć tacie: „Aleś się, chłopie, uchlał!”. Bo to prawda – w galerii tata opróżnił jedną butelkę szpanerskiego piwa za drugą.

* * *

Spotykam się z Woodleyem przy wejściu na oddział intensywnej terapii Szpitala Dziecięcego.

W środku jest tak ponuro, jak można przypuszczać. Dzieci, młodsze i starsze, są tak bardzo chore, że nigdy nie chciałoby się na nie patrzeć. Woodley i ja, kierowani przez pielęgniarki, przechodzimy przez oddział w kierunku sali znajdującej się na jego odległym końcu. Z obydwu stron otaczają nas łóżka, w większości zajmowane przez nieruchome ciała. Obok nich siedzą pełni lęku rodzice.

„Chłodno spójrz”¹, mówię sobie w myślach. Doktor Manelli i ja uwielbiamy wiersze W.B. Yeatsa. Powiedziała, że jeśli są w stanie mi jakoś pomóc, powinienem ich używać. Potrzebuję chłodnego spojrzenia, by móc iść pomiędzy tymi łóżkami, bo bez niego musiałbym się

odwrócić i wyjść.

Gdy już się zbliżamy, na owym odległym końcu oddziału lekarka w stroju chirurga odsuwa zasłonę i dostrzegam kobietę, która musi być matką Noaha Sadlera.

Siedzi na krześle obok łóżka chłopca. Wygląda trochę, jakby się zapadła, jakby brakowało jej czegoś niezbędnego do życia. Po drugiej stronie łóżka znajduje się skupisko aparatury medycznej oraz płatanina plastikowych rurek i okablowania.

Noah Sadler wygląda na bardzo chorego. Ma zamknięte oczy i się nie porusza, tak jak Abdi, ale w przeciwieństwie do swojego kolegi Noah nie wykazuje zupełnie żadnych oznak życia. Staram się, by odrętwienie, jakie ogarnia mnie na widok drobnych żyłek pokrywających jego powieki, nie zawładnęło mną zupełnie. Już teraz wiem, że zapadnie mi to w pamięć, że obraz bezbronnego ciała Noaha Sadlera utrwalił się w moim umyśle.

Fiona Sadler nie chce rozmawiać przy łóżku syna.

– Nie wiem, ile może usłyszeć – mówi – ale wolę też nie oddalać się od niego na zbyt długo.

Naradza się z pielęgniarkami, po czym wyprowadza nas z głównej części oddziału i kieruje się do małego holu.

– Nie ma żadnych wolnych pokoi – mówi nam. – Czy tutaj będzie w porządku?

Siadamy obok siebie na plastikowych krzeselkach. Naprzeciw nas, w jasno oświetlonym pomieszczeniu z przeszklonymi do połowy drzwiami, pielęgniarki przygotowują lekarstwa. Na innych drzwiach obok gabinetu pielęgniarek widnieje tabliczka z napisem „Pokój dla rodziców”. Fiona Sadler wydaje się fizycznie osłabiona, jak gdyby od dawna nie jadła przyzwoitego posiłku. Woodley i ja, usadowieni po obu jej bokach, przytłaczamy ją. Nie jest to mój ulubiony sposób prowadzenia przesłuchań, ale zacznym.

– Wie pani może, dlaczego chłopcy wczoraj w nocy wyszli z domu?

Kręci głową. Zanim mam szansę przejść do kolejnego pytania, ona zadaje jedno mnie:

– Czy wie pan, inspektorze, że mój syn ma raka?

Niektóre zdania są druzgocącymi emocjonalnie ciosami, a stwierdzenie, że dziecko ma raka, bez wątpienia zalicza się do tej kategorii.

– Nie wiedziałem. Ogromnie mi przykro.

– Jest umierający.

I to właśnie byłoby kolejne tego rodzaju zdanie. Poznałem kilka rodzin znajdujących się w naprawdę okropnym położeniu, ale Sadlerowie właśnie trafili do grona tych, których sytuacja przedstawia się najbardziej beznadziejnie.

– Ogromnie mi przykro – zaczynam się powtarzać. Chciałbym powiedzieć coś więcej, ale brakuje mi słów.

Czasami wprost nie możesz się doczekać, aż wbijesz kły w jakiegoś świadka albo członka rodziny, którego podejrzewasz o zaniedbania czy współdziałanie, ale zdarzają się też przypadki, gdy przesłuchiwanie wydaje ci się czymś okrutnym, nawet jeśli w rzeczywistości kierujesz się jedynie chęcią dotarcia do prawdy. Chociaż wcześniej nim nie była, ta rozmowa właśnie zdecydowanie stała się jednym z takich przypadków.

– Powiedzieli nam, że zostało najwyżej kilka miesięcy. – Fiona Sadler unosi brodę i mruga raz po raz do czasu, aż się uspokaja. Fenomenalnie nad sobą panuje.

Otwieram usta, próbując sformułować jakąś odpowiedź, która nie będzie zupełnie nie na miejscu, ale pani Sadler wchodzi mi w słowo kolejną uwagą:

– Chcę tych miesięcy, inspektorze.

– Rozumiem.

– Co do jednego.

Powstrzymała płacz, ale dłonie tak jej drżą, że zawartość plastikowego kubka, który trzyma, może się zaraz rozlać.

Widok jej rozpaczony jest dla mnie trudny. Wywołuje wspomnienie matki Bena Fincha, Rachel, a to może zbić mnie z tropu. Gdyby mnie poproszono o wskazanie jakiejś sytuacji zawodowej, której chciałbym uniknąć podczas mojego pierwszego dnia, tygodnia, miesiąca albo nawet roku po powrocie do pracy po sprawie Bena Fincha, byłoby nią właśnie to – rozmowa z matką, dla której liczy się tylko, że jej dziecku grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. No ale jest, jak jest, i muszę być skutecznym.

Myślę nad odpowiedzią, która wyrazi zrozumienie i szacunek dla jej cierpienia. Własne emocje muszę trzymać na wodzy, żeby nie rozwinęły się w coś, nad czym nie będę w stanie zapanować – nie chcę też jednak sprawić wrażenia obojętnego.

Naprzeciwko drzwi pokoju dla rodziców otwierają się na oścież i wychodzi z nich mężczyzna z telefonem komórkowym wystającym z tylnej kieszeni spodni oraz ciepłymi napojami w obu rękach. Drzwi nie zamykają się za nim samoczynnie, widzimy więc ciasną przestrzeń, w której znajduje się aneks kuchenny z lodówką, kuchenką mikrofalową, zlewem i niewielkim kwadratowym stołem. Wywieszka na lodówce wielkimi literami głosi: PRODUKTY ŻYWNOŚCIOWE PROSIMY OZNACZAĆ IMIENIEM DZIECKA I NUMEREM SALI. Z pokoju wydobywa się silny zapach podgrzewanego w mikrofalówce jedzenia, od którego powietrze na korytarzu zdaje się gęstnieć. Przypatruję się smudze pary unoszącej się z dzióbka czajnika.

Fiona Sadler wybawia mnie od konieczności ułożenia właściwej

odpowiedzi.

– Przepraszam – mówi. – To nie pana wina.

– Jeśli pani woli, możemy odłożyć tę rozmowę na później.

– Nie. Chcę się dowiedzieć, co się stało z moim synem. Bo coś się stało. Wyjście nocą z domu, bez nas, i spędzanie czasu na jakimś terenie przemysłowym... nie potrafię panu opisać, jak bardzo to do Noaha niepodobne.

Teraz, kiedy już zapanowała nad emocjami, jej głos brzmi surowo.

– Może zaczniemy od tego, co wydarzyło się wczoraj wieczorem, zanim chłopcy się wymknęli?

Opisuje mi imprezę, na której byli w galerii, i stwierdza, że około wpół do jedenastej odwiozła chłopców do domu. Gdy mówi, jej głos nasiąka zmęczeniem, co sprawia, że staje się coraz bardziej matowy. Ostatnie słowa brzmią jak wydobyte z trudem. W świetle lamp jej skóra ma niezdrowy żółty kolor.

– To był szczególny wieczór. Chciałam, żebyśmy spędzili go wyłącznie w gronie rodziny, ale Noah zapytał, czy Abdi nie mógłby wpaść na przyjęcie i zostać u nas później na noc, a my czuliśmy, że nie wypada nam odmówić.

– Czy Abdi często u państwa nocował?

– Często nie, ale zdarzyło się to raz czy dwa.

– Czy wtedy, gdy Abdi zostawał na noc, chłopcy dopuszczali się jakichś wybryków? Wykradali się z domu albo cokolwiek w tym rodzaju? – Jestem niemal pewny, jaka będzie odpowiedź, ale muszę o to zapytać.

– Z tego, co wiem, nigdy. Noah by czegoś takiego nie zrobił. Nie mogę sobie wyobrazić. Nigdy nie był tego typu chłopcem.

– Czy powiedziała pani, że on i Abdi są dobrymi przyjaciółmi?

Zwleka chwilę z odpowiedzią, bawiąc się plastikową pokrywką kubka.

– Tak.

– Ale ma pani pewne zastrzeżenia? – Nie trzeba wielkiego wysiłku, żeby się tego domyślić. Jej odpowiedź była w najlepszym razie niepewna. Pierwsze przypuszczenie, jakie mi się nasuwa, jest takie, że Fiona Sadler postrzega przyjaźń chłopców inaczej niż Mahadowie. Pobudza to moją ciekawość.

– Wie pan co, inspektorze, mogę być z panem szczerą? To tylko przeczucie, które nie ma żadnych realnych podstaw, ale zawsze myślałam, że ta przyjaźń skończy się dla Noaha źle.

– Zdradzi mi pani dlaczego?

– W zasadzie nie wiem. To kwestia przeczucia? Intuicji? Niech pan to nazwie, jak chce. Zresztą pewnie w ogóle nie powinnam o tym wspominać, bo jak sądzę, jest to nie w porządku wobec Abdiego, ale tak

tę sprawę widzę. Ed powie panu, że Abdi to uroczy chłopak, i to prawda, więc może po prostu jestem nadopiekuńcza. Choroba Noaha wypacza wiele rzeczy.

– Rozumiem.

– Doprawdy?

Odwracam wzrok od jej spojrzenia, bo w jej zachowaniu pojawia się napięcie, jakaś wrogość. Doświadczenie podpowiada mi, że matka, której słowa podaje się w wątpliwość, może się stać zaciekłym przeciwnikiem. A o ile nie okaże się to konieczne, nie chcę robić sobie wroga z Fiony Sadler.

– Staram się zrozumieć – odpowiadam.

Moja odpowiedź działa łagodząco. Fiona spogląda mi przelotnie w oczy, jak gdyby w poszukiwaniu oznak szczerości. Kiwa głową.

– Ed mocno zachęcał Noaha do zacieśnienia tej przyjaźni, a Noah zawsze chciał uszczęśliwić tatę. Wielbi Eda. Uważa go za swojego bohatera.

Mówi to tak, jak gdyby nie zawsze było to czymś dobrym. Przez chwilę mam wrażenie, że to już koniec rozmowy, że kobieta zaraz wstanie i wróci do syna, ale się mylę. Zamiast odejść, zwierza się:

– Co do mojego męża, musi pan zrozumieć jedną rzecz: Ed pracuje z ludźmi znajdującymi się w jednych z najbardziej okropnych położań, jakie można sobie wyobrazić. I w jednych z najbardziej okropnych miejsc. Przywozi to później ze sobą do domu, to współczucie, to pragnienie ryzyka lub cokolwiek jest to, co go napędza. Zatem kiedy Noah poznał Abdiego Mahada, Ed był zachwycony i zaczął kibicować tej przyjaźni. Pracował w najróżniejszych miejscach, ale szczególnie interesują go Somalia i tamtejsze obozy dla uchodźców, więc gdy się dowiedział, że rodzina Abdiego przybyła z jednego z obozów, które kiedyś odwiedził, było to dla niego jak bonus. To oczywiste, że po czymś takim chciał, żeby chłopcy się zakolegowali. Czy to dobra przyjaźń? Nie wiem. Może i tak, ale nie ukrywam, że budzi moje obawy. Jak przypuszczam, chcę, chciałam, żeby Noah miał w nawiązywaniu przyjaźni wolną rękę, a nie widywał się z ludźmi tylko dlatego, że wpisują się w motywy jego ojca. Ale wie pan, teraz to już wszystko bez znaczenia, a Ed będzie musiał skończyć z braniem odpowiedzialności za każde nieszczęście tego świata i skupić się na własnej rodzinie. Chyba w końcu znaleźliśmy się w na tyle opłakanej sytuacji, żeby zwrócił na nas odrobinę cholernej uwagi.

Ostatnie zdania wymówiła już podniesionym głosem. Jedna z pielęgniarek zatrzymała się przy nas z wahaniem, ale Fiona odprawiła ją gestem ręki.

– Przepraszam – zwróciła się do mnie.

– Nie ma pani za co przepraszać. A jeśli można zapytać: czy ostatnimi

czasy zauważyła pani między chłopcami jakieś nieporozumienia?

– O niczym takim nie wiem, ale obecnie Noah rzadziej ze mną rozmawia. Nie dzieli się już ze mną wszystkim, tak jak kiedyś. Ma piętnaście lat, więc przypuszczam, że to nieuniknione, bez względu na to, ile razem przeszliśmy.

Ruchami rąk wskazuje otaczającą nas przestrzeń, i wydaje mi się, że wiem, co ma na myśli: te cztery ściany, ten tandetny, przestarzały, wyszorowany do czysta szpitalny wystrój, leki, sprzęt, odgłosy szybkich kroków i pełną zawodowej uprzejmości gadaninę lekarzy i pielęgniarek. Chodzi jej o szpital jako maszynę – maszynę, w której trybach ona i jej rodzina spędzili już bardzo dużo czasu.

– Mogłaby mi pani powiedzieć, w jakim chłopcy byli nastroju tamtego wieczoru? Jak się ze sobą dogadywali?

– Z tego, co widziałam, świetnie, choć nie przyglądałam im się przez cały wieczór, bo dookoła odbywało się przyjęcie. Przypuszczam, że teraz wszystko, co do tej pory powiedziałam, zabrzmiało głupio, ale nie mogę zaprzeczyć, że chłopcy wydawali się dobrze bawić. Po tym, jak usłyszeliśmy rokowania, Noah radził sobie znacznie lepiej niż ja czy Ed. Dodam jednak, że jeśli tylko uknuli sobie wcześniej tę eskapadę, to mogę pana zapewnić, że za tym pomysłem stał Abdi. Noah nie wiedziałaby, jak się do tego zabrać.

– Utrzymuje pani stosunki z rodziną Abdiego?

– Ed próbował ich lepiej poznać, choć tak naprawdę widujemy jedynie siostrę tego chłopaka, a ona jest nieśmiała, wycofana albo coś w tym rodzaju. Zawsze sprawia wrażenie, jakby chciała uciec przed rozmową, ale nie zdążyła tego zrobić w porę. Ojciec Abdiego jest taksówkarzem, więc przez cały czas pracuje, a matka nawet nie mówi po angielsku.

– Miałaby pani coś przeciwko temu, żebyśmy zajrzeli do komputera Noaha i pozostałych urządzeń, z których korzysta? Mogłoby nam to pomóc w zorientowaniu się, jak przebiegały ostatnio jego internetowe kontakty.

– Czy to naprawdę konieczne?

– Może pomóc w wyjaśnieniu sprawy.

– W takim razie to chyba w porządku. Choć powiedziałabym, że wydaje się naruszeniem jego prywatności.

– Na obecnym etapie śledztwa zdecydujemy się na to tylko w sytuacji, gdy pani się zgodzi.

– W porządku. Ed przez kilka godzin będzie teraz w domu. Prawie się pan z nim minął; poszedł, żeby się przebrać i trochę odpocząć. Jeśli pan chce, może pan zabrać komputer, póki Ed jest na miejscu.

Na pewno pojedę tam, żeby go przesłuchać. Komputer trzeba będzie zabrać następnym razem, żeby nie przerywać łańcucha dowodowego.

Chcę, żeby wszystko przebiegało zgodnie z zasadami.

– Proszę powiedzieć, czy Noah kiedykolwiek wspominał o kanale Feeder albo odwiedził miejsce, w którym go znaleziono?

– Nie sędzę, żeby w ogóle wiedział wcześniej o jego istnieniu. Jego świat to dom, szpital i szkoła. Właśnie dlatego sędzę, że ich wypad w te okolice musiał być sprawką Abdiego.

Jedna z pielęgniarek wychyla głowę zza drzwi oddziału.

– Pani Sadler – odzywa się, a Fiona momentalnie odwraca się w jej stronę. – Doktor jest gotowy, żeby z panią porozmawiać.

– Proszę iść – mówię. – Dziękuję za poświęcony nam czas.

W ślad za nią po podłodze toczy się jej plastikowy kubek, pozostawiając za sobą maleńkie krople kawy.

Odnajdujemy z Woodleyem windy i czekając, przystajemy przy wypełniającej całą ścianę brudnej szybie, przez którą widać centrum miasta. Niebo jest gęste od deszczowych chmur, a na ulicach panuje spory ruch. Na tle ciemnoszarego horyzontu unoszą się mewy. Ten kontrast ze sztuczną jasnością i ciszą panującą na oddziale intensywnej terapii jest kojący.

– Było w tym trochę sprzecznych sygnałów – stwierdza Woodley. Widzę, jak jego twarz częściowo odbija się w szkłe.

– Przez tę rozpacz odchodzi już od zmysłów.

– Można się było tego spodziewać, nie?

Kiwam głową. Przyglądam się, jak ludzie na ulicy otwierają parasole, a krople deszczu rozpryskują się na szybie jak grad.

Gdy zjeżdżamy windą, dołącza do nas ubrany w strój chirurgiczny mężczyzna, który patrzy gdzieś przed siebie, a w dłoni trzyma paczkę papierosów i zapalniczkę.

Czasami trudno nie dopuścić, by cudze cierpienie nie wsączyło się w głąb nas samych.

Wiem jedno: sytuacja Noaha Sadlera skomplikuje to śledztwo. Nie jest pierwszym lepszym dzieciakiem, który wyrwał się z domu, żeby się powygłupiać albo narozrabiać, i źle skończył. Jest nastolatkiem cierpiącym na śmiertelną chorobę. Nawet jeśli zostawić na boku inne okoliczności, siedzący we mnie cynik podpowiada mi, że fakt ten czyni całą sprawę wyjątkowo łakomym kąskiem dla mediów. Rak automatycznie nadaje Noahowi Sadlerowi etykietkę ofiary, więc chcę mieć pewność, że nikt nie oskarży najlepszego przyjaciela chłopca, dopóki dowody w sprawie nie zostaną poddane uczciwej analizie.

– Musimy zdobyć zeznania Abdiego Mahada – mówię.

* * *

Siedząc w rogu autobusu – gdzie się wcisnęła, by do minimum ograniczyć kontakt z pozostałymi pasażerami – Sofia myśli o materiałach dotyczących obozu Hartiszejek, które zobaczyła w gabinecie Eda Sadlera, i zastanawia się, dlaczego leżały na wierzchu. Taki zbieg okoliczności trudno zignorować. Ostatnimi czasy Abdi coraz bardziej interesował się tym, jak wyglądało ich życie, zanim przyszedł na świat, Sofia zatem jest ciekawa, czy zadawał panu Sadlerowi pytania o rzeczy, o które wolałby nie pytać w domu, by nie sprawić przykrości jej albo rodzicom.

By oderwać się od tych myśli, wyciąga iPada z torby Abdiego i przyciskiem aktywuje ekran główny. Urządzenie prosi o podanie hasła. Sofia podejmuje wyzwanie. Wie, że hasło do szkolnego laptopa, który Abdi kiedyś pożyczył, składało się ze słowa „Medes” i ówczesnego roku, próbuje zatem czegoś takiego. Podziałało, wyświetlił się ekran główny, ale bateria jest tak wyczerpana, że nie da się zrobić niczego więcej. Grzebie w torbie Abdiego i znajduje kabel. Naładuje iPada po powrocie do domu.

Wyciąga papiery, które zgarnęła z domu Sadlerów, i zaczyna je kartkować. Trudno jednak dokładnie je przejrzeć podczas jazdy autobusem, bo zsuwają jej się z kolan. Staranne, pochyłe pismo brata budzi w niej podziw, ale z tego, co widzi, w papierach nie ma niczego interesującego. To zwykłe szkolne sprawy, jakiś projekt na lekcję chemii, o ile jest się w stanie rozeznać. Wciska kartki z powrotem do torby.

Wygląda przez okno autobusu i myśli o swoim życiu w Bristolu. Zazwyczaj nie rozwodzi się nad własnym położeniem – woli bowiem patrzeć do przodu, i na uczelni, i w życiu – ale ostatnie dwadzieścia cztery godziny zmusiły ją do zastanowienia się nad kilkoma kwestiami.

Ogólnie biorąc, Sofia jest szczęśliwa. Zdaje sobie sprawę z tego, że jej rodzina nie ma tak dobrych warunków materialnych, jak na przykład Sadlerowie, ale nie przeszkadza jej to, gdyż czuje się kochana i wciąż pamięta, jak wyglądają prawdziwe trudności.

Rozumie, dlaczego dla części jej rówieśników imigrancka tożsamość stanowi powód do wewnętrznych rozterek – nie są bowiem ani całkiem Brytyjczykami, ani całkiem Somalijczykami, znajdują się gdzieś pomiędzy – ale ją samą ciężka praca w szkole i na uczelni wynagrodziła z nawiązką, a fakt ten daje jej wiele sił. W dobre dni opiera swoją tożsamość na tych pozytywnych aspektach. W złe – pozwala, żeby strach przed staniem się obiektem nienawiści zapanował nad nią, a jej pewność siebie stłumiła obawa. Dziś ma zły dzień. Zastanawia się, czy ostatnimi czasy nie była za bardzo z siebie zadowolona. Może powinna była lepiej wsłuchiwać się we własne obawy, zamiast polegać na zapewnieniach innych ludzi. Może nie da się po prostu zacząć tutaj nowego życia, trzymając się na uboczu, na co liczyła wraz z rodziną. Być

może nawet jeśli w każdej sprawie postąpi się jak należy, i tak wszystko potrafi się potoczyć przerażająco źle.

Komórka Sofii sygnalizuje nadejście esemesa. To od taty. „U Abdiego bez zmian”, pisze ojciec. Pyta jeszcze, o której Sofia wróci i czy mogłaby po drodze kupić mleko.

W sklepie pani Khan jest zajęta obserwowaniem trzech chłopaków, którzy krążą między półkami i zachowują się podejrzanie. W jednym z nich Sofia rozpoznaje kolegę Abdiego z podstawówki. Kupuje mleko i idzie ku wyjściu, wdzięczna, że tego wieczoru udaje jej się uniknąć pogaduszek z panią Khan.

Gdy skręca za róg, kierując się w stronę domu, szczęście jednak ją opuszcza. Na chodniku przed nią wyrasta Amina.

– Sofio! – Znalezienie się w ramionach Aminy daje poczucie całkowitego zanurzenia w tkaninę i perfumy. Sofia uwielbia Aminę i myśli o niej jako bardziej wyluzowanej wersji swojej matki. Chciałaby, żeby Maryam nosiła się tak jak Amina – w pięknych kolorach i jedwabnych nakryciach głowy, a nie w tych nijakich sukniach i ciężkich chustach, których matka nie chce z siebie zrzucić. Marzy jej się, by zobaczyć ją umalowaną mocną szminką i z odrobiną różu na wydatnych kościach policzkowych. Chciałaby, żeby Maryam częściej się uśmiechała.

Jedyne, za czym Sofia niezbyt przepada w Aminie, to jej obowiązkowe wzrokowo-dotykowe inspekcje, przed którymi, mimo upływu lat, wciąż nie potrafi umknąć. Amina ogląda ją od stóp do głów, po czym ściska jej ramię tak, jak gdyby badała dojrzałość owocu, i ogłasza werdykt:

– Błada jesteś.

– To ze zmęczenia.

– Potrzebujesz witamin. Wspominałam ci, że kupiłam sobie NutriBullet?

– Wspominałaś. – Jakieś dziesięć razy, dodaje Sofia w myślach, ale nie mówi tego na głos, bo wie, że Amina to jedna z najserdeczniejszych osób, jakie można spotkać.

– Najpierw twoja mama ma kłopoty ze zdrowiem, a teraz ty!

Sofia zamiera, zastanawiając się, co wie Amina i dlaczego tak mówi.

Choć Amina jest przyjaciółką rodziny, to Sofia zdaje sobie sprawę, że rodzice nie chcą, żeby ktokolwiek dowiedział się o tym, co przydarzyło się Abdiemu, jeżeli tylko nie będzie to konieczne. Wstyd, jaki by to przyniosło, stanowiłby dla całej rodziny dodatkowy cios.

– Mama nie ma kłopotów ze zdrowiem – stwierdza.

– Nie mówiła ci, co się stało? Zemdlała w piątkowy wieczór w Centrum Powitalnym. Padła bez czucia, gdy rozdzielaliśmy jedzenie. W jednej chwili nakładała makaron, w następnej leżała już na podłodze.

Zrobiłaby sobie krzywdę, gdyby szef kuchni w porę jej nie złapał.

– Nie powiedziała mi o tym.

– Przypuszczam, że nie chciała cię martwić. Nieładnie! Mówiłam jej, że musi o siebie dbać. Sama odprowadziłabym ją do domu, ale Abdi powiedział, że się tym zajmie i upewni, że wszystko jest okej.

– Abdi z nią był?

– Tak, kochana. To się stało w zeszły piątek. Nie mów, że ci o tym nie powiedzieli.

Sposób, w jaki Amina marszczy brwi, budzi lęk. Sofia sięga pamięcią wstecz. W ostatnim czasie tak ciężko pracowała na studiach, że nie poświęcała zbyt wiele uwagi sprawom pozostałych członków rodziny. Ma wrażenie, że wszystko płacze jej się w głowie, więc decyduje się na kłamstwo:

– Mówili mi. Przepraszam. Z mamą już w porządku. – Sofii świta, że jeśli Amina pomyśli, że mama źle się czuje, to może chcieć wpaść z wizytą, postanawia więc zapewnić rozmówczynię, że wszystko jest dobrze.

– No to świetnie, kochana. – Amina przypatruje się Sofii ze sceptycyzmem; ze stu metrów potrafi wyczuć, że coś nie gra. – Ale sama nie wyglądasz najlepiej.

– Nic mi nie jest.

– Twoja matka też tak mówiła! Dobra, kochana, muszę lecieć. Dbaj o siebie. Powiedz Maryam, że do niej zadzwonię.

Kolejny ciepły uścisk i Sofia jest wolna. Idąc w stronę domu, wraca myślami do piątku. Czy tamtego wieczoru jej matka źle wyglądała? Nie przypomina sobie niczego nietypowego, ale Maryam nie zalicza się do osób, które można łatwo ocenić. W jednej chwili kochająca i czuła, w kolejnej zamyka się w sobie – jej rodzina nauczyła się żyć z tymi skrajnościami, nie próbując doszukiwać się ich źródeł. Maryam zachowywała się w ten sposób, odkąd tylko Sofia pamięta. Dziewczyna od dawna podejrzewa, że matka cierpi na jakiś rodzaj depresji, ale wie również, że nigdy nie może wypowiedzieć tych przypuszczeń na głos.

Gdy zbliża się do domu, ogarnia ją poczucie, że powinna się pośpieszyć. Chce zobaczyć Abdiego, wiedzieć, jak się miewa, przygotowuje się jednak na możliwość, że nie będzie żadnej poprawy.

W mieszkaniu Maryam przygląda się, jak Sofia wkłada mleko do lodówki. Kobieta zastanawia się, co też mogłaby ugotować, by jakoś skusić Abdiego do jedzenia – tego dnia nie przełknął jeszcze niczego – gdy Sofia zaskakuje ją pytaniem:

– Jak nazywał się obóz, w którym mieszkaliśmy?

– Hartiszejk – odpowiada Maryam, licząc, że córka nie zauważy, iż przełknęła ślinę z takim trudem, jakby do gardła napłynęła jej żółć. – Dlaczego pytasz?

– Myślałam o nim dzisiaj, ale wyleciała mi z głowy jego nazwa.

Maryam widzi, że Sofia nie mówi prawdy. Potrafi czytać w dziewczynie jak w otwartej książce. Jednak samo to, że jej zazwyczaj szczerza i uczciwa córka kłamie, sprawia, iż nie ma odwagi zapytać, dlaczego to robi. Musi stłumić silny impuls, każący jej się wzdrygnąć, bo wzmianka o obozie, akurat dziś, może być jedynie złym znakiem. Chciałaby, żeby Nur nie wyszedł teraz z pokoju. Musi z nim o tym porozmawiać. Na osobności.

Podczas gdy jej umysł pracuje, ona sama snuje się po kuchni jak na autopilocie. Przygotowuje ciasto na naleśniki. To ulubione danie Abdiego. Nie jest pewna, co jeszcze mogłaby zrobić. W trakcie mieszania składników Maryam usiłuje powstrzymać powracające wspomnienia obozu, włączając radio, skupiając się na muzyce i ubijając ciasto o wiele dłużej niż to konieczne. Czasem tego rodzaju taktyka odnosi skutek, czasem powoduje, że na jej dłoniach pojawiają się pęcherze, ale nie przestaje i nie oddaje się rozmyślaniom, a czasem nic nie jest w stanie powstrzymać wspomnień.

Sofia zauważyła reakcję mamy i to, jak stara się ona ją ukryć, ale nie jest zdziwiona, bowiem Maryam nie znosi mówić o przeszłości. Sofia jest za bardzo stremowana, żeby zapytać o incydent z omdleniem w Centrum Powitalnym, bo obawia się, że jeszcze bardziej zasmuciłaby tym matkę. Może wspomni o tym ojcu.

Znajduje Nura w pokoju Abdiego. Ojciec siedzi przy łóżku chłopca i delikatnymi ruchami czyści sobie okulary.

– Próbowałem nakłonić go, żeby coś powiedział, ale bez powodzenia – mówi. – Muszę iść do pracy.

– Popróbowuję dziś wieczorem – odpowiada Sofia.

Nur całuje ją w czoło i wychodzi z mieszkania, zanim dziewczyna ma okazję, żeby porozmawiać z nim o Centrum Powitalnym.

Na tyle, na ile jest w stanie to ocenić, u Abdiego nie zmieniło się zupełnie nic. Jego pokój wypełnia mrok, a on sam najwyraźniej jeszcze się nie poruszył. Zamiast rzucić torbę brata na podłogę, Sofia zabiera ją do swojego pokoju, myśląc, że mogłaby wyjąć z niej brudne ubrania Abdiego i je wyprać. Nie będzie obciążała tym matki. Sama to robi. Z torby wyciąga też iPada i kabel i je podłącza.

– Hartiszejk – szepcze, wkładając wtyczkę do gniazdka. Obraca to słowo w ustach. Miała więc rację – dokumentacja, którą widziała w gabinecie Eda Sadlera, dotyczy miejsca, gdzie kiedyś żyli. Zależało jej, by usłyszeć nazwę obozu z ust matki i tym samym się upewnić, nie chciała jednak obciążać Maryam tym, co zobaczyła, dopóki nie zastanowi się nad tą sprawą i jej znaczeniem.

Z obozu, który opuścili, gdy była jeszcze małą dziewczynką, pozostał jej kalejdoskop wspomnień. Pamięta żółte kanistry z wodą –

w Hartiszejk najcenniejszym towarem ze wszystkich – a także słomiane maty pokrywające podłogę ich schronienia.

W całym obozie ludzie stawiali swoje siedziby za ogrodzeniami wykonanymi ze splecionych gałęzi ciernistych krzewów. Owce miały czarne głowy. Niekiedy obóz zalewała woda i nie mogli się nocą położyć do snu. W ich tukul przestrzeń kuchenną od mieszkalnej oddzielała cienka czerwona zasłonka – Sofia bawiła się jej postrzępionymi brzegami, ciągnąc za nitki, dopóki matka jej nie skarciła. Na zewnątrz chłopcy grali w piłkę w promieniach zachodzącego słońca, a wzbijany przez nich kurz nabierał barwy złota.

Sofia zanosz naleśniki Abdiemu i przysiada obok niego.

– Abdi, jesteś w stanie ze mną porozmawiać? To tylko ja. Możesz mi powiedzieć, co się stało. Obiecuję, że zachowam to dla siebie, jeśli tego chcesz. No dalej, Abdi.

Nie odpowiada, nawet kiedy Sofia macha mu naleśnikami przed nosem i mówi, że poczuje się lepiej, jak zje. Naleśniki stygną na biurku, a herbata, którą dziewczyna przyniosła razem z nimi, stoi nietknięta. Sofia rozczarowana wraca do mamy.

Maryam włączyła telewizor i wpatruje się w ekran. Sofia domyśla się, że matka nie ma ochoty na rozmowę, więc kładzie się do łóżka wcześniej, na długo przed powrotem ojca.

Cała rodzina jest w stanie zawieszenia i czeka, aż Abdi odzyska mowę. To jedyne, co się teraz liczy. Wyczekiwanie napełnia ich lękiem i dezorientacją.

Obudziwszy się w środku nocy, Sofia zerka na iPada. Naładował się. Stuka palcem w ekran i zaczyna go przewijać. Z początku jest trochę rozczarowana, a trochę czuje ulgę, bo wygląda na to, że nie ma tam niczego, co mogłoby posłużyć za wskazówkę co do wydarzeń nad kanałem. Nagle jednak dostrzega plik dźwiękowy. To jedyne, jaki znajduje się w pamięci aplikacji dyktafonu. Nagrano go wczoraj późnym wieczorem.

Sofia stuka ikonkę odtwarzania i patrzy na cienką czerwoną linię przecinającą ekran pod wykresem fal dźwiękowych. Z początku słyszy tylko ciszę, ale sekundę albo dwie później rozlega się znajomy głos.

– Od czego mam zacząć? – Głos należy do mężczyzny, jest powolny i bełkotliwy, jak u zapijaczonego gawędziarza.

– Jak było w obozie?

Sofia rozpoznaje obu rozmówców. Pierwszy z nich to Ed Sadler, a drugi jej brat Abdi. Jest zaskoczona, słysząc dźwięk jego głosu dobywający się z urządzenia.

– Harszek – mówi Ed Sadler. Ledwo jest w stanie wymówić to słowo. Wybuchu śmiechem, po czym próbuje ponownie: – Har-ti-szejk. Pojechałem do obozu Hartiszejk w tysiąc dziewięćset

dziewięćdziesiątym dziewiątym. W tym roku odbyłem też jedną z pierwszych podróży z Danem, a może to było w dziewięćdziesiątym ósmym? Albo tak, albo tak, nie jestem pewien, ale w każdym razie tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty dziewiąty był dobrym rokiem, bo to wtedy Fi przyjechała do mnie do Addis Abeby, gdy miałem wolne, i poszliśmy zwiedzić takie jakby podziemne kościoły, kojarzysz je? No wiesz, dawne chrześcijańskie kościoły.

– Jak oceniał pan warunki panujące w obozie? – Abdi mówi poważnym tonem, tak jakby starał się zachowywać jak prawdziwy korespondent telewizyjny.

– Żle, bardzo źle, oj, jak źle. – Głos Eda Sadlera wydaje się na przemian bardzo pijany i bardzo trzeźwy. – Nie chcieli, by świat się dowiedział, jak wygląda sytuacja w obozach, więc wizyty były kontrolowane. Robili tak, żeby wieści o tym, co dzieje się z tym ludźmi, się nie rozprzestrzeniły. Ale wiesz, tak się cieszę, że nie odpuściłem, bo krótko potem dzięki Danowi dostałem szansę. Tego rodzaju rzeczy i znajomości są potrzebne do zdobycia dobrych ujęć.

– Jak długo był pan w obozie? – Głos Abdiego brzmi cicho, ale bardzo poważnie.

– Tylko dwa dni. Odbyłem dwie wizyty w ciągu dwóch dni. Było niesamowicie. Nadzwyczajni ludzie. Tyle tragedii, a jednocześnie tyle człowieczeństwa. W samej Somalii byłem rok wcześniej, na froncie, no wiesz, kamizelka kuloodporna, hełm, szyszkobroni, my w samym centrum tego wszystkiego, pociski latające dookoła, bardzo w stylu *Helikoptera w ogniu*. Wyjazd do obozu był więc ciągiem dalszym tej historii, okazją, by zobaczyć, gdzie trafili ludzie, którzy wyrwali się z tamtego koszmaru.

– Co było w tej wizycie najgorsze? – pyta Abdi.

– Smutek, głód, pragnienie, niedożywienie... brak nadziei.

– A najlepsze?

– No cóż, wiesz co, rozwieszając fotografie na wystawie, pomyślałem sobie, że świetnym dniem był dzień meczu piłkarskiego. Mieliśmy już tamtego wieczoru wyjeżdżać, ale pracownicy pomocy humanitarnej wystawili przed swoją kwaterę telewizor i włączyli na nim finał Ligi Mistrzów. Manchester United kontra Bayern Monachium, wielki mecz, no więc zostaliśmy, żeby go obejrzeć. Niesamowita atmosfera, wszyscy mężczyźni zebrali się przed ekranem. Poczucie męskiej wspólnoty było nadzwyczajne.

Ed Sadler przeciągle ziewa.

– Wybacz, ale chyba będę musiał się już położyć. O parę kieliszków za dużo.

– Zrobił pan zdjęcie mężczyznom oglądającym mecz – mówi Abdi. – Widziałem je w galerii.

- Zgadza się.
- Co jest nie tak z ustami jednego z nich?
- Tego, któremu wystawały wszystkie zęby?
- Tak.

- Ma rozszczep podniebienia. To dość częsta wada wrodzona i gdyby ktoś urodził się z nią tutaj, to zostałby zoperowany w ciągu kilku dni albo tygodni. Ale w Somalii tak to nie działa, zwłaszcza w wiejskich społecznościach. Mają tam bardzo niewiele ośrodków medycznych, a nawet gdyby komuś udało się do któregoś z nich dostać, to i tak pewnie nie byłoby go stać na operację.

- Rozmawiał pan z mężczyznami ze zdjęcia?

- Na pewno nie z tym, o którego pytałeś! Musiałem zrobić to zdjęcie ukradkiem. Ten facet na pewno nie chciałby, żeby go fotografowano. Znajdował się w grupie nowych przybyszów, a ci z pomocy humanitarnej podejrzewali, że to awanturnicy. Umiesz to sobie wyobrazić, prawda? Że nie każdy, kto trafia do obozów, jest ofiarą wojny. Mówiono, że należał do bandy, która w Somalii dopuściła się wielu okropności. Dla takich jak on prześlizgiwanie się przez obozy i granice nie było specjalnie trudne. Nikt nie miał dokumentów, a masy zdesperowanych ludzi przybywały każdego dnia.

- Więc nie wie pan, jak się nazywali?

- Ten z rozszczepem miał ksywkę Farurey. Po somalijsku oznacza ona wargę, zajęczą wargę albo coś w tym rodzaju. W każdym razie odnosi się to do jego ust. Nigdy się nie dowiedziałem, jak naprawdę ma na imię, nie wiem, czy ktokolwiek to wiedział, a pozostałych mężczyzn też nie znam. To było tak dawno temu. Zapamiętałem go tylko dlatego, że ludzie o nim mówili. Tak czy inaczej, dziś już ledwo pamiętam nawet własne imię! Kończymy? Powinieneś iść na górę, a ja muszę się napić wody.

- Próbowałem coś wydrukować w pokoju Noaha, ale chyba komputer wysłał to tutaj. Ma pan może te kartki?

- Sprawdzimy. Zerknij sobie, ale wydaje mi się, że skończył się papier. Możliwe, że będziesz musiał poczekać do rana. Pora spać, kolego. No już. Nie wiem, jak ty, ale ja ledwo się trzymam na nogach. Robię się na to wszystko za stary.

W tym miejscu nagranie się kończy.

* * *

Na oddziale zjawia się kolejna zmiana pielęgniarek, a głosy moich rodziców stają coraz bardziej powolne i ciche i coraz częściej przechodzą w ziewnięcia.

W jakiś czas po wyjściu taty słyszę, jak mama siłuje się z wielkim fotelem, który można rozłożyć. Czasem pod koniec dłuższych pobytów na oddziale zastanawiam się, czy jej ciało wygnie się kiedyś na dobre, tak by pasować do kształtu tego szpitalnego mebla.

Pewnego razu Abdi zapytał, jak według mnie wyglądałoby życie mojej rodziny, gdybym nie zachorował. Trudno było mi odpowiedzieć na to pytanie, bo gdy już twoja rodzina jest taka, a nie inna, nie sposób zobaczyć ją inaczej. Spróbowałem sobie przypomnieć, jak to wyglądało przed moją diagnozą, a potem odpowiedziałem: „Normalnie”.

– Nie ma czegoś takiego jak „normalnie” – stwierdził Abdi.

– Wiesz, co mam na myśli.

Niedawno zapisaliśmy się do kółka filozoficznego, w związku z czym Abdi zaczął obsesyjnie rozkładać nasze rozmowy na czynniki pierwsze, zaglądać pod podszewkę słów i zdań i bez przerwy zadawać pytania. W tamtym czasie uważałem to za nieco pretensjonalne, ale muszę przyznać, że po Rozmowie z doktor Sashą sam poniekąd też zacząłem zachowywać się w ten sposób.

„Lista postanowień i planów do zrealizowania przed śmiercią, punkt nr 4: Być normalnym (czy też «tak normalnym, jak to możliwe»)”.

Wernisaż taty dał nam szansę, by na krótki czas stać się rodziną, którą moglibyśmy być, gdybym nie zachorował. Mama wyglądała pięknie. Była po wizycie u fryzjera i manikiurzystki, miała na sobie nową sukienkę i emanowała pewnością siebie. Tata zrobił nam rodzinne selfie i ustawił je sobie jako tapetę w telefonie.

– Możemy być naprawdę dumni z tego wieczoru – powiedział, pokazując nam to zdjęcie. Bardzo się wtedy ucieszyłem, że nie pozwoliłem im odwołać przyjęcia po tym, jak usłyszeliśmy rokowania.

Mama odwiozła nas do galerii, mieszczącej się w Stokes Croft. Zazwyczaj gdy w tamtej okolicy zatrzymujemy się na światłach, mama włącza centralny zamek, bo jak mówi, bywa tu „nerwowo”. Tata zawsze śmieje się z tego określenia. Kiedy po raz pierwszy wspomniał mamie o miejscu wystawy, zareagowała niechętnie, ale wtedy powiedział jej: „To filia galerii Arnolfini; jest bardzo prestiżowa. Szczerze mówiąc, nie zrobiłbym tej wystawy nigdzie indziej, no chyba że w Londynie”.

Gdy dotarliśmy na miejsce, Abdi już czekał na nas przy drzwiach.

– Bardzo fajnie wyglądasz – powiedziałem.

– Mama kupiła mi nową koszulę – odpowiedział. Była ciemnoniebieska i lekko połyskiwała.

Wchodząc do galerii, objąłem Abdiego ramieniem, mimo że było to dość trudne, bo w ostatnim czasie znacznie mnie przerósł. Nie obchodziło mnie to jednak, bo chciałem, żeby wszyscy zobaczyli, że jest moim najlepszym przyjacielem.

Na tablicy umieszczonej tuż przy wejściu widniał niewielki napis:

OSTRZEŻENIE: Na wystawie znajdują się fotografie przedstawiające wojnę i obszary dotknięte katastrofą. Na niektórych widzów mogą one działać deprymująco.

Właśnie z tego powodu mama wahała się, czy Abdi i ja powinniśmy przychodzić na wernisaż, sytuację jednak uratował tata.

– Chłopaki mają już piętnaście lat – powiedział jej. – Kiedyś będą musieli dorosnąć.

Aż zbyt wiele w tym prawdy.

„Lista postanowień i planów do zrealizowania przed śmiercią, punkt nr 5: Obejrzeć film oznaczony jako «dla osób powyżej osiemnastego roku życia». (Tata powiedział, że zobaczymy we dwóch Obcego, nawet jeśli mama będzie robiła fochy. Według niego ten film jest niesamowity)”.

Galeria była tak wypełniona gośćmi, że mieliśmy kłopoty z przyjrzeniem się zdjęciom, ale słyszeliśmy, jak ludzie je komentują: „Szczęka opada...”, „Piękne...”, „Ostrość rozmywa się dokładnie tam, gdzie trzeba...”, „On naprawdę ma niezwykle oko”.

Z Abdim mieliśmy za zadanie pomagać przy roznoszeniu przekąsek. Tata obiecał nam za to „bardzo przyzwoitą” stawkę godzinową.

„Lista postanowień i planów do zrealizowania przed śmiercią, punkt nr 6: Znaleźć pracę (tak, kilka godzin płatnego zatrudnienia też się liczy)”.

Chodziliśmy po sali – z każdą chwilą coraz bardziej zapełniającej się ludźmi – z wielkimi srebrnymi tacami i proponowaliśmy gościom zestaw szpanerskich przekąsek. Wiele osób powiedziało mi, że urosłem (co nie było prawdą) i że dobrze wyglądam (co tym bardziej nie było prawdą – sami dodajcie sobie dwa do dwóch), ale i tak było to całkiem miłe. Z Abdim tworzyliśmy zgrany zespół.

Po jakimś czasie w galerii zrobiło się tak tłoczno, że aż musieliśmy odłożyć tace, a ktoś otworzył drzwi, żeby wpuścić trochę chłodnego powietrza.

Tata wszedł na krzesło i wygłosił przemówienie. Spodobało mi się, jak pod koniec wznieśliśmy ku sobie szklankę i butelkę.

Około dziewiątej ludzie zaczęli się zbierać do wyjścia, a mama i tata stanęli przy drzwiach, żegnając się, wymieniając pocałunki i uściski dłoni. Ja i Abdi staliśmy obok nich.

– Zbieramy się? – zapytała mama, gdy wyszli ostatni goście. Ziewnęła.
– Twój tata idzie jeszcze na piwo z kilkoma kolegami.

Na chodniku przed galerią stało trzech kolegów taty, dwóch z nich paliło, wszyscy głośno się śmiali.

– Jeśli nie chcesz, żebym szedł, to nie pójdę – powiedział tata.

– Jest okej. – Przytuliłem go supermocno, upewniając się, że robię to

długo, i powiedziałem: – Jestem z ciebie taki dumny, tato.

– Dzięki, chłopie – odpowiedział. Tuliliśmy się całe wieki.

„Lista postanowień i planów do zrealizowania przed śmiercią, punkt nr 7: Upewnić się, że inni wiedzą, jak bardzo są dla ciebie ważni”.

Kiedy pomachaliśmy tacie na pożegnanie, zwróciłem się do mamy:

– Możemy jeszcze zerknąć na zdjęcia? Bardzo szybko? – Teraz, kiedy galeria była już pusta, po raz pierwszy miałem okazję, żeby im się przyjrzeć.

– Już bardzo późno.

– Proszę.

– Pięć minut. Pracownicy chcą już zamykać.

No cóż, chyba nie zamierzała się ze mną spierać, prawda?

W środku Abdi i ja rozejrzeliśmy się dookoła. Galeria była gustowną, prostokątną przestrzenią ze ścianami wypełnionymi fotografiami. Niektóre ze zdjęć były bardzo mocno powiększone, ale inne mniejsze i zawieszane w grupach. Wszystkie były udane. Niektóre szokujące. Chciałem się upewnić, że nie umknie mi absolutnie żadne z nich.

Fotografie pochodziły z różnych miejsc świata, a zdecydowanie największa była część opatrzona nagłówkiem „Róg Afryki”. Pierwsze zdjęcie z tej sekcji przedstawiało nagie dziecko kucające na drodze przed zburzonym domem. Dziewczynka na twarzy i powiekach miała piasek. Na innej fotografii bardzo stara kobieta leżała oparta o drzewo, głową dotykając pnia. Miała otwarte oczy. Żyła, ale pewnie nie potrwało to długo. Obok niej przechodził długi sznur rodzin – wszyscy obładowani dobytkiem. Na widok tej kobiety, czekającej na śmierć, przeszły mnie dreszcze.

Kolejne zdjęcie ukazywało zbliżenie na matkę i dziecko. Brzuszek malca napęczniał do olbrzymich rozmiarów. Matka ponad główką dziecka spoglądała prosto w obiektyw. Oczy obojga były mętne i żółtawe. Nigdy wcześniej nie widziałem fotografii, która przedstawiałaby taką samotność.

Reszta zdjęć była równie wstrząsająca.

Jedno z nich ukazywało martwego, pokrytego krwią mężczyznę, który leżał na środku ulicy. Jakiś chłopiec z bronią w ręku przeszukiwał mu kieszenie.

Na innym widać było wiszące na słupie ciało, z głową opadającą na bok oraz bezwładnymi kończynami. Za nim, na ścianie sklepienia, namalowano papierosy, napoje gazowane, pastę do zębów i inne towary na sprzedaż.

Najgorsza była fotografia czyichś stóp, straszliwie zmiażdżonych i z muchą siedzącą na jednym z palców. Widok był makabryczny i przyprawiał o mdłości, ale jego oświetlenie miało w sobie dziwne piękno. Dostrzegłem umiejętności taty.

Nie wszystkie zdjęcia przedstawiały jednak okropieństwa. Spodobała mi się choćby panorama ukazująca kopulaste namioty na pustyni, setki albo i tysiące namiotów. W tle, ponad nimi, narastała burza piaskowa, a na pierwszym planie zdjęcia wiatr zdmuchiwał w bok plastikowe śmieci zaczezione o ciernie krzewów.

Jedno z ujęć przedstawiało z kolei grupę mężczyzn i chłopców oglądających w telewizji mecz piłkarski. Siedzieli na zewnątrz, przed wielkim ekranem; mężczyźni zajmowali plastikowe krzeselka, a chłopcy usadowili się pomiędzy nimi. Przed chwilą musiał paść jakiś gol, bo postaci na zdjęciu zastygły w radosnych pozach, część z ramionami wyrzuconymi w górę, inni z otwartymi ustami. Tylko jeden z mężczyzn nie wpatrywał się w grę, ale gdzieś w bok, w pobliże aparatu, choć nie bezpośrednio w obiektyw. Siedział na żółtym plastikowym krześle, a z wyrazu jego twarzy bił chłód, mimo że czoło i policzki spływały mu potem. Nie miał górnej wargi – wyglądała, jakby przecięto ją przez sam środek – a zęby za nią wyrastały pod najróżniejszymi, szalonymi kątami. Budził strach.

Abdi przyglądał się temu zdjęciu razem ze mną.

– Chodźcie, chłopcy! – zawołała mama. – Na nas już pora.

Byłem gotowy. Czuję się słabo. Fotografie były przygnębiające, a moje wcześniejsze pozytywne emocje i adrenalina traciły na sile. Abdi wydawał się nie słyszeć słów mojej mamy. Pociągnąłem go za ramię.

– Chodź.

Nie mogłem oderwać wzroku od zdjęcia. Wiedziałem, że „Róg Afryki” oznaczał Somalię i że to stamtąd pochodziła jego rodzina, ale nie miałem pojęcia, co było takiego interesującego w tej fotografii, że tak go zahipnotyzowała.

– Abdi!

Wyjął komórkę i sfotografował nią to zdjęcie.

– W porządku – powiedział, zerknąwszy na ekran telefonu. Poszedł ze mną, ale wkładając kurtkę, co chwila oglądał się na tamtą fotografię, a gdy szliśmy do samochodu, obrócił się, by zobaczyć ją jeszcze po raz ostatni.

– Coś obaj jesteście bardzo cisi – powiedziała mama w drodze do domu.

– To ze zmęczenia – odparłem i wydawało się, że ta odpowiedź ją usatysfakcjonowała. Włączyła radio.

Nie wiedziałem, dlaczego Abdi był taki cichy. To do niego nie pasowało. Może też był zmęczony. Chętnie pozwoliłem mu na odpoczynek – później został nam jeszcze plan do zrealizowania.

Kiedy jechaliśmy do domu, patrzyłem przez okno samochodu i myślałem o tym, czy tata pomógł tamtym ludziom, gdy już zrobił im zdjęcia.

Dom Edwarda i Fiony Sadlerów jest bardzo wysoki. W georgiańskim kwartale w Clifton Village, gdzie większość budynków podzielono na mieszkania, oni mają cały dom dla siebie. Fasada jest wyjątkowo zadbana. Pokrywający ją wapień, wydobywany w okolicach miasta Bath, jest czysty i ma złoty odcień, a szyby w oknach lśnią. Pośrodku kwartału mieści się zamknięty ogród, gdzie bujną zielenią otaczają ozdobne czarne barierki z kutego żelaza.

– Jasna cholera – mamrocze Woodley.

Idziemy wyłożoną płytkami ścieżką prowadzącą do drzwi frontowych. Na grządkach wzdłuż ścieżki rozkwitłe już żonkile zostały ułożone w schludne wiązki, a połyskliwe pąki tulipanów przebijają się na powierzchnię gleby. Po obydwu stronach drzwi rosną ciemnoróżowe cyklameny, a z brzegów ich donic wylewa się bluszcz.

Naciskam dzwonek. Jego dźwięk dochodzi jakby z oddali.

Gdy Edward Sadler otwiera drzwi, wygląda marnie jak cholera, mimo że jest wysokim mężczyzną, podobnego wzrostu co ja, i ma szerokie ramiona.

Zachęciwszy nas, żebyśmy usiedli w eleganckim, komfortowym salonie, od razu się załamuje – łokcie na kolanach, głowa skryta w dłoniach, palce mokre od łez.

Czekamy z Woodleyem, aż odzyska panowanie nad sobą, po czym składam mu wyrazy współczucia w związku z rokowaniami Noaha. Nie brzmią nawet odrobinę mniej drętwo niż wtedy, gdy w tych samych słowach zwróciłem się do Fiony Sadler.

Kiwa głową na znak, że usłyszał. Jego myśli krążą jednak wokół czegoś innego.

– Wczoraj wieczorem zalałem się w sztok. Ciągle myślę o tym, że gdybym tego nie zrobił, sprawy mogłyby się potoczyć inaczej.

Pomijając jego użalania się nad sobą – ów lament spod znaku „gdybym tylko”, podnoszony przez ofiary albo ich bliskich podczas niemal każdej sprawy, przy której pracowałem; przewidywalny, zrozumiały, ale bynajmniej niepomocny – łagodnie kieruję rozmowę w stronę przesłuchania.

– Mógłby nam pan powiedzieć co nieco o Noahu?

– Jest bardzo bystry. To po żonie. – Usta mu drżą. Prawie pojawia się na nich uśmiech. Przypuszczam, że parę razy rzucił już tym żartem; deprecjonuje samego siebie, żeby ludzie poczuli się swobodniej w jego towarzystwie. Pozwala to złagodzić efekt, jaki wywiera jego wygląd samca alfa.

– Noah urodził się, gdy byliśmy bardzo młodzi. Wcale nie byliśmy ze sobą jakoś szczególnie długo. Ja dopiero zaczynałem karierę, a Fi

studiowała rytownictwo. Była – jest – utalentowaną artystką. Z miejsca mocno się w sobie zakochaliśmy i zaczęliśmy się spotykać. Wprawdzie już wtedy sporo podróżowałem, ale ona dołączała do mnie, kiedy tylko mogła; pozwalały jej na to wszystkie te długie wakacje i przerwy świąteczne. Mieliśmy frajdę, naprawdę sporo frajdy. To były dobre czasy. Nie planowaliśmy ciąży, ale gdy się przytrafiła, cieszyliśmy się, kiedy już minął początkowy szok. Zamieszkaliśmy w Bristolu, tak żeby Fi mogła być blisko swoich rodziców, mieliśmy też na tyle szczęścia, że od jej rodziny dostaliśmy pieniądze na zakup domu, więc urządziliśmy się tu całkiem nieźle. Fi stworzyła sobie pracownię w ogrodzie. Praca szła mi dobrze, więc zacząłem podróżować coraz więcej i więcej, a choć żona nie mogła mi już dłużej towarzyszyć, to pod moją nieobecność pomagali jej rodzice. Dawaliśmy sobie radę. Czuliśmy, że los się do nas uśmiecha. A z Noahem nie mieliśmy żadnych problemów. Był cudownym dzieciakiem. Chodzącym promykiem słońca.

Wyczuwam, że niebawem nastąpi „do czasu, gdy...” i że ich wspólne życie dzieli się na „przed” i „po”. Nie przerywam mu. Jeśli świadek zaczyna mówić, to mu się na to pozwala i słuca się go bardzo uważnie.

– Postanowiliśmy, że nie będziemy mieć kolejnych dzieci, bo zaczęliśmy w tak młodym wieku, no i Noah dawał nam poczucie spełnienia. Kiedy skończył sześć czy siedem lat i mieliśmy już za sobą ten wczesny okres, życie było świetne. Byliśmy szczęśliwi i szczerze mówiąc, czuliśmy, że udało nam się przewyciężyć trudności związane z nieplanowaną ciążą. Trzymając się razem, udowodniliśmy wielu ludziom, że się co do nas mylili! Ale nagle wszystko się rozpadło, zupełnie niespodziewanie. Zmarli rodzice Fi, jedno po drugim, w odstępie kilku miesięcy. Jako że była z nimi tak blisko, na długi czas doszczętnie ją to rozbiło. Minęły całe wieki, zanim znowu stanęła na nogi. Wkrótce potem szkoła powiadomiła nas, że Noah ma krwotok z nosa, którego nie można zatamować. Tak się to wszystko zaczęło. Po długiej wędrówce po lekarzach i szpitalach mieliśmy już oficjalną diagnozę: rak.

– Ile lat miał wtedy Noah?

– Osiem.

– Tak mi przykro.

Pochyla głowę, unosi ręce, po czym znów je opuszcza. Zastanawiam się, ile już razy w ciągu tych lat on i jego żona musieli dziękować innym ludziom za okazywane współczucie. To na pewno nie jest łatwe.

– Dziecko z rakiem nie ma żadnego życia. Gdy Noahowi postawiono diagnozę, był już na tyle duży, by bardzo głęboko odczuć, że choroba sprawia, iż różni się od kolegów i koleżanek. Miał świadomość, jak wiele rzeczy go omija. Wyczekiwał kolejnych terapii i jednocześnie się ich bał. No a teraz...

Głos znowu mu się załamuje, a dłonie zaciskają w pięści. Spogląda w sufit, jak gdyby liczył, że tam znajdzie odpowiedzi. Woodley i ja czekamy w ciszy, dając mu czas.

– Teraz, ledwo gdy znaleźliśmy się w położeniu, którego zawsze się obawialiśmy – końca tego wszystkiego, sytuacji, której staraliśmy się uniknąć przez siedem lat – teraz wydarzyło się to. Ale wie pan, Noah jest twardy. Wyjdzie z tego. Musi. Mamy już plany na te najbliższe miesiące.

Z powrotem opada na leżące na kanapie poduszki i przesuwa dłonią po włosach. Wodzi oczami od jednego z nas do drugiego, a wzrok ma badawczy i zdesperowany.

– Czy czuje się pan na siłach, żeby odpowiedzieć na jeszcze kilka pytań, panie Sadler? Jeśli nie, możemy porozmawiać później.

Ciężko wydycha powietrze i zdobywając się na wysiłek, prostuje się, by wyglądać na bardziej skupionego. Z holu dobiega monotonne tykanie zegara.

– Załatwmy to teraz. Proszę pytać o wszystko, co może się okazać pomocne; tyle tylko że niedługo będę musiał wracać do szpitala. I proszę mi mówić Ed. Nie znoszę oficjalnych formułek. Są tak bezsensowne.

– Chciałbym wiedzieć wszystko, co tylko możesz mi powiedzieć, o przyjaźni chłopców – proszę.

– Są najlepszymi przyjaciółmi. Bez dwóch zdań znają się jak łyse konie. Abdi to fantastyczny dzieciak i był jak dar niebios, gdy Noah zaczynał szkołę średnią. W trakcie leczenia Noah na tak długo wypadł z systemu szkolnego, że martwiliśmy się, że się w nim nie odnajdzie, ale chłopcy już pierwszego dnia się zaprzyjaźnili i od tego czasu są nierozłączni.

Dokładnie taką odpowiedź męża przewidziała Fiona Sadler.

– Czy wymkniecie się z domu jest zachowaniem, którego spodziewałbyś się po którymś z nich?

– Nie bywam w domu tak często, jak powinienem, więc to Fionę należy uznać za specjalistkę od spraw Noaha, ale trudno mi sobie wyobrazić bardziej nieprawdopodobne zachowanie z ich strony. Chłopaki są typami kujonów. Chodzą na zawody szachowe. Uczą się razem. Odbija im, jeśli nie dostaną plusa za najmniejsze zadanie domowe. No więc nie, wyrwanie się nocą z domu było ostatnią rzeczą, jakiej bym się po nich spodziewał.

W sposobie, w jaki o tym wszystkim opowiada, wyczuwam coś, co każe mi przypuszczać, że on sam w wieku syna był zupełnie inny – i wciąż jest jako dorosły mężczyzna. Bardzo ciekawi mnie jego opinia o tej sprawie, bo odnoszę wrażenie, że gdyby Noah przejawiał jakieś buntownicze zachowania, Ed Sadler powitałby je z otwartymi ramionami, a przynajmniej byłby gotów przyjąć je do wiadomości. Jego stosunek do syna nie wydaje się tak opiekuńczy jak żony.

Do rozmowy włącza się Woodley:

– Twoja żona wspomniała nam, że ta przyjaźń mogła nie być zbyt zdrowa dla Noaha. Możesz się do tego jakoś odnieść?

Ed Sadler wzdycha.

– Trudno mi o tym mówić. No dobra. Słuchajcie. Sprawy mają się tak: życiem Fiony od lat rządzi choroba Noaha i chyba możecie sobie wyobrazić, jak to na nią wpływa. Tęskni za „normalnością”. Jest przekonana, że kibicowałem przyjaźni Noaha i Abdiego dla własnej korzyści, i ma mi to za złe, bo wolałaby, żeby Noah poznał kolegę, którego matka będzie mogła pójść z nią na kawę albo na zmianę z nią zawozić chłopców do szkoły. Być jej przyjaciółką. I między nami mówiąc, myślę, że to właśnie wpłynęło na opinię Fiony o Abdim. Nigdy w pełni nie poparła tej znajomości. Moim zdaniem się myli, sądzę, że Abdi jest dla Noaha świetnym przyjacielem, ale chyba rozumiecie, jak jej podejście do własnej sytuacji mogło wpłynąć na postrzeganie przez nią Abdiego. Fi od bardzo dawna znajduje się pod niewyobrażalną presją.

Wyjątkowo ostrożnie dobiera słowa. Zastanawiam się, jakie zyski mogło mu przynieść to, że Fiona najwyraźniej całkowicie oddała się opiece nad Noahem – sporą dawkę wolności, to na pewno. Widać, że Ed Sadler bardzo mocno kocha syna, lecz w żadnym momencie tej rozmowy nie wspomniał o ciężarze zajmowania się Noahem jako o czymś, co podejmowałby wspólnie z żoną. W każdym razie doceniam jego szczerość.

– To bardzo uczciwa odpowiedź.

– Nie sądzę, żeby w tym punkcie życia, w którym się znaleźliśmy, wykręty miały jakikolwiek sens.

Trudno mi się z tym spierać.

– A zatem, tak dla jasności, wczoraj wieczorem nie widziałeś niczego, co kazałoby ci przypuszczać, że chłopcy albo się pokłócili, albo planowali wymknąć się z domu?

– Nic nie widziałem. Nie wiem, dlaczego to zrobili, Fiona też nie. Wieczór był udany. Latami przygotowywałem tę wystawę. To było wielkie wydarzenie dla mnie i mojej kariery, ale także dla nas wszystkich jako rodziny. Kiedy usłyszeliśmy rokowania Noaha, długo i poważnie zastanawialiśmy się nad odwołaniem wernisazu, ale Noah nalegał, żebyśmy się nie wycofywali.

Oczy ponownie ma wilgotne od łez. Mocno wciska pięści w kieszenie, jak gdyby chciał je zetrzeć na pył.

– Moglibyśmy zerknąć na pokój Noaha? – pytam. Chcę wyrobić sobie o tym chłopcu jakieś pojęcie, które nie będzie związane z tym smutnym obrazkiem, jaki wyniosłem ze szpitala.

– Oczywiście, że tak. – Ed Sadler wstaje szybko, jak gdyby cieszył się ze zmiany tematu, i prowadzi nas po dwóch kondygnacjach schodów.

Gdy wkraczamy z Woodleyem do pokoju Noaha, jego ojciec przystaje na chwilę w progu.

– Zostawiam was samych – mówi. – Abdi też tutaj wczoraj nocował.

Kiedy odchodzi, rozglądam się dokoła i momentalnie nasuwa mi się kilka spostrzeżeń. Pierwsze jest najbardziej oczywiste: pokój Noaha Sadlera bez wątpienia można uznać za świadectwo dorastania pełnego przywilejów – dopóki nie zauważy się przyborów medycznych.

Otwieramy z Woodleyem szuflady i starannie przyglądamy się rzeczom znajdującym się na biurku. Gdy pracujemy, w rogu powoli obraca się miniaturowa replika balonu na ogrzane powietrze, pamiątka po bristolskim festiwalu baloniarskim.

Pościel na łóżku Noaha jest pomięta i rozkopana, wygląda dokładnie tak, jakby jej właściciel wymknął się chyłkiem w środku nocy. Obok na podłodze leży rzucona niedbale piżama. W rogu stoi składane łóżko – widać, że z niego też ktoś korzystał, ale wokół nie ma żadnych szpargałów, które jednoznacznie można by uznać za własność Abdiego.

– Może spał w innym pokoju – rzuca Woodley.

Rozejrzawszy się po przylegającej do pokoju łazience, stwierdza:

– Nie ma nawet drugiej szczoteczki do zębów.

– Być może Abdi postanowił wrócić do siebie, spakował i zabrał swoje rzeczy. Mogli się o coś pokłócić. Może Abdi wybiegł wściekły i Noah ruszył za nim? – myślę na głos, galopując przez kolejne scenariusze i starając się zachować otwarty umysł.

– Może. Powinniśmy zapytać Sadlera, czy on albo jego żona sprzątnęli rzeczy Abdiego.

– Zdecydowanie nie sądzę, żeby to zrobili. To prawdopodobnie ostatecznie, co przysłoby im dzisiaj do głowy.

– Słuszna uwaga. – Woodley otwiera szafę, w której walają się ubrania Noaha. Na dnie leży sterta butów. Dokładnie takiego widoku spodziewałem się w pokoju nastolatka.

Moją uwagę przyciąga tylko jedno. Nad łóżkiem Noaha zawieszono oprawiony w ramki cykl rysunków. Każdy z nich przedstawia drogę i otaczający ją krajobraz, i każdy jest inny. Rysunki są szczegółowe i pieczołowicie wykonane. Praca nad nimi musiała trwać godzinami. Wszystkie podpisano: „NS”.

Kiedy schodzimy na dół, pytam o nie Eda Sadlera, na co on po raz pierwszy okazuje lekkie zakłopotanie.

– Noah chodzi na terapię – odpowiada. – W szpitalu. Żeby mógł sobie lepiej radzić z chorobą. Głównie opiera się ona na rozmowie, ale jej częścią jest też terapia przez sztukę, lekarze twierdzą, że to pomaga w wyrażaniu samego siebie, no więc Noah raz na jakiś czas rysuje tego typu obrazki. Mówią o jego podróży przez życie czy coś w tym rodzaju. Fi upiera się, żeby rozwieszać je na ścianach, ale szczerze mówiąc, nie

jestem pewien, czy to znowu takie zdrowe. Sam kieruję się raczej zasadą „trzeba iść do przodu”. Pomysł, żeby roztrząsać wszystko w nieskończoność, trochę mnie przeraża.

Kiedyś miałem takie samo nastawienie do terapii, ale to było jeszcze zanim mnie zmuszono, bym zmienił perspektywę i dwa razy w tygodniu przez sześć miesięcy siadał naprzeciwko doktor Manelli w jej przyciemnionym gabinecie, którego miękkie meble wydawały się zaprojektowane w taki sposób, by wchłaniały emocjonalny ból. Zawstydzienie Eda Sadlera faktem, że jego syn chodzi na terapię, nie budzi we mnie jednak neofickiego zacietrzewienia, bo w moim przypadku nic nie jest jeszcze przesądzone.

– Terapeuta, z którym widuje się Noah, przyjmuje w szpitalu – dodaje Ed. – Wydaje mi się, że Noah dość go polubił. Chodzi do niego już od lat. Lekarze, którzy opiekują się Noahem, twierdzą, że rozmowy dobrze mu robią, więc tak.

– W pokoju Noaha nie znaleźliśmy nic, co należałoby do Abdiego.

– To dlatego, że jego siostra wpadła tu dziś rano i zabrała jego rzeczy. Była przy tym Alvard, nasza pomoc domowa.

Zostawiamy go, żeby mógł wypocząć. Wydaje się równie załamany jak jego żona.

– Chciałbym porozmawiać z tym terapeutą – rzucam, gdy jedziemy z powrotem do komendy.

– A co z klauzulą poufności?

– I tak warto spróbować. Nie mamy nic do stracenia.

Kiedy wieczorem wracam do domu, po drodze zatrzymuję się po coś do zjedzenia. Ledwo przekraczam próg pobliskiej chińskiej restauracji, pani Chin wykrzykuje do męża: „Specjalny smażony ryż dla specjalnego inspektora, raz!”.

W oczekiwaniu na zamówienie siadam przy jednym z wyszorowanych, podniszczonych stolików z laminowanego tworzywa i myślę o dwóch rodzinach, które dziś poznałem, oraz o tym, jak wszyscy generalnie zgadzają się w ocenie łączącej chłopców relacji – wszyscy z wyjątkiem Fiony Sadler. Doświadczenie nauczyło mnie, by nie ignorować intuicji matek, pani Sadler jest jednak matką znajdującą się w bardzo nietypowym położeniu. Dziś wieczorem szpital dał znać, że stan Noaha Sadlera pozostaje stabilny, więc przynajmniej tyle dobrego.

Przeglądam egzemplarz lokalnego szmatławca, który ktoś zostawił na stoliku. W jednym z artykułów, zawierającym komentarze wielu bristolskich szych, wciąż omawiane są przykre skutki antyimigranckiego marszu, który odbył się w zeszłym tygodniu.

Burmistrz Tony Harris wydał następujące oświadczenie: „Bristol to miasto dla wszystkich i różnorodne. Z dumą przyjmujemy ludzi wszystkich wyznań i narodowości. Gdybyśmy tylko dysponowali środkami umożliwiającymi

powstrzymanie Marszu Białej Nacji, bez wątpienia byśmy po nie sięgnęli”.

W dalszej części tekstu opisywane są szkody powstałe wskutek zamieszek i szacunkowe koszty napraw, jakich będą potrzebowały miasto i lokalne przedsiębiorstwa. W artykule bez chwili wahania winą obarcza się „w najlepszym razie godne pożałowania, w najgorszym – rażąco niekompetentne” próby zapanowania nad sytuacją podjęte przez policję. Nie wróży to dla nas dobrze.

Pani Chin, podając mi zamówione jedzenie, jak zwykle komentuje mój singielski tryb życia:

– To niezdrowo, żeby przystojny mężczyzna co wieczór jadał sam, inspektorze!

– Dziękuję, pani Chin. Staram się, by się to zmieniło.

Do torebki z moim daniem wrzuca ciasteczko z wróżbą.

– Może to przyniesie panu szczęście w miłości!

– Będę panią informował na bieżąco.

Kiedy przed ostatnim odcinkiem drogi do domu zdejmuję blokadę z roweru i wieszam torbę z kolacją na kierownicy, słyszę sygnał mojej komórki. Sprawdzam na wyświetlaczu, kto dzwoni. Nie ma zbyt wielu osób, od których telefon byłby dla mnie zaskoczeniem, ale to zdecydowanie jedna z nich.

– Becky?

– Jim. Nie byłam pewna, czy wciąż korzystasz z tego numeru.

– Sporo czasu minęło.

– Gdzie jesteś?

– W... dlaczego pytasz?

Odkąd moja siostra odeszła z domu, prawie w ogóle się z nią nie widywałem, a jeśli już, to tylko w trakcie uroczystości rodzinnych, gdy nasza matka sięgnęła po wystarczająco mocny szantaż emocjonalny, by ściągnąć nas oboje do domu. Na tego typu spotkania Becky przychodziła wyłącznie wtedy, gdy miała pewność, że nie trafi na ojca. Po raz ostatni widziałem się z nią na jego pogrzebie. Kiedy przeniosłem się do Bristolu, mieliśmy wyskoczyć na drinka – ona bowiem mieszkała tu już od jakiegoś czasu – ale tak się jakoś złożyło, że spotkanie nigdy nie doszło do skutku.

– Jestem pod twoim mieszkaniem. Nie mam się gdzie zatrzymać.

Pięć minut później znajduję ją siedzącą na frontowych schodach i ledwo ją rozpoznaję. Ma długie, brudne blond dredy z powczepianymi w nie koralikami, jej kości policzkowe są ostro zarysowane, a same policzki zapadnięte. Jedno oko ma podbite i opuchnięte. Na mój widok podnosi się sztywno.

– Proszę, nic nie mów – rzuca.

Stosując się do jej prośby, zakładam blokadę na rower, otwieram frontowe drzwi i gestem zapraszam ją do środka. W eleganckim holu

mojego budynku wydaje się kimś nie na miejscu. Proponuję, że poniosę spory plecak, który ma ze sobą, ale ona odmawia. Z wysiłkiem zarzuca go sobie na ramiona i idzie za mną po schodach.

Nigdy wcześniej nie była w moim mieszkaniu i teraz dostrzegam, że rozgląda się po nim zdrowym okiem. Nakładam specjalny smażony ryż do dwóch misek i wręczam jej jedną z nich. Je bardzo szybko. Zauważam, że jej palce są brudne, a na obojczyku też ma siniaki.

Odzywamy się jednocześnie:

– Zamierzasz mi powiedzieć...

– Mogę pomieszkać u ciebie przez jakiś czas?

Ostatniego wieczoru, w którym ja i moja siostra mieszkaliśmy pod tym samym dachem, ojciec ją uderzył, na odlew, aż wpadła na ścianę kuchni. Ojciec włożył w ten cios sporo energii, tak dużo, że półka z przyprawami spadła z haczyków i rąbnęła o podłogę tuż obok Becky. Towarzyszyła temu wielobarwna eksplozja ziół i proszku. Nasza matka lubiła eksperymenty kulinarne.

W chwili, gdy to się wydarzyło, jadłem paluszki rybne. Matka była wtedy w szopie, do której poszła, żeby przynieść z zamrażarki lody na deser. Becky dużo czasu zajęło podźwignięcie się na nogi, a kiedy już jej się to udało, była oszołomiona. Ojciec odwrócił się do niej plecami, żeby wyjąć z kredensu wykonaną z rżniętego szkła szklankę na whisky, a gdy to robił, Becky opuściła cicho kuchnię i poszła na górę spakować swoje rzeczy. Na dywanie zostawiła za sobą ścieżkę czerwonych od przypraw śladów stóp. Tuż przed tym zajściem ojciec dowiedział się, że Becky była gdzie indziej, niż mu powiedziała.

Niedługo później, kiedy przeciągała walizkę przez próg frontowych drzwi, przypatrywałem się z kuchni i starałem się dokończyć swój posiłek, mimo że już dawno wystygł. Byłem grzecznym chłopcem. Czulem przerażenie. Widziałem, jak matka wciska Becky do kieszeni banknoty, które wyjęła ze spiżarnianej puszki, i próbuje położyć córce dłoń na policzku, ale spotyka się jedynie z odtrąceniem. Widziałem, jak wylewa do zlewu lody neapolitańskie, które się roztopiły. Ręce drżały jej pod tryskającą wodą i nie zakręcała kranu przez długi czas.

Tamtej nocy ojciec siedział za zamkniętymi drzwiami swojego gabinetu; podobnie było w ciągu kolejnych dni, gdy wracał z pracy. Tydzień później zastąpił poplamiony papryką dywan nowym, osobiście doglądając przymiarek, a ponadto tego samego dnia z pianina zniknęły zdjęcia Becky. Nigdy więcej o niej nie wspomniał.

Pierwszej nocy po zjawieniu się w moim mieszkaniu Becky nic nie opowiada. Oddaję jej sypialnię i kładę się na kanapie, mówiąc sobie, że to bez znaczenia, że sprężyny wbijają mi się w plecy, bo i tak nie byłbym w stanie zasnąć.

1 W.B. Yeats, *Pod Ben Bulben*, przeł. Ludmiła Marjańska.

Dzień drugi

Jest mi gorąco.

Tata mówi:

– Dlaczego miałyby do tego dojść?

– Najprawdopodobniej to infekcja, która błyskawicznie rozwinęła się w ciągu nocy. Naszym priorytetem jest ustabilizowanie temperatury Noaha, dopiero później zbadamy przyczyny.

Te słowa wypowiedział lekarz. Lekarz, którego nie znam i którego nie mogę zobaczyć. Nie podoba mi się jego wysoki głos. Irytuje mnie. Słyszę dużo szurania butami i skrzypnięć. Stałem się przeczulony na dźwięki. Myślę, że wokół mojego łóżka stoi kilka osób.

– Temperatura powinna spaść bardzo szybko. W każdym razie o to nam chodzi.

– Sporo tego lodu.

– Zostawimy go na tak długo, jak będzie trzeba, i wymienimy na nowy, jeśli okaże się to konieczne.

– On będzie czuł ten lód?

– Wątpię – odpowiada lekarz, ale na wszelki wypadek podnosi głos i mówi: – Noah, kładziemy wokół ciebie trochę lodu, bo dostałeś bardzo wysokiej gorączki i musimy ją zbić.

Mam ochotę powiedzieć: „Proszę, nie róbcie tego”. Boję się gorąca, ale zimna również. Nie wiem, czy będę w stanie je wytrzymać.

Nadal jednak nie mogę mówić, więc pozostaje mi jedynie leżenie. Dzieje się coś dziwnego. Nie czuję chłodu swoim ciałem, ale za to mózg zabiera mnie na wycieczkę po wspomnieniach miejsc, gdzie dawniej było mi zimno – stok narciarski, lodowisko, na którym trzymałem się plastikowego pingwina, szpitalne łóżko, w którym leżałem, gdy po jednej z operacji temperatura gwałtownie mi spadła i dostałem niedających się opanować dreszczy, i na końcu, oczywiście, woda kanału. Przypominam sobie, jak trudno było się poruszyć w tej wodzie i jak mocno ciągnął mnie nurt. Przypominam sobie poczucie bezsilności, identyczne jak wtedy, gdy nafaszerują cię taką ilością toksycznych leków, że masz wrażenie, jakbyś był kruchy jak skorupka jajka.

Najgorszą i najtrudniejszą operacją, jaką przeszedłem, był przeszczep komórek macierzystych; pozostałe odpadają w przedbiegach. Ta

transplantacja cię niszczy, rozwała cię na kawałki. Przez kilka dni płonęło mi gardło, będące wtedy jednym wielkim wrzodem, a za sprawą morfiny swędziało mnie całe ciało i miałem halucynacje, że w rogu pokoju siedzą małe stworzonka. Poza tym jest to poniżające – musieli mnie karmić przez rurkę i co jakiś czas myć jak niemowlę.

Po czymś takim trudno spojrzeć ludziom w oczy.

Abdiemu nie wolno było mnie odwiedzać, bo po przeszczepie komórek macierzystych nie można przyjmować gości. Ponieważ zabieg niszczy ci układ odpornościowy, musisz być przez dłuższy czas odizolowany, żeby uniknąć kontaktu z zarazkami roznoszonymi przez innych ludzi. Co oznacza, że kiedy już wróciłem do szkoły, nie widziałem Abdiego od tygodni. Bardzo chciałem się z nim znowu zobaczyć, więc to, co się zdarzyło, było dla mnie szokiem.

Poprosiłem mamę, żeby podrzuciła mnie do szkoły przed czasem, bo Abdi zawsze był na miejscu zaraz po otwarciu. Znalazłem go w stołówce, gdzie zazwyczaj się spotykaliśmy. Siedział z kimś innym – nowym chłopcem. Zobaczywszy mnie, zerwał się z krzesła i nas sobie przedstawił. Chłopak nazywał się Imran Fletcher-Kapoor. Nie sądzę, żeby Abdi faktycznie chciał mnie aż tak zszokować, ale prawdę mówiąc, mógł się zachować z dużo większym wyczuciem. W ogóle mnie nie ostrzegł, tylko najzwyczajniej fakt, że poznał nowego przyjaciela, zwał mi prosto na głowę.

Imran był silnym chłopcem o gęstych, czarnych, lśniących włosach. Szybko mówił i bez wątpienia robił szybkie postępy na froncie przyjaźni, musiałem mu to przyznać. W ciągu zaledwie kilku tygodni namówił Abdiego, żeby rzucił kółko informatyczne i zamiast tego zaczął chodzić z nim na badminton.

Zaproponowali mi, żebym poszedł z nimi i się poprzyglądał. W porównaniu z nimi byłem jak kundel. Niechciany, dziwny z wyglądu i tyle razy kopnięty, że niezdolny do niczego poza kuleniem się. Usiadłem na jednej z ławek stojących przy korcie do badmintonu, skąd klaskałem i wiwatowałem, gdy Imran i Abdi obracali się w moją stronę po udanym serwisie. Z początku ze spokojem przyglądałem się, jak przybijają piątki i żółwki, ale kiedy Abdi wyrzucił rękę w powietrze i wydał okrzyk, pomyślałem: Serio? To naprawdę konieczne, żeby zaimponować Imranowi?

Po powrocie ze szkoły moje myśli przez cały wieczór krążyły wokół Imrana. Powiedziałem o nim mamie, a ona stwierdziła:

– Rzeczy się zmieniają, Noah. Czasami jedyne, co możemy zrobić, to nauczyć się sobie z tym radzić.

Po tych słowach przypomniała mi się jej rozmowa z tatą, którą podsłuchałem świeżo po tym, jak wróciłem do szkoły po pierwszej serii zabiegów.

– Nie poradzę sobie z placem zabaw – powiedziała. – Ta rywalizacja, ci ludzie, którzy wypytują mnie o Noaha, chociaż wiem, że tak naprawdę nic ich on nie obchodzi, po prostu chcą mieć o czym plotkować. Wszystkim odpowiadam zdawkowo. Znienawidzą mnie za to. Prawdopodobnie już mnie nienawidzą, bo myślą, że zarazę ich naszym pechem.

Nawet ja dostrzegłem jej przemianę z mamy lubiącej pogaduszki w mamę, która na placu zabaw trzyma się z daleka od innych.

– Nie mogę nawet normalnie odpowiedzieć na ich pytania. – Tutaj odgrywa przykładową rozmowę: „Co dziś porabiałaś?”, „Och, wzięłam mojego bobasa na pływalnię, upiekłam organiczne babeczki na kiermasz dobroczynny, no i podpisałam petycję przeciwko nowym przepisom parkingowym na głównej ulicy miasta. A ty?”, „Och, usunęłam synowi cewnik Hickmana i zawiozłam pojemnik na odpady medyczne z powrotem do szpitala. Potem bardzo się ucieszyłam, bo Noahowi udało się zjeść połowę czekoladowego batonika, co, prawdę mówiąc, należy uznać za znakomite osiągnięcie w żywieniu jak na ten tydzień!”. Przecież nie mogę tak z nikim rozmawiać! Odstraszę tym każdego.

– Gdy to się skończy, ludzie okażą ci wsparcie. A przynajmniej ci z nich, którzy naprawdę się liczą.

– Łatwo ci mówić.

W dniu, w którym Imran pojawił się w moim życiu, mama ożywiła się na myśl o możliwych skutkach tego, że Abdi poznał nowego przyjaciela:

– Jeśli nie lubisz Imrana, możesz sobie poszukać nowego kręgu znajomych.

Nigdy bym tego nie zrobił. Zależało mi tylko na Abdim.

Następnego dnia, na lekcji francuskiego – gdy Imran wreszcie nie stał nam na drodze, bo był w innej grupie – powiedziałem Abdiemu:

– Wiesz, nie musisz się tak popisywać przed Imranem.

– Wcale się nie popisuję!

Chciał coś dodać, ale w tym momencie do klasy weszła nauczycielka i wszyscy podnieśliśmy się z miejsc. Gdy całą grupą mówiliśmy „Bonjour, madame”, stał, jakby połknął kij.

Nie udało mi się wytrzymać do końca lekcji. Kiedy zgłosiłem madame Moreau, że czuję się bardzo słabo, kazała Abdiemu zaprowadzić mnie do szkolnej pielęgniarki. W drodze powiedziałem mu:

– No wiesz, po prostu o jedną rzecz za wiele.

– Według mnie byłeś dzisiaj bardzo silny – odparł.

Kiedy następnego dnia zjawiłem się w szkole, Abdi znowu był w towarzystwie Imrana, a także grupki innych chłopców, zachwyconych obrzydliwą sztuczką Imrana polegającą na wywinięciu powiek.

Nie sądziłem, żeby rozmowa z Abdim mogła coś zdziałać, skoro ostatnim razem tak się zjeżył, postanowiłem więc potajemnie wystawiać go na próby. Chciałem się dowiedzieć jedynie tego, czy okaże się na tyle dobrym przyjacielem, by wciąż ze mną trzymać, czy też postawił na mnie krzyżyk, tak jak Matthew po odwiedzeniu mnie w szpitalu.

Pierwszą z prób przeprowadziłem tego samego dnia po południu. Gdy przyszedłem do sali, w której mieliśmy przyrodę, Imran zaprosił mnie gestem do swojego stolika laboratoryjnego. Stoliki te były przeznaczone dla dwóch osób. Zignorowałem go jednak, a on stał tam w fartuchu ochronnym i goglach, unosząc dłonie w geście, który zdawał się mówić: „No cóż, próbowałem”.

Pomyślałem, że wyglądał głupio. Zająłem miejsce przy innym stanowisku, koło drzwi.

Kiedy zjawił się Abdi, spojrzał najpierw na Imrana, a potem na mnie. Było widać, że bije się z myślami. Powiedziałem:

– Zaklepałem ci miejsce. – Co irytujące, wciąż wydawał się mieć wątpliwości, z kim powinien pracować, więc dodałem: – Obiecałeś mi, że zrobimy ten eksperyment razem.

– Serio?

– Absolutnie. – Nie była to prawda.

Gdy usiadł obok mnie, dałem mu prezent – w nagrodę za to, że przeszedł próbę. Oczywiście, nie wspomniałem mu o tym. Po prostu wręczyłem mu bardzo fajny ołówek automatyczny o grubych wymienialnych wkładach, który jakiś czas temu dostałem od mamy za to, że „dzielnie zniosłem nakłucie łądzwiowe”. Ołówek był czerwony. Abdi ucieszył się z niego, bo jego rodzice, którzy nie mieli za wiele pieniędzy, kupowali mu ołówki w supermarkecie, a grafity w nich co chwila się łamały.

Później jeszcze wiele razy wystawiałem go na próbę. Nie wysyłałem mu esemesów jako pierwszy, żeby się przekonać, czy sam się odezwie. Wychodziłem z różnych miejsc bez pożegnania, żeby sprawdzić, czy zauważy. Jak sądzę, czasami podejrzewał, że go testuję, czasami nie. Niektóre próby przeszedł pomyślnie, inne oblał. Gdy zamiast mnie wybrał Imrana albo o mnie zapomniał, czułem się niepotrzebny, a to z kolei wpływało niekiedy na moje samopoczucie. W takich sytuacjach zawsze chciałem, żeby to Abdi odprowadził mnie do gabinetu pielęgniarki. Upewniłem się, by wszyscy nauczyciele wiedzieli, że ma to być on.

Trochę to zajęło, ale w końcu próby odniosły skutek. Abdi zdał sobie sprawę, że miałem rację – nie mógł jednocześnie być moim najlepszym przyjacielem i Imrana. Wydawało się oczywiste, że Imranowi nic się nie stanie; w międzyczasie nawiązał mnóstwo nowych znajomości. Rozmieniał się na drobne. Ostateczny dowód przyniosła sytuacja, kiedy

Imran bez trudu znalazł sobie nowego kompana do badmintonu po tym, jak Abdi zaczął znowu chodzić ze mną na kółko informatyczne. Powiedziałem wtedy Abdiemu:

– Ci sportowcy to i tak nie są ludzie w naszym typie.

Po tym zdarzeniu znowu staliśmy się sobie bliscy. Wspólnie odrabialiśmy zadania domowe, wspólnie zajmowaliśmy się projektami, wspólnie chodziliśmy na kółka zainteresowań, i wszystko było tak, jak przed moją ostatnią operacją.

Moi rodzice nie wiedzieli o jednym – przed przyjęciem, które tata zorganizował w galerii, Abdi i ja obmyśliliśmy plan. Dotyczył czegoś, co chcieliśmy zrobić po wernisażu.

„Lista postanowień i planów do zrealizowania przed śmiercią, punkt nr 8: Doświadczyć rytuału przejścia. (Jak dla mnie to postanowienie równie dobrze mogłoby brzmieć «Napić się piwa z kumplem», ale nie powiedziałem o tym tacie, bo kiedyś zasugerował, że mógłbym się napić z nim. To był fajny pomysł, no ale bądźmy poważni, kto u diabła decyduje się przebyć rytuał przejścia ze swoim tatą?)”.

Plan ten miał swoje wady, bo wiedziałem, że Abdi nie sięgnie po alkohol, ale nie wydawało mi się, by to stanowiło jakiś problem. Chodziło głównie o to, żebyśmy wymknęli się z domu i zrobili razem coś fajnego i żebym miał okazję poczuć się jak prawdziwy nastolatek.

Wrażenie gorąca, które narasta w moim ciele, staje się przytłaczające. Otumania mnie, praży, sprawia, że czuję się jak w piecu. Ni stąd, ni zowąd zaczynam myśleć tylko o Kocie Procie i jego wielkim wiatraku. Chciałbym, żeby skierował płynące z niego powietrze prosto na mnie. Łód chyba nie spełnia swojego zadania.

Mam świadomość, że wokół mnie panuje cisza, choć wcześniej rozbrzmiewały rozmowy, i zastanawiam się, dlaczego nie słyszę rodziców i czy w ogóle są tutaj ze mną. Wraz z temperaturą narasta we mnie panika. Nie chcę tkwić tu sam, nawet przez pięć minut. Dłużej tego nie wytrzymam. Nie potrafię znieść gorąca. Muszą coś z nim zrobić. Mój paraliż powinien już ustąpić, powinienem móc otworzyć powieki, powinienem znowu być w stanie mówić. Boję się, że mój stan się pogarsza, zamiast się poprawiać. Umierać w takich okolicznościach, pozostając uwięzionym we własnym ciele przez Bóg wie jak długo, byłoby czymś okropnym.

Przytłacza mnie przemożna potrzeba, by zobaczyć miejsce, gdzie jestem, ludzi znajdujących się dookoła mnie i wszystkie te znajome rzeczy, które mama przynosi do szpitala, żeby jakoś umilić wygląd sali. Dla uspokojenia zaczynam wyliczać te przedmioty.

Byłby tutaj mój stary pluszowy piesek. Wiem, że jestem już za duży na tego typu rzeczy, ale lubię go mieć przy sobie, żeby przynosił mi szczęście.

Chcę zobaczyć kubek karmelowych czekoladek na stoliku przy łóżku. To moje ulubione, zawsze tam są, na wypadek gdybym odzyskał apetyt. Ponadto w lodówce znajdującej się w pokoju dla rodziców mama zostawia torbę jabłek odmiany Pink Lady, tak bym mógł sobie je przegryźć, jeśli kiedyś przyszlaby mi na nie ochota; byłyby chrupiące i chłodne.

Chcę zobaczyć pielęgniarki i lekarzy, których znam, a nie tych obcych, co wystają tu nade mną.

A przede wszystkim – chcę zobaczyć rodziców.

Bardzo się boję.

Boję się, że utknę tak na wieczność i że mogę umrzeć. Nie tak, jak to sobie wyobrażałem, tylko zamknięty we własnym ciele. Niby w towarzystwie ludzi, ale jednak bez nich. Bez szansy, by coś powiedzieć albo wyjaśnić. Sam.

– Siostró! – woła mama. – Siostró!

Słyszę tupot błyskawicznych kroków.

– On płacze – mówi mama. – Niech pani zobaczy. On płacze.

– Noah – łagodnie zwraca się do mnie pielęgniarka – jesteś w stanie zasygnalizować nam, dlaczego płaczesz? Coś cię boli? Możesz dać nam jakikolwiek znak?

Ich głosy odpływają jak przeganiane po niebie strzępki chmur i nie pozostaje nic poza białym, palącym słońcem, którego żar pochłania wszystko.

* * *

Następnego ranka muszę wyjść do pracy, jeszcze zanim Becky się obudzi.

Nie dostaliśmy ze szpitala żadnej informacji o tym, czy stan Noaha Sadlera uległ w ciągu nocy jakiejś zmianie, więc stawiam kawę na biurku Woodleya i proszę go, żeby zadzwonił na oddział, na którym leży chłopak.

– To jakaś łapówka? – pyta, podnosząc wieczko, by zerknąć na zawartość kubka.

– Jak najbardziej. Powiedziano mi, że to jedno z kluczowych narzędzi menedżerskich.

– Mnie tam pasuje, szefie.

Zgodnie z informacją, którą znajduję na karteczce przyklepionej do mojego biurka, część nagrań z kamer przemysłowych jest już gotowa do obejrzenia. Kiedy Woodley kończy rozmawiać przez telefon, idziemy znaleźć funkcjonariusza, który godzinami ślęczał nad nagraniami wideo.

– Udało mi się tylko złapać pielęgniarkę – mówi mi Woodley po drodze – ale powiedziała, że z tego, co wie, stan chłopaka jest stabilny, i że gdyby coś się zmieniło, dopilnuje, by nas powiadomiono.

Pierwsze z nagrań, które przygotował dla nas posterunkowy, pokazuje Noaha i Abdiego mijających katedrę i kierujących się na wschód, przez College Green, w stronę centrum miasta. Chłopcy idą razem, ramię w ramię. Noah Sadler niesie plecak – wygląda na ciężki. Kamera uchwyciła ich z góry, więc bardzo trudno zobaczyć, jaki mają wyraz twarzy, ale z ich mowy ciała można wyczytać wiele. Cokolwiek robią, robią to wspólnie.

– Udało nam się odzyskać ten plecak? – pytam.

Posterunkowy kręci głową.

– Chłopak niesie go na wszystkich ujęciach, które widziałem, więc musiał przepaść w miejscu zdarzenia albo w jego pobliżu. Możliwe, że dzieciak miał go na plecach, gdy wpadł do kanału.

– W takim razie musiałyby go zdjąć w wodzie.

Posterunkowy wzrusza ramionami.

– Mogło tak być. Jeśli chłopak miał go na plecach, to sądząc po wyglądzie, musiał go szybko ściągnąć w dół.

Woodley wpatruje się w zatrzymany obraz.

– Wydają się tutaj całkiem przyjaźnie nastawieni do siebie – stwierdza.

– To nie trwa długo – odpowiada posterunkowy.

Kolejne ujęcie przedstawia most Pero Jonesa. Biegnie nad portem dokładnie w środku miasta. Kłębi się nad nim mgła – to część instalacji artystycznej, o której lokalne media trąbią od tygodni.

– Wychodzą stąd – mówi posterunkowy, wskazując niewielką lukę między budynkami, a chwilę później widzę, jak chłopcy wyłaniają się razem i kierują w stronę mostu. Od ostatniego nagrania do tego upłynęło sporo czasu. Minęło co najmniej dwadzieścia minut, choć obydwie kamery dzieli zaledwie pięć minut drogi, jeśli nie mniej.

Chłopcy wchodzą na most i momentalnie spowija ich mgła.

– Jak na złość, przez tę mgłę na moście widać ich tylko chwilami, ale można zobaczyć, jak coś kombinują... o, tutaj... – Funkcjonariusz przewija nagranie do przodu i je zatrzymuje. – Przypatrzcie się uważnie – mówi. Kolejny kawałek odtwarza w mocno zwolnionym tempie. Na materiale wyświetlanym klatka po klatce wygląda to tak, jakby Noah Sadler przeszkodził Abdiemu, gdy ten wpatrywał się w jakiś przedmiot, po czym wytrącił mu to coś z ręki. Posterunkowy robi zbliżenie na rozmyty kształt leżącego na nawierzchni mostu przedmiotu.

– Myślę, że wytrąca Abdiemu Mahadowi komórkę – stwierdza. – A ta wpada do wody.

Oglądamy ten fragment jeszcze kilka razy i przyznaję

posterunkowemu rację.

– Może nad idyllą zawisła jakaś burzowa chmura? – pyta Woodley. – Zazwyczaj tak bywa.

Posterunkowy posyła nam pytające spojrzenie.

– Ci dwaj są podobno najlepszymi przyjaciółmi.

– Obejrzałem to już ze dwadzieścia razy i wciąż nie jestem w stanie stwierdzić, czy zrobił to przypadkowo, czy nie. Resztę nagrania zasłania mgła. Okropnie to wkurzające.

Odtwarza nam kolejne nagranie.

– Następnym razem widzimy ich tutaj – mówi. – Jakieś czterysta metrów za mostem.

Noah Sadler przechodzi przez jezdnię, sam. Idzie teraz szybciej, ręce w kieszeniach, głowa pochylona, plecak wciąż na ramionach. Na tyle, na ile potrafimy ocenić wyraz jego twarzy i chód, jest zmęczony. Znika za kadrem.

– Chwila – mówi posterunkowy. Wpatrujemy się w puste przejście dla pieszych i już po kilku sekundach pojawia się Abdi Mahad, podążający śladami kolegi. Ma na głowie kaptur i idzie lżejszym krokiem niż Noah, ale nie wygląda na to, żeby śpieszył się, by do niego dołączyć. Nie jesteśmy w stanie zobaczyć jego twarzy.

– Coś jeszcze? – pytam, gdy Abdi zniknął już z kadru.

Funkcjonariusz kręci głową.

– Wciąż pracuję nad zdobyciem nagrań z kamer rozlokowanych wokół miejsca zdarzenia – mówi Woodley. – Na samym złomowisku nie ma żadnego monitoringu, a odnalezienie właścicieli pobliskich magazynów to z lekka koszmar.

– Potrzebujemy ich jak najszybciej.

Odwracam się z powrotem w stronę ekranu.

– No to co takiego stało się na moście – mówię – by rozdzielić chłopców i później sprawić, że Abdi poszedł za Noahem?

Oglądamy fragmenty raz po raz, przetrząsając je w poszukiwaniu wskazówek – jakiegoś gestu, czegokolwiek, co mogłoby nam powiedzieć coś nowego – ale efekty są mizerne. Jedyne, co wiemy na pewno, to to, że na ostatnim nagraniu Noah Sadler idzie z trudem i że Abdi Mahad podąża w stronę stacji. Czy robi to, bo chce mu pomóc, czy też zrobić mu krzywdę, i czy Noah zdaje sobie sprawę z jego obecności – nie sposób jednoznacznie określić.

W stołówce, przy automacie z przekąskami, wpadam na Fraser. W rękę trzyma opakowanie groszku z wasabi i przygląda mu się podejrzliwie.

– Jadłeś to kiedyś, Jim?

– Dobrze są.

– Mam wątpliwości. – Upuszcza opakowanie z powrotem na tackę,

zamiast niego bierze paczkę chipsów i przechodzi dalej.

Idę za nią do automatu z napojami, z którego bierze sobie kawę i wsypuje do niej dwie torebki cukru. Gdy wybieram wodę gazowaną, Fraser unosi brwi.

– Zalecenie lekarskie – mówię. – Ze względu na bezsenność muszę ograniczać kawę.

– I właśnie dlatego unikam lekarzy. Usiądź ze mną na chwilę, Jim.

Zajmujemy miejsca przy oknie. Z kuchni dobiegają odgłosy przyjaznych pogaduszek i dolatuje zapach gotowanego jedzenia.

– Emma Zhang – mówi Fraser, a dźwięk tego imienia i nazwiska, rzuconych ni stąd, ni zowąd, niemalże przyprawia mnie o dreszcz. Fraser mi się przypatruje, ale jej niebieskoszare oczy są nieprzeniknione. Wiedziała, że w trakcie śledztwa w sprawie Bena Fincha Emma i ja byliśmy parą, ale nie dobrała mi się do skóry z tego powodu, nawet kiedy wszystko się posypało. Nie mam pojęcia, do czego teraz zmierza.

– Tak. – To najbezpieczniejsza odpowiedź, jaka przychodzi mi do głowy. Zachowuję czujność, bo nie wiem, w którą stronę skręci ta rozmowa. Zdejmuję przykrywkę ze swojego kubka z wodą i zaczynam żałować, że nie wziąłem kawy.

– Miałeś z nią jakiś kontakt od czasu sprawy Bena Fincha?

– Nie, szefowo.

– Zupełnie żadnego?

– Zupełnie. – To najprawdziwsza prawda. Nawet nie szukałem jej w Google'u, choć odkąd się rozstaliśmy, myślałem o niej prawdopodobnie każdego dnia. Przed namierzeniem jej nowego adresu powstrzymywała mnie duma.

Fraser kiwa głową. Pociąga łyk kawy, głośno przy tym siorbiąc.

– Powinieneś wiedzieć, że znowu dała o sobie znać.

– Co?

Wzdycha.

– Słuchaj, nie przydzieliłabym ci tej sprawy, gdybym wiedziała, że do tego dojdzie, ale jest, jak jest. Masz przy sobie telefon?

Biorę go do ręki i unoszę.

– Wygoogluj swoją sprawę, „Nastolatek z kanału Feeder” czy jak tam chcesz.

Gdy czekam, aż wyświetlą się wyniki, czuję, że noga zaczyna mi nerwowo drgać. Odsuwam ją daleko od nogi Fraser.

– Masz tam artykuł z „TwentyFour7 News”?

Potakuję.

– Otwórz go i przejedź na sam dół.

Oto jest: zdjęcie mojej byłej, a obok napis „Emma Zhang, reporterka od spraw kryminalnych”.

Kiedy przenoszę wzrok na Fraser, potakuje.

– Opisuje twoją sprawę. Pierwszy raz słyszymy, żeby zajęła się dziennikarstwem, i nie wróży to dla ciebie dobrze, oj nie. Nie planuję jednak odsuwać cię od śledztwa, o ile tylko twoim zdaniem zbytnio cię to nie rozproszy.

Gapię się na zdjęcie Emmy. Po raz ostatni widziałem ją ponad rok temu, więc czuję się teraz tak, jakby ktoś przyłożył mi w brzuch.

– Jim?

– Tak, pewnie, że będzie w porządku. Nie musisz odsuwać mnie od sprawy.

– Nie zabrzmiało mi to jakoś szczególnie przekonująco.

– Wybacz, szefowo. Naprawdę: będzie w porządku.

– W związku z tą swoją nową rolą jest teraz osobą w najwyższym stopniu toksyczną. Mam nadzieję, że to rozumiesz. Popatrz na mnie, Jim.

Kładę telefon na stole ekranem w dół i skupiam na niej całą uwagę, chociaż mam wrażenie, że słyszę, jak krew gna mi od jednego ucha do drugiego.

– Relacja osobista z ekspolicjantką opisującą sprawę, którą się zajmujesz, byłaby czymś absolutnie niedopuszczalnym. Czy twoje uczucia do niej to już zamknięty rozdział?

– Tak, szefowo.

– Na pewno?

– Tak.

– Wcześniej mogłam przymknąć na to oko, ale drugi raz nie będę w stanie tego zrobić. Nie teraz. Muszę mieć pewność, że to dla ciebie całkowicie jasne.

Wstaję z krzesła.

– Moje uczucia do Emmy Zhang stanowią już zamkniętą przeszłość i nie istnieje żadna możliwość, żebym ponownie wszedł z nią w związek.

Zdaję sobie sprawę, że brzmi to idiotycznie oficjalnie, jak gdybym przetłumaczył to zdanie z innego języka, ale nie jestem w stanie wydobyć z siebie nic lepszego.

– W takim razie w porządku. – Nie wygląda na stuprocentowo przekonaną.

Czekam, aż zostanę sam, po czym znowu googluję Emmę.

Ta twarz. Te włosy. Te oczy.

Moja wina.

* * *

Następnego ranka Sofia budzi się późno i jest zmęczona bezsenną nocą, podczas której zamartwiała się papierami z gabinetu Eda Sadlera

i nagrany rozmową, próbując dociec, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie, a jeśli tak, to jakie.

Nie ma czasu, żeby spróbować omówić ten temat z rodzicami albo Abdim – musi biec na autobus i zdażyć na zajęcia – ale wręcza matce iPada, mówiąc, że koniecznie powinna posłuchać tego nagrania. Pokazuje Maryam, którym przyciskiem włącza się odtwarzanie.

Przed wyjściem przystaje na chwilę w progu pokoju brata i szepcze jego imię. Abdi porusza się lekko w łóżku i gdy już przez moment w Sofii zaczyna narastać nadzieja, chłopak ponownie nieruchomieje. Zła na niego Sofia wchodzi do pokoju i dźga go palcem w ramię. Jest zszokowana, kiedy ten nagłym, brutalnym ruchem macha ręką w jej kierunku, nieomal ją uderzając. Sofia wycofuje się z pomieszczenia.

W tej samej chwili, gdy Sofia zajmuje miejsce w sali uniwersyteckiej i zastanawia się, jak się dziś skupi na wykładzie o opiece nad noworodkami, Nur wraca do domu z nocnej zmiany. Tej nocy miał niewielu klientów, został zatem dłużej w pracy, by złapać pasażerów wysiadających z porannego pociągu i jakoś odrobić nocny zastój. Kiedy więc wraca do domu, towarzyszą mu zmęczenie i obawa.

Wchodząc do mieszkania, z wyrazu twarzy Maryam od razu wyczytuje wszystko. Jeszcze zanim zerka do pokoju Abdiego, wie, że nie ma żadnej poprawy.

– Czyje to? – pyta, widząc trzymanego przez żonę iPada.

– Abdi wypożyczył to ze szkoły. Usiądź. Musisz czegoś posłuchać.

Włącza nagranie. Dźwięki są tak ciche, że Nur ledwo słyszy wypowiedane zdania, ale gdy próbuje pogłościć, Maryam go powstrzymuje, wskazując znacząco na półotwarte drzwi do pokoju Abdiego.

Kiedy nagranie dobiega końca, Nur mamrocze pod nosem somalijskie przysłowie. Gdyby miał je dosłownie przetłumaczyć, mógłby powiedzieć: „Jeśli jako sześciolatek zostałeś ugryziony przez węża, zginiesz od tego ukąszenia w wieku lat sześćdziesięciu”. Maryam w mig podchwytuje znaczenie: „Zło prędko nie odpuszcza”.

Spogląda na męża.

– On o czymś wie – mówi.

Nur ma co do tego wątpliwości.

– Zadaje pytania, owszem, ale nie wiemy, co dokładnie wie.

– Powinniśmy to przy nim odtworzyć? Zapytać go o to? – Ta myśl napawa ją przerażeniem.

– Nie.

– Powinniśmy powiedzieć o tym policji?

Nur zastanawia się przez chwilę.

– Nie sądzę, żeby miało to coś wspólnego z tym, co stało się Noahowi. Porozmawiamy z Sofią, jak wróci do domu. Powiem jej to. Nie martw się.

Gdy Nur obejmuje ją ramieniem, na Maryam spływa wielka ulga, że mąż przejął kontrolę nad sytuacją. Ma wrażenie, że nie byłaby teraz w stanie podjąć choćby jednej rozsądnej decyzji. Od lat nie czuła się tak wyczerpana, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Otwiera to furtkę dawnej panice, zdolnej znów przytłoczyć ją tak, jak to się stało tuż po ich przyjeździe do Wielkiej Brytanii, kiedy wszystko było dla niej do tego stopnia obce, że myślała, iż poczucie osamotnienia nie opuści jej już nigdy.

Sofia, słuchając wykładu, na przemian traci i odzyskuje koncentrację. Slajdy prezentacji ukazują inkubatory i drobniutkie ciała o skórze sprawiającej wrażenie delikatnej jak bibułka. Myśli Sofii zaczynają krążyć wokół tych dzieci, tygodniami balansujących na granicy życia i śmierci. Kiedy mieszkali w obozie Hartiszejk, jej matka urodziła dziecko podobne do tych pokazywanych na ekranie. Sofia miała tylko parę sekund, by spojrzeć na twarz noworodka, bo po chwili został owinięty w tkaninę. To była dziewczynka; zdążyła w swoim życiu wziąć zaledwie kilka oddechów.

Wiele godzin później Sofia szła przez obóz u boku rodziców, kierując się ku miejscu pochówku. Maryam ciężko opierała się na ramieniu Nura. Uparła się, że chce zobaczyć pogrzeb swojego dziecka. Gdy dotarli na miejsce, Nur na zmianę z innymi mężczyznami kopał dół, podczas gdy kobiety zawodziły żałobnie. W oddali, za granicą obozu, gdzie Sofii nie wolno było chodzić ze względu na grasujących tam zbirów, dziewczyna zobaczyła zbierające chrust kobiety. Szukały ciernistych krzewów, których gałęzie srebrnymi kolcami odcinały się na tle zmieniającego się nieba.

Gdy dół został wykopany, Nur wszedł do niego, a Maryam podała mu dziecko, żeby mógł je delikatnie ułożyć. Tkanina, którą dziewczynka była owinięta, miała jasnoniebieski kolor. Sofia pamięta, jak Nur wygramolił się z grobu i nad nim przykucnął; palce stóp i sandały miał pobrudzone ziemią. Pamięta sposób, w jaki położył dłonie na czole, przeciągał palcami po włosach; skórę głowy i skronie pokrywał mu pot. Pozostali mężczyźni zasypali ciało dziecka czerwoną ziemią, głosy kobiet unosiły się i opadały, a Sofia kurczowo przywarła matki. Brzegi sukni Dirac² Maryam pochwyił wiatr i zaczął je nimi chłostać.

Owinięta w niebieską tkaninę siostra Sofii nie była pierwszym dzieckiem, jakie pochowano w obozie. Była jednym z wielu.

Gdy wykład dobiega końca, Sofia omija swoich znajomych i jak najszybciej wymyka się z sali. Idzie kampaem w stronę biblioteki, gdzie zdejmuje z półek kilka potrzebnych jej książek. Bibliotekarka z uśmiechem kiwa jej głową, a Sofia odwzajemnia pozdrowienie. Dzięki ciepłemu uśmiechowi, uprzejmości i chęci pomocy innym Sofia jest lubiana, mimo że trzyma się na uboczu.

Kiedy jeszcze była w szkole, spostrzegła, że niektóre muzułmańskie dziewczyny, które w początkowych klasach ją ignorowały, później się do niej zbliżyły – stało się to w wieku, gdy część dziewcząt niebędących muzułmankami zaczęła ostro imprezować i chodzić na randki. Zmiany w stylu życia, wywołane nadchodzącą dorosłością, wystawiły ich międzywyznaniowe przyjaźnie na ciężką próbę, za to krąg znajomych Sofii się powiększył. Wiele na tym zyskała – zapoczątkowało to jej pewność siebie, która od chwili, gdy zapisała się na uniwersytet, ciągle rosła.

Sofia wkłada książki do plecaka i kieruje się w stronę przystanku, żeby złapać autobus do domu.

Po godzinach spędzonych w nocy na rozmyślaniu nad sprawą nagrania, teraz, zyskawszy okazję do zastanowienia się nad nią na chłodno, ma do niej bardziej racjonalne podejście. Doszła do wniosku, że to niemal na pewno materiał mający posłużyć do szkolnego projektu Abdiego. Wyjaśniałoby to też wydruki, które położył na wierzchu Ed Sadler; Abdi nieraz już wykorzystywał swoje etniczne korzenie w szkolnych pracach. Sofii jest przykro, że brat zwrócił się do Eda Sadlera zamiast do rodziców, choć rozumie powody tej decyzji – dla Maryam i Nura życie w obozie, podobnie jak narodziny Abdiego, stanowiło temat tabu.

Po racjonalnej analizie tej sprawy Sofia czuje się lepiej, o wiele lepiej. Niemniej jakaś jej część zdaje sobie sprawę, że prawdopodobnie powinna wspomnieć śledczemu o iPadzie, w razie gdyby miało mu to pomóc. Postanawia, że zadzwoni do niego i opowie o nagraniu i o tym, że według niej powstało ono na potrzeby szkolnego projektu.

Idąc z przystanku autobusowego w stronę domu, wyjmuje z torebki telefon. Zapisła sobie w nim numer inspektora Clemo po tym, jak zostawił w ich mieszkaniu wizytówkę.

Śledczy odbiera błyskawicznie.

* * *

Po powrocie do domu powiedziałem mamie, że idziemy z Abdim się położyć, bo jestem bardzo zmęczony. Wyglądało na to, że jej ulżyło.

– Nie dziwię się. To był wielki wieczór – odpowiedziała. – Całe to udzielanie się towarzysko też mnie wymęczyło. Dziękuję wam za pomoc, chłopcy.

Abdi od razu poszedł na górę, ale ja zostałem jeszcze parę minut, żeby móc megamocno mamę uściskać, tak jak wcześniej tatę. Powiedziałem jej: Kocham cię (patrz „Lista postanowień i planów do zrealizowania przed śmiercią, punkt nr 7: Upewnić się, że inni wiedzą,

jak bardzo są dla ciebie ważni”). Wiem, że zdaniem mamy tatę Kocham mocniej niż ją, bo jest bardziej wyluzowany i skłonny do zabaw, ale to nieprawda. Jasne, tata jest bardziej wyluzowany i skłonny do zabaw, ale nikt inny nie walczył o mnie tak jak mama. Nikt.

Gdy szedłem po schodach, odprowadzała mnie wzrokiem, rękę miała opartą na końcu poręczy. Kładąc się do łóżka, pomyślałem o tym uścisku – i wszystkich tych rzeczach, które miałem nadzieję za jego pomocą przekazać. Byłem tak wykończony, że zasnąłem, zanim Abdi skończył myć zęby.

Kiedy o pierwszej w nocy zadzwonił mój budzik, Abdi mocno spał. W pierwszej chwili pomyślałem, że jestem stanowczo za bardzo zmęczony, żeby wychodzić, ale zbeształem samego siebie w myślach („Lista postanowień i planów do zrealizowania przed śmiercią, punkt nr 9: Nie tracić czasu”), wstałem i zacząłem się ubierać.

Kiedy skończyłem, nogi miałem jak z galarety, wciąż wyczerpane po wernisażu, lecz postanowiłem, że nie pozwolę, by to mnie powstrzymało.

Potrząsnąłem Abdim, żeby go obudzić.

– Co? – zapytał. Wyglądał na wymiętego i zmęczonego.

– Już pora.

Spodziewałem się, że wyskoczy z łóżka. Nakłonienie go do udziału w dzisiejszym nocnym wypadzie przebiegło łatwiej, niż przypuszczałem, więc wydawało mi się, że kiedy nadejdzie czas, wciąż będzie chętny, ale on tylko na mnie popatrzył. Zamiast oczu miał dwie ciemne kałuże.

– A musimy iść?

– No weź! Będzie fajnie, wiesz przecież.

Kiedy po raz pierwszy przedstawiłem Abdiemu mój plan, odpowiedział: „Nie ma mowy”. Wiedziałem, że na początku odmówi. Boi się robienia niegrzecznych rzeczy. Powiedziałem mu:

– Słuchaj, nie zrobimy niczego, co faktycznie byłoby złe. Wyskoczmy tylko, żeby zobaczyć coś bardzo fajnego. No weź! Nie bądź takim nudziarzem.

Trudno było mi nie mówić mu o moich rokowaniach, ale obstawałem przy swojej decyzji, bo jeśli bym mu powiedział, nie udałoby mi się przekuć naszego wypadu w doświadczenie, na którym mi zależało, czyli w porządną rytuał przejścia. Wszystko by się przez to zmieniło i zrobiło smutne i dziwne, a ja czułbym się skrępowany. Musiałem więc użyć innych metod perswazji, no ale całkiem nieźle sobie z tym radzę. W końcu go przekonałem.

– Dobra – powiedział wreszcie. – Dobra, dobra, dobra! – Wstał z łóżka, ubrał się i włożył buty, chwiejąc się przy tym na jednej nodze. Pamiętał, żeby być cicho.

Zarzuciłem na ramiona plecak – który spakowałem jeszcze przed

przyjęciem – i starałem się nie załamać pod jego ciężarem. Abdi zaproponował, że go poniesie, ale odmówiłem, bo jego zawartość stanowiła tajemnicę. Skinąłem na niego, żeby zszedł za mną po schodach. W całym domu panowała ciemność. Moi rodzice spokojnie spali. Prześlizgnęliśmy się do przedsionka i otworzyłem frontowe drzwi. Wcześniej ćwiczyłem bezszelestne otwieranie ich i zamykanie i teraz udało mi się to zrobić idealnie. Gestem dałem Abdiemu sygnał, żeby przy rogu podjazdu szedł za mną ostrożnie, tak by nie zachrząścił rozsypany tam żwir.

Gdy znaleźliśmy się już poza domem i pokonaliśmy ładny kawałek drogi, nakręciłem się. Chciałem, żeby Abdi poczuł równie duży entuzjazm jak ja, ale on powiedział tylko:

– Co jeśli twoi rodzice zauważą, że nas nie ma?

– Nie zauważą! – odparłem. Byłem tego całkiem pewien. Właśnie dlatego akurat dzisiaj postanowiłem zaprosić Abdiego na noc. Mama i tata zawsze głęboko śpią po kieliszku.

Jedynym drobnym problemem było to, że zrobiło się już znacznie chłodniej, a ja nie pomyślałem, że mogą się nam przydać kurtki. Wydychane przez nas powietrze zamieniało się w mgiełkę. Było też dziwniej, niż zakładałem. Ulice były puste, jeśli nie liczyć lisa, który dysząc, stał w cieniu żywopłotu. Miał spuszczone głowę, oklapnięte uszy i prawie żadnej sierści, a jego skóra wyglądała na chropowatą i obtartą.

– Chyba zdycha – powiedziałem Abdiemu.

Trzymaliśmy się przeciwnej strony ulicy. Ranne zwierzę może zaatakować.

Byłem zadowolony ze swojej odwagi. Jedyne, co nie grało, to humor Abdiego. Wydawało mi się, że powinien ze mną gadać i wczuwać się w atmosferę naszego wypadu, ale był bardzo cichy i martwiłem się, że może w każdej chwili pobiec z powrotem do domu.

– Nie będziesz tego żałował, obiecuję – powiedziałem.

– A jeśli zatrzyma nas policja?

– Dlaczego w ogóle coś takiego przyszło ci do głowy? No weź.

Wyglądał dziwnie, trochę jakby był chory, i przez chwilę odrobinę mu współczułem, bo szczerze mówiąc, sam też się bałem. Nie zamierzałem jednak rezygnować.

Żeby oddalić się od ciemnych, wywołujących ciarki ulic, ruszyliśmy ze wzgórza ku przystani – prawie biegnąc, bo tak było stromo – po czym szliśmy ścieżką tuż nad wodą. Łodzie przycumowane w porcie fajnie wyglądały, podświetlone w ciemności. Wszystkie światła odbijały się w wodzie. Abdi często się rozglądał i pomyślałem, że zaczęło mu się podobać.

W pobliżu osiedla wielkich nowoczesnych apartamentowców odbiliśmy od nabrzeża i skierowaliśmy się w stronę College Green. Złota

cegła stojącej przy tym skwerze katedry lśniła w świetle reflektorów, choć witraże w oknach pozostawały ciemne niczym wielkie, puste, prowadzące dokądś portale. Pośrodku skweru grupka chłopaków siedziała na ławkach i przyglądała się, jak grupka innych robi triki na deskorolkach. Puszczała muzykę i pili coś z puszek.

– Chodź – powiedział Abdi, kiedy zatrzymałem się, żeby popatrzeć. Szarpnął mnie za rękaw. Naciągnął kaptur na głowę i odwracał twarz od tamtych chłopaków, jak gdyby bał się, że go zobaczą.

– O co ci chodzi? – zapytałem. Chciałem się poczuć odważny, nie w szpitalny, nagradzany badziewnymi naklejkami sposób, tylko odważny naprawdę, życiowo, więc się nie poruszyłem. Stałem i przyglądałem się skejtom.

– Chodźmy już stąd – nalegał Abdi.

– Nic nam nie zrobią! – odparłem.

– Jak jesteś czarny, wygląda to inaczej – powiedział; a przynajmniej tak mi się wydawało. Trudno było go usłyszeć, bo nadal odwracał twarz od chłopaków siedzących na ławkach. Znowu pociągnął mnie za rękaw. Byłem przekonany, że przesadza.

– Puszcza! – Nie chciałem powiedzieć tego tak głośno.

Kilku chłopaków odwróciło się w naszą stronę.

– Na co się gapicie? – rzucił jeden z nich.

– Na nic – odparł Abdi. Oddalił się na krok.

Ja się nie ruszyłem. Tej nocy liczyła się odwaga.

– Czego się gapisz, dzieciaku? – Chłopak wstał. Miał długie włosy, nosił opuszczone w kroku spodnie, a w ręce trzymał puszkę.

– Daj mu spokój – powiedział któryś z grupki.

Chłopak zignorował uwagę i nadal szedł powoli w moją stronę.

– Ile ty masz lat, dwanaście? – prychnął, zbliżywszy się do mnie. Miał spoconą twarz. Pociągnął spory łyk piwa z puszki. – Wracaj do domu, chłopaczku.

Serce biło mi mocno i szybko, ale nie ruszyłem się z miejsca, nawet gdy zbliżył się do mnie jeszcze bardziej. Postawiłem to sobie za punkt honoru. Nachylił się nade mną.

– Noah! – krzyknął Abdi.

Chłopak zbliżył swoją twarz do mojej.

– Buu! – rzucił, obryzgując mnie drobinkami śliny zmieszanej z piwem.

Wrzasnąłem, a Abdi złapał mnie i odciągnął w bok, po czym uciekliśmy ile sił w nogach. Tamci wybuchnęli śmiechem.

Popędziliśmy w dół biegnących przy katedrze schodów i zatrzymaliśmy się dopiero tam, gdzie drzwi w ścianie świątyni zapewniły nam pogrążone w cieniu miejsce, w którym mogliśmy złapać oddech.

Niełatwo mi odsunąć od siebie myśli o Emmie, ale telefon Sofii Mahad trochę w tym pomaga. Proszę Woodleya, żeby znalazł kogoś, kto pójdzie po tego iPada. Chcę wysłuchać nagrania, o którym mówi dziewczyna, a ponadto przyjrzeć się wszelkim wiadomościom, jakie Abdi mógł wysłać i odebrać za pomocą tego urządzenia.

Rozmawiając w cztery oczy z Fraser, proszę ją, żeby brygada nurków zaczęła poszukiwać jednocześnie telefonu i plecaka.

– Ustal priorytety – mówi mi, kiedy wyjaśniam, że zależy mi na przeczesaniu dwóch miejsc. – Budżet magicznie nam się nie powiększył. Wprawdzie mam tutaj całkowitą władzę, ale nie liczę, że cudownie rozmnożę pieniądze wydziału.

Podejmuję decyzję, że prawdopodobnie telefon jest ważniejszy, bo może nam coś powiedzieć o tym, jak przebiegała komunikacja między Abdim i Noahem. Zaczynam przypuszczać, że jeśli doszło do przestępstwa, to motywu należy szukać w tym, co zaszło między chłopakami. Fraser daje mi zielone światło.

Wybieramy się z Woodleyem do szkoły chłopców. Medes College zajmuje wąski teren w centrum miasta, więc przez dziesięć minut szukamy miejsca do zaparkowania. Gdy czekamy, aż dyrektorka wygospodaruje dla nas chwilę, czytam tekst w gablotce w holu, który powiadamia mnie, że ta szkoła zapewni mojemu dziecku edukację niezbędną do rozwoju osobistego, a także najnowocześniejsze udogodnienia.

Dyrektorka mnie zaskakuje – jej głos ma chropawą tonację wieloletniej miłośniczki klubów jazzowych; w takiej szkole jak ta spodziewałbym się raczej akcentu kogoś z wyższych sfer. Ma na sobie granatowe spodnie, ozdobione kunsztowną emaliowaną broszką wpiętą w klapę zakietu, nosi perłowe kolczyki i okulary do czytania, zawieszane na cienkim złotym łańcuszku. Zajmowane przez nią pomieszczenie jest spore i – pomimo zawieszonej na drzwiach pretensjonalnej tabliczki z napisem GABINET DYREKTORKI – skromnie urządzone. Snop światła słonecznego przecina witrażową szybę i pada na oparcie fotela. Siadamy wokół stolika, na którym artystycznie rozłożono broszury reklamujące szkołę. Asystentka przynosi kawę.

Powiedziano nam, że szkoła jeszcze nie została powiadomiona o śmiertelnej prognozie Noaha. Sadlerowie chcieli się z tym wstrzymać do czasu, aż zaplanują ostatnie miesiące życia chłopaka.

– Co mogłaby nam pani powiedzieć o chłopcach? – pytam. To ogólne pytanie, ale jestem ciekaw, co jako pierwsze przyjdzie jej do głowy.

– Obaj są bardzo grzeczni i bardzo bystrzy, szkoła niezwykle ich ceni.

– Czy dobrze rozumiemy, że chłopcy się przyjaźnią?

– Tak, bardzo. Kiedy tylko Noah jest w szkole, wydają się wprost nierozłączni. Oczywiście zdają sobie panowie sprawę z problemów, które powodują, że Noahowi z trudem przychodziło utrzymanie frekwencji?

– Owszem.

– Doprowadziło to do licznych nieobecności, ale mimo to odznacza się on bardzo dużą pilnością, zaś jego wyniki w nauce pozostają znakomite. Odwaga, jaką wykazuje, jest wprost niezwykła.

– Kiedy chłopcy zaczęli tu uczęszczać?

– Obydwaj przyszedli do nas tuż po ukończeniu szkoły podstawowej, choć Noah pojawił się kilka tygodni po rozpoczęciu roku szkolnego ze względu na tok leczenia. Zanim został naszym uczniem, przez kilkanaście miesięcy uczył się w domu, ale przedtem był objęty systemem edukacji szkolnej. Abdi Mahad zdobył u nas miejsce w ramach stypendium Barkera, programu, który prowadzimy we współpracy ze szkołami podstawowymi znajdującymi się w niektórych uboższych rejonach Bristolu. Naprawdę sprostał temu wyzwaniu. Jesteśmy niezmiernie dumni z jego dotychczasowych osiągnięć.

– Powiedziała pani: stypendium Barkera? – Woodley robi notatki.

– Tak! Nazwaliśmy je imieniem naszego dawnego ucznia, Jolyona Barkera. Tak się składa, że był on rówieśnikiem Eddiego Sadlera, ojca Noaha. Sądzę, że wciąż się przyjaźnią. Stypendium pokrywa koszty szkolnego mundurka i przejazdów, jak również chesne. To bardzo hojna inicjatywa.

– Wie pani może, czy to prawdopodobne, by Abdi pracował nad projektem lub zadaniem związanym z obozami dla uchodźców, Somalią albo jakimś pokrewnym tematem? – Sofia Mahad zasugerowała mi to, kiedy zadzwoniła, żeby powiedzieć o nagraniu z iPada Abdiego.

Dyrektorka kręci głową.

– Nie. Obydwaj chłopcy latem przystąpią do egzaminów końcowych. Do tego czasu będą całkowicie skupieni na programie. Wszelkie projekty będą się wiązały wyłącznie z egzaminami. – Spogląda na kartkę leżącą na jej kolanach. – Jak widzę, Abdi nie jest zapisany na geografii, a to jedyny przedmiot, jaki przychodzi mi teraz do głowy, na którym tego rodzaju opracowanie miałyby rację bytu.

– Czy pani zdaniem przyjaźń chłopców można uznać za zdrową?

– Absolutnie! Bardzo. Dla obydwu z nich jest to piękna przyjaźń. Relacje, jakie nawiązują między sobą nasi najzdolniejsi uczniowie, niejednokrotnie okazują się nadzwyczaj owocne.

Sztywny uśmiech; optymizm nałożony na twarz niczym kolejna warstwa makijażu.

– Czy moglibyśmy porozmawiać z kimś, kto na co dzień ma bliższy kontakt z chłopcami?

Zupełnie nie kupuję tej optymistycznej gadki, którą wciska nam dyrektorka. Zdaję sobie sprawę, że w tego rodzaju szkole jej rola jest w głównej mierze symboliczna i polega na reklamowaniu placówki wśród rodziców potencjalnych nowych uczniów i chronieniu jej wizerunku przed niekorzystnym przedstawieniem w mediach. Poza tym mógłbym się założyć, że żadnego z tych chłopców nie zna zbyt dobrze.

Podnosi słuchawkę stojącego na biurku telefonu i wciska przycisk.

– Czy mogłabyś zerknąć na rozkład zajęć i sprawdzić, czym zajmuje się teraz pan Jacobson? – pyta. – To wychowawca chłopców – wyjaśnia nam, zasłaniając dłonią słuchawkę. Przez chwilę milczy, słuchając odpowiedzi, po czym się rozłącza. – Niestety, prowadzi właśnie lekcję gimnastyki.

– To może my do niego pójdziemy? – proponuję. – Chcielibyśmy tylko zamienić kilka słów.

Dyrektorka prowadzi nas na salę gimnastyczną; gdy idziemy przez kampus, jej szpilki stukają energicznie. Tereny dookoła są wypielegnowane i ładne.

Kiedy odnajdujemy pana Jacobsona, dogląda on kilku chłopców na kortach do squasha.

– Dziękujemy pani – zwracam się do dyrektorki, kiedy już nas sobie przedstawiła. – Sądzę, że nie będziemy musieli dłużej zabierać pani czasu.

Przez moment się waha, ale w końcu pojmuje aluzję i odchodzi.

Siadamy na ławce. Chłopcy biegają po kortach znajdujących się na wprost nas. Widzimy ich przez szklane szyby osłaniające z tyłu każdy kort, a nasze głosy muszą konkurować ze skrzypieniem trampek i rytmicznymi odgłosami piłek zderzających się z raketami i ścianami.

W pierwszym pytaniu stawiam na niepewną kartę:

– Pani dyrektor dała nam do zrozumienia, że od czasu do czasu między Abdim i Noahem zdarzają się pewne tarcia. Czy mógłby nam pan powiedzieć coś więcej na ten temat?

Czekam, aż brwi wuefisty się zmarszczą, ale nic takiego się nie dzieje. Zamiast tego, westchnąwszy, mężczyzna połyka haczyk.

– W zasadzie była to trochę głupota – mówi. – Myślę, że chodziło o zazdrość. W zeszłym roku Noaha przez parę miesięcy nie było w szkole, a po powrocie nie najlepiej poradził sobie z faktem, że Abdi pod jego nieobecność poznał nowego kolegę.

– Jak pan się o tym dowiedział? Czy do czegoś doszło?

– Dowiedziałem się o tym, bo szkolna pielęgniarka zgłosiła mi, że Noah stał się nadzwyczaj płaczliwy. Ale w końcu chłopcy się dogadali.

– Jak?

– Porozmawiałem z każdym z nich z osobna, a później ze wszystkimi trzema razem. To załatwiło sprawę, przyniosło dobre efekty. Szczerze

mówiąc, nie byliśmy pewni, czy Noah okaże się na tyle emocjonalnie dojrzały, by znaleźć wyjście z tej sytuacji. Z jego przeszłością trudno było mu rozwijać się w tym samym tempie co rówieśnicy, ale Abdi to wielkoduszny chłopak, a ten nowy kolega, Imran, też jest dobrym dzieciakiem, więc udało im się rozwiązać problem.

Jakaś sytuacja na korcie do squasha rzuciła mu się w oczy, więc wstaje i krzyczy:

– Używaj narożników! Nie wal tak po prostu w sam środek. No, chłopcy! Zostały wam dwie minuty. Wykorzystajcie je!

– Czy możemy pomówić z Imranem?

– Musieliby panowie zapytać o to w gabinecie dyrektorskim, ale sam nie widzę przeszkód. Dzisiaj jednak się to panom nie uda. Imrana nie ma w szkole.

– Czy Noah lub Abdi utrzymują kontakty koleżeńskie z kimkolwiek poza nim?

– Jeśli chodzi o tych dwóch, muszą panowie zrozumieć, że są typem kujonów. Abdi miał szansę na spore sukcesy w badmintonie, ale większość czasu spędził na grze w szachy albo siedzeniu w sali informatycznej z Noahem. Chłopcy mieli podobne poczucie humoru, obaj lubili komiksy i tego rodzaju rzeczy.

– Czy pozostałe dzieci to akceptowały? Czy któryś z nich spotkał się z szykanami?

– O niczym takim nie było mi wiadomo. Mamy tu bardzo surowe zasady dotyczące takich zachowań.

Ciekawe, na ile pan Jacobson naprawdę zna tych chłopaków. Mówi o nich tak, jakby należeli do nieco innego gatunku, przez co zastanawiam się, czy nie jest jednym z tych wuefistów, którzy faworyzują wysportowane dzieciaki. Ma uszy zapaśnika i sylwetkę napastnika rugby. Jest samcem alfa, podobnie jak Ed Sadler. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby się okazało, że ta szkoła produkuje ich na dużą skalę.

Rozlega się dźwięk dzwonka i w ciągu kilku sekund otacza nas tłum nastolatków obojga płci.

– Przepraszam! – przekrzykuje zgiełk pan Jacobson. – Czy to już wszystko?

Gdy wracamy do samochodu, Woodley stwierdza:

– Prawie wszystkie dzieciaki w tej szkole są białe.

– Zauważyłem.

– Ciekawe, jak Abdi czuje się w takim otoczeniu.

– To pewnie zależy od tego, w jaki sposób jest traktowany. Jak dla mnie ta historyjka o zażegnaniu konfliktu między chłopakami brzmi zbyt pięknie, żeby mogła być prawdziwa.

– Dlaczego myślisz, że wuefista kłamał?

– Według mnie wierzy w to, co mówi. Przypuszczam, że nasz pan Jacobson kazał chłopcom usiąść, metaforycznie zderzył ich głowami i uznał, że sprawa załatwiona. Oni z kolei byli pewnie na tyle rozsądni, żeby powiedzieć mu, że wszystko jest już w porządku.

– Kawał chłopca z niego.

– Ano. Gdybym był piętnastoletnim kujonem, też powiedziałbym mu wszystko, co chciałby usłyszeć.

Daje mi to do myślenia.

– Są jakieś postępy w załatwianiu rozmowy z terapeutą Noaha?

– Jutro z samego rana zadzwonię do Sadlerów – odpowiada Woodley.

– Nie. Skontaktuj się bezpośrednio ze szpitalem. Zobaczmy, czy uda nam się odbyć tę rozmowę bez angażowania rodziców. Przydałaby się nam własna opinia tego terapeuty na temat Noaha.

Szanse są bardzo niewielkie, bo jak przypuszczam, szpital będzie musiał powiadomić Sadlerów, a nawet nie mam pewności, czy terapeuta cokolwiek nam powie. Sądzę jednak, że warto spróbować.

* * *

Nur Mahad musi odespać nocną zmianę, ale nie jest w stanie zasnąć. Siedzi z Maryam przy stoliku w kuchni. Między nimi leży iPad.

Nur wie, że nagranie wyprowadziło żonę z równowagi, i martwi się o nią.

Kobietę dręczą dwie obawy, przyćmiewające wszystkie inne.

Pierwszą z nich jest to, że przeszłość ponownie zapuka do ich drzwi, a drugą – że w tym kraju jej dzieci staną się dla niej obce. Te lęki leżą u podstaw jej skomplikowanej relacji z Abdim. Czasami chłopak jest dla niej źródłem radości, kiedy indziej zaś kochanie go przychodzi jej z trudem, i tak to wygląda, odkąd trzymając go w ramionach, przekroczyła brytyjską granicę.

Wskutek jej niezdolności do nawiązania z synem więzi Nur i Sofia spędzili wiele godzin, nosząc małego Abdiego na rękach i bawiąc się z nim, bo Maryam często nie była w stanie tego robić. Zaraz po tym, jak osiedlili się w Wielkiej Brytanii, Maryam zaszyła się w łóżku, na długi czas ogarnięta depresją i przytłoczona czymś, co – według przypuszczeń Sofii, którymi dziewczyna pewnego razu podzieliła się z Nurem – mogło być zespołem stresu pourazowego.

W oczach Maryam Abdi reprezentował przejście od jednego kraju do drugiego, podróż od wojny do pokoju i wszelkie wiążące się z tym nadzieje i lęki. Był także niewiadomą; chłopcem, którego narodziny – po wszystkich wcześniejszych poronieniach – wydawały się nieprawdopodobieństwem, i z początku trudno było jej udźwignąć fakt

jego istnienia. Poprawiło się to z czasem, w miarę jak Abdi, dorastając, zaczął się uśmiechać i błyszczeć. W końcu przebił otaczający jej serce mur, po prawdzie jednak drobna część Maryam zachowała wobec niego rezerwę.

Nie potrafi zapomnieć o tym, że Abdi widział, jak zemdląca w Centrum Powitalnym. Kiedy to się zdarzyło, stał zaledwie metr albo dwa od niej.

Zemdląca, bo spojrzała w twarz mężczyźnie, którego, jak jej się zdawało, pamiętała z dawnych czasów. Gdy go zobaczyła, efekt był natychmiastowy – nogi jej się ugięły, a świadomość odpłynęła. Kiedy się ocknęła, mężczyzny już nie było, i nikt poza nią nie wydawał się go widzieć ani nie zwrócił na niego szczególnej uwagi. Była przekonana, że cały ten epizod należy już do przeszłości – aż do teraz. Abdi bowiem na nagraniu rozmawiał z Edem Sadlerem o mężczyźnie, który wydawał się podobny do tamtego. Maryam nie potrafi jednak zrozumieć, jak Abdiemu udało się dokonać tego skojarzenia faktów – skojarzenia, które mogło rozbić ich rodzinę.

– Myślisz, że w zeszłym tygodniu podsłuchał naszą rozmowę? – zwraca się Maryam do Nura.

Tym pytaniem nawiązuje do nocy po omdleniu, gdy tamten mężczyzna nawiedził ją w koszmarze, a ona obudziła się przerażona. Nur ją pocieszał, po czym szeptali do siebie w ciemności, omawiając incydent i racjonalizując, że najprawdopodobniej widziany przez Maryam człowiek nie był tym, za którego go wzięła.

– Na pewno wtedy spał – stwierdza Nur. – Na pewno.

– Nie pamiętam, czy nie powiedzieliśmy czegoś za wiele. Co wtedy mówiliśmy?

– Byliśmy ostrożni. Na pewno. – Też nie potrafi sobie przypomnieć, jakie dokładnie słowa wtedy padły, w pamięci zapisało mu się jedynie przerażenie, które zobaczył w oczach żony, kiedy wybudził ją z koszmaru i zapewnił, że nic jej nie grozi, oraz długie minuty, jakie upłynęły, zanim jej serce i oddech odzyskały normalny rytm.

Maryam ma przeczucie, że powiedzieli wtedy wystarczająco dużo, ale nie wspomina o tym teraz na głos. Nur przerywa ciszę kolejnymi zapewnieniami:

– Wszystko będzie dobrze. Nie bój się.

Ziewa, najpierw raz, potem drugi.

– Musisz się wyspać – mówi mu Maryam.

Zazwyczaj po nocnej zmianie Nur ucina sobie drzemkę w pokoju Abdiego, ale ponieważ dziś nie wchodzi to w rachubę, kładzie się na kanapie. Szybko zasypia, a Maryam okrywa go kocem.

Wróciwszy do kuchni, Maryam spogląda na iPada i jeszcze raz odtwarza zarejestrowaną rozmowę. Gdy dobiega ona końca, kobieta

kilka razy stuka i przeciąga palcem po ekranie urządzenia.

Usuwa nagranie.

Nie chce, by dłużej istniało. Intuicja wyraźnie podpowiada jej, że jest ono złym znakiem.

* * *

– Coś ty tam wyrabiał? – pyta Abdi po tym, jak przykucnęliśmy na schodach koło katedry. – To było naprawdę głupie.

„Lista postanowień i planów do zrealizowania przed śmiercią, punkt nr 10: Zrobić coś lekkomyślnego. Celowo”. (Tata zaskakująco dobrze przyjął to postanowienie – pewnie dlatego, że sam jest megalekkomyślny, a poza tym pewnie się nie spodziewał, że będę zdolny do czegoś tak szalonego).

Gdyby starczyło mi sił, powiedziałbym Abdiemu: „Zamknij się!”, ale wciąż dyszałem, próbując złapać oddech.

– Nie powinno nas tu być – stwierdził Abdi. – Powinieneś być w domu.

– Nie! Daj spokój. Po prostu idźmy dalej, proszę. Jesteśmy już prawie na miejscu.

Kiedy w końcu odzyskałem oddech i przestałem się trząść, ruszyliśmy dalej w dół po schodach i przeszliśmy przez jezdnię ku Millenium Square, na którym świeciły mocne światła, a gigantyczna lustrzana kula, mieszcząca w sobie planetarium, wyglądała niesamowicie. Przysiedliśmy na chwilę, bo nadal dyszałem. Tutaj czuliśmy się znacznie bezpieczniej.

– Noah...

– Wszystko ze mną w porządku.

– Wcale nie.

– Tak. Naprawdę.

W kieszeni miałem pudełko z pastylkami glukozy. Zjadłem trzy i podsunąłem je Abdiemu. Kiedy brał ode mnie pudełko, poczułem, że ma chłodne palce. Pora była się ruszyć.

– Poróbmy zdjęcia! – rzuciłem. – Powinniśmy jakoś uwiecznić naszą wyprawę.

Moim telefonem zrobiliśmy sobie selfie przed planetarium, później przed fontanną (mimo że była wyłączona), a na końcu objęliśmy pomnik Cary’ego Granta.

Kiedy opuszczaliśmy skwer, powiedziałem Abdiemu:

– Zamknij oczy.

Popatrzył na mnie krzywo, ale nie odpuściłem. Chwyciłem go za rękę.

– Poprowadzę cię – powiedziałem. Pociągnąłem go za róg, a potem

stanąłem z tyłu i zacząłem nim kierować, trzymając dłonie na jego ramionach, dopóki nie znalazł się w idealnym miejscu, by mógł zobaczyć to, co chciałem mu pokazać.

– Otwórz oczy – powiedziałem.

Most Pero Jonesa nie zawiódł.

Podświetlone na biało kłęby mgły unosiły się nad nim jak gdyby za sprawą magii. Był to widok jak z baśni. Wyszliśmy razem pomiędzy budynków stojących na nabrzeżu i było niesamowicie, dokładnie tak, jak to sobie wyobraziłem. Kiedy górne warstwy mgły rozplływały się na nocnym niebie, od dołu pojawiały się nowe, więc gdy stanęliśmy na moście, byliśmy nieustannie spowici bielą. Widoczność ograniczała się do mniej więcej półtora metra.

Była to specjalna instalacja artystyczna, o której opowiadała mi mama. Wprawdzie w internecie widziałem zdjęcia tego projektu, ale nie umywały się one do rzeczywistości. Wcześniej nie miałem okazji odwiedzić tej instalacji, bo byłem w szpitalu, a jak wiedziałem, lada dzień miała zostać usunięta. Przypomniała mi słowo, którego użył tata, mówiąc o swojej wyprawie w nepalskie góry. „Spowite mgłą”, powiedział tamtego dnia. Ogromnie mi się to określenie spodobało.

– Wow – rzucił Abdi.

– A widzisz! I co, nie warto było przyjść?

Mgła wprowadziła mnie w dezorientację, przez co na chwilę straciłem równowagę. Abdi złapał mnie za ramię i odprowadził na bok. Staliśmy tam razem, podczas gdy wszystko wokół nieustannie pojawiało się i znikowało z pola widzenia. Na tle ciemności mgła przypominała wielkie kłęby dymu, a jej drobinki w otaczającym nas powietrzu dało się niemal poczuć na języku.

Tak się cieszyłem, że nie przyszedliśmy tu po prostu w ciągu dnia tak jak wszyscy inni. Naprawdę było warto.

Abdi wyciągnął swoją komórkę, powiedział jednak, że nie zamierza robić selfie na tle mgły.

– No to co robisz?

– Dzwonię do taty, żeby nas odwiózł. Wyglądasz naprawdę źle, Noah.

– Nie rób tego!

Spadło na mnie uczucie miazdżącego rozczarowania. Po pierwsze dlatego, że ten wypad nie spodobał się Abdiemu tak, jak na to liczyłem, a po drugie – bo zdałem sobie sprawę, że niekoniecznie jest to odpowiednie miejsce do tego, żebyśmy mogli usiąść i się napić. Nie wiedziałem wcześniej, że na nabrzeżu działa nocny klub, teraz jednak mogłem usłyszeć muzykę i zobaczyć stojących przed nim ludzi. Gdyby ktoś nas zauważył, plan by nie wypalił. Każdy, kto zobaczyłby mnie z piwem w ręce, od razu zorientowałby się, że jestem niepełnoletni. To mogło wszystko zepsuć.

Musieliśmy pójść gdzieś dalej, znaleźć jakieś bardziej odosobnione miejsce nad wodą. Nie potrwałoby to długo. Na tym etapie wycofanie się nie wchodziło już w grę.

Spostrzegłem, że Abdi stuka w ekran komórki, więc złapałem go za ramię, żeby go powstrzymać. Telefon wypadł mu z ręki, śmignął po nawierzchni mostu i zsunął się z jego krawędzi prosto do wody.

Obaj wgapiliśmy się w miejsce, w które spadł. Tam gdzie smugi mgły były najcieńsze, mogliśmy zobaczyć czarną wodę. Komórka przepadła.

– Strasznie cię przepraszam! – powiedziałem. – Odkupię ci ją.

Mrugał, powstrzymując łzy, co było zupełnie nie w jego stylu.

– To tylko telefon – stwierdziłem.

– Daj mi swój.

– Nie.

– Dawaj!

Wokół nas wciąż unosiła się mgła, tyle że teraz już nie sprawiało to takiej frajdy. Zrobiło się klaustrofobicznie, a cała moja wcześniejsza energia i ekscytacja zniknęła. Nadszedł czas na poważną rozmowę.

– Abdi – powiedziałem. Często udawało mi się go przekonać błagalnym tonem. Mogłem liczyć, że zrobi, co należy.

– Nie! Mam już dość, że wszystko, co robimy, zawsze kręci się wokół ciebie. Naprawdę mam już tego dosyć. Daj mi swój telefon albo sam zadzwoń do rodziców. Nie mam ochoty dłużej tego ciągnąć.

Ogarnął mnie gniew.

– Zadzwoń do nich – powiedział. – Albo sam to zrobię.

Wyjąłem komórkę z kieszeni, pomachałem mu nią przed oczami, po czym rzuciłem ją najdalej, jak się dało. Telefon wzbił się wysoko i zniknął w otaczających nas gęstych kłębach mgły. Poleciał tak daleko, że nawet nie słyszeliśmy, jak ląduje w wodzie. To był niesamowity rzut.

– Co do cholery? – Abdi gapił się na mnie jak na wariata. Pokręcił głową i ruszył w stronę domu.

Poszedłem w przeciwnym kierunku.

Po kilku sekundach się odwróciłem, ale nie byłem w stanie dostrzec go we mgle. Mimo to szedłem dalej. Po drugiej stronie mostu znajdował się wybrukowany obszar, który rozciągał się wzdłuż brzegu przystani, a z niego, na wprost mostu, wychodziła ciemna alejka. Wszedłem w nią i oparłem się o ścianę. Na plecach czułem lodowate zimno, a w nogach zmęczenie, powiedziałem sobie jednak, że muszę to przewyciężyć, nawet pomimo cisnących mi się do oczu łez frustracji. Dzisiejsza noc nie będzie już idealna, ale byłem zdeterminowany, by uratować z niej tyle, ile to tylko możliwe. Porażka nie wchodziła w grę. Pójdziemy dalej, znajdziemy ustronne miejsce i dokończymy ten wypad jak należy.

Usłyszałem Abdiego wykrzykującego moje imię. Zastygłem w całkowitym bezruchu i czekałem, aż jego głos się zbliży.

Kiedy miałem już pewność, że będzie w stanie mnie zobaczyć, wyszedłem z mroku i najszybciej, jak mogłem, ruszyłem aleją, oddalając się od niego. Panowała tam niemal zupełna ciemność, ale drogę wskazywał mi postrzępiony prostokąt przyćmionego światła, padający na bruk z jednego z okien wysoko nade mną.

– Dokąd ty idziesz? – zawołał Abdi.

Nie odpowiedziałem.

– Noah! Skończ z tymi gierkami!

W tym krzyku wyraźnie dał się słyszeć gniew. Odgłosy jego kroków były coraz szybsze.

* * *

W drodze powrotnej ze szkoły zatrzymujemy się z Woodleyem na przystani i patrzymy, jak nasi nurkowie szukający zatopionego telefonu wynurzają się z wody z pustymi rękami. Jeszcze zanim ściągną maski i kombinezony, można spostrzec, że są ewidentnie sfrustrowani.

Przygląda się temu tłumek gapiów, którzy trzymają komórki w pogotowiu, na wypadek gdyby z wody wyłowiono cokolwiek, co warto by wrzucić na portale społecznościowe. Szczęście im jednak nie dopisuje.

– Widoczność jest naprawdę kiepska, a w dodatku nie brakuje tu prądów – oznajmia mi jeden z nurków. – Poza tym ruchy łodzi pływających regularnie w tę i w tę mogły z łatwością porwać telefon ze sobą i sprawić, by podryfował wzdłuż dna i utkwiał w mule gdzieś poza obszarem poszukiwań. – Na rzęsach i czubku nosa ma kropelki wody.

Kiedy z Woodleyem docieramy z powrotem do kwatery głównej, on zostawia mnie, a sam jedzie dalej, żeby ponownie odwiedzić miejsce zdarzenia i rozejrzeć się za jakąkolwiek kamerą przemysłową, która wcześniej mogła nam umknąć, i sprawdzić, czy ktoś nie kręci się po okolicy.

Na swoim biurku znajduję notatkę od techników, informującą, że ktoś z naszych odebrał już iPada i że zdążyli rzucić na urządzenie okiem. Dołączyli wydruki szkolnych mejli Abdiego.

Podnoszę słuchawkę telefonu i dzwonię do nich.

– Co z nagraniem audio? – pytam. – Mieliście je odszukać.

– Nie znaleźliśmy żadnego nagrania.

– A sprawdziliście, czy jakieś zostało skasowane?

Z ciszy, która zapada na drugim końcu, wnioskuje, że nie sprawdzili. Wzdycham na tyle głośno, żeby technik na pewno mnie usłyszał.

– Zróbcie to jak najszybciej, okej?

Zaglądam do mejli. W większości są to proste wiadomości dotyczące zadań domowych, wymieniane między Abdim a nauczycielami, nic niezwykłego, poza tym jest też parę komunikatów rozsyłanych przez szkolną administrację. Moją uwagę przykuwa tylko jedna wymiana zdań. Składają się na nią cztery mejle między Abdim a nauczycielem nazywającym się Alistair Hawkes. W swoim elektronicznym podpisie pan Hawkes umieścił trzy tytuły: „koordynator stypendium Barkera”, „kierownik ostatnich klas” oraz „nauczyciel biologii”. Najbardziej interesuje mnie pierwszy z nich.

Wymianę mejli zainicjował nauczyciel, pisząc: „Czy mógłbyś, proszę, przyjść do mnie w porze lunchu, by omówić kwestię zadania, którego nie oddałeś pani Griffith? Będę w swoim gabinecie między 13.30 a 14.45”.

Abdi odpisał bardzo szybko: „Oddałem pracę, a pani Griffith właśnie ją sprawdza. Czekam na informację, czy mogę ją jakoś poprawić”.

Pan Hawkes momentalnie odbił piłkę: „Pani Griffith przedstawiła tę sprawę w innym świetle. Porozmawiajmy o tym osobiście”.

Kolejną odpowiedź Abdi wysłał dopiero po kilku godzinach: „Teraz już przekazałem pracę pani Griffith, ale i tak przyjdę się z Panem spotkać. Czy ta sytuacja wpłynie na moje stypendium?”.

Nauczyciel nie odpowiedział. Przypuszczam, że dokończyli tę rozmowę w cztery oczy, bo ostatnia wiadomość Abdiego została wysłana zaledwie trzydzieści minut przed proponowaną godziną spotkania.

Pokazuję mejle Woodleyowi. W trakcie lektury unosi brwi.

– Powiem to jeszcze raz: nad każdą idyllą wisi jakaś burzowa chmura.

– Skontaktujmy się z tym nauczycielem. Chcę wiedzieć, czy to był dla Abdiego jednorazowy incydent, czy reguła.

– Można by pomyśleć, że ktoś powinien był nam o tym wspomnieć, kiedy odwiedziliśmy szkołę.

– Owszem.

– Chociaż w sumie mnie to nie dziwi. Nikt nie jest idealny, prawda? – mówi Woodley.

– Masz na myśli Abdiego czy szkołę?

– Myślałem o Abdim, chociaż można by to odnieść i do niego, i do szkoły. Tak czy inaczej, przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że właśnie skończyłem rozmawiać przez telefon z terapeutą Noaha. Stwierdził, że może się z nami zobaczyć za pół godziny, o ile zdążymy przyjechać.

– Zdążymy.

Liczę się z możliwością, że nic z tej rozmowy nie wyniknie, ale i tak czuję przypływ nowej energii, gdy zdejmuję kurtkę z oparcia krzesła i w pośpiechu wychodzę na to przesłuchanie. To kwestia adrenaliny i nadziei, że jeśli tylko będzie się odpowiednio ciężko harować

i wystarczająco dużo rozmawiać z ludźmi, w końcu odkryje się ten kluczowy kawałek układanki, który przyniesie przełom w śledztwie.

Nigdy nie chciałem stać się policjantem nawiedzanym przez widmo jakiejś nierozwiązanej sprawy. Znam kilku starszych śledczych, którym w takiej sytuacji nie udało się odegnąć od siebie poczucia porażki. Części z nich ta obsesja nie opuściła nawet na emeryturze.

Gabinet terapeuty odnajdujemy na parterze. Dolna połowa okna w tym pomieszczeniu jest matowa, co ma zapewnić prywatność, a przez górną można zobaczyć ruchliwy podjazd dla karetek. Wystrój gabinetu powstał z myślą o małych dzieciach, czyli krótko mówiąc, daje po oczach, no chyba że ktoś jest miłośnikiem barw podstawowych. Niewiele ma to wspólnego ze stonowanym gniazdkiem doktor Manelli. Ciekawe, jak w tej przestrzeni czuł się Noah, gdy stał się już nastolatkiem. Siadamy na fotelach z niskimi siedziskami, na których wyglądamy, jakbyśmy składali się wyłącznie z kolan i kostek.

Terapeuta jest mężczyzną w średnim wieku, nosi hipsterską brodę i przydałaby mu się wizyta u fryzjera. Ma na sobie koszulę z rozpiętym górnym guzikiem i czarne spodnie. Identyfikator pracownika wsunął sobie do kieszonki na piersi. Bez przerwy irytująco huśta nogą.

– Nie wiem, co mogę panom powiedzieć – oznajmia. – Zdają sobie panowie sprawę z obowiązującej mnie klauzuli poufności?

– Owszem, ale Noah Sadler walczy o życie, a nam są potrzebne informacje.

– Było mi bardzo przykro, gdy się o tym dowiedziałem.

– Liczę, że będzie mi pan w stanie pomóc, dając jakiś wgląd w przyjaźń między Noahem i chłopcem, który nazywa się Abdi Mahad. Byli razem, kiedy doszło do wypadku.

– Wie pan, że nie mogę ujawnić wyznań Noaha, jeśli nie mam powodu sądzić, że to konieczne, by ochronić go przed poważną krzywdą.

– Pana zdaniem krzywda, która już go spotkała, to za mało?

– To nadinterpretacja przepisów i dobrze pan o tym wie.

Jest surowy, ale mnie to nie dziwi, bo świetnie zdają sobie sprawę z zasad poufności, o których mówi. Zapoznałem się z nimi dokładnie po tym, jak doktor Manelli po raz pierwszy wspomniała mi o nich na początku mojej własnej terapii.

– Tak się zastanawiam: dlaczego uznał pan za właściwe zaprosić nas na spotkanie w samym środku pilnego śledztwa, gdy na szali waży się życie chłopca, skoro nie zamierza pan udzielić nam informacji?

Nie gram fair, ale chcę się przekonać, czy da się go jakoś zbić z pantaląku.

Woodley wciela się w rolę dobrego gliniarza:

– Takie sprawy jak ta są nadzwyczaj delikatne, doskonale o tym

wiemy. Chcemy jedynie ograniczyć udrękę, z jaką mierzą się Noah i jego rodzice. Jestem pewien, że pan to rozumie.

– Rozumiem i podzielam tę chęć, ale nie mogę naruszyć poufności.

Krzyżuje ręce na piersi, jakby się obejmował. Ten gest zrozumieliby nawet najwięksi nowicjusze w czytaniu mowy ciała. Puszczania farby nie będzie.

Wiem jednak, że istnieje pewna luka – dotyczy ona sytuacji, gdy poddawany terapii pacjent jest niepełnoletni. To niesamowite, ilu rzeczy można się dowiedzieć w bezsennej noc.

– Czy dzieli się pan informacjami z rodzicami Noaha?

– Dzielę się pewną ograniczoną ilością informacji. Są to kwestie, na których wyjawienie zgodził się Noah na początku naszej terapii.

– Czego te kwestie dotyczą?

– Inspektorze, ile razy mam to panu powtórzyć? Nie mogę omawiać szczegółów terapii moich pacjentów.

– Ale możemy zapytać jego rodziców, bo ich nie obejmuje zasada poufności.

– Mogą panowie.

– Czy zazwyczaj rozmawia pan z obojgiem rodziców, czy z jednym z nich?

Przechodzi mi przez myśl, że chyba znam odpowiedź na to pytanie. Cóż – nie myliłem się.

– Najczęściej jest to matka.

– Dziękuję. – Nie jestem tą odpowiedzią zdziwiony, ale też nie podnosi mnie ona na duchu – mam podejrzenia, że Fiona Sadler jest wobec Noaha bardziej opiekuńcza niż jej mąż.

– Z tym że jedną sprawą Noah pozwolił mi się podzielić z ojcem, prosząc, bym nie wspominał o niej matce.

Rozplata ramiona i obraca miedzianą bransoletkę wokół nadgarstka.

– A sprawą tą było...

– Doceniam próbę, inspektorze. Niczego więcej się pan ode mnie nie dowie.

– Dziękuję za poświęcony nam czas.

Kiedy wracamy do komendy, światło dnia zaczyna się rozpląwać. Wszędzie wokół włączają się reflektory samochodów, a deska rozdzielcza naszego służbowego wozu jarzy się neonową zielenią, od której bolą oczy. Woodley mówi:

– Nieźle rozegrane, szefie.

– Dzięki.

– Ale jeśli mogę zapytać: dlaczego po prostu nie zwróciliśmy się do jego rodziców i nie przesłuchaliśmy ich bezpośrednio w tej sprawie?

– W ich obecnym stanie? Nie. Tak jest lepiej. Teraz wiemy, kogo zapytać i o co.

Jak najszybciej przeciąłem Queen Square, a dalej szedłem nieco na chybił trafił, bo nie byłem pewien, gdzie jestem. Mijałem sklepy, z których wystaw manekiny posyłały mi puste spojrzenia, oraz wielkie biurowce. Próbowałem odnaleźć kolejne miejsce nad wodą, ale musiałem gdzieś źle skręcić.

Abdi podążał za mną. Trzymał się w niewielkiej odległości ode mnie. Liczyłem, że do mnie dołączy i będziemy normalnie szli razem, ale tego nie zrobił. Starłem się zbyt często nie oglądać przez ramię – do ustalenia, gdzie jest Abdi, wykorzystywałem odbicia w sklepowych witrynach. Idąc, intensywnie myślałem nad tym, co dalej zrobić. Coraz trudniej było mi złapać oddech.

W końcu znowu znaleźliśmy się nad wodą, był tam też kolejny most, tyle że biegła po nim jezdnia, więc panował zdecydowanie za duży ruch. Obok nas, zwalniając, przejechał radiowóz, ale się nie zatrzymał. Spostrzegłem, że w tym samym momencie Abdi rozpląnął się w mroku. Kiedy przeszedłem przez most, znowu się zgubiłem, a w chwili gdy dotarliśmy do stacji Temple Meads, zacząłem już poważnie opadać z sił, ale przynajmniej wiedziałem, gdzie jestem. Koło stacji zobaczyłem początek ciemnej uliczki, która znikwała między jakimiś starymi budynkami należącymi do kolei. Nie skręcały tu żadne samochody. Przeciąłem ją. Abdi szedł za mną. Zwolniłem – było tam trochę strasznie – więc siłą rzeczy dystans dzielący mnie od Abdiego nieco zmalał.

Zanim zobaczyłem kanał, najpierw usłyszałem jakiś plusk. Udało mi się jeszcze dostrzec ruch na powierzchni wody, ale nie było widać, co to takiego. W miarę jak pokonywałem ścieżkę biegnącą wzdłuż kanału, zgiełk centrum miasta cichł.

Gdy dotarłem do wielkiej estakady, Abdi do mnie dołączył. Staliśmy pod nią i gapiliśmy się na wodę. Od czasu do czasu nad naszymi głowami przemknął jakiś samochód, ale ogólnie biorąc, panował tu spokój. Wreszcie.

Usiadłem na trawie. Spodnie momentalnie nasiąkły mi wilgocią, ale byłem zbyt zmęczony, żeby się tym przejmować.

Abdi stał obok mnie, obejmując się rękami.

– Noah – powiedział. – Co się dzieje?

– Może tutaj się napijemy? – Ruchami ramion zacząłem zsuwać plecak.

– Jest okropnie zimno. Zwariowałeś?

Będę musiał powiedzieć mu o moich rokowaniach, pomyślałem. Czuję w sobie silne pragnienie, by się komuś zwierzyć. Nie chciałem tego robić, bo nasz nocny wypad skończyłby się inaczej, niż planowałem, ale doszedłem do wniosku, że mogłoby to trochę

podratować sytuację, no i było lepszym pomysłem niż wywołanie kłótni. Nie miałem jednak odwagi, by powiedzieć o tym wprost. Zamiast tego zapytałem:

– Zdarza ci się myśleć o śmierci?

Westchnął poirytowany.

– Dlaczego pytasz?

– Po prostu. Zdarza?

W końcu usiadł obok mnie

– Odbiło ci – stwierdził.

Potarł oczy. Też wyglądał dość kiepsko.

– Jesteś zmęczony? – zapytałem.

– Tak, ale pewnie nie aż tak jak ty. Nie wyglądasz ani nie brzmisz zbyt dobrze.

Miałem dreszcze. On też.

– Powinniśmy iść na stację i sprowadzić pomoc – powiedział.

Zignorowałem tę uwagę i powtórzyłem swoje wcześniejsze pytanie:

– Zdarza ci się myśleć o śmierci?

– Czasami.

– O czym dokładnie wtedy myślisz?

– O tym, co omawialiśmy na filozofii. Skąd ci się wzięło to pytanie?

– Nie wiem. Chyba od patrzenia na księżyc i gwiazdy. Przyszło mi do głowy, że są czymś wielkim, co będzie istnieć bez względu na wszystko, nawet jeśli nas już nie będzie.

„Lista postanowień i planów do zrealizowania przed śmiercią, punkt nr 11: Doświadczyć czegoś, co umieści moje życie w szerszej perspektywie”.

Po tym, co powiedziałem, Abdi milczał przez jakiś czas. Często się zastanawia, zanim się odezwie. Spojrzałem na punkciki gwiazd, które górowały tak wysoko nad nami, i zauważyłem, że strzęp chmury zasłonił część księżyca.

W końcu Abdi mi odpowiedział. Zupełnie się czegoś takiego nie spodziewałem.

– Czy dowiedziałeś się kiedyś o czymś, co kazało ci myśleć, że lepiej by było, gdybyś umarł?

– Co przez to rozumiesz? – Przez chwilę ogarnęła mnie panika i pomyślałem, że odgadł moje rokowania, zanim miałem okazję mu o nich powiedzieć.

Przygryzł wargę. Wzrok miał wbity w płynącą przed nami wodę.

– Tak się nad tym zastanawiałem.

– Zastanawiasz się nad tym, jak by to było naprawdę umrzeć? – Ledwo starczyło mi odwagi, żeby zadać to pytanie.

– Kiedy w zeszłym tygodniu byłeś w szpitalu, na filozofii mówiliśmy o greckim myślicielu, który nazywał się Epikur. Jego zdaniem strach

przed śmiercią jest naszym największym lękiem, i to właśnie on sprawia, że nie możemy być szczęśliwi.

– Hm. – Nie wiedziałem w zasadzie, jak to skomentować.

– No. Rozwiązanie, jakie zaproponował, brzmi tak: śmierć kładzie kres doznaniom fizycznym, więc nie może nas ona boleć, a ponadto umierając, tracimy świadomość, więc emocjonalnego bólu też nie będziemy czuć.

– Zatem nie ma powodu, żeby bać się śmierci.

– Właśnie.

Zerwał garść trawy i rzucił ją przed siebie. Nie widzieliśmy, gdzie wylądowała.

Nasuwało mi się jedno pytanie:

– Ale skąd wiedział, że śmierć faktycznie oznacza koniec tych rzeczy?

– Bo wierzył, że nasze dusze składają się z atomów, które krążą w naszych ciałach i rozpadają się, gdy umieramy.

– Rozpadają?

– No. Fajny pomysł.

„Lista postanowień i planów do zrealizowania przed śmiercią, punkt nr 12: Zostać skremowanym. Nie mogę znieść myśli o tym, że miano by mnie zakopać w ziemi. Chcę przemienić się w dym i powietrze, tak żebym mógł być we wszystkich miejscach naraz”.

Zacząłem czuć dość wyraźny dyskomfort w okolicach brzucha, tam gdzie mieści się śledziona. Doktor Sasha mnie przed tym ostrzegła. Wstałem, żeby jakoś to złagodzić, a Abdi mi pomógł. Dość mocno musiałem się na nim oprzeć.

– Wracajmy do domu – powiedział. – Proszę.

Pokusa była silna, ale kiedy wstawałem, nieco dalej, po drugiej stronie wody zobaczyłem coś bardzo fajnego – zwały powyginanego metalu ułożone w stosy o kształcie piramid i karoserie całego mnóstwa zezłomowanych aut. Wszystkie połyskiwały od szronu. Wskazałem je Abdiemu.

– Możemy zrobić jeszcze jedną, ostatnią rzecz? Pójść tam, usiąść we dwóch i napić się piwa?

Wyglądało to na idealne miejsce, w którym można by zakończyć tę noc.

Nie czekałem na odpowiedź. Wiedziałem, że właśnie to należy zrobić. Poprawiłem plecak, czując, jak jego paski mocno wpijają mi się w ramiona, i ruszyłem wzdłuż ścieżki holowniczej.

Abdi wołał za mną:

– Noah! Dość tego! Możemy wypić te cholerne piwa w drodze do domu.

Zignorowałem go. Dalej szedłem wzdłuż ścieżki, a potem naokoło wielkiego magazynu.

– Ani się waż odchodzić! – krzyknął Abdi. Jego głos brzmiał tak, jakby dobiegał z daleka i pobrzmiwał echem. – Skończ z tym.

Przed sobą miałem most. Jego wysokie metalowe krawędzie łuszczyły się i były pokryte rdzą.

– Noah! No już!

Płuca miałem ściśnięte, a ból w okolicach brzucha narastał. Wchodząc na most, przypadkiem kopnąłem jakąś puszkę, a jej donośny stukot spłoszył ptaka siedzącego gdzieś na gzymsie magazynu. Przeleciał tak nisko nade mną, że uniosłem ręce, by się przed nim osłonić.

Przystanąłem, żeby złapać oddech. Wydawało mi się, że słyszę za sobą kroki Abdiego, ale nie miałem co do tego pewności. Prędzej czy później i tak ruszy za mną, wiedziałem, że ruszy. Nigdy mnie nie zawiódł. Nie można zawieść chorego przyjaciela. To byłoby nie w porządku.

Płynąca pod mostem woda przypominała gęsty, czarny syrop.

Rozlegające się wokół mnie głosy ściągają mnie z powrotem do sali szpitalnej. Tata z kimś rozmawia.

– Nie zawsze miał problemy ze zdrowiem.

– Kiedy zachorował?

– Miał siedem lat, kiedy zauważyliśmy pierwsze objawy, osiem, gdy postawiono diagnozę.

– Tak mi przykro. To straszne. I od tego czasu był poddawany leczeniu?

– Mniej więcej. Nigdy nie pamiętam dokładnej sekwencji zdarzeń. Muszę sporo podróżować w sprawach zawodowych, więc nie zawsze jestem na miejscu. Za to moja żona towarzyszyła mu bez przerwy.

– Czy pańska żona zjawi się później na oddziale?

– Tak, ale nie jestem pewien, czy będzie chciała rozmawiać na ten temat.

– Jeżeli to jakoś ułatwi sprawę, to może mogłabym się z państwem spotkać kiedy indziej, w innym miejscu?

– Nie sądzę.

– Przepraszam. W normalnych okolicznościach nawet nie śniłoby mi się, żeby tak naruszać państwa prywatność, ale fakt faktem, że czasami potrzeba uwagi mediów, aby policja potraktowała śledztwo poważnie.

– Nie jest to coś, z czego nie zdawałbym sobie sprawy.

– Wierzę, że Noah padł ofiarą przestępstwa.

– To pani zdanie.

– Przepraszam. To musi być dla pana bardzo bolesne. Pójdę już. Oto moja wizytówka – jestem Emma Zhang. Proszę do mnie zadzwonić, jeśli chciałby pan porozmawiać. W dowolnej chwili.

Skrzypienie krzesła. Kobieta wstała. A po chwili – szloch. To tata.

Cisza. Wyczuwam jej wahanie. Pocieszyć tego wielkiego faceta czy

wycofać się na czubkach palców?

– Panie Sadler?

– Proszę już iść.

Kobieta wychodzi.

Później – choć nie wiem, czy później o minutę, godzinę czy dobę – słyszę charakterystyczne klik-chrup aparatu w telefonie komórkowym.

Dwa razy.

Nie wiem, kto jest ze mną w sali.

* * *

Doceniam te chwile w życiu, w których panuje dyscyplina – właśnie dzięki nim lubię swoją pracę. Mogę podążać zgodnie z kolejnymi procedurami śledztwa i dzięki temu odnieść sukces. Kłopot sprawiają mi jedynie emocjonalne skrajności; jeśli tylko mogę, unikam ich jak kot zraszaczy. Problem jednak w tym, że nie zawsze jest to możliwe.

Idę do gabinetu Fraser, żeby powiadomić ją o postępach w śledztwie.

– Jak tam, Jim? – Wydaje się bardziej spięta niż zwykle, ale trudno mi się domyślić dlaczego.

– Robimy postępy.

– A jak sprawuje się Woodley?

– Byłoby miło, gdybyś wspomniała mi na początku, że obaj mamy rany z przeszłości.

Nie powinienem sarkać na osobę wyższą stopniem, zwłaszcza w sytuacji, gdy wróciłem do pracy przed zaledwie dwoma dniami, ale wkurza mnie, że wylądowałem w czwartej lidze. Mina Fraser nie zmieniła się nawet na jotę.

– Nie oświeciłam posterunkowego Woodleya w sprawie szczegółowych powodów twojej nieobecności, a tym samym nie wydaje mi się, żebyś ty musiał wiedzieć wszystko o nim. To, by tak rzec, rodzaj qui pro quo dla „poranionych przeszłością”. – Patrzy mi w oczy tak natarczywie, że aż spuszczam wzrok. – Czy to panu odpowiada, inspektorze Clemo?

– Wybacz, szefowo. – Sam się prosiłem o ten opieprz.

– W kółko gdzieś wychodzisz i wracasz, więc proszę, powiedz mi, że masz dla mnie jakieś dobre wieści.

– Prawdę mówiąc, jak na razie jest lekki bałagan. Za każdym razem, gdy zdobywamy jakąś wskazówkę sugerującą, że sprawy potoczyły się tak i tak, ktoś podsuwa nam nowy trop, ale prowadzę równoległe kilka linii śledztwa. Zmierzamy ku rozwiązaniu tej sprawy.

– Mhm. A czy przyszło ci może do głowy, żeby wyrzucić odrobinę większą presję na tego milczącego chłopaka?

– Sądziłem, że chcesz, żebym obchodził się z tymi dziećmiakami jak z jajkiem.

– Chcę, żebyś pracował z rozwagą, ale o ile mnie pamięć nie myli, masz pewnego świadka, który twierdzi, że coś niecoś się nawyrabiało na tamtym złomowisku.

– Nie wydaje mi się, żeby jej relacja była taka pewna.

– Dlaczego nie?

– Nie widziała momentu, gdy chłopak wpadł do wody. Dla mnie to jednak problem.

– Gazetom mówiła co innego.

– Co?

Na biurku Fraser pierwszą stroną do dołu leży egzemplarz „Bristol Echo”. Szefowa odwraca go i przesuwa w moim kierunku.

Stronę niemal w całości zapełnia pojedyncze zdjęcie. Przedstawia ono chłopca leżącego w szpitalnym łóżku. Od razu wiem, że to Noah Sadler. Fotografia wygląda na zrobioną zniechęta, przez kogoś stojącego w odległości metra albo dwóch. Nie da się zobaczyć twarzy chłopaka, ale to bez wątplenia ta sama sala, którą odwiedziliśmy z Woodleyem.

Pod zdjęciem krzyczy nagłówek: ZGROZA W NASZYM MIEŚCIE!

Wprawdzie Noah Sadler nie zostaje wymieniony z nazwiska, ale za to podpis pod fotografią głosi: „Piętnastoletni chłopiec walczy o życie w bristolskim Szpitalu Dziecięcym po domniemanym ataku na tle rasowym, do którego doszło w centrum miasta”. Krótki tekst opowiada rwaną, opartą głównie na spekulacjach historię o tym, jak Noah wpadł do kanału.

Jest i wypowiedź naszego świadka: „Byłam przerażona. Widziałam, jak sprawca dorwał tamtego chłopaka i wepchnął go do kanału. Myślałam, że po chwili rzuci się także na mnie”.

Reszta tekstu wygląda równie szkodliwie:

Źródła sugerują, że policja zidentyfikowała podejrzanego, ale nie poddała go przesłuchaniu ani nie aresztowała. Autorka niniejszego tekstu zastanawia się, czy śledczy boją się to zrobić ze względu na Marsz Białej Nacji, który odbył się przed zaledwie kilkoma dniami. Czyżby policja wystawiała mieszkańców miasta na ryzyko, by nie prowokować niezadowolenia wśród członków mniejszości etnicznej? Czy padamy właśnie ofiarą uprzedzeń rasowych *à rebours*?

Teraz już rozumiem, dlaczego Fraser zachowuje się dziś jak pitbull.

Moja szefowa zna każdy wulgaryzm, jaki tylko mogła poznać osoba dorastająca w latach siedemdziesiątych na blokowisku w Glasgow, i podczas swojej tyrady na temat moralności zarówno świadka, jak i prasy nie oszczędziła mi chyba żadnego z nich.

– A w ogóle widzisz, kto to napisał? – pyta. Tak mocno dźga palcem stroną, na której wydrukowano artykuł, że aż papier zaczyna się miąć.

Nawet bez zaglądania wiem, że reporterką niemal na pewno jest Emma Zhang. Znowu.

Fraser, nie czekając na odpowiedź, podejmuje swoją tyradę:

– Jak mogła coś takiego zrobić? Jeśli wcześniej miałam o tej kobiecie kiepskie zdanie, to teraz sięgnęło ono tak głębokich otchłani, że nawet Dantemu trudno byłoby je sobie wyobrazić. Jak ona śmie?

Gdy Fraser wyładowuje złość, biorę od niej gazetę i czytam artykuł. Emma doskonale wie, w jakie struny uderzyć. Jakżeby inaczej.

– Chodź – mówi Fraser, kiedy kończę lekturę.

Wychodzę za nią z centrum koordynacyjnego i ruszamy korytarzem do gabinetu Janie Green, naszej rzeczniczki prasowej. Gdy Fraser rzuca egzemplarz dziennika na jej biurko, Janie podnosi na nią wzrok z godnym podziwu spokojem.

– Przed chwilą to przeczytałam – mówi. – Właśnie miałam iść i cię odszukać. To pieprzone wkładanie kija w mrowisko. Nie dali mi żadnego ostrzeżenia, mimo że wielokrotnie próbowałam pomówić z Emmą Zhang i jej redaktorem. Myślę, że mają w tym wszystkim jakiś ukryty cel.

– Komu przyszłoby do głowy publikować takie zdjęcie? – mówi Fraser.

– Wiem. Właśnie dlatego sędzę, że kryje się za tym jakiś cel.

– Co możemy w tej sprawie zrobić?

– Wygląda mi na to, że mleko już się rozlało, i to z rozmachem, ale zrobię, co w mojej mocy, żeby ograniczyć szkody.

Na biurku Janie stoi fotografia trójki małych dzieci o zaróżowionych policzkach i kręconych rudych włosach, identycznych jak te, które ma ona sama. Z dużą dozą pewności mogę przypuścić, że tego wieczoru szkraby nie będą miały okazji nacieszyć się towarzystwem matki.

Gdy wracamy z Fraser do jej gabinetu, mówi mi:

– Zrób coś, żeby ten somalijski chłopak zaczął mówić. On zna prawdę, więc pora skończyć z cackaniem się, trzeba go przycisnąć. Jeśli jest niewinny albo po prostu zrobił coś głupiego, to jego jedyna szansa, żeby wyjść z tego bez większego szwanku. Dziennikarze nie zostawią na nim suchej nitki, jeżeli odkryją jego tożsamość i dowiedzą się, że nie puszcza pary z gęby.

– Mam się z nim zobaczyć jeszcze dziś wieczorem?

– Nie. Zrobiło się już zbyt późno. Załatw to z samego rana.

– A jeśli dalej nic nie powie?

– Graj twardo. Zagroź, że go aresztujesz. Znasz się na tym. Musimy zdobyć jego wersję tej historii. Tylko tak będziemy mogli przygasić całą tę sprawę. A potem złóż wizytę tej pieprzonej kobiecie, która jest świadkiem, i zjedź ją jak burą sukę za to jej mizianie się z prasą. Jej też możesz pogrozić aresztem, jeśli będzie trzeba.

Zatrzymuje się przed podwójnymi drzwiami prowadzącymi do

pokoju przesłuchań.

– Zapanuj nad tą sytuacją, Jim.

– Dobrze.

– A jak tam stan tego drugiego dzieciaka?

– Stabilny, ale nadal krytyczny.

– Skoro stabilny, to już coś.

Gdy Fraser z hukiem otwiera podwójne drzwi, głowy odwracają się w jej stronę.

– Niech nikt do ciężkiej cholery nie waży wypowiedzieć słów „Emma Zhang” w mojej obecności, o ile nie chce, żebym go jeszcze dziś wypieprzyła z roboty – rzuca, maszerując między biurkami.

Drzwi jej gabinetu zamykają się za nią z trzaskiem, od którego drżą rolety.

* * *

Gdy Sofia wyłania się ze swojego pokoju, mając gotowy szkic pracy domowej i uszy obolałe od głęboko wciśniętych zatyczek, odnajduje matkę zajętą ładowaniem pościeli Abdiego do pralki.

– Właśnie wstał! – mówi jej szeptem Maryam. – Myje się. Przedtem wypił herbatę.

– Mówił coś?

– Nie! Ale wygląda dużo lepiej.

Kiedy Abdi wychodzi z łazienki i opada na kanapę, Sofia stara się zachowywać swobodnie.

– Abdi? – Też siada, ale w obawie przed jego reakcją zachowuje dystans.

Chłopak nawiązuje z nią przelotny kontakt wzrokowy, Sofię jednak wpędza to w dyskomfort, bowiem brat wciąż ma nieobecny wyraz twarzy.

– Jesteś gotowy, żeby porozmawiać? – pyta Sofia.

Żadnej odpowiedzi.

Dzięki swojemu wykszoleniu Sofia wie, że u każdego czas działa inaczej. Niektóre matki odkrywają, że słowa zaczynają się z nich wylewać momentalnie, gdy tylko po raz pierwszy zobaczą swoje dzieci, i że każde z tych słów doskonale oddaje czystą radość, płynącą z doświadczanych właśnie nowych uczuć. Do innych matek słowa przychodzą dopiero po kilku minutach, a czasem nawet godzinach lub dniach. Uszanowanie tych procesów psychicznych zachodzących u pacjentek przychodzi Sofii bez trudu, ale nawet to nie przygotowało jej na frustrację, którą czuje teraz w obliczu milczenia Abdiego.

– Powinieneś coś zjeść – mówi mu.

Podaje mu talerz kanapek, które przygotowała dla niego Maryam. Abdi bierze jedną z nich i odgryza niewielki kawałek, po czym żuje go tak, jakby to był karton. Z jego pokoju dobiega ich głośny szelest czystej pościeli, którą Maryam strzepuje, by rozłożyć ją równo na łóżku. Gdy brat połyka kęs kanapki, Sofia ma ochotę radośnie krzyknąć, zmusza się jednak do zachowania spokoju. Boi się, że jeśli zrobi jakiś niewłaściwy krok, Abdi znowu może się zamknąć w sobie.

Desperacko chciałaby zapytać o jego rozmowę z Edem Sadlerem, podobnie jak o inne wydarzenia tamtej nocy, ale nie ma odwagi, by to zrobić. Zamiast tego mówi:

– Zabrałam twoje rzeczy z domu Noaha.

Kolejny mozolnie przełknięty kęs. Abdi błądzi wzrokiem po pokoju i w końcu znowu zatrzymuje go na Sofii, tak jakby zapomniał o jej obecności.

Jej cierpliwość jest napięta do granic.

– Abdi, braciszku – zwraca się do niego – ze mną możesz porozmawiać.

Jak gdyby za naciśnięciem przełącznika, z jego oczu zaczynają płynąć łzy, ogromne, obfite i nie do powstrzymania.

Sofia jest przerażona, zarazem jednak jakaś część niej zaczyna się z nadzieją zastanawiać, czy to oznacza, że brat jest gotów przerwać milczenie. Przysuwa się do niego ostrożnie i chwyta go za rękę.

Od progu przygląda im się Maryam. Czuje się do szpiku kości wyczerpana rzeczami, o których wie, a z których nie zdają sobie sprawy jej dzieci. Przez chwilę zastanawia się, czy nie powinna wejść do pokoju, usiąść między nimi, złapać je za ręce i opowiedzieć im całą historię, bez opuszczeń, od samego początku. Nie robi tego jednak, bowiem instynkt nakazujący jej chronić rodzinę jest w niej silniejszy niż wszystko inne.

Na dole, na ulicy, Nur parkuje taksówkę. Nawet gdyby starczyło mu energii, żeby jeździć jeszcze przez noc, i tak do domu sprowadziłby go widok pierwszej strony „Bristol Echo” w dworcowym kiosku. Egzemplarz gazety spoczywa na fotelu pasażera obok niego.

Nur wspina się po schodach prowadzących do mieszkania, czując w krzyżu odrętwienie, jakie towarzyszy mu często po godzinach spędzonych za kierownicą. Chciałby teraz móc odwrócić się i odejść. Jest dumny z tego, co jego rodzina osiągnęła w Bristolu. Nie przeszkadza mu, że żyją skromnie; to, że musi dużo pracować, by utrzymać żonę i dzieci, jest wprawdzie trudne, ale jednocześnie satysfakcjonujące. Żyją razem w spokoju i szczęściu; ich dzieci osiągają wszystko, o czym marzą. A przynajmniej tak było do niedawna.

Gdy otwiera drzwi do mieszkania, jest tak przybity, że zapomina sprawdzić, czy Abdi wstał już z łóżka. Znosi gazetę do kuchni, gdzie siedzą jego żona i córka, i trzyma ją przed sobą, tak by mogły zobaczyć

pierwszą stronę.

– Według nich to przestępstwo z nienawiści – mówi. – Oskarżają Abdiego.

Nie zauważa, że za nim w progu stoi Abdi, dopóki nie odwraca się, podążając za wzrokiem Maryam. Abdi usłyszał, co powiedział jego ojciec, a teraz widzi jeszcze nagłówek i zdjęcie jego przyjaciela zamieszczone na pierwszej stronie. Odwraca się do rodziny plecami. Gdy to robi, kolana lekko się pod nim uginają, ale mimo to nie rezygnuje ze swojego zamiaru i oddala się. Wchodzi do swojego pokoju i zatrząskuje za sobą drzwi. Słyszą obrót klucza w zamku.

Nur jest załamany swoją lekkomyślnością.

Pukają do drzwi, coraz mocniej i mocniej, te jednak pozostają zamknięte. Dopiero gdy Nur grozi, że je wyważy, Abdi przekręca klucz, ale zaraz po tym wraca do łóżka, równie nieobecny jak wcześniej.

Sofia idzie spać z ciężkim sercem i pełna obaw, mając wrażenie, że ściany mieszkania zbliżają się do siebie, a jednocześnie członkowie jej rodziny niepowstrzymanie się od siebie oddalają – niczym na przedstawiającej wybuch komputerowej grafice, której fragmenty wystrzeliwują w różnych kierunkach.

Nur i Maryam zgodnie z codziennym rytuałem rozkładają kanapę i kładą się na niej. Maryam leży sztywno na plecach, oczy ma otwarte. Słyszając, jak Nur natychmiast zasypia, wie, że mąż nie poruszy się już aż do rana.

Zsuwa z siebie koc i wykrada się z łóżka. Na półkach wiszących w kącie pokoju odnajduje najcenniejszą rzecz, jaką ma – niewielkie, poobijane blaszane pudełko zawierające jej zdjęcia z dzieciństwa. Zabiera je do kuchni i przysiada na brzegu stołka przy blacie. Włącza światło i ostrożnie wyjmuje fotografie. Są tylko dwie. Pierwsza z nich przedstawia ją w szkolnej sali, siedzącą w jednym rzędzie z ośmiorgiem innych dzieci na tle bladoszarej ściany. Charakter tego zdjęcia jest nieoficjalny. Dziewczynki mają niebieskie sznurowane buciki, białe skarpety, niebieskie spódniczki i białe bluzki. Ramiona okrywają im dobrane kolorystycznie błękitne chusty, spięte z przodu kołeczkami, a całości dopełniają białe opaski, mające zapobiec opadaniu włosów na czoło. Maryam wciąż pamięta, jak bardzo kochała ten mundurek. Chłopcy na fotografii mają utrzymane w tej samej kolorystyce niebieskie krótkie spodenki. Siedzą, obejmując się nawzajem ramionami.

Z mieszanymi, słodko-gorzkiemi uczuciami Maryam przygląda się po kolei twarzyczkom wszystkich swoich dawnych koleżanek i kolegów z klasy – część z nich patrzy w obiektyw, część rozmawia między sobą; uśmiechają się swobodnie, mają długie, zdrowe kończyny i bystre, figlarne spojrzenia. Pamięta, że w tamtych czasach małe dziewczynki mogły nie nosić hidżabów. Presja na to, by się okrywały, przyszła

później, w obozach, gdy część duchownych za punkt honoru postawiła sobie głoszenie, że wojna domowa to kara wymierzona przez Allaha za nieposłuszeństwo, a ludzie ze strachu zwrócili się ku bardziej skrajnej formie islamu.

Maryam zdaje sobie sprawę z tego, że idealizuje swoje wczesne dzieciństwo. Nie było ono idealne, a rodzice sprzeczali się o pieniądze, o edukację swoich dzieci i całą resztę typowych rodzinnych spraw, ale w jej głowie pozostaje ono czasem nieporównywalnej niewinności, która zakończyła się w chwili, gdy wojna domowa rozciąła Somalię na walczące ze sobą części, równie skutecznie jak najostrzejszy rzeźnicki nóż rozprawia się ze zwierzęcą tuszą.

Druga fotografia ukazuje wejście do domu jej dzieciństwa – biel ścian podkreślają jaskrawoniebieskie drzwi, wokół których wiszą chmury kwitnących bugenwilli. Pamięta, jak ojciec co wieczór po powrocie z pracy zrywał gałązkę pełną tych kwiatów koloru fuksji i wszedłszy do kuchni, wręczał ją matce. Pamięta, jak matka wieczorami odpoczywała, podczas gdy ojciec czytał jej na głos. Matka wsłuchiwała się wtedy, urzeczona, zbyt zmęczona, by zdjąć swój pielęgniarski uniform. Siedziała, podwijając pod siebie bose stopy, krótko obcięte włosy miękkimi lokami opadały jej na twarz, tworząc ramę, a światło lampy lśniło na jednym policzku.

Oglądając tę fotografię rodzinnego domu, Maryam za każdym razem żałuje, że nie znaleźli się na niej jej rodzice albo jej rodzeństwo. By zachować ich wspomnienie, musi używać pamięci, czego nie znosi, przypominanie sobie drobniejszych szczegółów ich twarzy przychodzi jej bowiem z trudem.

Maryam na własne oczy widziała śmierć swojej młodszej siostry. Jej rodzina przetrzymała w Hargejsie cały okres zwiększonej obecności policji i wojsk, godzin policyjnych, ograniczania swobód, a wreszcie przypadkowych aresztowań i egzekucji, związanych z walką rządu z północną częścią Somalii. Rodzina Maryam do samego końca pozostała w swoim ukochanym domu. Częściowo był to pełen uporczywego wsparcia dla otaczających ich ludzi, którzy także pozostali na miejscu, a po części swego rodzaju milcząca manifestacja pamięci o przyjaciółach i członkach rodziny, których porwano z ich własnych domów, a następnie więziono i torturowano, albo też którzy po prostu zniknęli. Członkowie rodziny Maryam, nim ostatecznie opuścili miasto, całymi latami bali się o swoje życie.

Podдали się w dniu, w którym samoloty zasłoniły niebo nad Hargejsą i zaczęły ją bombardować, aż zrównały ją z ziemią. Tamtego dnia Maryam i jej bliscy opuścili miasto wraz z pozostałymi rodzinami, idąc gęsiego i korzystając z każdej drogi, jaka tylko była dostępna.

Kolumny uciekających ludzi łatwo było dostrzec z powietrza. Pilotom

nakazano, by po zbombardowaniu samego miasta zachowali trochę pocisków i zrzucili je właśnie na te rodziny. Poinstruowano ich, żeby po wszystkim wrócili do lotniska w Hargejsie i uzupełnili zapasy paliwa oraz amunicji.

Maryam pamięta, że kiedy powietrze nad ich głowami wypełnił warkot silników, matka pociągnęła ich w głąb pola kukurydzy. Krzyknęła, że mają ukucnąć i się ukryć, podczas gdy czarna kropka znajdująca się na niebie nad nimi przybrała kształt samolotu. Panował chaos. Maryam zanurkowała między łodygi, a złapawszy oddech, odwróciła się i spostrzegła, że jej siostra wciąż stoi na drodze, sama, kręcąca się w kółko, zagubiona, rozglądająca się za nimi, za kimkolwiek.

– Halima! – zawołała Maryam. – Tutaj!

Halima usłyszała ją i zaczęła biec w ich stronę, lecz samolot za jej plecami nadciągał, jego cień był odległy już o zaledwie kilka metrów, jego pociski ostrzeliwały drogę, wzbijając w powietrze grudki czerwonej ziemi, układające się w schludną, skuteczną linię zniszczenia, która z początku trafiała inne pozostałe w tyle osoby, ale w końcu dotarła do Halimy i w jednej chwili zwała ją z nóg.

Musieli ją tam zostawić.

Maryam wkłada zdjęcia z powrotem do pudełka i znów starannie je ukrywa. Wraca do łóżka, pod wpływem wspomnień serce tłucze jej się w piersi, ale już się do tego przyzwyczaiła. Podobnie jak mąż i córka, zapada w mocny sen. Nawiedzają ją w nim obrazy wyraziste i koszmarne.

Abdi cierpliwie czeka, aż w mieszkaniu zapadnie całkowita cisza, a następnie – po raz drugi w tym tygodniu – ubiera się w środku nocy i ukradkiem wychodzi z domu w mrok.

O czwartej nad ranem Nur budzi się, by skorzystać z toalety.

Wracając do łóżka, zagląda do pokoju Abdiego i odkrywa, że syn zniknął.

Rodzina ustala, że Abdi prawdopodobnie wyszedł w džinsach, T-shircie, bluzie z kapturem i jakichś sportowych butach. Rodzice i siostra chłopca są przekonani, że wziął ze sobą portfel – w którym zazwyczaj ma jedynie kartę biblioteczną i w najlepszym razie skromną ilość gotówki – ale na tyle, na ile są w stanie to ocenić, nie ma przy sobie niczego innego.

Maryam traci właściwe sobie opanowanie i dostaje napadu hysterii. Nur bierze ją w ramiona i ściska tak mocno, jak tylko może bez zrobienia jej przy tym krzywdy.

* * *

Coraz słabiej słyszę otaczające mnie szpitalne dźwięki.

Skrzypnięcie butów pielęgniarki biorę za pisk myszy w kącie sali. Zdaję sobie sprawę, że umysł mnie zwodzi, ale i tak wyraźnie widzę tę myszą mordkę – jej drgający nosek, wygięte białe wąsiki, różowe, przypominające główkę od szpilki oczy.

Dookoła mnie rozbrzmiewają zniekształcone głosy moich rodziców. Chcę poczuć nacisk ich dłoni na moich, lecz nie mam w nich zupełnie żadnego czucia. Całe ciało płonie mi od infekcji. Czuję się spragniony i chory i chcę o tym komuś powiedzieć, żebym mógł otrzymać pomoc, ale nie jestem w stanie nic z siebie wykrztusić.

Desperacko chcę pozostać w sali z moimi rodzicami, desperacko chcę utrzymać kontakt z rzeczywistością, jednak nie mogę zatrzymać wspomnień poniedziałkowej nocy, które odtwarzają mi się w głowie.

Kiedy przeszedłem przez most, miałem wrażenie, że ktoś podciął mi skrzydła, bo zobaczyłem, że nie da się wejść na plac, gdzie leżą sterty metalu. Od tego, czego pragnąłem, oddzielała mnie wysoka siatka ogrodzeniowa. Poczulem, że łyzy cisną mi się do oczu. Wszystko było takie frustrujące.

Abdi stał na moście.

– Chcę się tam teraz dostać – powiedziałem. – Zależy mi tylko na tej jednej rzeczy. Na niczym więcej.

Potrząsnąłem ogrodzeniem.

– Skończ – powiedział Abdi. – Skończ. Z tym. Proszę. Nie zniosę tego dłużej. W którymś momencie poczujesz się naprawdę źle, a nie mamy telefonu, żeby sprowadzić pomoc. Co niby zrobię w takiej sytuacji? Powiedz mi!

– Tylko ta jedna, ostatnia rzecz.

– Zdarza ci się w ogóle myśleć o kimkolwiek poza samym sobą?

– Pomagam innym ludziom – odpowiedziałem.

– Serio? A zapytałeś podczas tego wypadu, czy u mnie wszystko w porządku?

– Jesteś ze mną.

– No i?

– Jestem twoim przyjacielem – powiedziałem. – Pomagam ci.

– Niby jak? Zapytałeś mnie, czy chciałem wylądować tutaj w lodowatym chłodzie, podczas gdy ty będziesz robił kretyńskie rzeczy? Czy ty tak naprawdę kiedykolwiek pytasz, czy mam ochotę coś zrobić, czy po prostu szantażujesz mnie emocjonalnie?

– Zaprosiłem cię na przyjęcie w galerii! A ten wypad jest tak samo dla mnie, jak i dla ciebie.

A przynajmniej tak sądziłem na początku, teraz jednak czułem się zdezorientowany. W każdym razie było już za późno, by się poddawać. Zaszedłem za daleko.

Abdi znajdował się teraz tuż przy mnie, a gdy tak staliśmy twarzą w twarz, mgiełki naszych oddechów mieszały się ze sobą. Złapał mnie za ramię.

– Wracaj ze mną.

– Nie – odpowiedziałem. – Puść!

Puścił moje ramię. Byłem zaskoczony, widząc, że płacze.

– Umieram – powiedziałem. – Niedługo umrę.

Wbił we mnie wzrok.

– Niby dlaczego miałbym ci wierzyć?

– Bo to prawda. To już się dzieje.

– Mam już dość tego, że wykorzystujesz swoją chorobę, żeby mną manipulować.

– Nie manipuluję, przysięgam, że nie.

– Ech, daj spokój. To twoja stara sztuczka. Tyle razy już to robiłeś. Potrzebujesz mojej pomocy zawsze, kiedy mam zrobić coś z jakimś innym dzieciakiem ze szkoły. Wiem, że robisz to celowo, i staram się być dla ciebie dobrym przyjacielem, ale pomyśl, jak ja się czuję, gdy ty całe wieki leżysz w szpitalu. Muszę poznawać też nowych kolegów. Nie znaczy to, że nie jestem twoim przyjacielem; po prostu nie jestem wyłącznie twoim przyjacielem. Kiedy tylko próbuję spędzić trochę czasu z kimś innym, ty momentalnie domagasz się, żeby zaprowadzić cię do pielęgniarki, i zawsze to mam być ja. Nie musisz być taki zaborczy. Nigdy nie będę twoją własnością. Wolno mi przyjaźnić się z więcej niż jedną osobą, a poza tym to zupełnie bez sensu, bo cię lubię. I tak zawsze byłbym twoim przyjacielem.

Zabolały mnie te oskarżenia – zabolały tym mocniej, że wiedziałem, iż są prawdziwe. Ja jednak też mówiłem prawdę.

– Nie kłamie.

– Boże, w kółko to samo! Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Wiesz co? Powiem ci coś innego – teraz i tak już nie będziesz chciał się ze mną przyjaźnić. Wszystko się zmieniło. Po prostu jeszcze sobie tego nie uświadomiłeś, bo tak naprawdę nie jesteś zainteresowany mną, tylko tym, co mogę dla ciebie zrobić. Wróćmy więc do domu, a ja zniknę z twojego życia na dobre.

– Chcę się z tobą przyjaźnić. – Nie miałem pojęcia, o czym on mówi.

– Jesteś niewyobrażalnie samolubny.

– Chcę się z tobą przyjaźnić, Abdi! – Aż wykrzyczałem te słowa, bo tyle było w nich prawdy, ale on i tak odwrócił się do mnie plecami.

Uchwyciłem się płotu i wykrzesalem resztki sił ze swojego żalosego ciała. Zacząłem się wspinać, zmuszając do pracy mięśnie rąk i nóg i próbując nie zwracać uwagi na to, że zimny metal boleśnie wbija mi się w palce. Kiedy się wspinałem, ogrodzenie głośno się trzęsło, metaliczny odgłos rozchodził się po całej jego powierzchni.

– O nie, Noah, nie! – krzyknął Abdi.

Wspinałem się dalej. U szczytu ogrodzenia uczepiłem się słupka.

Spojrzałem na niego z góry i się roześmiałem, zaskoczony, że udało mi się dotrzeć na sam szczyt. Niesamowite wrażenie. Mogłem zobaczyć całe złomowisko, aż do końca kanału. Po minie Abdiego było widać, że jest zły i smutny, ale nie obchodziło mnie to.

– Chodź! – rzuciłem. – Tu jest super!

Górna część ogrodzenia była niestabilna, więc przerzucając przez nie nogi, musiałem kurczowo trzymać się słupka.

– Złaź! Noah! – Mgielka, która wydobyła się z jego ust, przypominała obłok tytoniowego dymu. Potrząsnął płotem.

– Chodź! Miej odwagę – zawołałem.

Znowu potrząsnął ogrodzeniem, tym razem brutalnie, ale nie zatrzymałem się i szukałem kolejnych punktów oparcia dla stóp, dopóki nie znalazłem się na tyle blisko ziemi, by móc zeskoczyć na złomowisko. Abdi zaczął się wspinać. Był ode mnie o wiele szybszy. Przebiegłem przez plac, a on zrównał się ze mną dokładnie nad brzegiem kanału. Z bliska powierzchnia wody wyglądała jak jedwab. Przypominała śliski, ciemny szalik, który niekiedy nosi moja mama. Powietrze było tak chłodne, że miało się wrażenie, że czas się zatrzymał, a ruch wody w zestawieniu z potężną, nieruchomą stertą metalu sprawiał, że kanał wyglądał na prowadzące dokądś przejście.

Abdi i ja staliśmy nad wodą twarzą w twarz, obaj nie mogliśmy złapać tchu. Ból, który czułem w okolicy brzucha, bardzo się zaostrzył. Ręce Abdiego zwisały bezwładnie, lecz pięści miał zaciśnięte.

– Wystarczy już tego – rzucił. – Wystarczy. Musimy iść.

– Abdi – powiedziałem – proszę. – Tak bardzo brakowało mi tchu, że mówienie przychodziło mi z trudem. Chciałem, żeby Abdi był tak samo podekscytowany jak ja. – Proszę, pozwól mi to zrobić, tylko tę jedną rzecz.

– Serio, zwariowałeś? Mam już zupełnie dość ciebie i tej twojej pierdolonej rodzinki. Wszystko kręci się wokół was; wtykacie nosy w życie innych ludzi i dopóki dostajecie to, na czym wam zależy, nic was nie obchodzi konsekwencje. Kiedy zobaczyłem zdjęcia twojego taty, zrobiło mi się niedobrze. Rozumiesz to? Są chore!

– Nie mów tak o moim tacie!

Muszę przyznać – jednocześnie kochałem i nienawidziłem smaku wszystkich tych okrutnych słów, które miałem na języku i w uszach. Cała ta wymiana zdań była szczerą, ale zarazem przerażającą. Czuło się w niej dotyk prawdziwego życia.

– Popatrz na te gwiazdy, Abdi, na ten księżyc, na ten szron. Tu jest niesamowicie. Napijmy się teraz. Proszę.

– Nie. – Cały drżał. – Nie ma mowy.

Kiedy to powiedział, byłem tak zły, że miałem wrażenie, jakby wszystko zaczęło pędzić i stało się jednocześnie ekscytujące i obrzydliwe. Popchnąłem go w pierś, z dala od wody, na tyle mocno, że zatoczył się w tył.

– Mój czas prawie się skończył. Na amen. Ja umrę! Dociera to do ciebie? Chciałem tylko, żebyśmy przed moją śmiercią zrobili razem coś fajnego, ale ty chcesz to popsuć.

Jeszcze raz go popchnąłem; znowu zatoczył się do tyłu.

– Jak będziesz się czuł, kiedy mnie już nie będzie? – zapytałem.

Podszedł do mnie bardzo blisko. Jego oczy przypominały czarne guziki, lśniące w ciemności.

– No cóż, mój czas też dobiega końca – stwierdził.

– O czym ty mówisz? – Nie spodziewałem się usłyszeć czegoś takiego.

– Skończ z tymi gierkami.

– To nie są gierki.

Usłyszałem, jak po drugiej stronie bramy złomowiska zatrzymuje się samochód. Jego przednie światła nas omiotły i po chwili zgasły. Drzwiczki auta zamknęły się z trzaskiem, a następnie rozległ się metaliczny dźwięk otwierającej się bramy rolowanej. Abdi nie zareagował. Patrzył na mnie dziwnie. Wokół znowu zapanowała cisza.

– Kogo byś miał, gdyby nie ja? – Ból w boku mnie nakręcał, doprowadzał do szału, a w miarę jak narastał, pragnienie okrucieństwa coraz bardziej wydawało się nie do powstrzymania.

– No, kogo bym miał?

– Nikogo.

– Wolę nie mieć nikogo, niż być czyjąś marionetką. Daj spokój! Chodźmy stąd. Pomogę ci przejść z powrotem przez ogrodzenie.

Nadszedł czas, żeby go ukarać. Za to, co mówił, i za próby, które oblał, włącznie z tą – jedyną, jaka liczyła się naprawdę.

– Żałosny jesteś – powiedziałem mu. – Nikt cię nie lubi, nikt inny nie chciał się z tobą kumplować. Beze mnie nigdy nie byłeś w stanie wpasować się do grupy. Ludziom cię żal – ciebie i twojej rodziny.

Tutaj miarka się przebrała. Popchnął mnie, tak samo jak wcześniej ja jego, tylko mocniej.

Ścięło mnie z nóg – nie było szans, żebym na lśniącej od szronu glebie utrzymał się w pionie. Instynktownie usiłowałem zachować równowagę; w tym samym czasie rozległy się dźwięki – męski głos i szczekanie psa.

Potem stało się to. Woda pochłonięła mnie z pluśnięciem, wessała w głąb, wiedziałem, że już z niej nie wrócę. Naciskała na każdy kawałek mojego ciała, przyjmując mnie, nie wypuszczając. Ciężar plecaka bardzo szybko pociągnął mnie głęboko w dół. Był tak ciasno zapięty.

Leżąc w szpitalnym łóżku, wyjątkowo wyraźnie przypominam sobie, że usiłowałem wtedy zrzucić plecak. Kazał mi to zrobić instynkt –

instynkt, a także okropny lęk przed śmiercią, który zjawił się dokładnie w tej chwili i przytłoczył wszystko. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłem nad sobą, była poruszająca się sylwetka Abdiego. Zastanawiałem się, czy spróbuje mi pomóc, ale przecież nie umiał pływać.

Paniczny strach nabrał niezwykłej intensywności, zdawało mi się też, że płoną mi płuca, ale tutaj wspomnienie się urywa. Kiedy ściągnąłem plecak, uderzyłem głową o coś twardego i ostrego. Czerni eksplodowała mi w umyśle jak rozlany na kartce atrament.

Chcę o tym wszystkim powiedzieć mamie i tacie. Słyszę ich głosy otaczające mnie w szpitalnej sali i chcę im powiedzieć, że jest mi przykro i że popełniłem bardzo duży błąd, bo teraz już oczywiście wiem, że powinienem swoje ostatnie chwile spędzić z nimi.

Chcę, by gorąco przestało narastać; wydaje mi się, że zaraz się od niego roztopię.

Chcę jeszcze raz zobaczyć moich rodziców. Desperacko mi na tym zależy. Na niczym więcej.

Dźwięki wydawane przez ludzi poruszających się wokół mojego szpitalnego łóżka stają się coraz bardziej odległe, choć jednocześnie coraz bardziej burzliwe. Czuję to wyjątkowo wyraźnie i właśnie dlatego wiem, że już odchodzę, że nadeszła pora. Atomy mojej duszy wygasają, rozpadają się, znikają.

Słyszę jęk mojego ojca, niski i straszliwy, ale to głos mojej matki przebija się najgłośniejszym i najwyraźniejszym. „Noah!” – krzyczy raz po raz.

Serce pali mnie jeszcze bardziej niż reszta ciała, bo wiem, że na ostatnim etapie życia popełniłem błąd.

Nie chciałem, żeby wszystko skończyło się w ten sposób.

„Lista postanowień i planów do zrealizowania przed śmiercią, punkt nr 13: Gdy nadejdzie koniec, panować nad sytuacją”.

Żegnaj, tato. Żegnaj, mamó.

Wypowiadam te słowa w myślach.

Liczę, że rodzice są w stanie je usłyszeć.

Nic więcej nie mogę zrobić.

* * *

Gdy docieram do domu, jest już późno. Becky leży pod kocem i ogląda telewizję.

– Jak się czujesz? – pytam. Wygląda na zmęczoną, ale spokojną. Kolor śladów na jej twarzy pogłębił się i rozprzestrzenił, ukazując rozmiar obrażeń. Obok na podłodze leży opakowanie środków przeciwbólowych.

Podciąga koc pod brodę.

– Wiem, że wyglądam o wiele gorzej, ale czuję się lepiej. A jak tam

u ciebie?

Jej głos jest tak zachrypnięty, jak gdyby przez cały dzień prawie nic nie mówiła.

– Muszę jeszcze wykonać kilka zaległych telefonów; dołączę do ciebie, gdy skończę. Przynieść ci coś?

Kręci głową.

Gdy byłem w drodze do domu, na poczcie głosowej nagrało mi się kilka wiadomości. Pierwsza z nich jest od Eda Sadlera:

„Czołem, panie inspektorze, tu Edward Sadler. Co do tamtej rozmowy z Abdim – przypominam sobie, że z nim gadałem, ale było bardzo późno i jak pan wie, całkiem sporo wtedy wypłem. Możliwe, że mówiliśmy o obozie Hartiszejk, ale obawiam się, że nie przypomnę sobie szczegółów. Na pewno nie zdawałem sobie sprawy, że nagrywa tę rozmowę. Ale Abdi to ciekawy świata chłopak, więc być może dopytywał o coś, co nasunęło mu się po obejrzeniu wystawy. Teraz przez kilka godzin będę w szpitalu, ale jeśli chciałby pan jeszcze o tej sprawie pomówić, może mnie pan łąpać na komórce”.

Zastanawiam się przez chwilę i dopisuję to do listy zadań na jutro. Nie będę niepokoił go w szpitalu o tak późnej porze, a zresztą i tak chciałem pomówić z nim w cztery oczy, żeby poruszyć sprawę, o której wspomniał nam terapeuta.

Dzwonię do Sofii Mahad, żeby jeszcze raz upewnić się co do tego, czego jej zdaniem dotyczyła nagrana rozmowa. Dziewczyna zapewnia mnie, że znajdowała się ona na iPadzie, i raz jeszcze szczegółowo opisuje jej treść.

Następnie wybieram na wyświetlaczu drugą z wiadomości głosowych. Nagrał ją – pewnie uznałbym tę zbieżność za komiczną, gdyby nie była tak irytująca – jeden z naszych techników. Przeprasza, że rano nie odnalazł nagrania, i mówi, że teraz wysłał mi je mejlem.

Natychmiast je odtwarzam. Jest dokładnie takie, jak opisała je Sofia Mahad, sądzę też, że warto o nim pogadać z Edem Sadlerem. Zastanawiam się ponadto, czy zapis tej rozmowy został usunięty celowo, czy też mogło do tego dojść wskutek pomyłki.

Ostatnia wiadomość jest od Woodleya. Udało mu się umówić nas na jutro na rozmowę z kolegą Abdiego i Noaha, Imranem. Dobre wieści.

Zdejmuję ubranie, w którym byłem w pracy, i wkładam jakieś spodnie do biegania i T-shirt. Gdy jestem już gotowy, Sofia przesuwa się, żeby zrobić mi miejsce na kanapie.

– Jadłaś coś? – pytam.

Spod koca wyłania się jej ręka ściskająca papieraek po batoniku czekoladowym.

– Znalazłam to w szafce kuchennej – mówi. – Mam nadzieję, że nie masz mi za złe?

Pytanie jest zuchwałe – jest to bowiem paperek po marsie. W dzieciństwie był to mój ulubiony batonik. Okazja, by go zjeść, nie trafiała się zbyt często, ale gdy już go dostawałem, strzegłem go jak oka w głowie i racjonowałem, jedząc po kawałeczku, tak by wystarczył na możliwie jak najdłużej. Becky często mi z tego powodu dogadywała.

– No to za wiele się nie zmieniłeś.

– Ty też nie! Zdajesz sobie sprawę, że prawo upoważnia mnie do aresztowania za kradzież?

Becky wybucha śmiechem, choć lekko krzywi się przy tym z bólu. Pomimo tego robi mi się cieplej na sercu na ten widok. Od dawna nie myślałem o naszej przeszłości, więc miło wiedzieć, że wciąż potrafimy się razem pośmiać. Relacja, jaką mógłbym mieć z siostrą, była dla mnie jedną z najbardziej przygnębiających strat, jakie wynikły z faktu, że ojciec się nad nami znęcał.

– Chciałabyś zjeść coś porządnego?

– A co masz?

– Kilka menu na wynos.

– Nie mam żadnych pieniędzy.

– Nie przejmuj się tym. Ja stawiam.

Składałem obfite zamówienie, a kiedy jedzenie przyjeżdża, siadamy przed telewizorem i jemy z talerzy balansujących nam na kolanach. Przypomina mi się, jak w dzieciństwie oglądaliśmy razem telewizję w weekendowe popołudnia. Muszę przyznać, że minęło sporo czasu, odkąd ostatnio miałem wieczorem jakieś towarzystwo; brakowało mi tego.

Dawniej siadywaliśmy tu z Emmą, pijąc wino i rozmawiając. Pamiętam, jak po długim dniu w pracy kładliśmy się razem na tej kanapie, a ja masowałem jej stopy w pończochach. Pamiętam też, co następowało później. Wprawdzie Fraser powiedziałem co innego, ale prawda jest taka, że wciąż tęsknię za Emmą – każdego dnia.

Becky trąca mnie stopą.

– Ktoś tu odpłynął.

– Przepraszam. Po prostu myślę o pracy. – Niektórymi rzeczami nie chcę się z nią jeszcze dzielić. – Mam teraz na tapecie pewną skomplikowaną sprawę.

– Wolno ci o niej mówić?

Opowiedziałem jej trochę szczegółów.

– Pewnie poszli pić albo brać narkotyki? – mówi. – Nie mogło być inaczej. Wygląda to na nocny wypad, podczas którego coś poszło nie tak.

– Nie mam pojęcia. Chciałbym to wiedzieć. Coś mi mówi, że to może być bardziej skomplikowane.

– Co się stanie z tym chłopakiem z Somalii, jeśli nie przerwie milczenia?

– Będziemy musieli zdecydować, czy mamy wystarczająco dużo dowodów, żeby postawić mu jakieś zarzuty.

– Co za koszmar.

W telewizji kamera na dronie unosi się nad pustynią, po której przemieszczają się stada antylop; chmara żywych istot na tle wrogiego krajobrazu. Cała ta scena łączy w sobie piękno i surowość.

– Nie chcę być wścibski – zagajam ostrożnie – ale może chciałabyś mi powiedzieć, co się stało?

Momentalnie staje się pełna rezerwy. Już mam się wycofać i przeprosić za to pytanie – widzę bowiem, że nie powinienem był go zadawać, że się z nim pośpieszyłem – kiedy odpowiada:

– A co zrobisz, gdy ci powiem?

– Co przez to rozumiesz?

– Coś mi świta, że w rubryce zawodów masz wpisane policjant.

– Wysłucham cię.

– Tylko?

– Jeżeli tego właśnie chcesz.

Ostrożnie dobierając słowa, mówi:

– Byłam w związku, który nie zawsze był... zdrowy. Ale to już zamknięta sprawa.

Wszystko – podtekst i niedopowiedzenie, wyraz jej twarzy i sposób, w jaki przemknęła palcami w pobliżu sińca na szyi, którego nie widzę, ale którego istnienia jestem pewien – sugeruje, że mówi o maltretowaniu. Spodziewałem się usłyszeć coś takiego, poza tym cieszę się, że rozmawia ze mną szczerze, ale i tak jej słowa wprawiają mnie w osłupienie.

– Jesteś tego pewna? Czasami agresywnym mężczyznom z trudem przychodzi...

– Jim! Nie chcę, żebyś mnie niańczył. Po prostu potrzebuję dachu nad głową.

– Jasne!

Wiem, kiedy się wycofać. Samo to, że powiedziała mi, co się stało, jest już postępem. Sprzątam resztki po naszym posiłku i nalewam nam obojgu trochę whisky.

– Na zdrowko! – mówię, wręczając jej szklanekę.

Becky bierze ją ode mnie i przygląda mi się wzrokiem, który nie zdradza żadnych emocji; wciąż podciąga sobie koc pod brodę, niejako wznosząc między nami barykadę. Przez jakiś czas siedzimy w ciszy. W końcu się odzywa:

– Ładnie mieszkanie, braciszku.

– Dzięki.

– Poszliśmy w życiu całkiem innymi drogami, prawda?

– Becky...

– Nie martw się. To nie była twoja wina. Byłeś za młody, żeby go powstrzymać.

Upijam łyk whisky. Przez wzmiankę o naszym ojcu mam wrażenie, jakbym połykał szpilki. Niedługo później Becky idzie spać – przechodząc przez pokój, wciąż jest opatulona kocem; jego koniec ciągnie się po podłodze.

Długi dzień, który mam za sobą, i whisky sprawiają, że zasypiam niespodziewanie szybko – nawet pomimo paskudnych sprężyn w kanapie – bezsenność mnie jednak nie omija. Budzę się na długo przed świtem, odkrywając, że mroczne godziny cierpliwie czekały, by opleść mnie lękiem.

Szarpięciem otwieram przesuwane okno i gramolę się przez nie na gzyms. Wiem, że nie powinno się zaczynać dnia od palenia, ale moje słabotki są tak nieliczne, że pozwalam sobie na okazjonalnego papierosa. Może być dobrym towarzyszem w chwilach, gdy powierzchnia umysłu staje się chropawa i mroczna, a poruszanie się po jego zakamarkach przypomina błądzenie w labiryncie.

Na plecach czuję chłód kamiennej ściany, a korony drzew odcinają się na tle ulicznych latarni, nieruchome pod niskimi, kłębiącymi się chmurami, które przechwytyują mdlące odcienie nocnej poświaty miasta i odbijają je z powrotem na ulice. Naprzeciwko świeci się Cabot Tower; jej iglica błyska hipnotyzującym czerwonym światłem.

Rozkoszuję się dymem uderzającym mnie w płuca. Gdy go wydycham, okrywa widok mgłą i momentalnie tłumi światła. Z ulicy dochodzą mnie pijackie okrzyki, które stosunkowo szybko się oddalają, by wybudzić ze snu kolejnych pechowców.

Siedzę tam przez długi czas i rozmyślam.

Myślę o kanalii, która sfotografowała leżącego w szpitalnym łóżku Noaha Sadlera, i o redaktorze, który stwierdził, że dobrym pomysłem będzie umieszczenie tego zdjęcia na pierwszej stronie dziennika.

Myślę o Emmie i jej bardzo prowokacyjnym artykule, który dołał oliwy do ognia bristolskich napięć rasowych i poddał nasze śledztwo analizie. A pod osłoną mroku i samotności pozwalam sobie – przelotnie – przyznać, że jakaś uparta część mnie wciąż coś do niej czuje.

Myślę o swojej siostrze i o tym, że moim zadaniem jest pomagać ludziom, którzy znaleźli się w takim położeniu jak ona; nie wiem jednak, czy mi na to pozwoli.

Myślę o świadku, kobiecie, która uznała, że nie ma nic złego w wyapłaniu wszystkiego dziennikarce i podkoloryzowaniu przebiegu zdarzeń, o jakich opowiedziała mnie i Woodleyowi. Powinienem był poświęcić jej więcej czasu, zobaczyć się z nią po raz drugi, żeby przeciągnąć ją na naszą stronę. Zastanawiam się, czy powinienem był bardziej przyłożyć się do jej przesłuchania, spróbować wyciągnąć z niej

więcej informacji.

Zadaję sobie pytanie, czy podczas swojej nieobecności czegoś nie utraciłem. Zastanawiam się, czy czasem nie jest tak, że utknąłem z tą sprawą na drugim biegu, choć powinienem mieć wrzucony już piąty. Czy w ciągu całego tego czasu spędzonego na terapii straciłem bystrość?

Nie wiem.

Wiem jednak, że pomimo tego wszystkiego i tak czuję ogromną wdzięczność, że mogłem wrócić do gry. Będę kontynuował to śledztwo możliwie jak najstaranniej, dam z siebie wszystko. Tę sprawę trzeba rozwiązać szybko i bez rozgłosu, dokładnie tak, jak chciała tego Fraser.

Gdy gaszę ostatniego papierosa z paczki, rozdzwania się moja komórka.

To Fraser. Jest piąta nad ranem. Krew zastyga mi w żyłach.

– Przepraszam, że cię budzę.

Sama nie wydaje się do końca przytomna, w głębszych warstwach jej głosu wciąż czai się sen.

– Co się stało? – Coś musiało się stać.

– Przed godziną zmarł Noah Sadler. Wczoraj wdało się zakażenie.

Po raz pierwszy w życiu doświadczam zawrotów głowy – otaczający mnie miejski pejzaż zaczyna się powoli kołysać, mam przyprawiającą o mdłości pewność, że spadnę.

– Mówili, że jego stan jest stabilny. – Nie udaje mi się wykrztusić nic więcej, choć mój umysł pracuje na pełnych obrotach, by przetrwać te wieści. Najpierw myślę o rodzicach Noaha, a później o tym, że to śledztwo nabrało właśnie o wiele poważniejszego wymiaru dla każdego, kto jest w nie zaangażowany.

– Widzimy się w biurze, jak najszybciej – mówi Fraser.

Wsiadam na rower i ruszam w drogę z prędkością, która prawdopodobnie nie jest zalecana. Kiedy droga zaczyna się robić śliska od deszczu, nie zawracam sobie głowy ostrożnością.

2 *Dirac* – popularny wśród Somalijek rodzaj długiej, odświętnej, połyskliwej sukni (przyp. tłum.).

Dzień trzeci

O siódmej rano w mieszkaniu należącym do rodziny Abdiego Mahada domofon dzwoni długo i przeciągle, tak samo jak wtedy, gdy policja odwiedziła ich po raz ostatni.

Nur jest już poza domem – jeździ po ulicach Easton i dalej, próbując odnaleźć Abdiego. Zwalnia przy każdym zacienionym wejściu. Wsiada z wozu, by obejść niezagospodarowane skrawki terenu pod betonowymi filarami podpierającymi autostradę, i zagląda w najciemniejsze i najwilgotniejsze kąty pod wiaduktem kolejowym. Praca nocami, strach o Abdiego i poczucie winy wywołane lekkomyślnością w tamtej sytuacji z gazetą – wszystko to razem sprawia, że kręci mu się w głowie z wyczerpania.

Mahadowie zdecydowali, że sami rozejrzą się za Abdim, zanim powiadomią policję o tym, że przepadł. Boją się, że zniknięcie chłopaka może nasunąć wrażenie, że ma on coś na sumieniu. Sofia skontaktowała się ze wszystkimi, którzy tylko przyszli jej na myśl, by zapytać, czy widzieli jej brata, ale jak na razie nikt nie odpowiedział. Jest za wcześnie.

Sofia odbiera domofon, robi to jednak dopiero po wymianie pełnych strachu spojrzeń z matką.

– Tu inspektor Jim Clemo i posterunkowy Woodley. Możemy wejść na górę i porozmawiać?

Wpuszcza ich na klatkę.

Tym razem Clemo przyprowadził tłumaczkę – Somalijkę, która przedstawia się jako Ifrah Adan Faruur i oznajmia, że najczęściej współpracuje z opieką społeczną. Wygląda tak, jakby wyciągnięto ją z łóżka w wielkim pośpiechu – bo tak było.

Sofia wysyła ojcu esemes, żeby wiedział, że musi wracać do domu i że w mieszkaniu jest policja.

Maryam w żaden sposób nie podejmuje gości. Przygląda się Ifrah podejrzliwie, mimo że ta się do niej uśmiecha. Przypomina sobie o sąsiadach, którzy donieśli na jej ojca, jak była mała. Wie, że inni Somalijczycy mogą być nie tylko przyjaciółmi, ale też wrogami – nawet tak daleko od ojczyznanego kraju.

Siadają. Sofia nie spuszcza wzroku z Clemo, czeka, aż ten zabierze

głos. Zauważa wszystko: jego piwne oczy – życzliwe, choć zarazem oceniające – ciemne cienie pod nimi, to, że jego wargi wydają się dziś wilgotne. Gdy chrząka, dźwięk ten działa jej na nerwy.

– Ojciec jest w domu? – pyta ją Clemo.

– Wyszedł.

Tłumaczka powtarza wszystko po somalijsku, tak żeby Maryam mogła zrozumieć, o czym mówią.

– Wiesz, kiedy wróci?

– Niedługo.

– Czy Abdi rozmawiał już z wami o tym, co się stało?

Sofia kręci głową, starając się zapanować nad oddechem. Wie, że bez chwili zwłoki powinna powiedzieć Clemo o zniknięciu Abdiego, ale panicznie boi się, że inspektor się na nich wścieknie, że nie zadzwonili na policję, gdy tylko się zorientowali.

Maryam nie odezwała się nawet słowem.

Clemo się nachyla. Jest o wiele bardziej spięty niż podczas pierwszej wizyty.

– Jest mi bardzo przykro poinformować, że Noah Sadler przed kilkoma godzinami zmarł w szpitalu.

Tłumaczka powtarza te słowa w języku somalijskim.

Zarówno Sofia, jak i Maryam są w ciężkim szoku. Sofia przykładła dłoń do ust, tak jakby miała zaraz zwymiotować, i biegnie do łazienki. Nie zbiera jej się na wymioty, ale kręci jej się w głowie i czuje się cała lepka. Przez kilka minut stoi oparta plecami o ścianę łazienki i stara się odzyskać normalny rytm oddechu.

Gdy wraca do pokoju, zajmuje miejsce obok matki i splata mocno palce z jej palcami. Sofia lekko szlocha, za to Maryam wydaje się panować nad sobą. Emocje płoną w niej równie gwałtownie jak w córce, jednak już dawno temu nauczyła się chować je głęboko.

Tłumaczka wyciąga rękę, jak gdyby chciała pocieszyć kobiety, ale cofa ją, widząc, że żadna z nich nie reaguje.

– Zdaję sobie sprawę, że będzie to bardzo trudna wiadomość dla Abdiego, podobnie jak dla państwa, zwłaszcza że zmienia ona charakter naszego śledztwa.

Kiedy tłumaczka przekłada to zdanie, Clemo wodzi oczami od Sofii do Maryam. Żadna z nich nie odpowiada. Clemo zerka na tłumaczkę – ta tylko wzrusza ramionami.

– Miałbym jeszcze jedno pytanie, jeśli można. – Nie czeka na przyzwolenie, by je zadać. – Odnaleźliśmy już nagranie dźwiękowe z iPada, którego nam panie przekazały, trochę jednak musieliśmy się naszukać, ponieważ zostało ono usunięte. Czy wiedzą panie, jak mogło do tego dojść?

– Ja tego nie usuwałam – mówi Sofia.

Gdy tłumaczka przekłada pytanie, Maryam kręci głową, jak gdyby zakłopotana.

– Może skasowało się przypadkiem? – podsuwa Sofia.

Spogląda na matkę, zastanawiając się, czy to możliwe, żeby w jakiś sposób Maryam to zrobiła.

Clemo odnotowuje to i przechodzi dalej.

– Muszę teraz porozmawiać z Abdim, to bardzo ważne. Ale może wolałyby panie najpierw same powiadomić go o śmierci Noaha?

Sofia otwiera usta. Jak ma o tym powiedzieć? Gdy w milczeniu, z oczami utkwionymi w Clemo, szuka pośpiesznie odpowiednich słów i odwagi, by je wypowiedzieć, w domu zjawia się Nur.

Maryam wydaje z siebie cichy okrzyk bólu – miała nadzieję, że mąż przyprowadzi Abdiego ze sobą – po czym w końcu się odzywa:

– Chcą rozmawiać z Abdim – zwraca się do męża po somalijsku. – Noah nie żyje.

Tłumaczka przekłada jej słowa.

W dudniącej ciszy, która następuje, Sofia mówi:

– Abdi zniknął.

Atmosfera w pokoju zmienia się momentalnie.

Clemo zasypuje ich gradem pytań, cedząc przez zęby i ledwo tłumiąc gniew, że nie zadzwonili na policję od razu po tym, jak odkryli zniknięcie Abdiego. Siedzący obok niego funkcjonariusz zapisuje wszystko, co mówią.

Zanim policjanci wyjdą, Mahadowie nie mają żadnych złudzeń co do tego, że jeśli nie przekażą policji każdej użytecznej informacji o Abdim i miejscu jego pobytu, będą musieli się liczyć z konsekwencjami.

– Przedstawię tę kwestię tak jasno, jak to tylko możliwe – mówi do nich Clemo. – Państwa syn jest teraz podejrzanym w dochodzeniu, które może się okazać śledztwem w sprawie zabójstwa.

Kiedy inspektor wkłada płaszcz, Nur zabiera głos. Nie boi się. Musi chronić swoją rodzinę.

– Abdi to niewinny chłopiec. Co panowie zrobią, żeby go odnaleźć i bezpiecznie sprowadzić do domu?

Clemo się zatrzymuje.

Bądź miły dla mojego ojca, mówi w myślach Sofia, to dobry człowiek.

– Oczywiście zrobimy wszystko, co w naszej mocy, proszę pana.

* * *

Gdy wracam do auta, Woodley – równie blady jak ja – przyśpiesza kroku, żeby się ze mną zrównać. Nie wzdyga się, kiedy przeklinam.

– Muszę zadzwonić do Fraser – mówię.

Waleń otwartą dłońią w dach samochodu. Już teraz żałuję, że wcześniej nie próbowałem bardziej stanowczo zmusić Abdiego Mahada do mówienia, i jestem pewien, że po rozmowie z Fraser będę żałował tego jeszcze mocniej. Mina Woodleya podpowiada mi, że jest tego samego zdania. Taki wyraz twarzy ma ktoś, komu zaproponowano pogłaskanie jadowitego węża.

Kiedy telefonuję, Fraser z początku reaguje na moje wieści milczeniem, co jest niemal gorsze od tyrady. Po chwili w zwięzłych słowach udziela mi instrukcji.

– Jedź teraz do świadka, tak jak było w planie, i upewnij się, że nie powie prasie ani słówka więcej. Ja pomówię z Janie. Nie chcę, żeby wieść o śmierci Noaha Sadlera się rozeszła, jeżeli jesteśmy w stanie temu zapobiec. To mogłoby już całkiem zniechęcić Abdiego Mahada do powrotu, bo jak zakładam, nie wiedział o tym, zanim odstawił nam Copperfielda tym swoim zniknięciem. Boję się, że jeśli nie będziemy ostrożni, przypadnie na dobre. Gdy już przywołasz świadka do porządku, a mnie nadarzy się okazja do pociągnięcia za sznurki, by odnaleźć tego chłopaka, domkniemy plany naszych dalszych działań.

– Szefowo... – Chcę obgadać z nią tę sprawę, bo wpadło mi do głowy parę pomysłów, ale Fraser nie ma zamiaru mnie słuchać. Teraz ona przejęła ster.

– Później, Jim. Zadzwoń do mnie, jak już pogadasz ze świadkiem. W każdym razie nie wygląda to zbyt różowo dla Abdiego Mahada, tyle ci powiem.

Dzięki serii zielonych świateł szybko pokonujemy z Woodleyem drogę do Clifton Village. Kiedy mijamy Szpital Dziecięcy, serce mi się ściska na myśl o ciele Noaha Sadlera – nieżywym, odłączonym od aparatury.

Bez większego trudu odnajdujemy sklep należący do kobiety, która jest świadkiem. Jej imię i nazwisko – „Janet Pritchard” – napisane literami pełnymi wymyślnych pętelek i zawijasów, zajmuje całą powierzchnię liliowego szyldu. Tak jak przypuszczałem, jest to jeden z butików położonych przy ulicy biegnącej w samym centrum Village, gdzie witryny lśnią, a klientelę stanowią głównie ludzie nadziani.

Wewnątrz za kontuarem stoi znudzona młoda ekspedientka. Gdy pytamy ją, gdzie możemy znaleźć właścicielkę, odpowiada nam tak, jakby sama zadawała pytania:

– Janet jest w Albionie? – mówi. – Na spotkaniu?

Wiem, gdzie znajduje się Albion. Po krótkiej przechadzce docieramy na deptak pełen kawiarnianych stolików oraz stoisk z warzywami i owocami. Tuż przed georgiańskim łukowatym przejazdem, który pozwala rzucić okiem na położony za nim szycowny ogród, znajduje się wyłożony kostką brukową dziedziniec. To tu jest ten bar.

Janet Pritchard siedzi w środku i pije kawę z mężczyzną mającym na sobie świeżą białą koszulę, marynarkę i dzinsy z wymyślną metalową klamrą. Gdy dajemy znać o swojej obecności, mężczyzna wstaje. Poza nami i rozpalającym w kominku kelnerem w lokalu nie ma nikogo. W powietrzu unosi się ostry zapach piwa.

– Nie spodziewałam się panów – mówi Janet. – Nie macie panowie w zwyczaju najpierw dzwonić?

Nie podoba mi się jej ostry ton. Niewiele ma wspólnego z przymilnym nastawieniem, z jakim dwa dni temu rozmawiała z nami na złomowisku. Siłę się na uśmiech.

– Musimy z panią zamienić kilka słów, jeśli to możliwe.

– To mój partner w interesach, Ian – oznajmia Janet.

– Miło panów poznać. – Gdy mocno ściska nam dłonie, spod nieskazitelnego mankietu wylania się brzeg tatuażu.

– Najlepiej na osobności – dodaję.

Jej partner chwyta aluzję.

– Zostawię was samych. Widzimy się później, moja droga. – Mówiąc to, puszcza do niej oko. A zatem jest nie tylko partnerem w interesach. Ciekawe, czy to on próbował się dodzwonić do Janet, gdy przesłuchiwałam ją w baraku.

Siadamy z Woodleyem przy stoliku, a Janet zbiera papiery.

– W czym mogę panom pomóc?

– Proszę powiedzieć, w którym momencie uznała pani, że nie ma nic niewłaściwego w omówieniu z prasą niepokojącego incydentu dotyczącego dwóch nastolatków, których rodziny pogrążone są w rozpacz?

Woodley wciąga powietrze. Uważaj, niemal słyszę jego myśli, potrzebujemy jej po swojej stronie.

Janet Pritchard rzuca mi opanowane spojrzenie.

– Szczerze mówiąc – stwierdza – nie wiedziałam, że rozmawiam z prasą. Tamta pani przyszła do mojego sklepu. W pierwszej chwili wzięłam ją za klientkę, ale powiedziała, że jest pracowniczką organizacji pomagającej świadkom i ofiarom przestępstw. Poszłyśmy na herbatę.

– I uwierzyła jej pani?

– A skąd miałam wiedzieć, że kłamie?

– Czy powiedziała jej pani, że była świadkiem napaści na tle rasowym?

– Nie. Powiedziałam jej to samo co panom. Resztę wysłała z palca.

Sam nie wiem, czy jej wierzę, czy nie, ale po jej wydętych ustach widzę, że taka jest jej wersja zdarzeń i że zamierza się jej trzymać.

– Może pani opisać, jak wyglądała tamta kobieta?

– Zachwycająco. Miała ciemne, gęste włosy i urocze oczy. Jej nazwisko brzmiało z lekka obco, chociaż nie wyglądała na cudzoziemkę.

Dała mi swoją wizytówkę.

Już w chwili, gdy Janet Pritchard zaczyna grzebać w torebce, wiem, że to była Emma. Kiedy dostaję do ręki wizytówkę, widzę, że się nie pomyliłem.

– Mogę ją zatrzymać? – pytam.

– Pewnie. I tak nie będzie mi więcej potrzebna, prawda? Skoro już wiem, że nie wolno mi z nią znowu rozmawiać. – Unosi sarkastycznie brwi. Nie podoba mi się to.

– W przeciwnym razie mogą panią spotkać konsekwencje prawne.

– Zrozumiano.

– Jeszcze jedno. Czy tamtego wieczoru jeden z chłopców miał plecak?

– Możliwe. Tak, myślę, że miał. Ten, który wpadł do wody.

– Dziękuję.

Gdy zbieramy się do wyjścia, przypominam sobie o szczególe, który nie dawał mi spokoju po pierwszym przesłuchaniu.

– Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, powiedziała pani, że zatelefonowała z auta pod numer dziewięć dziewięć dziewięć.

– Zgadza się.

– Wspomniała też pani, że grzebała pani w torebce, by znaleźć komórkę, i dlatego nie widziała, co dokładnie stało się w chwili, gdy chłopak wpadł do kanału, prawda?

– Tak.

– Czy pani telefon nie był połączony z autem przez Bluetooth? Taki niezły wóz chyba ma tę funkcję.

Przed udzieleniem odpowiedzi milczy tylko chwilę.

– To dlatego, że system się popsuł. Bluetooth przez to nie działa.

Gdy wychodzimy, rozdzwania się jej telefon. Ewidentnie rozchwytywana z niej kobieta. Kiedy drzwi się za nami zamykają, odbiera rzeczowym, biznesowym tonem.

Na dziedzińcu Woodley ziewa; wczesna pobudka daje mu się we znaki.

– Co z tym nagraniem jej zgłoszenia o wypadku? – pytam. – Powinniśmy je odsłuchać jak najszybciej.

– Już o nie poprosiłem. Postaram się to przyspieszyć.

Gdy idziemy do samochodu, Woodley odwraca się i rzuca tęskne spojrzenie w kierunku baru.

– Jak sądzisz, szefie, trochę za wcześnie na kufelek?

– Może zrobimy sobie przerwę od żarcików, co?

W drodze powrotnej za kierownicą siedzi Woodley. Wyjmuję z kieszeni wizytówkę Emmy i przyglądam się jej. Jest prosta i gustowna, tak jak się spodziewałem. Nie ma na niej nazwy stanowiska – tylko imię, nazwisko i numer telefonu.

Choć najpewniej doktor Manelli z całych sił próbowałaby mnie od

tego odwieść, wiem, że zadzwonię do Emmy. Chcę ją odstraszyć od mieszania się w to śledztwo i powiedzieć jej co nieco do słuchu. Jestem na nią teraz tak zły, że aż trudno mi uwierzyć, że zaledwie parę godzin wcześniej siedziałem na gzymsie w swoim mieszkaniu i byłem przekonany, że coś do niej czuję. Niemniej wolę tę rozmowę odbyć na osobności. Nie ma mowy, żebym przeprowadził ją przy nadstawiającym uszu Woodleyu.

Zamiast tego dzwonię z samochodu do Fraser, bo muszę dostać od niej zielone światło w pewnej kwestii, i to jeszcze tego ranka. Proszę, żeby nurkowie ponownie przeprowadzili poszukiwania, tym razem skupiając się na części kanału znajdującej się tuż przy złomowisku – sprawy przybrały na tyle poważny obrót, że Fraser z miejsca się zgadza. Chcę odnaleźć plecak Noaha Sadlera. W obecnej sytuacji może to być jeden z najlepszych pomysłów, by zdobyć jakieś wskazówki co do tego, co chłopcy knuli.

* * *

Nur znowu jedzie taksówką na poszukiwania Abdiego. Tym razem towarzyszy mu Maryam.

– Dzwon dalej – instruuje Nur Sofię przed wyjściem. – Do wszystkich, którzy tylko przyjdą ci na myśl. Musimy go znaleźć.

Sofia siedzi z komórką w ręku, kontaktując się z każdym, kto tylko przychodzi jej na myśl. Telefon nieustającą serią piknięć sygnalizuje nadejście esemesów i wiadomości internetowych od znajomych i dawnych kolegów ze szkoły, którzy obiecują, że będą się rozglądać za Abdim i że opublikują wieści o nim na portalach społecznościowych.

Sofia nie odbiera żadnych połączeń. Nie jest w stanie z nikim rozmawiać. I jej samej, i rodzicom jest wstyd z powodu tej sytuacji, ale nie mogą jej dłużej ukrywać. Najważniejsze to znaleźć Abdiego.

Skontaktowawszy się już ze wszystkimi osobami, jakie tylko przyszły jej do głowy, Sofia pogrąża się w myślach. Znowu zastanawia się nad rozmową Abdiego z Edem Sadlerem i nad zniknięciem jej zapisu. Trudno jej uwierzyć, że matka miałaby umyślnie skasować to nagranie – nie ma nawet pewności co do tego, czy Maryam wiedziałaby w ogóle, jak to zrobić – nie potrafi jednak odpędzić od siebie delikatnego podejrzenia, że tak się stało.

Sofia zdaje sobie sprawę, że bez względu na to, czy jej matka majstrowała przy nagraniu, czy nie, samo jego istnienie wystarcza, aby była przekonana, że klucz do całej tej sprawy leży w poczynaniach Abdiego w ostatnich kilku dniach. W każdym razie to jej jedyne punkty zaczepienia.

Ma wyrzuty sumienia, że była tak bardzo pochłonięta uczelnią, że w minionych tygodniach nie zwracała większej uwagi na życie rodziny. Zastanawia się, od czego zacząć. Rzecz jasna, nie może wypytywać w szkole Noaha, przypomina sobie jednak, jak Amina wspominała, że w piątkowy wieczór Abdi towarzyszył Maryam w Centrum Powitalnym i że był to wieczór nietypowy, bowiem wtedy Maryam zemdląła. Sofia idzie do tego ośrodka dla uchodźców, co krok rozglądając się za bratem.

Przy tylnym wejściu do Centrum Powitalnego wolontariusze rozpakowują pudła z żywnością. Jeden z nich stoi we wnętrzu wana i przebiera w produktach żywnościowych, które tego ranka zebrano w lokalnych firmach.

– Mamy tu mnóstwo ryżu, papryki i pomidorów. Jest mięso z kurczaka! I bezy.

W drzwiach budynku, krzyżując ręce, stoi szef kuchni Sami.

– Ej, Sofio – mówi – myślisz, że ludzie ucieszą się, jeśli dostaną na lunch kurczaka w bezach?

Zawsze potrafi sprawić, że się uśmiechnę, myśli Sofia, nawet dziś.

– Czy jest Amina?

– Robi porządek w szafie na darowizny.

Wewnątrz budynku panuje ruch jak zwykle. W tymczasowych klasach nauczyciele angielskiego rozkładają materiały do nauki, a radca prawny, udzielający mieszkańcom obozu darmowych porad, wygładza plastikowe obrusy leżące na stołach na kozłach, przygotowując je do lunchu. Wolontariusze pracujący w kuchni rozstawiają metalowe dzbanki z herbatą i kawą i otwierają pudełka z biszkoptami. W pomieszczeniu jest ciepło i jasno, a wkrótce zaczną je wypełniać zapach gotowania – gdy tylko zespół zabierze się do przygotowywania ciepłego posiłku ze wszystkiego, co znajdzie w wanie.

Sofia spotyka Aminę na półpiętrze. Kobieta siedzi przy pustej szafie i cuchnącym stęchlizną stosie ubrań. Przed sobą trzyma poplamiony damski podkoszulek.

– Dlaczego ludziom się wydaje, że mogą przekazywać w darze coś takiego? – Kręci głową. – Potrzebne nam są płaszcze i swetry. Ciepłe ubrania dla dorosłych ludzi.

Sofia opowiada jej, co się stało, czując, że zaczyna tracić opanowanie, w miarę jak do oczu Aminy napływają łzy. W zasadzie jednak opowiedzenie o tej sprawie komuś spoza rodziny przynosi jej ulgę.

– Ale Abdi jest taki grzeczny – mówi Amina. – To ostatni chłopak, którego widziałabym w takiej sytuacji.

– Kiedy spotkałaś go tutaj po raz ostatni, wtedy gdy mama zemdląła, widziałaś może, co robi?

– Myślisz, że wpadł w jakieś złe towarzystwo?

– Sama nie wiem, co myśleć. Próbuję dowiedzieć się wszystkiego, co

się da.

– Prawdopodobnie widziałam go tamtego wieczoru raz czy dwa, ale mieliśmy wtedy mnóstwo pracy – była chłodna noc – i nie zwracałam uwagi na to, co się dzieje dookoła, dopóki nie zemdląca twoja matka. Wydaje mi się, że Abdi pomagał w kuchni. Mieli tam wtedy niezły tłumek wolontariuszy. Nie roznosił jedzenia razem z nami, ale czyścił talerze z resztek. Gdy twoja mama zemdląca, kilkoro z nas pomogło jej usiąść, a ja przysiadłam obok niej. Abdi zniknął na jakiś czas, ale później wrócił, żeby się nią zaopiekować, a jeden z wolontariuszy odwiózł ich do domu przed końcem zmiany.

– Wiesz, dlaczego mama zemdląca?

– Nie. Powiedziała, że spadło to na nią nagle. W jednej chwili źle się poczuła i zaczęło jej się kręcić w głowie, a w kolejnej już upadła. Wybacz, kochana, że nie mogę ci bardziej pomóc, mieliśmy tu obłądny ruch. Niewykluczone, że ktoś inny zapamiętał więcej. Może pogadaj z Timem?

Sofia odnajduje Tima w recepcji, gdzie rejestruje on wchodzących właśnie uchodźców. Ma przyjazną minę i wielkie dłonie, przy których jego kubek z herbatą wydaje się malutki.

– Tak, Abdi był tu w piątek – mówi. – Mieliśmy spory ruch. Zjawilo się wiele nowych twarzy.

– Wiesz, co robił? – pyta Sofia.

– Pomagał w kuchni, tak sądzę. Krzątał się tam przez większość wieczoru. A po tym, jak twoja mama zemdląca, chodził i wypytywał o kogoś.

Sofia czuje, jak jej tętno przyśpiesza.

– Wiesz, o kogo?

– To był jakiś mężczyzna, Somalijszyk, ale nic więcej nie wiem.

Zagląda do księgi, do której przed rozpoczęciem zmiany wpisują się wolontariusze.

– Tamtego wieczoru pracowali z nim Kate i Jacob. Abdi sporo z nimi rozmawia. Może oni wiedzą coś więcej.

– Masz do nich jakieś dane kontaktowe?

– Nie wolno mi udostępniać takich informacji, przykro mi, kochana, ale mogę z nimi pogadać i poprosić, żeby do ciebie zadzwonili.

– A mógłbyś też poprosić wszystkich wolontariuszy, żeby rozglądali się za Abdim i zatelefonowali do nas, jeśli go zobaczą?

– Oczywiście. Zrobimy, co tylko się da. Wszyscy tutaj za nim przepadamy. Jest jednym z naszych najbardziej lubianych pomocników.

Sofia zapisuje swój numer na kartce i wręcza ją Timowi.

– Nie krępuj się, proszę, i napij się przed wyjściem herbaty, jeśli masz ochotę. Z twojego wyglądu wnioskuję, że mogłoby ci się to przydać – mówi mężczyzna.

Z nieśmiałości Sofia w pierwszym odruchu chce odmówić, ale się powstrzymuje. Nic nie jadła przez cały ranek i czuje się osłabiona.

Częstuje się herbatą i biszkoptami i wita się z wolontariuszami, których rozpoznaje. Wśród pracujących w centrum wolontariuszy – dokładnie tak jak wśród jego gości – panuje nieustanna rotacja. Sofia wycofuje się do stolika w kącie pomieszczenia i przygląda uchodźcom, którzy właśnie zaczęli się schodzić. Niektórzy są weseli, chętni do nauki i do rozmów z przyjaciółmi. Inni gorzej znoszą ciężar doświadczeń. W tym jasnym, przyjaznym pomieszczeniu ludzie po przejściach mogą liczyć na ciepłą herbatę i równie ciepłe wsparcie, mimo to Sofia wyczuwa ich zbiorowe cierpienie tak silnie, jak gdyby było ono odrębnym bytem. Staje się nie do zniesienia. Po zaledwie kilku minutach dziewczyna odnosi pusty kubek i talerz i wychodzi.

Maryam – siedząc obok Nura w taksówce, którą krążą w kółko po okolicy ich domu i dalszych terenach – także myśli o Centrum Powitalnym.

Tuż przed omdleniem zobaczyła ducha z przeszłości – twarz, której od bardzo dawna nie widziała w realnym życiu, ale która regularnie nawiedzała ją w koszmarach.

Nur skręca w stronę dworca kolejowego i kanału Feeder.

– Chcę zobaczyć, gdzie byli – mówi.

Maryam nie odpowiada.

Kiedy mijają centrum handlowe, w którym Sofia uwielbia spędzać czas z koleżankami, Maryam spogląda na Nura. Jej mąż skupia się na jeździe. Jest dobrym kierowcą, bardzo uważnym. Jakże ona go kocha.

Nur nazywa Bristol nowym początkiem – dzieci zawsze się śmieją, bo mówi tak już od piętnastu lat – ale jakkolwiek często by to powtarzał, Maryam odbiera to inaczej. Dla niej Bristol jest miejscem oczekiwania na koniec, na domknięcie się koła, bowiem zbyt wiele rzeczy, które wydarzyły się w Somalii i w obozie, nadal tkwi uparcie w jej pamięci niczym pytania pozostawione bez odpowiedzi.

Wie, że gdyby okazało się, że Abdi przepadł na dobre albo że dopuścił się czegoś strasznego, Nur się załamie.

Maryam myśli o mężczyźnie, którego zobaczyła w ośrodku dla uchodźców. O chwili, gdy ugięły się pod nią nogi. Myśli także o swoim zaginionym synu i o tym, co mógł zrobić oraz co zrobić zamierzał. Wie, że wszystko na świecie się ze sobą łączy. Jakże mogłoby być inaczej?

Gdy Nur skręca w Feeder Road, palce Maryam suną w stronę blizny na jej przedramieniu.

* * *

Drzwi otwiera Ed Sadler – jest dokładnie tak wymizerowany i oszołomiony, jak przypuszczałem.

Wchodzimy za nim do środka. Tym razem prowadzi nas korytarzem do przestronnej kuchni, położonej z tyłu domu. Za szklaną ścianą widać ogród.

Przy kuchennym stole siedzi Fiona Sadler. Ma na sobie blad różowy sweter i wygląda tak krucho, jak to tylko możliwe.

– Ogromnie mi przykro z powodu państwa straty – mówię.

Spojrzenie, jakim mnie obrzuciła, trudno byłoby odwzajemnić.

– Czy tamten chłopiec wreszcie się odezwał? – pyta. Wypluwa te słowa niczym gorzkie pestki.

– Fi. – Jej mąż staje za nią, kładzie jej ręce na barkach i zaczyna je masować.

– Wie pan co, inspektorze? Zostaliśmy oszukani – mówi Fiona Sadler.

– Zawsze graliśmy na zwłokę, odkąd tylko Noahowi postawiono diagnozę. Jak to możliwe, że dopiero co dowiedzieliśmy się, że zostało mu kilka miesięcy życia, i to w optymistycznym wariantcie, a teraz zostaliśmy okradzeni nawet z tego? Oszukano nas.

O tym samym mówiła nam w szpitalu, tyle że teraz już się nie hamuje. Filtry zniknęły i jest bardzo zła. Oparte na stole ręce zaciska w pięści. Jej knykcie błyszczą perłowo.

– Obawiam się, że muszę z państwem poruszyć pewien trudny temat.

– Zachowuję rzeczowy ton; mimo całego współczucia nie mogę tego za mocno lukrować. Reputacji Abdiego Mahada, a prawdopodobnie również jemu samemu, grozi wielkie niebezpieczeństwo, ja zaś jako policjant mam zobowiązania również wobec niego.

Patrzą na mnie tak, jak gdyby nie byli w stanie uwierzyć, że może na nich spaść coś jeszcze.

– Czy któreś z państwa widziało wczorajsze „Bristol Echo”?

Oboje kręcą głowami. Pocieszam się, że przynajmniej tyle dobrego, że dowiedzą się o tym ode mnie. Dzięki temu możemy postarać się zapanować nad ich reakcją. Nie musimy ryzykować, że dowiedzą się na własną rękę i być może zrobią coś nieprzemyślanego.

– Przykro mi to mówić, ale na pierwszej stronie opublikowano tam artykuł opatrzony zdjęciem Noaha leżącego w szpitalnej sali.

Fi Sadler zaczyna szlochać.

– Wygląda na to, że zdjęcie zrobiono z ukrycia, w związku z czym będziemy przesłuchiwać pracowników szpitala. Mają państwo może jakiegokolwiek przypuszczenia co do tego, kto mógłby ukradkiem sfotografować Noaha?

– Nie. – Kobieta wypowiada to słowo niemal szeptem.

– Przykro mi. Zdaję sobie sprawę, że to dla państwa bardzo bolesne. W artykule zasugerowano ponadto, że Noah padł ofiarą napaści na tle

rasowym, do czego nie możemy się w żaden sposób odnieść, dopóki nie zdobędziemy twardych dowodów. Domyślam się, że zastanowiwszy się nad tą sprawą, poczują państwo pokusę, by pomówić z prasą i przedstawić jej własną wersję wydarzeń, ale zdecydowanie odradzamy państwu jakikolwiek kontakt z mediami. To niezwykle istotne dla toczącego się śledztwa.

– Wiedzą o śmierci Noaha? – pyta Fiona.

– Nie. Jeszcze nie. I wołałbym, aby pozostało tak możliwie jak najdłużej, żebyśmy mogli dalej robić swoje, nie będąc w centrum uwagi opinii publicznej. Wprawdzie nie możemy ukrywać tej informacji w nieskończoność, ale chciałbym dać państwu możliwie najwięcej czasu na przeżywanie żałoby w samotności, bez uwagi prasy.

– Jak mogli opublikować zdjęcie naszego syna? – mówi Fiona. – Czym niby to uzasadniają? To obrzydliwe.

– Cóż, z pewnością sprawdzimy, czy dziennikarze mieli do tego prawo, czy nie, a jeśli się okaże, że doszło do naruszenia prywatności, mogą państwo mieć pewność, że zostaną im postawione zarzuty.

– Czy tamten chłopak wie, że Noah nie żyje?

– Abdi niestety zaginął.

Patrzy na mnie, jak gdyby było to dla niej o jedną informację za dużo, i prawdopodobnie tak właśnie jest. Ed Sadler odwraca się do nas plecami i spogląda w okno. Ramiona mu drżą.

Fiona mówi:

– To Abdi jest za to wszystko odpowiedzialny, na pewno.

Jej mąż obraca się.

– Fi! Nie wiesz tego! Przestań tak mówić.

Jednakże wszelkie resztki racjonalnego myślenia, jakie wcześniej zachowała, teraz doszczętnie zatarł ból po stracie.

– Abdi był zdrowy. Powinien chronić Noaha. Jak mógł do tego dopuścić? Noahowi nigdy nie udało się o własnych siłach zejść tak daleko ani wspiąć się na ogrodzenie. Na pewno ktoś mu w tym pomógł. Abdi musi zostać za to pociągnięty do odpowiedzialności. Dlaczego miałby zniknąć, jeśli nie byłby w jakiś sposób winny?

– Wcale tak nie myślisz.

– Doprawdy? – Oczy ma zaczerwienione, a twarz wilgotną od łez.

Wstaję. Pora na nas.

– Proszę do mnie zatelefonować, jeśli tylko przypomnieliby sobie państwo jeszcze o czymkolwiek, co miałyby związek z chłopcami albo z wydarzeniami z poniedziałku. Mogą państwo dzwonić o każdej porze. Numer mojej komórki jest tutaj.

Kładę swoją wizytówkę na stolik, obok stosu ulotek reklamujących wystawę ojca Noaha.

Ed Sadler podąża za moim wzrokiem.

– Właśnie tam spędziliśmy poniedziałkowy wieczór. Był wernisaż. Chłopcy poszli razem z nami.

Podnoszę jedną z ulotek.

– Żałuję, że w ogóle zgodziliśmy się, żeby Abdi nam wtedy towarzyszył. – Fiona Sadler nie skończyła jeszcze litanii oskarżeń. Mówi coraz głośniejsze. – Powinniśmy byli tam pójść tylko w trójkę. Sami!

– Odprowadzę panów. – Ed Sadler rusza w kierunku drzwi.

Ostre powietrze na zewnątrz witam z ulgą. Czuję się tak, jakbym znów mógł oddychać.

Przekraczając próg, korzystam z tego, że Ed Sadler jest sam.

– Rozmawialiśmy w szpitalu z terapeutą Noaha. Nie mógł nam nic powiedzieć o kwestiach, które omawiał z Noahem, ale wspomniał, że niektórymi szczegółami tych rozmów dzielił się z panem. Czy to prawda?

– Nie ze mną, z Fioną. Będziecie musieli pomówić z nią, ale może nie dzisiaj.

– Terapeuta napomknął o pewnej sprawie, którą Noah chciał się podzielić z panem, ale nie z pańską żoną. Przypomina pan sobie coś takiego?

Ed Sadler się waha. Głupio jest mi męczyć go tym w obecnej sytuacji, ale nie sądzę, żeby w ciągu kilku najbliższych dni cokolwiek się u nich poprawiło, więc chcę wykorzystać okazję.

– Napisał do mnie mejl w pewnej sprawie, nie pamiętam kiedy, chyba w zeszłym roku. Sądzę, że byłem wtedy za granicą. Szczerze mówiąc, wydało mi się to banalne, nie poświęciłem tej kwestii zbyt wiele uwagi. Chodziło o rozprawkę, w której Noah pomógł Abdiemu.

– W jaki sposób pomógł?

Spogląda przez ramię, słysząc wołanie żony.

– Zaraz przyjdę! – krzyczy w odpowiedzi, po czym zwraca się do nas: – Zaczekajcie tutaj. – Głośno biegnie po schodach na górę.

Stoimy z Woodleyem w progu parę minut, zanim zjawia się ponownie. Ma w rękach kilka zeszytów.

– To zapiski, które Noah prowadził w ramach terapii. Myślę, że jest w nich prawie wszystko, o czym rozmawiał z terapeutą, ale muszę was ostrzec, że to dość nudna lektura. Tylko nie mówcie, proszę, Fi, że wam je dałem. Noah nie chciał, żeby je widziała. Chyba bał się, że Fiona zacznie je szczegółowo analizować i jeszcze bardziej się przez to nakręci. Wystarczająco źle znosiła ustne sprawozdania terapeuty. Gdyby to zależało ode mnie i Noaha, rozpalilibyśmy razem ognisko i spalili te notatki, ale psycholog nalegał, żebyśmy je zachowali, więc na prośbę syna trzymałem je schowane w swoim gabinecie. Noah się ich wstydził. Z dzisiejszej perspektywy przejmowanie się takimi drobnostkami wydaje się aż głupie.

– Na pewno je panu oddamy.

– Nie obchodzi mnie, czy jeszcze kiedyś je zobaczę. Nie to chcę o nim pamiętać.

Ogląda się przez ramię, bo z głębi domu dobiega kolejne nawoływanie Fiony.

– No, tak czy inaczej, gdzieś w tych zeszytach jest opis sytuacji, o której mówił mi terapeuta. Ale na waszym miejscu nie wiązałbym z tym większych nadziei. To tylko typowe chłopięce sprawy. Ja w ich wieku miałem za uszami o wiele gorsze rzeczy.

– Dziękuję.

Gdy zamyka frontowe drzwi i wraca do żony, zastanawiam się, czy ich związek to przetrzyma, czy też rozszarpią się nawzajem na strzępy.

* * *

Sofia uświadamia sobie, że nie ma szans, żeby skupiła się dziś na wykładzie. Postanawia więc odwiedzić galerię. Chce na własne oczy zobaczyć wystawę Eda Sadlera i znaleźć zdjęcie, o którym Abdi wspomniał w nagraniu. Jest niemal pewna, że nie spotka tam Eda ani Fiony Sadlerów, nie w tych okolicznościach, więc nie będzie musiała stanąć z nimi twarzą w twarz.

Do Montpellier jedzie pociągiem. To tylko dwie stacje. Bez problemu mogłaby pokonać tę odległość na piechotę, ale boi się chodzić po nieznanymi rejonach miasta. Jej hidżab przyciąga więcej uwagi, niżby sobie tego życzyła. W pociągu czuje się bezpieczniej, zwłaszcza po ostatnich zamieszkach. Siada przy oknie i przygląda się, jak znajome widoki znikają w tyle – blokowiska i kilka samotnych wieżowców ustępują miejsca ciągnącym się rzędami wiktoriańskim domom szeregowym, paru terenom przemysłowym i ogródkom działkowym układającym się w patchwork na stromym zboczu wzgórza. W Montpellier stoją szeregi domów w stylu georgiańskim, wiele z nich pomalowano pastelowymi barwami, inne zachowały swój pierwotny złocisty kamień. Tylko mniej więcej połowa jest zadbana. Fasady pozostałych wyglądają na zwietrzałe i są poplamione. W szczelinach w łupkowych dachach rośnie zielsko, a rogi budynków są upstrzone graffiti.

Ze stacji Montpellier Sofia idzie piechotą na Cheltenham Road i dalej w kierunku Stokes Croft. Uwielbia tę okolicę – za jej artystyczną atmosferę, kawiarnie i tętniące życiem ulice oraz mieszaninę ludzi z różnych środowisk.

Budynki położone za wiaduktami kolejowymi na Cheltenham Road są opanowane przez graficiarzy. Ktoś śpi na ganku w brudnym śpiworze,

a mężczyzna ze źrenicami jak główki od szpilek chodzi po ulicy w tę i w tę, bezwzględnie krytykując wszystkich i nikogo. Sofia omija go, przechodząc na drugą stronę ulicy, i opuszcza głowę, by uniknąć rozmowy z towarzyskimi pijaczkami, którzy zebrali się na niewielkim, trójkątnym spłachetku trawy, wciśniętym między skrzyżowanie a ślepią ścianę budynku z czerwonej cegły.

REPUBLIKA LUDOWA STOKES CROFT – głosi wielki malunek na ścianie. Nie jest to jednak teren, na który lepiej się nie zapuszczać. Kluby ze striptizem, sklepy charytatywne i restauracje serwujące jedzenie z każdego zakątka świata sąsiadują tu z hipsterskimi baremi i kawiarniami, skorupa wielopiętrowego opuszczonego budynku góruje nad sklepowymi witrynami, a absolutnie każdą powierzchnię, choć wydaje się to niemożliwe, pokrywa graffiti. Za budynkiem powstaje nowa siedziba Armii Zbawienia. W górze sterczy ramię dźwigu, a samochody tworzą korek za tymczasową sygnalizacją świetlną.

Po przejściu ulicą kilkuset metrów Sofia dostrzega w oddali galerię i czuje, jak narasta w niej niepokój.

Napis EDWARD SADLER: PODRÓŻE Z UCHODŹCAMI został nadrukowany eleganckimi białymi literami na wewnętrznej stronie szyby.

Sofia przechodzi przez ulicę, prawie nie rozglądając się, czy coś najeżdża. Patrzy na duże zdjęcie w oknie. Przedstawia ono chłopca niosącego na barkach martwego rekina młota.

Gdy Sofia wchodzi do galerii, zza biurka stojącego w głębi pomieszczenia podnosi się dziewczyna. Ma długie blond włosy upięte w sposób, który wydaje się celowo niedbały, i jest ubrana w skórzaną spódniczkę i golf.

– Mogę w czymś pomóc?

– Tylko się rozglądam.

– Jeśli interesowałoby panią kupno, mam wykaz cen i opisy zdjęć autorstwa samego fotografa. Nie wszystkie prace są na sprzedaż. Miłego oglądania! Ta wystawa ma w sobie mnóstwo autentyzmu.

Sofii wystarczy zaledwie pobieżne rozejrzenie się po sali, by szpony strachu zacisnęły się wokół niej jeszcze mocniej niż dotychczas.

Zdjęcia ukazujące obóz dla uchodźców przemawiają do niej natychmiast, budząc pamięć zmysłów – wszystkie obozowe zapachy, doznania, hałasy i głosy zaczynają walczyć o jej uwagę.

Przygląda się fotografiom przedstawiającym Somalię; te z kolei wywierają na niej inne wrażenie, nigdy bowiem tam nie była. Zawsze gdy wyszukuje Somalię w Google’u, wyświetla jej się wiele obrazów przypominających te tutaj. Często widać na nich przemoc, niedostatek i zniszczenie. A jeśli nawet tego nie ma, to ukazują wielbłądy albo nomadów upozowanych dekoracyjnie na tle pustyni, bądź też inną

afrykańską kliszę. Nie przedstawiają natomiast prawdziwego życia – i to samo odnosi się do zdjęć Eda Sadlera. Wystawione tu fotografie ukazują skrajności, skupiają się na rzeczach szokujących. Opowieść, w jaką się układają, jest niekompletna i nastawiona na wzbudzanie sensacji.

Gdzie są matki i córki, ojcowie i synowie, bracia i siostry, którzy stanowią żywe, bijące serce tych miejsc? Którzy stronią od przemocy i liczą jedynie, że będzie lepiej? Sofia zna odpowiedź na swoje pytanie, jeszcze zanim w ogóle je zadała – zwyczajne historie są nudne. Nie podbijają sprzedaży gazet ani nie zachęcają do wpłacania darowizn.

Otoczona tymi przedstawieniami okropności zaczyna tęsknić za zwykłymi ludźmi. Tęskni za ich ciepłem i odwagą, a także za nudą, z którą się zmagali, oraz tymi małymi, powtarzanymi każdego dnia czynnościami, które pomagały im przetrwać. Do tego rodzaju ludzi zaliczali się jej rodzice, podobnie jak wielu ich przyjaciół czy sąsiadów z obozu. Ich zwyczajne działania to w oczach Sofii prawdziwe akty heroizmu. Te fotografie natomiast są jej zdaniem bezduszne i stanowią część szerszego problemu, ale dziewczyna odpędza od siebie te myśli. To nie z powodu tych zdjęć tutaj przyszła.

Pośrodku jednej ze ścian odnajduje to, czego szukała: kadr z obozu przedstawiający mężczyzn oglądających mecz piłki nożnej. Właśnie o tę fotografię Abdi pytał na nagraniu. Sofia dostrzega człowieka, o którym wspominał jej brat. Znajduje się dokładnie na środku, jako jedyny ma twarz zwróconą w stronę aparatu, choć nie patrzy bezpośrednio w obiektyw. Ujęcie jest niepozowane. Rozszczępione podniebienie tego mężczyzny wygląda szokująco. Sofia dokładnie przypatruje się zdjęciu, ale nie znajduje niczego, co tłumaczyłoby zainteresowanie Abdiego. Zastanawia się, czy powinna zapytać o to rodziców. Wyciąga telefon i robi zdjęcie tej fotografii.

Pracująca w galerii dziewczyna podchodzi do Sofii i zaskakuje ją uwagą rzuconą nazbyt ożywionym głosem.

– To także jedno z moich ulubionych zdjęć. Co pani myśli o całej wystawie?

– Jest przerażająca – odpowiada Sofia. Dźwięk własnego głosu, przekazującego, co naprawdę czuje, niespodziewanie doprowadza ją niemal do płaczu.

– Ale przy tym jakże potrzebna, nie sądzi pani...

– Nie. Po prostu jest przerażająca.

– Z początku te zdjęcia szokują, owszem, ale jeśli pomyśleć o ich znaczeniu na poziomie meta...

Sofia odpowiada cicho, ale bardzo stanowczo:

– Nie ma tu żadnego „znaczenia na poziomie meta”. Te zdjęcia estetyzują cierpienie i robią z niego sensację.

– Ich autor nie zgodził się na sprzedaż tych bardziej szokujących.

Sofia nie zaszczycza tego stwierdzenia odpowiedzią.

Stanąwszy na chodniku przed galerią, Sofia robi kilka głębokich wdechów, by ukoić nerwy i stłumić mdłości. Może sobie tylko wyobrażać, jak Abdi musiał się czuć na przyjęciu wydanym, aby celebrować tego rodzaju fotografie.

* * *

Po powrocie do komendy grzęznę w zapiskach Noaha Sadlera z terapii, czekając, aż spotkanie, w którym uczestniczy Fraser, dobiegnie końca.

Czuję się trochę tak, jak gdybym zaczął się lekko szarpać na tej krótkiej smyczy, na której mnie trzyma, każąc mi się meldować u niej dwa razy dziennie, ale jako że to dopiero mój trzeci dzień po przerwie, nie pozostaje mi chyba nic innego, jak tylko na razie pogodzić się z sytuacją.

Podczas lektury muszę walczyć ze zmęczeniem. Daje mi się we znaki brak snu, poza tym notatki, jak ostrzegał Ed Sadler, są dość nudne. W pierwszych kilku częściach dzienników – które na dobrą sprawę są po prostu cienkimi szkolnymi zeszytami, po jednym na każdy rok – charakter pisma jest dziecinny. Zawierają one opatrzone datami spisy tematów, które Noah omawiał z terapeutą, i nic więcej. Najwcześniejsze notatki musiały powstać, gdy Noah miał zaledwie około jedenastu lat, więc nie dziwi mnie, że są takie skąpe. Mimo to trudno mi jednak pozbyć się myśli, jak smutny jest ten katalog tematów. Wpisy w większości wyglądają mniej więcej tak: „Rozmawiałem o chemioterapii, przyjaźniach, szkole”.

Dopiero w piątym zeszycie, najnowszym, robi się ciekawiej, Noah zaczyna w nim bowiem okraszać wpisy komentarzami. Wszystkie są w dużej mierze do siebie podobne: „Szkolne przyjaźnie – ciężka praca, czasami samotność; popracować nad pytaniem innych o ich emocje i samopoczucie”.

Tu i ówdzie zdarza mu się dodać coś nieco bardziej osobistego: „Muszę się postarać, by nie postrzegać Imrana jako zagrożenia. Pomyśleć o kręgach przyjaciół”.

Jedynym miejscem, w którym rzeczywiście zagłębił się w szczegóły, jest któryś z całkiem świeżych wpisów – wydaje mi się, że do rozwinięcia tej notatki sprowokowało go poczucie niesprawiedliwości: „Szkolne przyjaźnie: rozmawiałem o nakłonieniu Imrana do tego, by napisał Abdiemu rozprawkę, i o całym tym szumie, jaki to wywołało. Nie rozumiem, dlaczego miałoby to być problemem. Imran desperacko chciał mieć GTA 5 i w końcu dostał ją za 20 funtów od jednego z chłopaków z ostatniej klasy, którego poznał na badmintonie, więc

wszyscy są zadowoleni. Ostatecznie Abdi nigdy nie został o nic oskarżony. Powiedziałem tacie – uznał to za dobry uczynek!”.

Pod względem liczby szczegółów ten wpis dość wyraźnie odcina się na tle pozostałych. Przerzucam kolejne strony. Później też pojawiają się dłuższe wpisy, ale żaden z nich nie przyciąga mojej uwagi tak mocno jak ten. Pokazuję go Woodleyowi.

– GTA 5 to Grand Theft Auto, gra komputerowa – mówi. – Zdecydowanie tylko dla dorosłych.

Czytam tamtą notatkę jeszcze raz.

– Zatem jeśli dobrze rozumiem, Noah i Abdi zapłacili Imranowi dwadzieścia funtów za rozprawkę, ponieważ Abdi jej potrzebował, a Imran chętnie na to przystał, bo mógł sobie za te pieniądze kupić Grand Theft Auto, czyli grę komputerową?

– Grand Theft Auto 5. To ważne. Przebija pozostałe części. Ma lepszą optymalizację, mechanikę rozgrywki, grafikę.

– Mów po ludzku, Woodley.

– Tak się tylko drocę, szefie. To żargon maniaków gier.

– Zrozumiałem słowo „grafika”.

– Czyli jeden termin na trzy. Mogło być gorzej.

– Sprawiasz, że czuję się staro. Nie masz czasem niczego lepszego do roboty?

Woodley lekko mi saltuje i wychodzi.

Fraser siedzi na spotkaniu całą wieczność. Czekaając, znowu bawię się wizytówką Emmy. Każdy nowy skrawek informacji na temat tych chłopców nadaje kolory ich życiu w moich oczach i sprawia, że czuję, jakbym znał ich lepiej. Jednocześnie jednak potęguje mój gniew na podłe taktyki, do których uciekła się Emma, żeby napisać swój artykuł.

Znajduję wolny pokój i do niej dzwonię. Chcę, żeby wiedziała, co o tym wszystkim sądzę. Nie wiem, czy mnie wysłucha, czy nie, ale zamierzam spróbować. Sygnał oczekiwania powtarza się tak długo, aż jestem pewien, że zaraz włączy się poczta głosowa. Dopiero w chwili, gdy odchrząkuję i zastanawiam się, czy zostawić jej wiadomość, a jeśli tak, to jakiej treści, Emma odbiera telefon.

– Jim.

Czyli nie usunęła mojego numeru. Fakt ten momentalnie sprawia, że mózg mi się lasuje i pozostaje w nim wyłącznie jedno: żal, że myślałem, iż dam sobie radę z tą rozmową. Mimo to brnę dalej. Teraz już nie mam wyjścia – nie mogę się rozłączyć, tak jakby zdjęła mnie panika. To byłoby zbyt upokarzające.

– Cześć – mówię.

– To ty.

– Tak.

Chcę powiedzieć jej co nieco do słuchu. Po to właśnie zadzwoniłem.

Chcę powiedzieć jej, że to, co robi, jest złe i nieetyczne, poza tym chcę też zapytać, jak ona mogła. Jak mogła tak lekkomyślnie opisać sprawę przestępstwa w naszym mieście, skoro wie, jakie może to mieć skutki dla śledztwa, dla jej byłych kolegów z pracy, a przede wszystkim dla zupełnie niewinnych ludzi?

– Co u ciebie?

Tym niewinnym pytaniem raz jeszcze sprowadza mnie do parteru. Z jej tonu trudno cokolwiek wywnioskować – nadała tym trzem słowom wystarczająco dużo treści, by wznieść je ponad poziom konwencjonalnych pogaduszek, ale nie na tyle, żebym mógł mieć pewność, że rzeczywiście ją obchodzę.

– Pracuję nad znaną ci sprawą – mówię. – Incydemem znad kanału.

Cisza.

– Chcę, żebyś przestała rozmawiać z moimi świadkami.

– Nie masz najmniejszego prawa mówić mi, co mam robić.

– To, co robisz, jest złe. Wiesz o tym.

– Jak śmiesz?

Nie mam nawet czasu wciągnąć powietrza, gdy zrzuca na mnie osiemnastomiesięczny ładunek pretensji o to, jak źle ją potraktowałem, jak zasługiwała na więcej i jak nie mam prawa, „absolutnie żadnego prawa” mieszać się w jej obecne życie.

– Skończyłaś? – pytam, kiedy w końcu wyczerpały jej się słowa, jestem bowiem gotowy odpłacić jej kilkoma własnymi uwagami. Moje pytanie jednak pada w próżnię, bo ona już przerwała rozmowę.

Wciąż gapię się na telefon, z trudem powstrzymując się od rzucenia nim o ścianę, gdy zza drzwi wychyla się głowa Woodleya.

– Tu jesteś! Właśnie dostaliśmy nagranie rozmowy z numerem awaryjnym. Wszystko w porządku, szefie?

– Tak. Przesłuchałeś je?

– Na pewno wszystko w porządku?

– Skoro mówię, że tak, to tak. Przesłuchałeś już to nagranie?

– Nie. Dopiero co je przysłali, a ja zastanawiałem się nad czymś innym. Gdy rozmawialiśmy z Janet Pritchard w baraku, miała telefon o błyszczącej obudowie. Pamiętasz?

– Pamiętam.

– Ale komórką, która zadzwoniła, kiedy widzieliśmy się z nią po raz drugi, był iPhone. Miał ten charakterystyczny dzwonek.

– Kupiła sobie nowy telefon?

– Albo używa dwóch. Niewykluczone, że jeden z nich jest na kartę. To by tłumaczyło, dlaczego nie użyła Bluetootha w samochodzie; możliwe, że nie chciała zostawić śladów telefonu na kartę.

– Co z tego wynika?

– Nie wiem. Po prostu głośno myślę. Równie dobrze to może nic nie

znaczyć, ale jest w niej i jej partnerze coś, co nie do końca mi pasuje.

– Zgadzam się.

Wracamy do centrum koordynacyjnego, gdzie na ekranie komputera Woodleya wyświetla się link do nagrania. Rozmowa przebiega dokładnie tak, jak opisała ją Janet Pritchard.

– Dzień dobry, tu centrala numerów alarmowych. Z którymi służbami chciałaby pani rozmawiać?

– Z pogotowiem.

– Już panią łączę.

Na linii pojawia się nowy dyspozytor.

– Co chciałaby pani zgłosić?

– Ktoś właśnie wpadł do kanału i nie wiem, czy potrafi się wydostać.

– Gdzie to się dzieje?

– Jestem nad kanałem Feeder, przy magazynach za Herapath Street.

– Czy w okolicy znajduje się jakiś charakterystyczny obiekt?

– Są na złomowisku. Pośpieszcie się!

– Dziękuję za zgłoszenie. Natychmiast tam kogoś wyślę.

– Bramy są pozamykane.

– Dziękuję, przekażę tę informację służbom. Pani nazwisko, adres i numer telefonu?

Kiedy Janet Pritchard kończy podawać swoje dane, klikam „stop”. W momencie gdy podaje ostatnie informacje, w oddali słychać już syreny. Noah Sadler miał szczęście, że służby ratownicze były tak blisko.

– Usłyszałaś to na końcu? – pyta Woodley. – Puść jeszcze raz.

Odtwarzamy nagranie ponownie, na zmianę korzystając ze słuchawek, by dzięki nim zagłuszyć otaczające nas biurowe odgłosy, i obaj wyraźnie słyszymy, że jest tam coś jeszcze.

– Brzmi, jakby był tam ktoś trzeci – mówi Woodley, zdjawszy słuchawki – no chyba że jeden z chłopaków ma bardzo niski głos. Ale nie potrafię zrozumieć słów.

– Świadek wspominała o kimś jeszcze?

Woodley kręci głową.

– Wprost stwierdziła, że w pobliżu nie było nikogo.

– Mógłbyś poprosić techników o wyizolowanie tych słów, tak żebyśmy mogli je lepiej usłyszeć?

– Się robi.

– I powiedz im, że chcę to mieć dzisiaj.

Kiedy wypowiadam ostatnie słowa, Woodley już dzwoni. Uniesionym palcem sygnalizuje mi, że mnie usłyszał i zrozumiał.

Fraser otwiera drzwi swojego gabinetu i wymienia uściski dłoni z dwoma mężczyznami, którzy uczestniczyli w spotkaniu. Gdy ci się oddalają, ruchem ręki przywołuje mnie do środka.

– Gdzie tylko się dało, rozesłaliśmy informację o zaginięciu Abdiego

Mahada – mówi mi, kiedy siadam na krześle. – W żaden sposób nie wspomnieliśmy o tym, że musimy go przesłuchać. Naszym priorytetem jest traktować go jako nieletniego, któremu grozi niebezpieczeństwo.

– Według mnie jak dotąd obchodziliśmy się z nim wystarczająco ostrożnie.

Fraser jest ponura. Taki właśnie wpływ wywiera sytuacja, w której stawką jest bezpieczeństwo dziecka – a oboje już znaleźliśmy się kiedyś w podobnym położeniu.

– Opublikujemy też apel w telewizji.

– Poprosiłem rodziców Noaha Sadlera, żeby nie wspominali nikomu o jego śmierci.

– Dostosują się do tego?

– Myślę, że tak. A przynajmniej taką mam nadzieję. Matka wprawdzie jest ogromnie rozgoryczona, chce znaleźć kogoś, na kogo mogłaby rzucić winę, ale wie, że milczenie leży w jej własnym interesie, bo w ten sposób są większe szanse, że Abdi wróci do domu i czegoś się od niego dowiemy.

– Albo też jej gniew narosnie do takiego stopnia, że zacznie szukać ujścia dla swoich emocji, pójdzie do prasy i rozpieprzy nam całe śledztwo. – Fraser ewidentnie jest w pesymistycznym nastroju. Muszę stąpać ostrożnie.

– Nie sądzę, żeby miała to zrobić.

– Ale sądzisz, że obwinia tego somalijskiego dzieciaka?

– Może tak być, ale to tylko pierwszy odruch. Przemawia przez nią ból po stracie. Jej mąż się z nią nie zgadza.

– Powinieneś być zmusić tego chłopaka do mówienia, Jim.

– Wiem. Rozegrałem to ostrożnie, bo nie chciałem, żeby mi zarzucono, że za bardzo na niego naciskam. Za każdym razem, gdy go widziałem, był wykończony i w ogóle się nie odzywał. Nie wiedziałem, co z tym zrobić. Poza tym on pochodzi z kochającego domu. Nie wpisywał się w typ rozrabiaki.

– Powinieneś być go przycisnąć.

Próbuję zmienić temat:

– Zdobyłem zapiski Noaha Sadlera na temat jego terapii. Kilka rzeczy stamtąd może się okazać przydatnych, będę też kopał dalej.

– To dokop się jeszcze do informacji o jego rodzinie i środowisku, tylko dyskretnie, i zobaczymy, czy to nas do czegoś doprowadzi. Nie możemy dłużej tego odkładać. Co ze świadkiem?

– Rozmawiałem z nią. Powiedziała, że Emma podała się za kogoś w rodzaju pracownicy społecznej pomagającej ofiarom przestępstw, żeby nakłonić ją do mówienia.

Nozdrza Fraser rozszerzają się z gniewu.

– Świadek obiecała, że nie będzie już rozmawiać z nikim z mediów.

– Wierzysz jej?

– Nie jestem w stu procentach pewien, ale liczę, że dotrzyma słowa. Są jakieś wieści od Janie? – Nie wspominam Fraser o tym, że przed chwilą rozmawiałem z Emmą. Ujmując to najdelikatniej: nie sądzę, żeby była zadowolona z wyniku tamtej wymiany zdań.

– Rozmawiała z gazetą, ale o ile rozumiem, niewiele z tego wyniknęło. Janie przygotowuje właśnie komunikat dla prasy i liczymy, że opublikują jakiś jego fragment. Musimy mieć nadzieję, że nie połączą tej historii z apelem w sprawie zniknięcia Abdiego. Nie chcę mieć obławy na swoim sumieniu. – Przestaje przerzucać rzeczy na biurku i wycelowuje we mnie czubek długopisu.

– Podobnie jak tobie, leży mi na sercu dobro tego zaginionego chłopaka i chcę, żeby odnalazł się cały i zdrowy, ale nie bagatelizuj go jako podejrzanego, bo wydaje ci się, że ma miłych rodziców. Pamiętaj, że wszyscy patrzą nam teraz na ręce.

– Nie taki był mój zamiar.

Do drzwi puka Woodley.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale technicy są gotowi zająć się teraz naszym nagraniem, jeśli wpadniemy do nich na górę.

Fraser odprawia mnie pstryknięciem palców.

– Idź.

Przed wejściem do pokoju techników spodziewam się ujrzeć stereotypową informatyczną melinę – pozbawioną okien przestrzeń z przepełnionymi koszami na śmieci i taką ilością kabli, że można by z nich wydziergać szalik na zimę – wita mnie jednak młoda, wysportowana kobieta, pracująca w cichym pokoju na najwyższym piętrze budynku. Wydaje się w pełni panować nad schludnym szeregiem monitorów, który ma przed sobą, i zdrową rośliną doniczkową na biurku. W oknie za jej plecami rozciąga się widok na część bristolskich malowanych domów szeregowych, stojących na wzgórzu w Bedminster niczym rząderek różnokolorowych domków z gry w Monopol.

Techniczka zaczyna od przesłuchania pliku, a później za pomocą klawiatury stara się wydzielić z niego interesujący nas dźwięk. Z początku przypomina to odgłos dwóch głębokich kaszlnięć, bardziej są to wybuchy hałasu niż cokolwiek innego. Po kolejnej serii ustawiania parametrów techniczce udaje się uzyskać dwa słowa. Odtwarza je raz po raz, marszcząc nos w skupieniu.

– Brzmi to jak „Roger Platts” – oznajmia. – Macie pojęcie, kto to taki?

– Nie. – Woodley kręci głową i rzuca mi spojrzenie, ale mnie też to nic nie mówi.

– Mogłabyś mi to przysłać? – pytam. – Sam ten wycinek.

– Jasne.

Kiedy wychodzimy, zabiera się do kolejnego nagrania, rozmowy telefonicznej, której treść od pierwszych sekund tak przyprawia o mdłości, że aż zaczynam się zastanawiać, ile lat da się wytrzymać w takiej robocie.

* * *

Późnym popołudniem Sofia ma już całe mnóstwo odpowiedzi na swoje posty na temat Abdiego. Wszyscy znajomi są wstrząśnięci i zatroskani. Obiecują, że będą się za nim rozglądać i że skontaktują się z innymi, prosząc ich, by zrobili to samo. Od weekendu nikt nie miał z nim kontaktu.

Jeden ze znajomych Sofii opublikował długi wpis na jej facebookowej tablicy – wspomniał w nim o ich dawnej koleżance z klasy, która z dnia na dzień zniknęła i pojechała do Syrii, by przyłączyć się do dżihadu. Radykalizowano ją ostrożnie, gruntownie i w tajemnicy; nikt nie miał o tym pojęcia, dopóki nie zrobiło się za późno.

Sofia wylogowuje się z portalu. Wie, że to nie jest przypadek Abdiego, a przynajmniej ma co do tego niemal stuprocentową pewność. W ich domu bez wątpienia zauważono by coś takiego. Tak czy inaczej, zaczyna googlować informacje w mediach poświęcone dawnej koleżance z klasy, a to nieuchronnie prowadzi do następnych wyszukiwań. Zagłębia się w jednej tego typu historii po drugiej – każda z nich opowiada o dobrych dzieciakach mieszkających w najróżniejszych zakątkach globu, które przyciągano w stronę religijnego fundamentalizmu i nakłaniano, by opuściły swoje nowe kraje i przyłączyły się do dżihadu, porzucając bliskich. Bliskich, którym od tej pory pozostało jedynie błaganie ich przed kamerami o to, by wróciły do domu, oraz zatrudnianie mediatorów, mających wydostać je ze stref ogarniętych wojną.

Właśnie czegoś takiego boi się w ich społeczności każdy, kto ma dziecko albo rodzeństwo – że członek ich rodziny powróci do przemocy, od której przed laty z narażeniem życia uciekli. Tego rodzaju sytuacje zdarzają się jednak bardzo rzadko, Sofia zdaje sobie z tego sprawę. Większość jej przyjaciół ma zbyt dużo zdrowego rozsądku – ofiarą radykałów padają podatne dzieciaki. Ta ostatnia myśl nasuwa jej jednak pytanie: Czy Abdi był podatny na takie rzeczy?

Z wdzięcznością odrywa się od tych myśli, słysząc dzwonek komórki. Telefonuje Tim z Centrum Powitalnego.

– To trochę strzał w ciemno – mówi. – Ale popytałem ludzi i jeden z moich wolontariuszy, facet imieniem Dan, który pracował w piątkowy wieczór razem z Abdim, wspomniał, że po tym, jak zemdląca twoja mama, Abdi zachowywał się nerwowo i pytał o jakiegoś mężczyznę. Dan

nie ma obecnie komórki, ale wygląda na to, że w czwartki pracuje w Hamilton House, więc możesz tam pojechać, jeśli chciałabyś z nim pogadać.

Sofia ponownie wsiada do pociągu. Hamilton House znajduje się zaledwie kilka minut od galerii, która wystawia fotografie Eda Sadlera. Dotarwszy na miejsce, dziewczyna wspina się po frontowych schodach i omija z daleka bulteriera przywiązanego do poręczy koło miski z wodą. Na wąskim tarasie na powietrzu jakaś para, opatulona warstwami kolorowych ubrań, pije kawę i pali papierosy.

Na bocznej ścianie przyległego budynku widnieje wielki mural Banksy'ego, The Mild, Mild West, jeden z ulubionych Sofii. Ścianę naprzeciwko w całości zamalowano złotym sprejem, a na tym tle stworzono olbrzymie graffiti przedstawiające Jezusa w przepasce na biodrach, stojącego na jednej ręce. Sofia nie ma pojęcia, co to może oznaczać.

Kobieta pracująca w kawiarni na parterze mówi jej, gdzie znajdzie Dana. Minąwszy po drodze sale do jogi i pracownie artystyczne, Sofia trafia do dużego pomieszczenia, w którym krzesła ustawiono w rzędy przed ekranem. Dan jest w środku, majstruje przy projektorze. Przez kilka sekund wybuchy dźwięków i ruchów wypełniają ekran, po czym zanikają. Wyświetlany będzie czarno-biały film.

Dan ją rozpoznaje. Sofia odczuwa ulgę, bo ona sama nie zna go zbyt dobrze.

– Cześć – mówi. – Sofia?

Siadają na dwóch krzesłach z tyłu sali.

– Czy możesz mi powiedzieć, o czym Abdi mówił w piątek?

– Jasne. Swoją drogą bardzo mi przykro, że zniknął. Na pewno wróci. Zawsze sprawiał wrażenie, że jest z wami bardzo zżyty, no i koleguje się w sumie ze wszystkimi.

Sofia czuje, że zaraz się rozpłacze.

– Przepraszam – mówi Dan. – Nie chciałem cię zasmucić. Gdy twoja mama zemdląca, ludzie wokół pomogli jej usiąść na krzesło i przynieśli jej rzeczy. Aminy było wszędzie pełno, upewniała się, że wszystko w porządku. Twoja mama była jakby nieobecna i zdenerwowana, i chcieliśmy zadzwonić po karetkę, ale zdecydowanie odmówiła. Kiedy ona dochodziła do siebie, Abdi zaczął się rozglądać po sali i wypytywać ludzi, czy widzieli mężczyznę z blizną na górnej wardze. Najwyraźniej był to ten sam koleś, który stał przy twojej mamie, gdy zemdląca. Nie mam pojęcia, czy Abdi uznał, że tamten facet powiedział jej coś okropnego albo ją obraził, i chciał go za to objechać. Ale tak czy inaczej, mężczyzna przepadł. Parę osób go zapamiętało, ale nikt nie wiedział, kim jest. Mieliśmy tamtego wieczoru taki ruch, że to był po prostu obłąd. Zapadło mi jednak w pamięć, że Abdi chodził i pytał, bo takie

podenerwowanie do niego nie pasowało. Niedługo później się uspokoił, a Daniella podwiozła ich oboje do domu. Jak tak teraz o tym mówię, brzmi to trochę głupio, a ty przejechałaś taki kawał drogi aż tutaj. No ale Abdi naprawdę szukał gościa i wydawał się nieswój.

– To bardzo pomocne, dziękuję – odpowiada Sofia. – Jestem ci bardzo wdzięczna.

– Masz coś przeciwko, żebym... – Dan wskazuje ręką na ekran. – Pokaz filmu ma się zacząć za pół godziny.

Wstaje i ponownie zaczyna majstrować przy projektorze. Kiedy Sofia też podnosi się z krzesła, maszyna ożywa, a dziewczyna znajduje się w oślepiającym świetle, czarno-białe obrazy poruszają się na jej płaszczu. Oślania oczy ręką, tak by móc znaleźć wyjście ze snopu światła.

– Dziękuję – mówi.

– Nie chciałyś zostać na seansie? – pyta Dan.

– Nie. Muszę wracać do domu.

– Jasne. Ale wpadaj tu, kiedy tylko będziesz miała ochotę. Klub filmowy jest w każdy czwartek, zapraszam. I mam nadzieję, że znajdziesz Abdiego. Na pewno znajdziesz, i to niedługo. Jeżeli mogę ci jeszcze w coś pomóc...

Zszedłszy na dół, Sofia kupuje sobie filiżankę jaśminowej herbaty i siada przy stoliku, skąd dobrze widzi uliczne życie. Wyjmuje komórkę i ponownie przypatruje się zdjęciu przedstawiającemu mężczyznę z zajęczą wargą, który ogląda mecz piłki nożnej. To pewnie zbyt duży zbieg okoliczności, myśli, że człowiek, przez którego zemdlą jej matka, miał bliznę na górnej wardze. Czy w takim razie mężczyzna z fotografii jest w Bristolu? Czy to dlatego Abdi pytał na nagraniu o to zdjęcie? Czy może po prostu ona sama dostrzega nieistniejące związki?

Otwiera facebookowy komunikator. Kawiarnia ma dobre wi-fi. Sofia klika w imię Abdiego i w załączniku dodaje owo zdjęcie. „O co z tym chodzi?” – dopisuje i naciska „Wyślij”.

Nie ma pojęcia, czy ta wiadomość dotrze do Abdiego, ale modli się, by tak się stało.

* * *

O osiemnastej docieramy z Woodleyem do szkoły chłopców, żeby porozmawiać z Imranem Fletcher-Kapoozem o przyjaźni łączącej go z Noahem i Abdim. Mamy okazję upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, czeka na nas bowiem także Alistair Hawkes, nauczyciel, z którym Abdi wymieniał mejle na temat rozprawki i swoich obaw związanych ze stypendium.

Najpierw jednak spotykamy się z dyrektorką. Powiadamy ją o śmierci Noaha, prosząc jednocześnie, żeby na razie zachowała tę informację dla siebie. Opanowawszy emocje, prowadzi nas do położonej tuż za szkolnym holem sali spotkań, gdzie Imran czeka na nas w towarzystwie matki i nauczyciela.

– Sarah Fletcher-Kapoor – przedstawia się nam matka chłopaka, wstając, by uścisnąć nam dłonie. Zaraz potem, jakbyśmy zamiast porozmawiać z jej synem, mieli go o coś oskarżyć, dodaje: – Jestem radczynią prawną.

Mężczyzna w bawełnianych spodniach, ciemnej marynarce i klubowym krawacie przedstawia się jako Alistair Hawkes.

Imran jest dość drobnym chłopcem, chociaż pewnie znacznie wyższym od Noaha Sadlera. Gdy zostajemy sobie przedstawieni, uśmiecha się do nas uprzejmie, później jednak ciągle obgryza paznokcie i przestaje dopiero, kiedy matka ostrzegawczo kładzie mu dłoń na ramieniu. Chłopak nosi modne okulary w czarnych oprawkach i często tęsknie spogląda za okno.

Zanim mam okazję zadać pierwsze pytanie, głos zabiera Sara Fletcher-Kapoor:

– Chciałbyś powiedzieć o tym panom własnymi słowami, Imran?

Chłopiec kieruje wzrok na Woodleya i na mnie. Po jego spojrzeniu widać, że stara się ocenić sytuację, więc zaczynam się zastanawiać, czy zaraz wykrztusi z siebie prawdę na temat sprzedanej rozprawki. Jak na moje oko, zastanawia się, ile wiemy.

– Możesz nam powiedzieć wszystko – mówię. – Każda rzecz może się okazać pomocna.

Imran zerka na matkę. Ta kiwa głową, by dodać mu odwagi.

– Noah Sadler powstrzymał Abdiego przed kolegowaniem się ze mną.

Dyrektorka opuszcza głowę i głośno wciąga powietrze przez nos. Jest to reakcja albo na obrażanie chłopca, który nie może już przedstawić swojej wersji zdarzeń, albo na coś, co jej zdaniem jest kłamstwem czy może wyolbrzymieniem. Nie potrafię jednoznacznie stwierdzić, który wariant jest prawdziwy.

Sarah Fletcher-Kapoor zauważa to i przeprowadza kontrę:

– Swego czasu poskarżyliśmy się w tej sprawie, ale niczego nie zrobiono.

– Czy mógłbyś nam o tym opowiedzieć coś więcej? – pytam.

Imran zaczyna opisywać serię niewielkich, choć dość nieprzyjemnych zachowań, których Noah Sadler dopuścił się po powrocie ze szpitala. Wszystkie wydawały się mieć na celu zakończenie przyjaźni, jaką pod nieobecność Noaha Abdi nawiązał z Imranem.

– Jeśli spojrzeć na każdy z tych incydentów osobno – stwierdza matka – będą niewiele więcej niż lekką sprzeczką o przyjaźni, lecz wszystkie

razem składają się na skryte tyranizowanie, trudno mieć co do tego wątpliwości.

Alistair Hawkes poprawia się na krześle, ale nic nie mówi. Dyrektorka nadal siedzi nieruchomo, ściągając usta. Nie martwię się specjalnie tym, jak ta sprawa wpłynęła na Imrana – wydaje mi się bowiem odpornym psychicznie dzieciakiem – chętnie za to usłyszałbym więcej o tej grze sił, jaką Noah toczył z Imranem o względy Abdiego. Pogmatwany trójkącik.

– Jak twoim zdaniem odbierał tę sytuację Abdi? – pytam Imrana.

– Okropnie go ona wkurzała, ale miał poczucie, że powinien troszczyć się o Noaha.

– Wiesz może, skąd się u niego wzięło to przeświadczenie?

– Bo nikt poza nim Noaha nie lubi.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Jest dość arogancki. Zachowuje się w porządku, jeżeli inni robią to, czego on chce, ale jeśli tego nie robią, mówi o tym mamie, a ona dzwoni do szkoły, skarżąc się, że się nad nim znęcają.

Odchrząknąwszy, Alistair Hawkes wtrąca:

– Rzeczywiście raz czy dwa zdarzyła się taka sytuacja.

– Próbowali się państwo rozeznać w tej sprawie?

– Przyjrzelismy się temu bliżej, ale w naszym odczuciu zachowanie to należałoby raczej uznać za wygłupy niż tyranizowanie. Niektórzy rodzice bywają jednak bardzo wyczuleni na punkcie takich rzeczy, a jeśli w dodatku weźmiemy pod uwagę historię choroby Noaha, sądzę, że jego matka odnosiła wrażenie, iż może on cierpieć bardziej niż ci z naszych uczniów, którzy cieszą się lepszym zdrowiem. Z chłopcami zaangażowanymi w tę sprawę rozmawiał pan Jacobson.

Mówi o facecie, z którym spotkaliśmy się przy kortach do squasha.

Nawiązuję kontakt wzrokowy z Imranem.

– Jak Abdi podchodził do swojej przyjaźni z Noahem? Opowiadał ci o tym?

Chłopak wzrusza ramionami.

– Nieszczególnie. Tylko trochę.

– Pamiętasz może, co mówił?

– Powiedział, że czasami była napięta.

– To znaczy?

– No bo Noah na nim wisiał.

– Wspominał o czymś jeszcze?

– Może o tym, że Noah niekiedy z nim rywalizował.

– W czym?

– W szachach, czasami w nauce. – Przenosi wzrok na matkę. – Ja się w to nie mieszałem.

– A byli przy tym dobrymi przyjaciółmi czy wszystko kręciło się

wokół współzawodnictwa?

– Są najlepszymi przyjaciółmi. Rozśmieszają się nawzajem. Czasami robi się to trochę denerwujące.

– Zazdrościsz im ich przyjaźni? – Muszę się pilnować, żeby nie mówić o Noahu w czasie przeszłym.

Imran kręci głową.

– Kiedy zacząłem chodzić do tej szkoły, chciałem się kumplować z Abdim, ale Noah po powrocie ze szpitala zaczął nam to utrudniać, a trochę bez sensu byłoby z nim walczyć.

– Czułeś się z tego powodu przybity?

– Na początku trochę tak, ale potem poznałem nowych kolegów.

Chłopak się uśmiecha, a ja mu wierzę. Sprawia wrażenie kogoś dość wyrobionego towarzysko. Przypuszczam, że nawiązywanie nowych znajomości przychodzi mu bez większego trudu.

Jego matka wodzi wzrokiem ode mnie do Woodleya i z powrotem, po czym prostuje się na krześle.

– Czy to już wszystko? Imran musi iść na trening karate.

– Chciałem cię zapytać jeszcze tylko o jedną rzecz, Imranie – mówię. – Nie zajmie to nawet minuty, a potem będziesz mógł iść. Jak dotąd ogromnie nam pomogłeś.

Na twarzy chłopca pojawiają się rozluźnienie i uśmiech Kota z Cheshire; cieszy się, że celująco zdał ten egzamin, i czuje już rychłą wolność.

– Chodzi o rozprawkę.

Uśmiech momentalnie znika z jego twarzy.

– Czy wiesz, o jakiej sytuacji mówię?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek napisałeś rozprawkę i odsprzedałeś ją Abdiemu lub Noahowi?

Kręci głową, ale kłamanie wychodzi mu tak sobie. Strzela oczami po pokoju, próbując sklecić jakieś wyjaśnienie. Jego matka poprawia się na krześle, minę ma taką, jakby zjadła cytrynę. Na jej twarzy nie widać żadnego zaskoczenia, podobnie zresztą jak na twarzach znajdujących się w pomieszczeniu nauczycieli. Tak jak przypuszczałem, wszyscy już o tym wiedzą.

Imran w końcu wymyśla odpowiedź.

– Pomogłem Abdiemu z rozprawką – mówi.

– Mógłbyś wyjaśnić, co dokładnie rozumiesz przez „pomogłem”? – Chcę konkretów.

– Abdi miał zaległości i brakowało mu czasu na napisanie rozprawki.

– Imran spogląda na Hawkesa i dyrektorkę. – Więc mu z tym pomogłem.

– Zapytam jeszcze raz: na czym dokładnie polegała twoja pomoc?

Chłopak zaczyna obgryzać paznokiec.

– Napisałem mu tę rozprawkę.
– Wiedzieli państwo o tym? – zwracam się do dyrektorki.
– Owszem. Rozwiązaliśmy tę sprawę zgodnie z naszymi procedurami, powiadomiliśmy także matkę Imrana.

Sarah Fletcher-Kapoor potwierdza to krótkim skinieniem głowy.

– Często to robiłeś? – pytam.

– Tylko raz. Abdi bardzo się wtedy stresował.

– Szkoła zaoferowała Abdiemu pomoc w organizacji nauki. Sprawa została rozwiązana w sposób sprawiedliwy dla każdego z zaangażowanych w nią chłopców – wtrąca swoje trzy grosze Alistair Hawkes. Kciukiem i palcem wskazującym skubie róg kartki wystającej z folderu, który trzyma na kolanach. Czy robi to z zakłopotania, czy z nudy – trudno powiedzieć.

– Poinformowali państwo o tym jego rodziców? – Zastanawiam się, dlaczego Mahadowie w ogóle nam o tym nie wspomnieli.

– Napisaaliśmy do nich. Wybrali taką drogę komunikacji ze względu na problemy językowe.

Kiwam głową i myślę o tym, jak łatwo byłoby Abdiemu przechwycić ten list albo przeinaczyć jego treść w trakcie tłumaczenia go matce.

Sarah Fletcher-Kapoor, patrząc na mnie, unosi brwi i kładzie sobie torebkę na kolanach, by zasygnalizować, że zabraliśmy już jej i jej synowi wystarczająco dużo czasu.

– To wszystko? Nie sądzę, żeby Imran miał coś więcej do dodania.

Imran patrzy na mnie w skupieniu i po raz pierwszy nie wierci się na krześle. Wie, że jeszcze nie skończyliśmy.

– Ile dostałeś za tę rozprawkę, Imranie?

– Co? – rzuca jego matka, a dwoje pedagogów prostuje się na krzesłach, zdradzając napięcie. Najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy, że napisanie rozprawki przyniosło Imranowi korzyści finansowe.

– Dwadzieścia funtów, trzydzieści? Może czterdzieści?

Imran energicznie kręci głową, muszę jednak wydobyć z niego to wyznanie. To istotne, czy Noah kupował przysługi Abdiemu, czy też Abdi robił to sam. Jeśli się tego dowiem, przekonam się, kto w ich relacji miał władzę.

Woodley mówi:

– Nowe Grand Theft Auto 5 kosztuje czterdzieści funciaków, więc zgaduję, że musiało to być w okolicach tej kwoty. Ale jeśli odkupi się używany egzemplarz od znajomego albo, dajmy na to, chłopaka z ostatniej klasy, wtedy może wyjść taniej.

– Co o tym sądzisz, Imranie? – pytam.

Wydaje mi się, że w jego oczach czai się cień złości, chociaż chłopak bardzo skutecznie ją powstrzymuje. Wie, że mamy go w garści, ale i tak po raz ostatni próbuje się wykręcić.

– Nie wiem – odpowiada.

– Imran nie gra w brutalne gry komputerowe – oznajmia jego matka.

– Nigdy byśmy mu na to nie pozwolili. – Widzę jednak, że gdy wypowiada te słowa, elementy układanki wskakują w jej głowie na swoje miejsca. – Sprzedałeś tę rozprawkę? Sprzedałeś rozprawkę, żeby bez naszej wiedzy kupić brutalną grę komputerową? Imranie! Odpowiedz mi!

Jest mi trochę żal Imrana. Takie zapędzenie go w kozi róg nie było najmiłszym posunięciem, ale czuję, że uda mu się wybrnąć z tych tarapatów.

Podczas gdy matka go beszta, a nauczyciele coraz mocniej marszczą brwi, chłopak ma zwieszoną głowę. Mogę się jednak założyć, że jego myśli pędzą z prędkością stu kilometrów na godzinę, by rozgryźć, jak zminimalizować szkody. Po imponująco krótkim czasie ma już gotową odpowiedź.

– Strasznie cię przepraszam, mamó – mówi. – Rzeczywiście to zrobiłem, ale kiedy tylko wypróbowałem tę grę, w ogóle mi się nie spodobała. Oddałem ją. Była okropna. Przysięgam, pozbyłem się jej. Było mi wstyd.

– Kto zapłacił za rozprawkę? – pytam go. – Noah czy Abdi?

– Noah. Kupił ją dla Abdiego, bo Abdi nie miał pieniędzy.

Niedługo później wychodzimy z Woodleyem z sali spotkań, zostawiając całą czwórkę w środku.

– Coś mi się nie wydaje, żeby Imran dotarł dziś wieczorem na ten trening karate – rzuca Woodley.

– Kawał przedsiębiorcy z tego dzieciaka. – Muszę przyznać, że trochę go podziwiam. Sam w szkolnych czasach nigdy nie odważyłbym się na coś takiego.

– Cieszę się, że nie zostałem nauczycielem – mówi Woodley. – Wyobrażasz sobie wysłuchiwanie w kółko tych wszystkich wymówek i kłamstw?

– Brzmi to trochę jak opis roboty w policji.

– Okej, no tak, słuszna uwaga. Ale my przynajmniej możemy naszych łobuzów zakuć w kajdanki i nie musimy się przejmować ich matkami. Serio, co to niby miało być? „Jestem radczynią prawną”. – Przedrzeźnianie Sarah Fletcher-Kapoor wychodzi mu naprawdę nieźle.

Rozśmieszył mnie tym, więc nie przypominam mu o Rachel – matce Bena Fincha – ani o Fionie Sadler czy Maryam Mahad: matkach, którym nie udało się uniknąć wplątania w nieszczęścia, jakie spotkały ich synów.

Kiedy w drodze powrotnej do komendy włączamy się w duży popołudniowy ruch, wokół nas rozbłyskują tylne światła samochodów. Mam wrażenie, że mój obraz osobowości Noaha się wyostrza. Był

bardzo schorowany, desperacko pragnął przyjaźni i był też na tyle bystry, by wszelkimi dostępnymi środkami ją zachować. Ciekawe tylko, czy swoimi wysiłkami zraził do siebie Abdiego, czy też chłopak Mahadów cieszył się z poświęcanej mu uwagi i z pomocy w nauce.

W tym tandemie to Abdi wydaje mi się postacią bardziej nieuchwytną. Ciekawą informacją jest to, że czasami nauka sprawiała mu problemy, mimo że był bardzo pojętny. Zastanawiam się, czy przymus osiągania dobrych wyników dopadł go na dobre, czy też, jak twierdzi Imran, ten incydent z rozprawką stanowił jednorazowy wyskok. Tak czy inaczej, odpowiedź na to pytanie nie rzuci zbyt wiele nowego światła na całą sprawę. Zaborcza postawa Noaha mogła dać Abdiemu motyw do zrobienia przyjacielowi krzywdy, jeśli sytuacja stała się tak napięta, że nie wytrzymał i stracił panowanie nad sobą. Byłoby jednak dziwne, gdyby doszło do tego nad kanałem – miejsce tej eskapady sugeruje, że chłopcy musieli włożyć sporo wysiłku w jej zaplanowanie. Intuicja podpowiada mi, że nie było w tym premedytacji, po prostu doszło do wypadku. Tylko w takim razie co z zeznaniami świadka?

Czuję, że narasta we mnie frustracja, bowiem każdy kolejny skrawek informacji wydaje się dokładać ciężar na przeciwną szalę wagi, wyrównując prawdopodobieństwo, że jeden z chłopców był bardziej skłonny sprawić kłopoty drugiemu. Ponadto zdaję sobie sprawę, że zostało nam niewiele czasu na dyskretne zbieranie materiałów. Wkrótce nie będziemy już w stanie dłużej trzymać śmierci Noaha w tajemnicy, a należy się liczyć z tym, że kiedy ta wiadomość zostanie upubliczniona, rozpęta się prawdziwe piekło.

– Wiesz co? – mówię do Woodleya, który stuka palcami w kierownicę w rytm jakiegoś kawałka z lat dziewięćdziesiątych. – To, że to śledztwo jest takim magnesem dla mediów, wynika wyłącznie z naszego pieprzonego szczęścia.

Woodley rzuca mi spojrzenie.

– Masz na myśli: po sprawie Bena Fincha?

– Zainteresowanie mediów to ostatnia rzecz, jakiej mi trzeba. Kiedy dziennikarze dowiedzą się, że Noah Sadler zmarł, natychmiast opadną nas ze wszystkich stron. Jeśli tylko trafi im się okazja, ze względu na pochodzenie chłopców nadadzą tej sprawie wydźwięk polityczny, i w tym samym świetle będą przedstawiać każde nasze pieprzone posunięcie. Nie chcę znowu prowadzić śledztwa, będąc na celowniku.

– Z mediami wchodzącymi w każdy otwór ciała.

– No cóż, może nie ująłbym tego w ten sposób.

– Posuwamy tę sprawę do przodu, szefie. Nic więcej nie jesteśmy w stanie zrobić.

Ma rację. Muszę trzymać nerwy na wodzy. Owszem, to śledztwo

może dać mi szansę udowodnienia swojej wartości, ale przecież z piasku bicz nie ukręcę. Jak ujęłaby to moja matka: „Jest, jak jest”. Z tym pragmatycznym wyrażeniem na ustach każdego ranka wstawała z łóżka i każdego wieczoru się kładła, mając poczucie, że wszystko wokół niej znajduje się na właściwym miejscu. Wszystko z wyjątkiem jej wiary w samą siebie, którą mój ojciec tak doszczętnie w niej zniszczył, że już nigdy później nie była w stanie jej odbudować.

Kiedy w końcu wracam do domu, znowu znajduję moją siostrę wgapioną w telewizor. Tym razem jednak opuchlizna na jej twarzy wygląda lepiej, zrobiła nam też zapiekankę na kolację. Jedyne, co mnie martwi, to to, że nie wypuszcza komórki z ręki i usilnie stara się ją przede mną ukryć.

– To on? – pytam, gdy naszą kolację po raz czwarty przerywa dźwięk sygnalizujący nadejście esemesa.

– Będiesz się teraz bawił w moją niańkę?

– Myślałem, że zerwałaś z nim kontakt.

– To skomplikowane.

Oboje odziedziczyliśmy po ojcu kolor oczu – brąz wpadający w złoto. To frapująca, trudno uchwytna barwa. Przez krótką chwilę mam wrażenie, że patrzę na niego.

– Becky.

– Nie jesteś moją niańką. Daj mi to załatwić po swojemu.

Chwyta nasze puste talerze i wychodzi z pokoju, zabierając ze sobą komórkę.

Włączam późne wydanie lokalnych wiadomości i cieszę się, widząc powtórkę telewizyjnego apelu, który wyemitowano na żywo o osiemnastej. Fraser nagrała go na schodach Kenneth Steele House, w czasie gdy ja i Woodley byliśmy w szkole. To kolejne echo sprawy Bena Fincha, tyle że tamtego wieczoru stałem za plecami przemawiającej Fraser.

Teraz opisuje ona Abdiego Mahada jako „piętnastoletniego ucznia o somalijskich korzeniach”.

„Takie zachowanie zupełnie nie leży w naturze Abdiego, więc bardzo się o niego martwimy – dodaje, patrząc prosto w kamerę. – Jeśli wiedzą państwo, gdzie przebywa Abdi, prosimy o kontakt. Pragniemy podkreślić, że Abdi nie wpadł w żadne tarapaty”. – Numer telefonu do składania zgłoszeń przewija się u dołu ekranu. Fraser dobrze sobie poradziła, była stanowcza, ale przyjazna; okazała troskę, ale nie panikowała.

Becky wraca i ogląda materiał z progu.

– To twoje śledztwo? – pyta.

– Tak.

Siada obok mnie. Telefon zostawiła w drugim pokoju.

- Kiedy ten chłopak zaginął?
 - Przed niecałą dobą. Minionej nocy umarł jego przyjaciel.
 - O Boże, to okropne. To z tego powodu uciekł?
 - Naszym zdaniem nie wie o tym.
 - Wyglądasz na zmęczonego.
 - Coś ty się nagle zrobiła taka miła? – Staram się rozluźnić atmosferę.
- Nie mam ochoty po raz kolejny wałkować kwestii śledztwa.
- Pozwól, że przeformułuję: wyglądasz gównianie.
 - Nie gorzej niż ty.
 - Punkt dla ciebie. – Czubkami palców ostrożnie dotyka swojego oka.
- Mogę ci zadać wścibskie pytanie?
- Nie.
 - Masz dziewczynę? Nie węszyłam ci po mieszkaniu, ale znalazłam trochę damskich kosmetyków w szafce w łazience.
 - Zerwaliśmy ze sobą.
 - Kiedy?
 - Dawno temu. Zapomniałem, że jej rzeczy tam zostały.
 - Kochałeś ją?
 - Lepiej od razu powiedz, o co ci chodzi.
 - Wstydzisz się?
 - Nie.
 - To odpowiedz.
 - Tak, kochałem ją.
 - To w takim razie wiesz, co teraz czuję.
- Czyli do tego zmierzały te gierki. Chce się usprawiedliwić.
- Różnica, spora różnica, jest taka, że w naszym związku nikt się nad nikim nie znęcał.
 - To jest silniejsze od niego – mówi Becky, a ja nie wierzę własnym uszom, że moja bystra, zaradna siostra sypie tego typu frazesami o agresywnych partnerach. – On tyle przeszedł, nigdy nie miał okazji dorastać w normalnych warunkach. Stara się z tym walczyć, ale takie właśnie zachowanie wyniósł z domu.
 - To nie jest żadne usprawiedliwienie.
 - Nie usprawiedliwiam go, staram się wyjaśnić ci sytuację.
- Teraz już dopada mnie złość.
- On jest dorosły, odpowiada za swoje zachowania. To wybór, Becky.
 - To nie zawsze jest dla niego kwestia wyboru!
 - Przez takie nastawienie najpierw odpuścisz mu, jeśli powie „tak-cię-proszę-wybacz-przepraszam-mam-tu-bukiet-za-pięć-funciaków-żeby-ci-jakoś-wynagrodzić-rozciętą-skórę-i-ups!-złamane-kości”, a na końcu wylądujesz w szpitalu! Widziałem już takie przypadki. I to wiele razy!
- Becky wbija we mnie wzrok.
- Myślałam, że zrozumiesz.

– A ja myślałem, że jesteś mądrzejsza. Ludzie muszą ponosić odpowiedzialność za to, co robią, nawet jeśli są nam bardzo bliscy.

– Jestem twoją siostrą, Jim, nie jakimś świeżo aresztowanym gnojkiem, któremu trzeba przemówić do rozumu. Mówiłam ci – to skomplikowane!

– Becky...

– Nie muszę tego słuchać. Jutro wieczorem będziesz miał mnie z głowy.

– To nie jest konieczne.

– Dobranoc.

Zatrząskuje za sobą drzwi mojej sypialni i zamyka się tam na resztę nocy.

Kiedy nadchodzi pora spania, nawet nie próbuję zasnąć. Ponownie otwieram okno na oścież, tęskniąc za powietrzem z zewnątrz i nie po raz pierwszy zastanawiając się, czy moja bezsenność nie jest przypadkiem formą klaustrofobii – strachem przed spędzaniem czasu wśród własnych myśli, strachem przed tym, że się wokół mnie zacisną.

Drzwi sypialni pozostają zamknięte na głucho, więc nie mogę stamtąd niczego wziąć. Kładę się na kanapie w ubraniu, które mam na sobie. Przez okno mam idealny widok na nocne niebo, dziś przejrzyste i z odrobiną gwiazd. Myślę o Sadlerach tułających się po swoim wielkim domu, mających za towarzystwo jedynie ból po stracie. Myślę o Becky i jej chłopaku, i o tym, na jak różne sposoby okoliczności naszego życia mogą nas schwytać w pułapkę. Myślę o zaginionym chłopcu i mam nadzieję, że sobie radzi i że nic mu nie grozi; modlę się też do Boga, w którego nie wierzę, o to, żeby Abdi Mahad nie miał krwi na rękach.

Dzień czwarty

Nur Mahad nie może zasnąć. Leży z otwartymi oczami, podczas gdy jego myśli krążą po przeszłości w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby mu pomóc zrozumieć teraźniejszość. Podobnie jak Maryam, Nur pielęgnuje w pamięci zasób ciepłych wspomnień z dzieciństwa w Hargejsie. Był to pełen wydarzeń i szczęśliwy okres jego życia, które kręciło się wokół matki i ojca, mieszkającej po sąsiedzku drugiej żony ojca oraz licznych rodzeństwa – zwykłego i przyrodniego.

Nur bardzo dobrze pamięta też dzień, w którym jego dzieciństwo dobiegło końca.

Rankiem tamtego dnia niebo było jasnoblękitne i czyste, a gałęzie drzewa rosnącego za oknem jego pokoju obsiadła gromada małych ptaków. Nieustannie do siebie ćwierkały, w sposób jednocześnie słodki i ostry. Nur miał dziewięć lat i chodził do podstawówki. Ubóstwiał swojego starszego brata Faraha, który wiercił się w stojącym obok łóżku. Nur otworzył okno, żeby móc lepiej słyszeć ptaki, lecz te, spłoszone odgłosem zasuwki, momentalnie wzbily się w górę niczym ciśnięta w powietrze garść piasku.

W drodze do szkoły Farah powiedział Nurowi, że musi dokądś pójść, więc nie będzie mógł mu towarzyszyć.

– Nie chodź za mną – nakazał.

Ze złości Nur kopnął napotkany na drodze kamień, został bowiem z ich przyrodnią siostrą Fatimą, która bała się bezpańskich psów i na każdym rogu wyglądała ostrożnie, czy ich nie widać.

Po kilku minutach usłyszeli skandowanie.

– Chcemy się widzieć z naszymi nauczycielami, i to natychmiast!

Starsi od nich uczniowie, chłopcy i dziewczęta, zebrali się tłumnie przed szkołą imienia 26 Czerwca³. Wśród nich był też Farah. Dzieci uformowały kolumnę i ruszyły w kierunku centrum miasta, wyrzucając pięści w powietrze w rytm wykrzykiwanych słów. Część z nich była w bębny.

– Co oni robią? – zapytała Fatima.

– Rząd wsadził nauczycieli do więzienia – wyjaśnił jej Nur. – Chcą, żeby ich wypuszczono. – Czuł się ważny, mogąc jej to wytłumaczyć, słyszał bowiem, jak dorośli o tym rozmawiali. – Nauczyciele mają

adwokatów z Mogadiszu – dodał, choć zupełnie nie wiedział, co znaczy słowo „adwokat”.

Gdy starsze dzieci mijaly ich w marszu, Fatima złapała Nura za rękę, po czym oboje poszli za nimi, pociągnięci osobliwością i energią tego widoku. W miarę jak maszerujący przemierzali miasto, dołączały do nich też dzieci z innych szkół; ich mundurki tworzyły różnobarwną mieszaninę. Tłumnie przeszli obok szpitala dla gruźlików i zatrzymali się dopiero przed Sądem Bezpieczeństwa Narodowego. Niektóre dzieci zaopatrzyły się po drodze w kamienie. Nur i Fatima trzymali się z tyłu i przyglądali się z rogu jakiejś bocznej uliczki. Oparli się o ścianę sklepiku, na której namalowano oferowane towary. Na schodach prowadzących do sądu Nur widział żołnierzy w czerwonych beretach, którzy stali na rozstawionych nogach. Promienie słońca lizały ich zastygłe twarze i lufy karabinów. Berety ocieniały oczy.

Przybywały kolejne dzieci, zapełniając plac, a skandowanie stało się głośniejsze. Na frontowej fasadzie budynku sądu był zawieszony portret prezydenta. W porannym powietrzu koszule dzieci lśniły czystą bielą. Czerwony beret wystąpił do przodu z megafonem i rozkazał dzieciom się rozejść.

Za plecami Nura Fatima odskoczyła w tył.

– Chcę iść do domu – powiedziała.

– To idź – odparł Nur.

Przypatrywał się tej scenie jak sparaliżowany. Kiedy jego siostra czmychnęła, niebo nad Nurem eksplodowało hałasem. Czerwone berety wystrzeliwały pociski nad głowami dzieci. Po strzałach nastąpiła cała seria głuchych odgłosów – to uczniowie w odwecie zaczęli rzucać kamieniami. Kiedy rozbiły nimi okna sądu, żołnierze ukryli się, by uniknąć odłamków szkła. Ogień z karabinów ustał momentalnie, niczym wstrzymany oddech, do czasu aż czerwone berety się przegrupowały, wycelowały broń prosto w tłum dzieci i zaczęły strzelać.

Huk wystrzałów sprawił, że Nur nie był w stanie ruszyć się z miejsca, lecz jakaś ręka z tyłu chwyciła go za łokieć i z dużą siłą wciągnęła do wnętrza sklepu. Tam mężczyzna przytrzymał go mocno za framugę.

– Nie ruszaj się – nakazał. – Nur czuł bicie ich serc.

Na zewnątrz warczały silniki nadjeżdżających pojazdów. Te spośród dzieci, które dotąd stały w miejscu, teraz rozpięchły się we wszystkie strony, wybałuszając oczy ze strachu.

– Co się dzieje? – dobiegł kobiecy głos zza sklepowej lady.

– Przysłali wojsko – odpowiedział mężczyzna. – Przeciwno dzieciom.

Kobieta skinęła na nich ze swojej kryjówki.

– Przeprowadź tego chłopca tutaj.

Nur wraz z mężczyzną przemknęli po sklepowej podłodze jak jaszczurki, po czym kobieta pociągnęła Nura ku sobie, osłaniając go

własnym ciałem. Odgłosy krzyków, bieganiny i strzelania nie ustawały. Para rzuciła się na ziemię i pociągnęła za sobą Nura, tak że całą trójką leżeli w płataninie ubrań, z twarzami wciśniętymi w podłogę, niczym żwirem pokrytą rozsypanymi ziarnami kukurydzy, ryżu i cukrem. W progu pojawiła się sylwetka – był to chłopiec ubrany w szkolny mundurek, na oko rówieśnik Nura.

– Tutaj! – krzyknął Nur, wyciągając rękę ku niemu.

– Chodź! – zawołała kobieta. – Chodź tu, chłopcze!

Nie był wystarczająco szybki.

Rozległ się kolejny wystrzał, po którym chłopiec wygiął się, choć nie upadł od razu. Gwałtownie wypuścił powietrze. Jego ręka powędrowała ku klatce piersiowej, a krótką chwilę później załamały się pod nim kolana i runął na ziemię. Pociski wciąż latały w powietrzu. Dziurawione kulami puszek i butelki spadały z wiszących na górze półek, a ich zawartość wylatywała w powietrze. Chłopak upadł na worek z mąką, jego krew wsiąkała w jutę. Nur dostrzegł, że chłopiec ma otwarte oczy, choć nie było już w nich życia, a krew tak gorliwie chciała opuścić jego ciało, że wypływała mu nawet z kącika rozchylonych ust.

Nur zaczął krzyczeć. Wydawało się, że jego krzyk ciągnął się aż do wieczora – a wtedy usłyszał, że jego brat Farah także zginął od kuli.

Od tego momentu Nur nienawidził życia w Hargejsie.

Policja nie zabiła wyłącznie jego brata – odebrała mu również ojca. Pewnej nocy został on zaaresztowany przez trzech mężczyzn, którzy o drugiej nad ranem grzecznie zapukali do drzwi ich domu. Kiedy prowadzili go do swojego land rovera, matka Nura krzyczała. Jeden z funkcjonariuszy zawrócił i uderzył ją w brzuch lufą karabinu.

Nigdy nie wyjaśniono, o co ojciec Nura został oskarżony. Matka przez kilka tygodni codziennie zanosila mężowi jedzenie, dopóki jeden ze strażników się nad nią nie ulitował i nie powiedział jej, że zmarł on wiele dni temu. „W wyniku choroby” – dodał.

W dniu aresztowania ojcu Nura nic nie dolegało.

Dwie wdowy po mężczyźnie wspólnie zebrały pieniądze i potajemnie załatwiły transport na następny dzień. Druga żona miała kuzynów w Jemenie, więc przeniosła się na wybrzeże. Matka Nura skierowała się na północ, ku Dżibuti, licząc, że mieszkający tam krewni pomogą jej się osiedlić. Nur wyruszył w tę podróż razem z nią i młodszym bratem. Po drodze, na tylnym siedzeniu samochodu, matka opowiadała im o ich ojcu. Powiedziała, że był dobrym i inteligentnym człowiekiem, a Nur przysięgł sobie w duchu, że gdy dorośnie, postara się być taki sam.

Ktoś wali w okno taksówki. Biznesmen. Nur opuszcza szybę. Zaparkował przed stacją Temple Meads.

– Nie biorę teraz klientów – mówi.

– To po chuj żeś pan tutaj stanął?

– Postój taksówek jest tam.

Gdy biznesmen znika z pola widzenia, Nur przechadza się wzdłuż szeregu taksówek oczekujących na postoiu i zatrzymuje się przy każdym oknie od strony kierowcy. Prosi kolegów po fachu, by rozglądali się za Abdim. Każdemu z nich wręcza zdjęcie chłopca. Wszyscy co do jednego obiecują pomóc.

* * *

Fiona Sadler od wielu lat była przygotowana na to, że jej syn może umrzeć. Należy do osób, które starają się stawić czoło problemom. Potajemnie przeczytała nawet książki o utracie kogoś bliskiego, choć ukrywała je przed mężem i synem. Książki te jednak nie przygotowały jej na towarzyszące takiej sytuacji uczucia. Wie, że pierwszym etapem żałoby jest zaprzeczenie, lecz nie spodziewała się, że poczucie niesprawiedliwości, jakie na nią spadło, okaże się tak miazdzące. Czuje się, jakby okradziono ją z dziecka. Chce, żeby ktoś poniósł karę za to, co się zdarzyło, poza tym nigdy wcześniej nie czuła się tak samotna, nawet w ciągu tych wszystkich lat, podczas których musiała sama zajmować się Noahem, bo Ed był daleko.

Jest głęboko dotknięta faktem, że osobą, która ostatnia znalazła się przy Noahu, był Abdi Mahad. Po wszystkim, co przeszła, nie potrafi znieść myśli, że ostatni świadomy moment życia Noaha nie przypadł w udziale jej. Myśl ta nie daje jej spokoju. Dotąd Fiona zawsze miała poczucie winy, że nie przepada za Abdim. W kółko analizowała powody tej niechęci, wiedziała bowiem, że Abdi to miły chłopak. A w każdym razie stwarzał wszelkie pozory miłego chłopaka. Miała mu jednak za złe urok, jaki rzucił na jej syna, to, że Noah wykazywał niemal obsesję na punkcie tej przyjaźni i uczepił się jej, jakby to była lina ratunkowa. Miała Abdiemu za złe także fakt, że był zdrowy, że mógł sobie przychodzić do szpitala i z niego wychodzić, siadywać na brzegu łóżka Noaha, z całą tą swoją uwagą i bystrością, podczas gdy jej syn krzywił się z bólu. Zaciskała dłonie, widząc, ile Noah znosi, by móc swobodniej rozmawiać z kolegą.

Nie jest tak głupia, by mogła nie zdawać sobie sprawy z tych emocji. Obawiała się przyznać do nich przed Edem, bo podszedłby do sprawy bez krztyny zrozumienia. Świadomość istnienia tych uczuć nie sprawiła jednak, że zniknęły. Bynajmniej. Były dojmujące, ale ukrywane, i właśnie dlatego – że nigdy o nich nie rozmawiała i nie dawała im ujścia – przybierały na sile.

Fiona Sadler leży na łóżku i patrzy w okno. Raz po raz wraca do tej samej myśli – gdyby Noah nie zaprzyjaźnił się z Abdim, nie doszłoby do

nieszczęścia. To przez Abdiego Noahowi stała się krzywda.

W domu jest zimno, więc Fiona przykrywa się kołdrą po szyję. Ma tłuste włosy. Nie będzie zwracać sobie głowy prysznicem. Czuje się pusta jak łupina. Za oknem dostrzega wiszące nieruchomo chmury, złożone z bladej i szaroniebieskich warstw. Jedna ze wstęg świeci jaśniej niż pozostałe, tak żywo, że aż zmusza ją do mrugania. To wiosenne chmury. Fionie wydaje się niemożliwe, że na zewnątrz może panować sezon wzrastania i nowego życia, podczas gdy cały jej świat skamieniał.

Na nocnym stoliku dzwoni telefon stacjonarny. Fiona wpatruje się w aparat, dziwiąc się, że nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi na to, jak przenikliwy jest jego sygnał. Po chwili podnosi słuchawkę. Na ekraniku wyświetla się nieznany numer.

Fiona odbiera, bo chce mieć okazję, żeby urządzić komuś piekło, zranić kogoś obcego, ponieważ sama cierpi. Wyobraża sobie, że mówi: „Jak wam nie wstyd dzwonić z jakimiś ofertami, skoro wczoraj umarł mój syn? Jak tak można?”. Ból, który zada, będzie niewielki i przypadkowy, ale poczuje się dzięki temu lepiej.

– Słucham. – Ku jej zaskoczeniu głos jej się łamie. Nie jest to ostry, wyniosły ton, jakiego planowała użyć.

– Pani Sadler? Tu Emma Zhang. Jestem dziennikarką „Bristol Echo”. Niedawno rozmawiałam w szpitalu z pani mężem, napisałam też krótki artykuł o wydarzeniach znad kanału Feeder. Zastanawiałam się, czy nie zechciałaby pani pomówić ze mną o tym, co przydarzyło się pani synowi Noahowi? Sądzę, że mógł on paść ofiarą przestępstwa, i jestem gotowa pomóc pani w dochodzeniu sprawiedliwości. Jak on się miewa?

Och!, myśli Fiona. Ona nie wie, że Noah nie żyje.

Na dole sygnał telefonu stacjonarnego wybudza Eda Sadlera z twardego, pełnego koszmarów snu. Leży zeszywniały na kanapie w swoim gabinecie. Jest mu niewygodnie i zimno. Wciąż ma na sobie ubranie z poprzedniego dnia.

Zeszłej nocy trudno mu było wytrzymać w towarzystwie Fiony. Zawsze przypuszczał, że tak to właśnie będzie wyglądać, kiedy Noah w końcu umrze – że będą sobie z tym radzić osobno, podobnie zresztą jak radzili sobie z jego chorobą. Jest mu niedobrze, czuje się wypluty i zdezorientowany, jak gdyby czas nie zachowywał się tak jak zwykle, ale odkształcał wokół niego, akcentując tym fakt, że w miejscu po jego synu ziele pustka.

Po części jednak czuje ulgę, choć nigdy nikomu by się do tego nie przyznał.

Obserwowanie, jak jego syn jest poddawany leczeniu, było dla niego nieznośnie trudne. Najbardziej ze wszystkiego bał się, że rak ciągnąłby Noaha ku śmierci w sposób powolny i bolesny. Wiedział, że gdyby

przyszedł czas ostatecznego rozstania, nie byłby w stanie przyglądać się, jak personel medyczny usuwa rurki z ciała jego syna; nie byłby w stanie liczyć oddechów, które chłopiec z ogromnym bólem chwyciłby w ostatnich dniach i godzinach życia. Nie byłby w stanie zwilżyć jego spierzchniętych warg.

Matka Eda umarła na raka, wie zatem, jak wygląda ostatni etap choroby. Przynajmniej tyle, że oszczędzono im tego. Wie jednak, że nie może powiedzieć tego Fionie. Podczas rozmów o Noahu zawsze była drażliwa i często oskarżała go o to, że nie cierpi tak bardzo jak ona. Nie była to prawda – Ed po prostu raczej internalizuje swój ból, niż go uzewnętrznia. Oznacza to, że czasami ból daje o sobie znać w nagłych aktach gniewu czy lekkomyślnego zachowania, często na wyjeździe, podczas wyprawy. Mimo to Ed wie, że Fiona chciała na własne oczy widzieć, jak cierpi mocniej. Chciała mieć pewność, że mąż odczuwa tę sytuację równie głęboko jak ona sama i że nie jest osamotniona w bólu.

Nigdy jednak nie był w stanie się na to zdobyć. Ważniejsze wydawało mu się być przy Noahu silnym, by wnosić w życie chłopca trochę światła – do czasu, aż po raz kolejny nie spakował walizki i nie pojechał na lotnisko.

Cicho postępując, usiłuje podnieść się do pozycji siedzącej. Wisi nad nim biurokracja śmierci. Będą musieli podjąć określone kroki, zorganizować pogrzeb. Ed wstaje, odsłania okna i zmrużonymi oczami wpatruje się w powłokę chłodnawego porannego światła; on także zauważa paski chmur na niebie.

Kiedy odwraca się od okna, na biurku dostrzega papiery dotyczące obozu dla uchodźców w Hartiszejk. Raz jeszcze przedziera się przez wspomnienia kilku ostatnich dni, zatrzymując się na wieczorze wernisażu oraz rozmowie, którą odbył z Abdim kilka godzin później. Ed siedział wtedy pijany w swoim gabinecie po najbardziej słodko-gorzkiem wieczorze w całym życiu. Do drzwi zapukał Abdi.

– Panie Sadler?

– Wejź! – Ed ucieszył się z towarzystwa. Nie był jeszcze gotowy, żeby iść spać. Po powrocie do domu poczuł się zawiedziony, widząc, że wszystkie światła są zgaszone, mimo że nie jest jeszcze bardzo późno.

Nalał sobie kieliszek na dobry sen.

– Też chcesz? – zapytał chłopca.

– Nie, dziękuję. – Abdi był zakłopotany. Zawsze był takim skromnym, grzecznym chłopcem.

– Wybacz, zapomniałem! Jesteś muzułmaninem.

– Jestem za młody, panie Sadler.

– Za młody. No przecież. Chociaż ja w twoim wieku miałem już za sobą niejedno piwo.

Ed krzywi się na to wspomnienie własnego braku taktu. Naprawdę

tak powiedział? Ma bardzo zły nawyk tracenia filtrów dobrego wychowania, gdy jest po piwie albo dwóch; wdał się przez to w niejedną bójkę w hotelowych barach rozsianych po całym świecie. Choć zarazem udało mu się zaciągnąć do łóżka jedną albo dwie kobiety, którym na trzeźwo nie odważyłby się zaproponować seksu.

Potrząsa głową. Okropnie o tym myśleć akurat w taki dzień. Co z nim jest nie tak?

Ed pamięta, że Abdi, usiadłszy koło niego, zapytał go o obóz Hartiszejki i o to, jak tam było. Przypomina sobie, że pokazał chłopakowi całą dokumentację i mapę, którą miał w swoich zbiorach. Czyli wychodzi na to, że ta rozmowa nie była niczym wyjątkowym, myśli Ed. Ot, zwykła pogawędka, do której bodziec stanowiły fotografie pokazane na wystawie. Nic dziwnego, że chłopak się tą kwestią zainteresował. Bądź co bądź, było to jego dziedzictwo.

Ed nie przypomina sobie żadnych innych szczegółów tej rozmowy, choć ma uporczywe wrażenie, że coś mu umknęło. Prędko jednak je od siebie odpędza. Ostatnie dni były niewyobrażalnie trudne, mówi sobie. To nic takiego. Ed ma tylko nadzieję, że nie powiedział chłopakowi o tym, jak cholernie był wystraszony przez cały czas, który spędził w tamtym miejscu. Jak przerażała go myśl, że może zostać porwany. Nie mógł się doczekać powrotu do Addis Abeby.

Z piętra dochodzi go głos Fiony. Musiała odebrać ten telefon. Już ma do niej iść, kiedy zdaje sobie sprawę, że nie da rady sprostać rozmowie z żoną. Z powrotem zapada się w kanapę.

– Noah! – mówi. Głos mu się łamie.

Dopiero po dłuższym czasie udaje mu się zapanować nad szlochaniem. Tęsknota za dzieckiem jest dla niego jak zagrana na skrzypcach wysoka, przenikliwa nuta, która nigdy nie ucichnie.

* * *

Poranne wieści są takie, że z komputera Noaha Sadlera udało się wygrzebać kilka interesujących danych na temat internetowej aktywności z poniedziałkowego późnego wieczoru – czasu, który jak sądzimy, on i Abdi spędzili w domu po powrocie z wernisażu i przed ponownym wyjściem. Jeden z techników omawia ze mną i Woodleyem ustalenia informatyków.

– Nie mamy oczywiście całkowitej pewności co do tego, który z chłopców użył tego komputera w poniedziałek w nocy. Nie jest zabezpieczony hasłem, więc mogli z niego skorzystać wszyscy przebywający w domu – oznajmia. – Możemy jednak z dużą dozą prawdopodobieństwa zgadywać na podstawie wyników wyszukiwania.

Zachowały się dane o internetowej aktywności z poniedziałkowego popołudnia – jest ona dość typowa dla wszystkich pozostałych dni tygodnia poprzedzającego tę datę, więc sędzę, że bez problemów możemy przyjąć, że stoi za nią Noah Sadler. Chłopak szukał wtedy zdjęć mostu Pero Jonesa oraz map centrum Bristolu w Google Maps, po czym wszedł na stronę filmu Obcy na portalu IMDb, co robił już wcześniej, i kliknął w parę linków prowadzących do spisu obsady i poświęconych mu artykułów. Ta aktywność ustaje o siedemnastej, a po raz kolejny na tym komputerze przeglądamo internet o wpół do dwunastej w nocy. Wtedy to ktoś zalogował się do prywatnej skrzynki mejlowej Abdiego Mahada i ściągnął fotografię.

– Przypuszczamy zatem, że był to Abdi?

– Chyba że Noah Sadler wiedział, jak zalogować się do jego skrzynki.

– Mamy dostęp do tych mejli?

– Na razie nie. Właśnie rozpracowujemy hasło. Za to możemy zobaczyć, że Abdi albo ktoś inny się do nich dostał, pobrał to zdjęcie, wydrukował je i się wylogował.

– W pokoju Noaha stała drukarka – mówi Woodley – ale nic w niej nie było.

– Komputer jest podłączony do dwóch drukarek – stwierdza technik – więc plik mógł trafić do urządzenia znajdującego się w innym pomieszczeniu. Może w jakimś domowym biurze?

– Wiadomo, co przedstawiała ta fotografia?

– Patrzcie.

Z teczki na dokumenty technik wyjmuje zdjęcie formatu A4 i mi je wręcza. Przedstawia ono grupę mężczyzn i chłopców siedzących przed telewizorem i oglądających mecz. Wyglądają na Afrykańczyków. To na pewno ta fotografia, o którą Abdi pytał Eda Sadlera na nagraniu.

Podaję ją Woodleyowi.

– Co jeszcze tamta osoba oglądała w internecie?

– Bardzo dokładnie przejrzała stronę Eda Sadlera, każdą zakładkę i każde zdjęcie.

– Czy ta fotografia jest na stronie?

– Nie. I wygląda na to, że to zdjęcie zdjęcia, jak gdyby wykonano je komórką.

– Abdi mógł je zrobić na wystawie – mówi Woodley.

Też tak myślę, ale jednocześnie staram się być ostrożny i podchodzić do sprawy metodycznie.

– O ile założymy, że to on ściągnął tę fotografię ze skrzynki mejlowej – stwierdzam.

– To musiał być on. Po co niby Noah Sadler miałby oglądać stronę swojego taty albo sprawdzać osobistą skrzynkę Abdiego?

W głosie Woodleya słyszę, że jest na mnie poirytowany – i możliwe,

że na jego miejscu czułbym się tak samo – nie chcę jednak wysuwać przypuszczeń, które mogłyby sprawić, że bylibyśmy ślepi na inne wersje wypadków. Mimo to zaczyna mi towarzyszyć nowe odczucie – ekscytacja wymieszana z niepokojem. W końcu zaczynamy składać fragmenty do kupy. Jedyne problemy tkwią w tym, że na razie wydają się one należeć do innej układanki, bo nie umiem dostrzec, jak cokolwiek z tego odnosi się do poczynań chłopców z poniedziałkowej nocy.

– Coś jeszcze?

– Wpisał w wyszukiwarkę hasło „rekonstrukcja twarzy”, w wyniku czego wyświetliły mu się przeróżne linki, w niektóre z nich kliknął. Później doprecyzował to, czego szuka: „operacja rozszczepionego podniebienia”, a także: „operacja rozszczepionego podniebienia Somalia”.

– Czyli możemy przyjąć, że sprawdzał, w jaki sposób mężczyzna ze zdjęcia mógł skorygować swój wygląd?

– Otóż to – przytakuje technik. Po chwili dodaje: – Jest jeszcze jedna sprawa. Odnotowaliśmy wejście na stronę o piłce nożnej, a konkretnie o historii Ligi Mistrzów.

Woodley zerka na wydrukowaną fotografię. Stuka w nią dwoma palcami.

– To dlatego, że tu leci Liga Mistrzów – stwierdza. – Chłopak próbował dowiedzieć się czegoś o meczu, który oglądają mężczyźni ze zdjęcia.

– Po co miałyby to robić?

– Nie wiem. Żeby dowiedzieć się, co to był za mecz? Prawdziwy z niego mały as google’owego wywiadu, no nie?

– Ale co u diabła sprawiło, że po odrobinie wygodnego internetowego zbierania informacji zaledwie parę godzin później postanowił pójść na drugi koniec miasta, na złomowisko?

Woodley wzrusza ramionami.

– Nie wiem, szefie.

– To wszystko – oznajmia technik. – Po dwudziestej trzeciej trzydzięci siedem nie ma już żadnej aktywności.

W czasie gdy technik raz jeszcze przedstawia Woodleyowi swoje ustalenia, dzwonię do Sofii Mahad. Chcę z nią porozmawiać o fotografii, którą Abdi omawiał z Edem Sadlerem na nagraniu.

– Poszłam obejrzeć to zdjęcie – mówi. – W galerii. Chciałam zobaczyć je na własne oczy.

– Rozpoznałaś któregośkolwiek z przedstawionych na nim mężczyzn? Zwłaszcza tego z rozszczepem podniebienia, znajdującego się pośrodku kadru?

– Nie rozpoznaję go, ale to właśnie nim interesował się Abdi – w Centrum Powitalnym wypytywał o mężczyznę z blizną na wardze. Był przekonany, że to właśnie ten człowiek zaniepokoił naszą matkę.

Planowałam do pana dzisiaj zadzwonić i o tym powiedzieć.

- Czy twoi rodzice widzieli fotografię?
- Jeszcze nie. Pokażę im ją.
- Jeśli możesz, zapytaj, proszę, czy rozpoznają tego mężczyznę.
- Oczywiście.

Nie dzielę się z nią żadnymi szczegółami na temat internetowych wyszukiwań, na które natrafiliśmy. Na razie chcę ujawniać tylko tyle informacji, ile jest konieczne, ale wszystko, o czym mi powiedziała, pasuje do naszych odkryć.

Rozłączwszy się, relacjonuję tę rozmowę Woodleyowi. Ten stwierdza:

– Powinniśmy pokazać to zdjęcie Kirsty Harris. To rzeczniczka społeczności somalijskiej. Jeżeli ten mężczyzna jest już w Bristolu od dłuższego czasu, to możliwe, że się na niego natknęła albo zna jakiegoś członka społeczności, który mógłby nam coś o nim powiedzieć. Ale tak sobie myślę, że może powinniśmy też wysłać tę fotografię Jamiemu Silvie.

– Kto to?

– Posterunkowy. W zeszłym roku odkryła go zupełnie nowa londyńska jednostka o nazwie Super-Recognisers. Zaproponowali mu pracę.

– Super-Recognisers? – Nigdy wcześniej ta nazwa nie obiała mi się o uszy.

– To bardzo mała jednostka, składa się z zaledwie sześciu czy siedmiu funkcjonariuszy. Wszyscy w niej wyjątkowo dobrze radzą sobie z zapamiętywaniem twarzy i rozpoznawaniem podejrzanych. Zaproponowali Jamiemu pracę, ale odmówił; nie chciał wyprowadzać się z Bristolu.

– Bo jak powszechnie wiadomo, to najlepsze miasto w całej Anglii – rzuca technik, który przysłuchiwał się naszej rozmowie, pakując laptop.

– Myślisz, że będzie w stanie rozpoznać tego mężczyznę?

– Tak, o ile mamy zdjęcie tego faceta w naszej bazie danych. Jamie będzie pewnie pamiętał jego twarz, a jeśli nie, przeszuka fotografie z bazy i go znajdzie.

– Dlaczego miałby sobie z tym poradzić lepiej niż posterunkowi z naszego wydziału?

– Pracownicy grupy Super-Recognisers stanowią przeciwieństwo ludzi ze ślepotą twarzy – osoby z tą wadą nie umieją zapamiętać rysów. Ma ją więcej ludzi, niż mogłoby się wydawać. Z kolei funkcjonariusze jednostki Super-Recognisers pamiętają niemal każdą twarz, jaką kiedykolwiek widzieli.

– Skąd o tym wszystkim wiesz?

– Jamie to mój kumpel. Wstępowaliśmy do policji w tym samym

czasie. Gdy dostał propozycję pracy w grupie, chwalił mi się tym. A jeśli wyskoczysz z nim na drinka, z radością zrujnuje ci wieczór, identyfikując każdego przestępcę w knajpie. On nie uznaje czegoś takiego jak czas poza służbą.

– W porządku. Na pewno warto spróbować. Przyślij go do mnie jak najszybciej.

* * *

Telefon od inspektora Clemo wpędza Sofię w jeszcze większy niepokój. Co pięć minut zagląda na Facebooka, żeby sprawdzić, czy Abdi odpisał, nie ma jednak żadnej odpowiedzi. Jak na razie brat nawet nie przeczytał wiadomości, którą mu wysłała.

Zgodnie z obietnicą daną inspektorowi postanawia pokazać mamie tamto zdjęcie. Odnajduje je w swoim telefonie. Jest zdecydowana zapytać Maryam, czy celowo usunęła nagranie z iPada. Czeką na właściwy moment, lecz zawodzą ją nerwy. Przed wyjściem z pokoju bierze głęboki oddech. Rozmowa z mamą wymaga odwagi.

Maryam jest w kuchni. Właśnie zaczęła robić słodki somalijski smakołyk, który jej matka przygotowywała na specjalne okazje według skomplikowanego przepisu. Maryam jednak nie poznała tego przepisu dzięki matce. Była zbyt młoda, kiedy opuścili Hargejsę. Dała go jej Amina, gdy się dowiedziała, że Maryam tęskni za tym przysmakiem. Pewnego ranka, krótko po tym, jak się poznały, wspólnie zabrały się do pracy w kuchni Aminy. Abdi spał wówczas spokojnie, przywiązany do pleców Maryam, a kiedy *balbalow* były gotowe i ugryzła jedno z nich, zrobiła coś, co nie przydarzało jej się często. Rozplakała się. Nie ma pojęcia, dlaczego przygotowuje *balbalow* akurat teraz, w samym środku tego kryzysu, ale nie wie, czym innym miałyby się zająć.

Sofia zjawia się w kuchni niemal bezszelestnie, zaskakując Maryam.

– *Balbalow*? – pyta dziewczyna.

Maryam kiwa głową i wraca do wyrabiania białego ciasta. Czując je pod palcami, ma poczucie stabilności, jak gdyby cały jej świat wcale nie wymykał się spod kontroli.

– Mogłabyś zerknąć na pewną rzecz? – pyta Sofia. W ręce trzyma telefon.

– Za chwilę.

Kiedy Sofia wychodzi z pomieszczenia, Maryam wciąż wyrabia ciasto. Ma wrażenie, że nie może wybić się z rytmu, bo jeśli tak zrobi, przyniesie jej to pecha. Gdy ciasto jest już uformowane i gładkie, wkłada je z powrotem do miski, w której wcześniej mieszała palcami składniki, i zostawia, żeby wyrosło.

Wyciera ręce i idzie poszukać córki.

Kiedy Sofia pokazuje jej fotografię, Maryam reaguje natychmiast, dokładnie tak jak w Centrum Powitalnym. Reakcja jest fizyczna, instynktowna i przytłaczająca. Maryam chwyta oparcie krzesła i próbuje się utrzymać w pionie, lecz silna fala mdłości sprawia, że świat wokół niej zaczyna się chwiać.

Gdy odzyskuje przytomność, leży na kanapie. Sofia stoi obok, przyglądając się jej z niepokojem.

– *Hooyo* – mówi Sofia, używając somalijskiego słowa oznaczającego matkę, które koi Maryam, koi je obydwie. – Wszystko w porządku? Co się stało?

– Nie czuję się zbyt dobrze.

– To przez tę fotografię?

– Chyba muszę się chwilę zdrzemnąć.

Zamknawszy powieki, Maryam usiłuje stłumić napływ wspomnień z obozu. Przybyła do niego jako dziecko, tam dorastała, tam zdobyła podstawowe wykształcenie, tam wyszła za mąż i tam urodziła wszystkie swoje dzieci, z wyjątkiem jednego. Ma wrażenie, że wiele wspomnień na stałe odcisnęło się w jej pamięci. Są wyrazistym piętnem. Nie jest w stanie ich wymazać.

Z rozmyślań wyrывa ją głos Sofii.

– Mamo. Proszę, nie zasypiaj. Musisz mi powiedzieć, dlaczego Abdi miał taką obsesję na punkcie tego zdjęcia. Bo myślę, że miał, ale nie wiem, skąd się wzięła. Mamo, proszę.

Maryam, czując, że córka nią potrząsa, zmusza się do otwarcia oczu.

– Skąd masz to zdjęcie?

– Poszłam na wystawę Eda Sadlera. Chciałam zobaczyć fotografię, o której Abdi mówił na nagraniu. Pamiętasz? To właśnie ona. Inspektor zadzwonił do mnie i zapytał, czy ktoś z nas rozpoznaje tamtego mężczyznę.

– Pokaż mi ją jeszcze raz.

Maryam cieszy się, że leży, bowiem ponowne zerknięcie na fotografię potwierdza to, o czym wiedziała już wcześniej. To rzeczywiście on – mężczyzna z rozszczępioną wargą i zębami jak popękane, bezładnie rozrzucone kamienie. Niewiele brakowało, a nie rozpoznałaby go w Centrum Powitalnym. Owszem, wiedziała, że skądś zna stojącego przed nią człowieka; dostrzegła też bliznę na jego górnej wardze. Jednak dopiero gdy usłyszała, jak odzywa się do kogoś niskim, bełkotliwym głosem – głosem, którego nie słyszała od tylu lat i którego nigdy nie uda jej się zapomnieć – zdała sobie sprawę, kim on jest, a po karku przeszedł jej dreszcz.

– Abdi nie zna tego mężczyzny – mówi Sofii. – Ten człowiek nie ma z nim nic wspólnego.

– To w takim razie o co może chodzić? Co takiego mógł zobaczyć na tym zdjęciu?

Maryam dokładnie przygląda się fotografii. Jest na niej jeszcze kilka znajomych twarzy, szczególnie jedna.

– Tutaj – stwierdza. Wskazuje palcem czyjś ukryty w cieniu profil na końcu rzędu chłopców. – To Hassan Omar Mohammed. – Mówi o przyjacielu rodziny, Somalijszyku, który tak jak oni przybył do Bristolu przez Hartszejki.

Sofia powiększa fotografię i marszy czoło, widząc twarz, którą wskazuje jej matka. Nigdy nie powiedziałyby, że to Hassan.

– Jesteś pewna? – pyta.

– Absolutnie! Nie wierzysz mi? Spójrz! Nawet tutaj nie odrywa oczu od meczu piłkarskiego.

Wszyscy wiedzą, że Hassan to fanatyk futbolu. Jego wielkim skarbem jest teraz bilet sezonowy na mecze drużyny Bristol City FC. Sofia zerka ponownie na jego twarz – tym razem rysy wydają jej się bardziej znajome, ale nie podziela pewności matki, że to Hassan. Ten chłopak równie dobrze mógłby być kimkolwiek innym.

Maryam patrzy na nią wyczekująco, więc Sofia czuje się zmuszona odpowiedzieć:

– W porządku, tak, on chyba wygląda jak Hassan. – Nie wierzy w to jednak.

Niespodziewanie Maryam obejmuje córkę, zaskakując ją tym gestem. Sofia odwzajemnia uścisk, a gwałtowność matczynego gestu daje jej poczucie nadzwyczajnego pocieszenia. W rzeczywistości Maryam wcale nie jest pewna, że na zdjęciu widać młodszego Hassana, choć nie można tego wykluczyć.

– Ciasto już chyba wyrosło – mówi, puściwszy Sofię. – Pomożesz mi w robieniu *balbalow*?

Zawsze to jakaś odmiana, myśli Sofia i cieszy się, że chociaż przez kilka minut będzie miała okazję poczuć się normalnie. Sprawa nagrania wylatuje jej z głowy. Matka i córka wałkują kwadraty ciasta, aż staje się ono na tyle cienkie, że prześwituje. Na zmianę korzystają z radełka o ząbkowanych brzegach i każda z nich prowadzi linie przez swój kawałek ciasta, dzieląc je na niewielkie prostokąty. Maryam układa ze swoich prostokątów motyla, zlepiając razem boki każdego z nich na środku, tak by motyle skrzydła rozkładały się po obydwu stronach. Sofia pośrodku swoich formuje grzbiet, a następnie unosi wszystkie ich boki, czubkami palców łącząc je z każdej strony, by nadać im kształt łódki.

Pracują w ciszy; obie są pogrążone w myślach. Maryam stara się rozgryźć, czy teraz, gdy już zobaczyła tę fotografię, jej podejrzenia co do Abdiego są o krok bliższe prawdy. Próbuje wyobrazić sobie Eda Sadlera w obozie. Nigdy go tam nie widziała, ale teren był bardzo duży.

Obcokrajowcy – rozdający paczki pomocy humanitarnej, stawiający budynki medyczne, szkolne czy jeszcze inne – przychodzili i odchodzili, a ich liczebność zmieniała się w zależności od sytuacji politycznej. Niektórzy wręczali dzieciom prezenty – głównie słodczyce. Inni zachowywali dystans albo wyjeżdżali niemal zaraz po przybyciu. W przeciwieństwie do mieszkających w obozie rodzin, mogli sobie na to pozwolić.

Sofia czuje ulgę, mogąc spędzić kilka minut w roli dziecka pod skrzydłami matki, ale niepokój jej nie opuszcza. Gdy *balbalow* są już ułożone w równe rzędy, w których żadne z ciasteczek nie styka się z innymi, Sofia nie jest w stanie dłużej się powstrzymać, rozpaczliwie chce bowiem powiedzieć Maryam o czymś jeszcze.

– Tylko że Abdi szukał kogoś w Centrum Powitalnym – wyrzuca z siebie. – Mężczyzny z bliźną na górnej wardze.

Maryam wciąga powietrze. Wstrzymuje. Próbuje się opanować.

– No to co? – pyta. – To mógł być każdy.

Oczy jednak zachodzą jej mgłą, co nie uchodzi uwadze Sofii. Maryam opiera się ciężko o kuchenny blat i opuszcza głowę.

– Powinnaś się znowu położyć, *hooyo* – mówi Sofia. – Wydaje mi się, że będziemy musieli pójść z tobą do lekarza.

Maryam odmawia. Zabiera się do zmywania. Ma nadzieję, że udało jej się ukryć prawdę przed Sofią. Kiedy spogląda na swoje odbicie w kuchennym oknie, nie widzi własnej twarzy, lecz tę należącą do mężczyzny, którego się boi. Nie jest to jego nowa twarz – ta, którą zobaczyła w ośrodku dla uchodźców, ze zszytą wargą i skorygowanymi zębami – lecz dawna: z rozszczepionym podniebieniem i brzydka. Oczy jednak wciąż ma takie same jak kiedyś. To tego rodzaju oczy, w których kryje się zło.

Teraz jest już całkowicie pewna, że Abdi wie więcej, niż powinien.

* * *

Emma Zhang i Fiona Sadler spotykają się w hotelu Avon Gorge. Poranek jest słoneczny i niemal ciepły. Kelner ściera wodę z dwóch krzeseł i stolika, tak by kobiety mogły porozmawiać na tarasie z widokiem na wąwóz Avon oraz cliftoński most wiszący.

Na dnie wąwozu wezbrane wody rzeki Avon przesłaniają błotniste brzegi. Skaliste ściany wąwozu wznoszą się na prawie sto metrów, aż do miejsca, gdzie hotelowy taras jest wbudowany w zbocze. Promienie słońca połyskują słabo na metalowych dźwigarach, które podtrzymują most. W oddali płyną chmury, a ostry wiatr może prędko zepchnąć je w dół rzeki.

Fiona Sadler podnosi pled z oparcia swojego krzesła i okrywa nim sobie ramiona. Dłonią obejmuje kubek z herbatą.

Emma Zhang kładzie komórkę na stoliku pomiędzy nimi i pyta:

– Miałaby pani coś przeciwko, żebym nagrała naszą rozmowę?

Fiona ruchem głowy wyraża zgodę. Dlaczego nie? – myśli.

Emma uruchamia w telefonie dyktafon i dwa razy sprawdza, czy na pewno się włączył. Niepokoi ją, że wiatr może zakłócić nagranie, ale Fiona Sadler nalegała, żeby usiadły na zewnątrz – zależało jej na prywatności, a poza tym wyglądała tak, jakby wydawało się jej, że ściany ciemnego hotelowego wnętrza ją zgniotą. Lepszy wywiad z szumem w tle niż żaden.

Od jakiegoś czasu Emma stara się oszacować, ile da się wycisnąć z tej historii. To, że Jim zadzwonił do niej, by zniechęcić ją do opisywania sprawy, rozjuszyło ją, ale jednocześnie sprawiło, że zaczęła myśleć, iż może to być lepszy temat, niż początkowo sądziła. Wie jednak, że musi zachować ostrożność. Ma ambicje zostać poważną reporterką od spraw kryminalnych, nie chciałaby więc napisać czegoś, co byłoby wyłącznie szukaniem sensacji. Będzie potrzebowała dobrej historii z życia wziętej, przedstawionej z odpowiedniej perspektywy. Widok zdjęcia Noaha Sadlera na pierwszej stronie wyprowadził ją z równowagi bardziej, niż chciałaby przyznać. Przekonywała swojego redaktora, że to przesada, ale on odrzucił jej zastrzeżenia. „W tekście nie pojawiają się ich nazwiska – powiedział. – Nie naruszamy żadnego prawa”.

Fakt, że przed wygłoszeniem tego stwierdzenia naradził się z firmowym prawnikiem, nie umknął uwadze Emmy. Jednocześnie jednak pamiętała o radzie, jakiej jej udzielił, gdy ją zatrudnił: „Jeśli chcesz odnieść sukces jako reporterka, potrzebujesz najlepszych tematów, a to czasami oznacza, że musisz zrobić to, co akurat jest konieczne”.

Słyszając w komórce głos Jima – nawet rozgniewanego – Emma przypomniała sobie także, jak bardzo za nim tęskni i jak mocno ją zranił. Podciąga suwak płaszcza aż pod szyję, żałując przy tym, że nie włożyła dziś zimowych butów. Przybiera pokerową minę.

– Dziękuję, że znalazła pani czas, żeby się ze mną spotkać – mówi.

Spojrzenie Fiony Sadler przypomina wzrok lwicy, która dostrzegła ofiarę. Usta kobiety się poruszają, ale Emma, upijająca akurat łyk zbyt spienionej kawy, nie słyszy jej słów.

– Proszę? – Delikatnie przesuwa komórkę w kierunku Fiony. – Mogłaby pani powtórzyć?

– Mój syn nie żyje.

– Że co proszę?

– Noah umarł zeszłej nocy. Nie żyje. – Fiona Sadler patrzy surowo na Emmę. Obserwuje jej reakcję na tę wiadomość z czujnością godną

ekspertki w dziedzinie kryminologii.

– Ogromnie mi przykro – mówi szczerze Emma. Niespodziewanie łzy napływają jej do oczu, promienie słońca wydają się zbyt mocne, widok mostu zbyt wyrazisty, a jego piękno – czymś, co nie sprawia przyjemności, lecz ostry ból.

Przyglądając się szokowi i emocjom odmalowującym się na twarzy Emmy, Fiona Sadler ma poczucie triumfu. Właśnie na taką reakcję liczyła. To kara za napisanie tamtego artykułu.

Emma, świadoma tego, że jest obserwowana, myśli: Weź się w garść, przejmij kontrolę nad tą rozmową. Kiedy szok zaczyna mijać, czuje wzmożone podekscytowanie, ma wrażenie, że ta historia zyskała na znaczeniu, że teraz, gdy pojawiła się w niej śmierć, musi już zostać opowiedziana.

– Mogłaby mi pani opisać, co się stało? – pyta. – Proszę to zrobić w dogodny dla siebie sposób.

Uprzejmy ton Emmy lekko dezorientuje Fionę, stara się jednak być silna i zachować waleczne nastawienie.

– Pisząc tego rodzaju artykuł i ilustrując go tego rodzaju zdjęciem... – zaczyna.

– To zdjęcie...

– Nie! Niech mi pani nie przerywa. Proszę mnie posłuchać. Tego typu artykuły są krzywdzące. Musicie brać odpowiedzialność za to, co drukujecie. Za tymi historiami kryją się prawdziwi ludzie. Prawdziwi. Mój syn jest prawdziwy. Był.

Fiona czuje, że w miarę jak emocje wzbierają, cel tego, co próbuje powiedzieć, nieco jej się wymyka. Stara się zachować koncentrację i trzymać się ścieżki, którą obrała.

– Okradziono nas z czasu, jaki mogliśmy spędzić razem z nim – oznajmia. – Nigdy nie wiedzieliśmy, jak długo będzie nam dane cieszyć się jego obecnością, ale każda sekunda była cenna. Każda, co do jednej. – Powstrzymywanie łez przychodzi jej z coraz większym trudem.

– Tak mi przykro – mamrocze Emma. Zastanawia się, czy powinna sięgnąć przez stół i wziąć Fionę za rękę, ale ostatecznie uznaje, że jeszcze jest na to za wcześnie.

– Rozumie pani, że musicie wziąć odpowiedzialność?

– Owszem, rozumiem.

– To takie bolesne dla ludzi, których wykorzystujecie. Dla nas.

Emma postanawia zaryzykować i obiera taktykę połowicznej szczerości.

– Dopiero zaczynam w tym fachu – mówi – i chciałabym poruszać istotne tematy, bo zależy mi na docieraniu do prawdy. Wiem, że te artykuły niekiedy ranią cudze uczucia, i jest mi przykro, że poczuła się pani zraniona, ale moim zdaniem historia Noaha jest ważna. Możliwe,

że padł ofiarą przestępstwa. Sądzę, że w obecnej atmosferze politycznej policja może to zamieść pod dywan, bo nie chce mieć kolejnych problemów ze społecznościami imigranckimi.

– To mógł być wypadek. – Fiona nie sądziła, że przyjdzie jej odgrywać rolę adwokata diabła, ale nie podoba jej się pewność dziennikarki. Zaczyna żałować, że tu przyszła, i myśli, że najlepiej byłoby jej w łóżku, samej ze swoim bólem po stracie.

– Osobiście rozmawiałam ze świadkiem zdarzenia – stwierdza Emma. – Nie wydaje mi się, żeby to był wypadek.

– O tym mówił pani artykuł? – Choć wie, że to Emma go napisała, Fiona na dobrą sprawę nie czytała tekstu. Miała za dużo na głowie.

Emma potakuje.

– Śledczy nie powiedział nam, że był jakiś świadek – stwierdza Fiona.

– Mówi pani o inspektorze Clemo?

– Tak.

– Policja, jeśli akurat jest jej to na rękę, potrafi być dość oszczędna w dzieleniu się informacjami – oznajmia Emma. – Właśnie dlatego napisałam ten artykuł.

Zdaje sobie sprawę, że właśnie wbiła Clemo sztylet w plecy, ale ma wrażenie, że i tak zachowała umiar. Mogła wepchnąć go o wiele głębiej.

– Co powiedział świadek? – pyta Fiona.

– Że mogło dojść do przestępstwa, z naciskiem na „mogło”. Ale wiadomo – nie ma dymu bez ognia.

– O mój Boże – mówi Fiona. – Noah był taki delikatny.

Emma nie umie się powstrzymać od rzucenia okiem na leżący na stoliku telefon, i uspokaja się, widząc, że licznik pokazuje kolejne nagrywane sekundy. Wyczuwa, że powściągliwość Fiony może niedługo pęknąć, i nie chce uronić ani słowa, z drugiej strony jednak nie chciałaby też podnosić urzędzenia, by na nie zerknąć – mogłaby bowiem przypomnieć w ten sposób rozmówczyni, że jest nagrywana.

– Tak strasznie zależało mu na tym, żeby mieć przyjaciela – oznajmia Fiona. – Lgnął do tego chłopca.

– Jak nazywa się ten przyjaciel? – pyta Emma. Umiejętnie wykorzystuje swoje policyjne wyszkolenie, upewniając się, że zachowuje się w sposób adekwatny i nienatarczywy. Mówi łagodniejszym głosem, uważa, by Fionie nie przerywać.

– Abdi Mahad. To chłopak z Somalii. Uczy się dzięki stypendium.

– W jakiej szkole?

– Medes College.

Emma znowu czuje, że przyśpiesza jej puls, choć uważa, żeby nie dać tego po sobie poznać. Nie udało jej się wcześniej ustalić, gdzie uczą się chłopcy, a Medes to jedna z najlepszych prywatnych szkół w Bristolu. Ta historia ma w sobie wszystkie elementy świetnego tematu i jeśli tylko

uda im się zdobyć więcej zdjęć...

Fiona Sadler czuje się tak, jak gdyby została uwolniona od wszelkich konwenansów, które każą jej mówić o Noahu z rozwagą i które przywiodły ją tutaj, by pociągnąć tę dziennikarkę do odpowiedzialności. Tama pękła, kajdany spadły, filtry zostały zdjęte. Jej syn umarł zaledwie trzydzieści sześć godzin wcześniej, jej umysł mąci żałoba, a fakt, że policja ją okłamała, jest dla niej jak cios poniżej pasa. Nie obchodzi jej już, czy zachowuje się rozsądnie albo uczciwie – do czego na pewno namawiałby ją Ed – bo nie jest tak pewna siebie jak on, i nigdy nie była. W przeciwieństwie do niego nie ma pewności, ani nawet przypuszczeń, co do tego, że ludzie są dobrzy. Nigdy mu się do tego przekonania nie przyznaje i czuje się z tego powodu gorsza, teraz jednak jest gotowa powiedzieć, co myśli, bo czy w świecie, w którym jej syn choruje na raka i jest nieubłaganie pożerany przez tę chorobę, a policja okłamuje ją z powodów politycznych, istnieje gdzieś miejsce na bycie „rozsądnym”?

Odstawia kubek i mówi, mówi, a kiedy podnosi go z powrotem, jego zawartość jest już zimna, zaś na powierzchni utworzył się kożuch. Uświadamia sobie, że cała drży, a dziennikarka patrzy na nią z niepokojem.

Fiona po raz pierwszy porządnie przygląda się Emmie Zhang. Nie wygląda na Chinkę, myśli. Chociaż może wskazuje na to kształt jej oczu. Na pewno ma białą matkę. Fionie nie przeszkadzają imigranci z Chin – jej zdaniem żyją w Wielkiej Brytanii na tyle długo, że zdążyli się zintegrować. Są już stałym elementem krajobrazu. Niepokoją ją natomiast nowi przybysze – i do tej kategorii zalicza Abdiego Mahada oraz jego rodzinę.

– Nie jestem rasistką – mówi Emmie. – Po prostu nie da się ukryć, że doświadczenia tych ludzi sprawiają, że różnią się od nas. Prace mojego męża pokazują to raz po raz. Ci ludzie są dotknięci traumą, a czy chcemy, żeby po naszym społeczeństwie błąkały się osoby z zespołem stresu pourazowego?

Sama mając poważne podejrzenia co do Abdiego Mahada i jego motywów, Emma wzdryga się w środku, gdy słyszy ten komentarz, i musi wykrzesać z siebie profesjonalizm. Jedyne faktu, że zależy jej na opisanu tej sprawy, powstrzymuje ją przed zrobieniem Fionie Sadler wykładu o tym, że każdy, kto cierpi na zespół stresu pourazowego, najpewniej przeszedł przez piekło i zasługuje na wsparcie, kimkolwiek jest. Na myśl przychodzą jej doświadczenia wojenne jej własnego ojca, które pozostawiły mu urazy psychiczne na resztę życia. Zastanawia się, czy wypada zmienić temat, nie chce bowiem dopuścić, by jej uczucia się uzewnętrzniły, i ryzykować, że zrazi do siebie tę kobietę.

– Dwie kwestie – mówi. – Po pierwsze, niewykluczone, że nadarzy się okazja do wystąpienia w lokalnych wiadomościach telewizyjnych

i opowiedzenia o Noahu. Obecnie dogaduję się ze stacją w sprawie wolnego terminu, więc będę panią informowała na bieżąco. Byłoby cudownie, gdyby udało nam się pojawić razem na antenie. Po drugie, moim zdaniem ta historia mogłaby strasznie zyskać na sile oddziaływania, jeśli opublikowalibyśmy ją wraz z cyklem zdjęć ukazujących dorastanie Noaha, a jeżeli ma pani też fotografię, na której obaj chłopcy są razem, możemy wykorzystać ją w nagłówku. Twarze da się zamazać.

– Mogę przejrzeć nasze albumy.

– Pani mąż wspomniał, że wykonał cykl zdjęć – mówi jej Emma. – Przekazując fotografię ze szpitala, powiedział mi, że była to ostatnia z cyklu. Może moglibyśmy wykorzystać właśnie te zdjęcia? Pod warunkiem oczywiście, że nie ma pani nic przeciwko temu.

Fiona powoli wstaje. Pled, który miała na ramionach, spada na podłogę. Patrzy, jak przez wiszący most przejeżdża czerwony samochód, ze względu na odległość zredukowany do rozmiarów zabawki. Przywodzi jej na myśl kropelkę krwi odcinającą się jaskrawą czerwienią na białej skórze jej syna. Efekt pierwszej wbitej mu igły. Pierwszego badania krwi. Ma wrażenie, jak gdyby dotąd przez cały czas rozmawiała z dziennikarką we śnie, a teraz rzeczywistość bezpardonowo utorowała sobie drogę do jej świadomości.

– Ed dał pani to zdjęcie? – pyta.

– Myślałam, że pani o tym wiedziała.

– Nie wiedziałam.

Odchodzi, jej kroki nabierają coraz większego tempa. Toruje sobie drogę przez drzwi prowadzące do hotelu, przecina lobby i wychodzi na ulicę. Nie zwraca uwagi na wołającą za nią Emmę Zhang ani na dłoń dziennikarki chwytającą ją za rękaw.

Dotarłszy do domu, znajduje Eda w kuchni.

– Jak mogłeś? – Z całej siły wymierza mu policzek.

* * *

– To może rekonstrukcja? – podsuwam Fraser. – Drogi, którą chłopcy szli przez miasto. Może podsunie to jakiś nowy trop.

Dużo się dziś dowiedzieliśmy, chciałbym jednak skupić się na wydarzeniach z poniedziałkowej nocy i postarać się rozpracować minuta po minucie, czym chłopcy zajmowali się podczas eskapady przez Bristol. Wciąż mam trudności z połączeniem wszystkich kropek – rekonstrukcja mogłaby ujawnić coś nowego.

Fraser siada przy swoim biurku i zdejmuje szpilki.

– Boże, dopomóż kobietom – mówi, rozmasowując sobie halluks

przez rajstopy. – Cierpimy w imię piękna.

Zachowanie powagi jest jednym z największych wyzwań, przed jakimi dzisiaj stanąłem. Czasami uwielbiam tę kobietę, mimo że trzyma mnie na tak krótkiej smyczy. Spuszczam wzrok na swoje dłonie, podczas gdy ona wkłada sponiewierane adidas i wzdycha z ulgą. Gdy jej stopy znikają pod biurkiem, przechodzi do konkretów.

– Jeśli przeprowadzimy rekonstrukcję, przyciągnie to uwagę do Noaha Sadlera i ludzie zaczną o niego pytać. Gdyby wciąż żył, może i bym się na to zdecydowała, ale obecnie wolałabym się przekonać, co możemy odkryć bez tego. Nie chcemy, żeby zleciały się tłumy ciekawskich, Jim. Jeżeli jest ci to potrzebne, wróć tam sam i obejrzyj każdy szczegół, aż elementy układanki wskoczą na swoje miejsca. Ale dobrze ci radzę: nie zabieraj się do tego w szpilkach!

Tym razem nie powstrzymuję śmiechu.

Jeszcze raz idziemy z Woodleyem na złomowisko. Stojący na nim dźwig unosi porcje pogiętego metalu wysoko ku błękitnemu niebu i obraca się, by zrzucić je na rosnącą stertę. Ich lądowaniu za każdym razem towarzyszy huk. Nad naszymi głowami przelatuje samolot, a ciągnące się za nim smugi kondensacyjne rozszerzają się i rozplývają w powietrzu. Stajemy przy bramie złomowiska. Chwytam dużą kłódkę, którą zamknięto na mocnym metalowym ryglu.

– Jak dla mnie, to się nie trzyma kupy, że nie ma tutaj żadnego monitoringu, skoro aż taką wagę przykładają tu do zabezpieczeń – mówię.

Woodley przygląda się miejscu zdarzenia jak budowniczy – dłonie oparte na biodrach, oczy lekko zmrużone.

– Powiedzieli mi, że na noc nie zostawiają niczego w barakach.

– No ale te rzeczy muszą mieć dla kogoś jakąś wartość. Gdyby nie miały, to po co takie porządne ogrodzenie? – Wiem, że Woodley był tu już wcześniej i rozpytywał o to, jak właściciele magazynów chronią swoją własność, ale odpowiedzi, które uzyskał, do mnie nie trafiają. – Możemy z panem pomówić?

Brygadzysta, który wpuszcza nas do środka, nadzoruje rozładunek złomu.

– To jedyna ochrona, jaką tutaj macie? – pytam go.

– Ano.

– Zupełnie nic więcej?

– Nie.

Maszyna zaczyna się cofać, a przez towarzyszące temu pikanie Woodley musi krzyżeć, żeby było słychać jego słowa.

– Czy na terenie jest coś jeszcze?

– Nie wiem. Musielibyście panowie spytać Iana.

– Iana?

– Iana Shawcrossa. To do niego należą wszystkie te magazyny tutaj. Przypominam sobie mężczyznę w świeżej białej koszuli i z wymyślnym paskiem od spodni – partnera Janet Pritchard.

– Ma pan do niego numer?

– Nie przy sobie. Mogą go mieć w warsztacie samochodowym. On też należy do Iana.

Opuszczamy z Woodleyem plac i mijamy rząd baraków, wśród których jest także magazyn Janet Pritchard. Przy końcu alejki znajduje się warsztat samochodowy, gdzie dwóch mężczyzn pracuje przy karoserii pozbawionego tablic volkswagena scirocco.

I właśnie wtedy to zauważam – w rogu jednopiętrowego budynku mieszczącego warsztat widać niewielką, kolistą, jaśniejszą od reszty ścianę plamę farby, a na niej dziury, w których wcześniej mogły się znajdować jakieś śruby i kable. Jeśli zamontowano by w tym miejscu kamerę, swoim zasięgiem obejmowałaby teren położony za magazynami i mogłaby uchwycić bramę złomowiska.

Kiedy wchodzimy do biura, rozbrzmiewa przymocowany do jego drzwi dzwonek. Miejsce do przyjmowania klientów składa się z dwóch siedzeń, które wyrwano z tylnej części jakiegoś samochodu i postawiono naprzeciw biurka. Za biurkiem siedzi chłopak wyglądający tak, jakby dopiero co ukończył szkołę. Przed sobą ma telefon stacjonarny i wielki terminarz, którego gęsto zapisane strony są upstrzone tuszem i wgłębieniami, bez wątplenia zrobionymi długopisem podobnym do tego, którym chłopak właśnie rozdrapuje sobie pryszcze.

Rozkręcone na cały regulator radio nadaje prognozę pogody:

„Wprawdzie zimowe temperatury mamy już za sobą, ale za to kwietniowe deszcze przybyły tydzień przed czasem. Spodziewamy się, że w nocy będzie mokro, lecz rozjaśni się nad ranem, zaś pod koniec tygodnia pojawią się wiosenne temperatury”.

– Czegoś trzeba? – pyta chłopak.

– Ma pan numer do Iana Shawcrossa? Musimy z nim porozmawiać.

– A kto pyta?

Kiedy pokazujemy mu nasze odznaki, prostuje się na krześle.

– Numer ma moja ciocia – mówi. – Wyskoczyła na chwilę.

Siadamy z Woodleyem na prowizorycznej kanapie. Tak mocno odchyła się ona w tył, że siedzenia muszą pochodzić z samochodu sportowego. Momentalnie wstaję.

– Macie monitoring? – pytam chłopaka.

– Nie.

– Słyszałem, że go zdjęliście – pytam, kierując się przecuciem.

– No, zdjęliśmy.

– Jakoś w tym tygodniu, prawda? Wczoraj albo przedwczoraj?

– No.

- Więc dlaczego go zdemontowano?
 - Popsuł się. Musieliśmy się pozbyć całego systemu.
 - Ostatnie nagranie z niego pewnie się nie zachowało, co?
- Zastanawiając się nad moim pytaniem, chłopak żuje lepką gumę.
- Nie wydaje mi się. Wszystko spalili.
 - Poza monitoringiem nie było tutaj żadnej ochrony? – pyta Woodley.
 - Jest też szwagier Iana. Patroluje nocami.
 - Wiesz, jak się nazywa?
 - Jason Wright.

W drzwiach staje kobieta.

- Czy mogę w czymś pomóc? – pyta.

– To policjanci. Dopytują się o Iana – odpowiada chłopak. – Masz jego numer, nie?

Jej przebiegła mina i sposób, w jaki patrzy na bratanek, każą mi przypuszczać, że gdyby to ona siedziała za biurkiem w chwili, gdy się zjawiliśmy, nie dostalibyśmy żadnych odpowiedzi.

- Nie mam tego numeru przy sobie – stwierdza kobieta.
- Żaden problem – mówię. – Mogę zapytać Janet.

Gdy wypowiadam te słowa, kobieta patrzy mi w oczy nieuchomym wzrokiem, ale drżący na jej twarzy mięsień zdradza, że cokolwiek próbuje się tutaj ukryć – ona o tym wie.

- Pani bratanek okazał się bardzo pomocny – mówię jej. – Bardzo.

Szybko wracamy do komendy, a w drodze proszę Woodleya, żeby zdobył numer i adres Jasona Wrighta. Musimy złożyć mu wizytę. Gdy siedzimy w centrum koordynacyjnym, nie mówię Woodleyowi, że jest idiotą, bo nie zauważył śladów po tamtej kamerze przemysłowej. Wstrzymuję się z tym do czasu, aż znowu wsiadamy do auta i jedziemy się zobaczyć z Wrightem.

* * *

Nie pierwszy raz w życiu Ed Sadler został uderzony przez kobietę, ale po raz pierwszy rękę podniosła na niego jego żona. Nie oddaje jej ciosu, choć przez krótką chwilę – gdy skutek żalu po stracie Noaha budzi się w nim impuls do agresywnego zachowania – ma wielką ochotę to zrobić. Odsuwa się od Fiony, a uczucie pieczenia na twarzy przywołuje wspomnienie ostatniej tego rodzaju sytuacji – w pokoju hotelowym, obok półotwartej okiennicy; uderzyła go owinięta prześcieradłem kobieta, która zaledwie chwilę wcześniej przestała być dziewczynką. Odkrycie, że Ed jest żonaty, nadało jej ciosowi siłę, jakiej zupełnie się po niej nie spodziewał.

Fiona nie poprzestaje na policzku – rzuca się na męża. Bije pięściami

w jego klatkę i ramiona tak długo, aż w końcu Ed łapie ją za nadgarstki.

– Co to ma, do diabła, znaczyć? – pyta.

– Zrobiłeś Noahowi zdjęcie i wysłałeś je dziennikarce?

– Robię mu zdjęcie za każdym razem, kiedy trafia do szpitala, wiesz przecież. Uzgodniliśmy, że chcemy dokumentować jego drogę.

Swego czasu Fiona założyła blog poświęcony chorobie Noaha. Było to na początku, gdy ludzie mówili, że podzielenie się doświadczeniami może przynieść jej ulgę, ale Noah chorował tak długo, że w końcu zabrakło jej sił, by zamieszczać nowe wpisy. Zauważyła, że w miarę upływu czasu coraz mniej osób ogląda i komentuje jej posty. Fiona miała wrażenie, że z wyjątkiem jej i Noaha nikomu innemu nie starczało wytrwałości, by mierzyć się z rakiem.

– To co innego. Nie możesz przyrównywać czegoś takiego do mojego bloga.

– Dlaczego nie?

– Och, proszę cię, Ed!

Odsunęli się od siebie. Teraz on też jest już wściekły.

– No proszę, powiedz mi, na czym polega różnica – mówi.

– Bo pozwoliłeś opublikować to zdjęcie w gazecie.

– Wszystkie moje zdjęcia publikuję. Właśnie dzięki temu mamy na rachunki.

– Na tym był nasz syn! Trafiło do gazety, którą czytają nasi znajomi.

– No i co to zmienia?

– Przestań mnie o to pytać, kiedy odpowiedź jest oczywista jak cholera!

– Więc mi to wyjaśnij. Wyjaśnij mi, jak to się dzieje, że moje dokumentowanie rzeczywistości jest czymś godnym szacunku, gdy robię zdjęcia cudzym dzieciom, ale nagle staje się tanim chwytem, kiedy fotografuję własnego syna?

Ed prawie nigdy nie zwraca się do żony w taki sposób. Niemal zawsze wspiera ją, stara się ją ułagodzić, pozwala jej podejmować decyzje i przynosi jej herbatę w te poranki, kiedy jest akurat w domu, a ona nie siedzi w szpitalu. W zamian dostaje swoją wolność, kiedy jej potrzebuje.

Wie, jakiego argumentu Fiona użyje – że im samym i Noahowi należy się prywatność – i hipokryzja tego stwierdzenia doprowadza go do szału. Wie również, że wytknięcie jej tego pewnie nie będzie mądrym posunięciem, ale ma już serdecznie dość obwiniania go o wszystko. A jeśli ma być brutalnie szczery, odnosi też wrażenie, że utkwiał w rodzinnym schemacie skupiającym się wyłącznie na opiece nad Noahem oraz zachowaniu go przy życiu za wszelką cenę, i słusznie, tyle że teraz, kiedy Noah odszedł, domowe życie, które pozostało Edowi i Fionie, jest zrujnowane i szpetne. Ed wie ponadto, że skoro Noah odszedł, on sam dla nikogo nie jest już bohaterem, a ta myśl pozbawia

go punktu oparcia równie mocno jak cała reszta.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam ci wybaczyć – mówi Fiona. – Nie powiedziałaś mi nawet, że w ogóle rozmawiałeś z dziennikarką.

– Zapomniałem o tym! Po prostu zapomniałem. Przyszła do szpitala. To był głupi błąd. Jak może jesteś w stanie sobie wyobrazić, głowę miałem zajęętą innymi rzeczami. – Ed powstrzymuje się, by nie krzyczeć, i odzyskuje panowanie nad sobą. – Zrobiłem to, bo myślałem, że dzięki temu ludzie się nami zainteresują i pomoże nam to w odkryciu prawdy. Później tego żałowałem, wierz mi, bo nie chciałem ściągać uwagi na Abdiego ani zrzucać na niego winy. Nie wiedziałem, że ta dziennikarka tak postąpi.

– To akurat, do ciężkiej cholery, jest jedyna dobra rzecz, jaka z tego wynikła! Wiedziałeś, że znalazł się świadek, który widział, jak Abdi popchnął Noaha? Śledczy to przed nami ukrył. Ukrył! Jak niby coś takiego ma pomóc Noahowi?

Fiona w roli matki jest jak zwierzę wychowujące młode – zawzięta i całkowicie poddana instynktowi. Ed był tym zdumiony już od pierwszych godzin życia Noaha, kiedy siedział w szpitalnej sali i patrzył, jak centrum uwagi Fiony przenosi się z niego na ich syna. Teraz zamiast zdumienia czuje trwogę. Cała jej energia jest skierowana na zewnątrz, ponieważ Fiona szuka kozła ofiarnego, kogoś, kogo mogłaby obwinić o przedwczesne zrujnowanie największego projektu jej życia. Eda nie dziwi, że jego żona obsadziła w tej roli Abdiego, choć budzi to w nim złość. Wierzy, że Abdi to dobry dzieciak, i jest przekonany, że poznał świat na tyle, by móc ufać własnemu osądowi. W swojej pracy opiera się właśnie na tej umiejętności szybkiego i trafnego oceniania ludzi.

– Nie możemy zwrócić się przeciwko Abdiemu. Nie wierz wszystkiemu, co czytasz. Policjanci na pewno nam tę sprawę wyjaśnią, jeśli ich o nią zapytamy.

– Czyli w jednej chwili dajesz dziennikarzom zdjęcie naszego syna, a w drugiej mówisz mi, że nie możemy im ufać?

– A nie przyszło ci nigdy do głowy, że to, co chłopcy knuli, cokolwiek to było, mogło być pomysłem Noaha? Jego winą? Pamiętasz, dlaczego wypisaliśmy go z podstawówki?

– Wczoraj go straciliśmy, a ty wyciągasz coś takiego?

– Nie pisz historii na nowo, tylko o to cię proszę. – Ed nie ma już sił, by się kłócić. Minęła mu ochota na ostre słowa. – Dla mnie też Noah był najważniejszy w życiu – mówi jej – ale nie zawsze można go było uznać za ideał, zwłaszcza w kwestiach związanych z przyjaźniami, więc może ostrożnie podchodźmy do tego, co mówimy i robimy.

– A ty niby ile miałaś ostrożności, gdy przekazałaś tamto zdjęcie? Nawet mnie wcześniej o to nie zapytałaś.

– W porządku – mówi. – W porządku, masz rację. Powinienem był to

zrobić. Przepraszam. Bardzo, do ciężkiej cholery, przepraszam. – Unosi dłoń, dając do zrozumienia, że dla niego ta kłótnia już się skończyła. Wychodzi z kuchni.

Jakiś czas później Fiona idzie do pokoju Noaha. Robi głęboki wdech. W każdym przedmiocie, w każdym kawałku tkaniny wyczuwa obecność i zapach syna i wydaje jej się, że jeśli będzie stała bardzo spokojnie, usłyszy jego oddech i towarzyszące mu syczenie maski tlenowej. Przypomina sobie Noaha na poniedziałkowym przyjęciu – miał czerwone policzki i wydawał się tak dobrze bawić. Nie zasługiwał na to, co go spotkało, cokolwiek by mówił Ed.

Siada na łóżku Noaha i wraca myślami do niefortunnego incydentu z podstawówki. Noah źle się zachował wobec tamtego dziecka, to prawda, ale był wtedy pod ogromnym stresem. Najbardziej w tamtej sytuacji zdenerwowało ją nie zachowanie syna, ale podejście dyrektorki.

– Musimy spojrzeć na tę sprawę z obydwu stron – powiedziała – i choć Noah poważnie chorował i ze wszystkich sił staramy się go wspierać, nie możemy zignorować faktu, że skrzywdził innego ucznia.

– Dlaczego go popchnąłeś? – zapytała Noaha Fi wieczorem w dniu, w którym dowiedzieli się, że tamten chłopak wskutek upadku spowodowanego przez Noaha złamał obojczyk.

– Przestał się ze mną przyjaźnić.

Następnego dnia podjęła decyzję, że odtąd Noah będzie się uczył w domu. Nie mogła znieść myśli, że do wszystkiego, z czym musiał się mierzyć w związku z leczeniem, miałyby się jeszcze dołożyć problemy z kolegami. To za duży ciężar na barki jednego dziecka.

– Pewnie sobie poradzi. – Tak to widział Ed. – Bardzo szybko zaadaptuje się na nowo. Jesteś pewna, że to czasem nie dla ciebie ta sytuacja jest trudna, może nawet bardziej niż dla Noaha? To byłoby zrozumiałe.

Fiona nienawidzi, kiedy jej się to wytyka. Ed zawsze postępował w ten sposób – wparadowywał prosto z samolotu, wciąż roztaczając wokół siebie zapach podróży i innych kobiet, i wprost ją w taki sposób osądzał. W ogóle nie zdawał sobie sprawy, jak wszystko wyglądało w trudnych latach leczenia Noaha, jego nauki, jego życia.

Fiona nie dotyka niczego w pokoju syna. Chce, by absolutnie wszystko – nawet zagniecenia na pościeli – było zachowane dokładnie w takim stanie, w jakim pozostawił to Noah.

* * *

Stoimy z Woodleyem przed posesją znajdującą się na pretensjonalnym osiedlu, które na moje oko ma jakieś dziesięć lat. Dom jest niewielki.

Deweloper tego osiedla wymieszał style i rozmiary budynków w kiepsko pomyślanej i równie kiepsko wykonanej próbie stworzenia wiejskiej atmosfery. Drzwi są świeżo pomalowane, a ogródek przed domem intensywnie pielęgnowany. Na podjeździe stoi mały, czerwony samochód, wypolerowany na błysk. Właścicielami posesji są Jason Wright i jego żona.

– Wygląda na to, że ktoś tutaj lubi ścierać kurze – mówi Woodley. Na parapecie w pokoju od frontu zaaranżowano wystawę porcelanowych figurek rodem z weselnego tortu, przedstawiających księżniczki ubrane w suknie z większą liczbą szczelin i fałd niż lodowiec.

Drzwi otwiera nam drobna, zadbana kobieta w podomce oraz kapciach na obcasach z eksplozją piórek na czubkach.

– Pani Rita Wright? – pytam. – Chcielibyśmy pomówić z pani mężem.

– Nie ma go.

Nie zapowiedzieliśmy się, bo chcieliśmy go zaskoczyć, ale zastanawiam się, czy czasem ktoś nie powiedział mu, że wypytywaliśmy o niego w warsztacie.

– Kiedy wróci?

– Nie jestem pewna. Na dobrą sprawę mogą minąć całe wieki.

– Czy mimo to moglibyśmy wejść? Bardzo by nam pomogło, jeśli mogłaby nam pani odpowiedzieć na jedno czy dwa pytania.

Wpuszcza nas do środka dopiero po obrzuceniu naszych legitymacji policyjnych badawczym spojrzeniem. Prosi, żebyśmy zdjęli buty, po czym prowadzi nas do położonej w tylnej części domu malutkiej oranżerii z widokiem na wybrukowane podwórkę, na którym stoi pomalowana szopa i wisi sznur do suszenia prania ze starannie rozwieszonymi ścierkami. Po drugiej stronie widać niewielki trawnik.

– Chciałbym zapytać o zatrudnienie Jasona – mówię.

– Nie pracuje. Jest na zasiłku dla niepełnosprawnych. Kręgosłup mu wysiadł.

– Kiedy to się stało?

– Jakies sześć lat temu. Miał wypadek w pracy.

– Gdzie wtedy pracował?

– W radzie miasta. Był urzędnikiem od spraw mieszkaniowych.

– To w takim razie jak uszkodził sobie kręgosłup?

– Podczas podnoszenia pudeł, z tego co pamiętam. Pękł mu dysk.

Pomiędzy kolejnymi odpowiedziami Rita Wright obgryza paznokiec, pozostawiając na zębach plamki czerwonego lakieru.

– Czyli obecnie w ogóle nie pracuje?

Kobieta kręci przecząco głową.

Za oknem kamienne płytki patio zaczynają pstrzyć krople deszczu. W rogu podwórkę dostrzegam wielką psią kupę.

– Obawiam się, że nie będę w stanie w niczym więcej panom pomóc –

oznajmia Rita Wright. – Jeśli nie mają panowie nic przeciwko, chciałabym zdjąć pranie i wnieść je do domu.

Chce się nas pozbyć. Nie zamierzam jej tego utrudniać, bo właśnie wpadła mi do głowy pewna myśl.

– Bardzo nam pani pomogła – odpowiadam, wstając razem z nią. – Odezwiemy się za jakiś czas, żeby się dowiedzieć, czy Jason już wrócił.

– Następnym razem mogliby się panowie zapowiedzieć telefonicznie.

– Właśnie tak zrobimy, dziękujemy.

Gdy wkładamy buty w holu, kobieta kręci się wokół nas.

– Sami za sobą zamkniemy, pani Wright – zwraca się do niej Woodley. – Lepiej niech pani już idzie po to pranie.

Deszcz szybko się rozpadł – teraz już leje. Biegiem przedostajemy się z Woodleyem na drugą stronę ulicy.

– Założę się, że Wright wyprowadza teraz psy – mówię, gdy obaj siedzimy już w samochodzie. – Za długo w tym deszczu nie wytrzyma.

Przestawiamy samochód nieco dalej, tak by Rita Wright nie mogła nas zobaczyć, ale żebyśmy mieli widok na każdego, kto zbliży się do posesji.

Woodley wyciąga z kieszeni laminowany kartonik.

– Zobacz, co znalazłem na podłodze przy drzwiach.

Podaje mi go. PROSIMY NIE DZWONIĆ DO DRZWI MIĘDZY 9.00 A 17.00 – głosi napis, a pod spodem widnieje numer, z którym można się skontaktować esemesowo.

– Coś takiego wywiesiłby tylko ktoś, kto pracuje nocą.

Na odwrocie znajduje się stara grudka masy klejącej, którą kartka mogła być przytwierdzana do drzwi.

– Pobiera zasilek i pracuje na czarno.

Na pojawienie się pana domu nie musimy długo czekać.

– Na pewno zadzwoniła do niego, kiedy tylko wyszliśmy – mówi Woodley w chwili, gdy na dalekim końcu ulicy pojawia się mężczyzna, który garbi się na deszczu i trzyma na smyczy dwa duże owczarki niemieckie.

– Coś mi się nie wydaje, żeby to były idealne psy dla osoby, która ma problemy z kręgosłupem – stwierdza Woodley.

Wychodzimy z samochodu, żeby zająć Wrightowi drogę. Zauważa nas, kiedy się do niego zbliżamy. Po sposobie, w jaki się zatrzymuje, jednoznacznie widać, że rozważa ucieczkę, w końcu rezygnuje jednak z tego pomysłu. Gdy wciąż dzieli nas od niego dobrych parę metrów, jego psy zaczynają szczekać. Uspokaja je komenda. Z daszka czapki skapują mu krople. Choć włożył płaszcz przeciwdeszczowy, to ma jedynie lekkie adidas oraz spodnie od dresu. I jedno, i drugie przemoczone do suchej nitki. Ewidentnie widać, że wyszedł z domu w pośpiechu.

– Lepiej niech panowie wejdą do środka – mówi. – Tylko najpierw muszę zamknąć psy.

Przez boczną bramę wkracza na podwórko z tyłu domu, a my idziemy za nim. Owczarki przestały się już nami interesować, więc patrzymy, jak wprowadza je do sporej drewnianej budy, w której starannie się otrząsają.

– Czyli to nie są psy domowe? – pyta Woodley.

Jason Wright nie umie się powstrzymać od przechwałek.

– To psy specjalistyczne. Wyhodowane i wyszkolone w Niemczech. Nie powinno się ich trzymać w domu.

– Czyli to psy obronne?

– Ano. Żona ma problemy z nerwami.

– Mieszkając na tym osiedlu? – pyta Woodley i ma rację. Jedyne przestępstwo, jakiego ślady można zauważyć w tej okolicy, to gwałt na sztuce architektonicznej. Cała reszta jest bez zarzutu.

– Ostrożności nigdy za wiele. – Muszę przyznać, że nieźle wychodzi mu robienie pokerowej miny, bo to, co mówi, to bzdura, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że pani Wright zachowywała się wyraźnie lodowato. Nie dałoby się wykryć u niej żadnych nerwów.

– Bella!

Na dźwięk jego głosu jeden z psów odchodzi od miski z wodą i zbliża się do drucianego płotu. To suka o atletycznej budowie i bystrych oczach. Jej uszy i pysk przypominają czarny aksamit. Drugi pies się przygląda, opierając łeb na łapach. Wewnątrz kojca jest równie nieskazitelnie czysto jak w domu Wrightów.

– Oj, pochorowałaś się nam ostatnio, co nie, Bella? – Głos mężczyzny wpadł w ckliwy ton. Na dźwięk swojego imienia suka zamerdała ogonem, lecz nie ruszyła się z miejsca. – To złote zwierzaki, ale jeśli wydać im rozkaz, będą broniły właściciela.

Grzebie w kieszeni, po czym podaje Belli przysmak przez kratę. Drugi pies podnosi się i też podchodzi.

Nie daję Wrightowi żadnego ostrzeżenia. Obiema rękami chwytam poły jego mokrego płaszcza i pcham go na kraty otaczające psi kojec. Pchnięcie nie jest silne, ale wywołuje drażniący hałas. Psy reagują natychmiast. Obydwa rzucają się na ogrodzenie, odsłaniając zęby i dziąsła, warcząc i szczekając. Nie mam wątpliwości, że gdyby tylko były w stanie mnie dopaść, ich szczęki zacisnęłyby się na moim ramieniu albo nawet na szyi. Puszczam ich właściciela.

– Co pan, do kurwy, wyrabia? – mówi. – Jezu!

Psy wciąż szaleją.

– Bella! Roger! – woła Wright. Psy się wycofują; robią to jednak niechętnie, a samiec obnaża kły.

– Wydaje mi się, że powinniśmy zamienić słowo w środku – mówię.

Kaktus mi na dłoni wyrośnie, jeśli obrona domu jest jedynym zadaniem tych psów. Mam poważne podejrzenia, że w poniedziałkową noc Wright był na złomowisku i miał ze sobą jedno z tych zwierząt albo obydwu. Sądzę, że na nagraniu słysząc właśnie jego, wydającego komendę psu wabiącemu się Roger, i chcę wiedzieć, co dokładnie się wydarzyło.

* * *

Kiedy Sofia wchodzi do swojego pokoju, żeby się położyć, sprawdzić Facebooka i zastanowić się, co jeszcze może zrobić, by znaleźć brata, Maryam siedzi w ciemności w pokoju obok.

Gdy Nur wraca do domu, otwiera drzwi, włącza światło i zauważa, że Maryam siedzi sama po ciemku.

Kobieta przykłada palec do ust.

– Sofia śpi – mówi.

Nur siada obok żony i chwyta jej dłoń. Bardzo się kochają – nieprzerwanie od dnia, w którym poznali się w obozie; oboje pracowali wtedy w tamtejszej szkole. Oczywiście w ciągu spędzonych wspólnie lat nie zawsze we wszystkim się zgadzali, ale zaszli razem tak daleko, że łącząca ich więź stała się bardzo silna.

– Rozdałem wszystkie zdjęcia – mówi. – Każdy powiedział, że będzie się rozglądać za Abdim.

Próbuje wypełnić tym ciszę. Widzi, że żona zamierza mu coś powiedzieć.

Jakiś czas temu zajrzała do pokoju Sofii i zobaczyła, że córka śpi w swoim łóżku. Na biurku leżał telefon dziewczyny i Maryam go wzięła. Znała kod odblokowujący komórkę, więc bez większych problemów dotarła do fotografii zrobionej wcześniej przez Sofię.

Maryam pokazuje ją Nurowi.

– Według Sofii Abdi dostał fioła na punkcie tego zdjęcia, gdy zobaczył je na wystawie Eda Sadlera – wyjaśnia. – Sam widzisz, że to właśnie o tej fotografii mówił na nagraniu.

Nur ma przed sobą scenkę z obozu Hartiszejk. Pośród mężczyzn i chłopców widzi kilka znajomych twarzy. Dostrzega człowieka, na którego wołano Farurey, bo miał zniekształconą wargę, a także lejący w telewizji mecz piłki nożnej – czerwone koszulki kontra koszulki bordowo-szare. Nie musi przyglądać się dokładnie, doskonale pamięta, kiedy zrobiono to zdjęcie i jaki mecz oglądają przedstawieni na nim ludzie.

– Abdi wie – stwierdza Maryam. Nie udało im się ochronić ich największej tajemnicy.

W 1999 roku – kiedy odbywał się historyczny finałowy mecz między Manchesterem United a Bayernem Monachium – Nur mieszkał w dzielnicy Eastleigh w Nairobi. Wieczór, podczas którego rozegrano ów mecz Ligi Mistrzów, był jedną z niewielu okazji, gdy Nur, ryzykując, że zostanie aresztowany przez kenijską policję, odważył się opuścić swoją kwaterę, by dołączyć do tłumu oglądającego rozgrywkę na wolnym powietrzu. Nie mógł się nacieszyć, że będzie miał trochę czasu na relaks. Dystans dzielący go od rodziny uwierał go każdego dnia, ale był tu, żeby zarobić pieniądze, dzięki którym jego bliscy będą mogli wydostać się z obozu, gdzie Maryam stawiała się coraz bardziej zamknięta w sobie i przygnębiona, a perspektywa edukacji ich dzieci przedstawiała się żałośnie. Nur chciał do nich dołączyć, wiedział jednak, że musi być silny i trzymać się swojego celu. Minęła dopiero połowa jego sześciomiesięcznego wyjazdu. Sypiał na materacu w pokoju, który musiał dzielić z siedmioma innymi mężczyznami.

Tamtego wieczoru obejrzenie meczu futbolowego miało być jego nagrodą – paroma godzinami rzadkiej przyjemności. Był fanem Manchesteru United. Mecz oraz towarzyszące mu hałas i ekscytacja bez reszty pochłonęły go na całe dziewięćdziesiąt trzy minuty. Pamięta czerwone flary odpalone przez kibiców na trybunach, niemal ekstatyczną radość zawodników Manchesteru, gdy wyszli na prowadzenie w ostatnich trzech minutach, a także rozpacz drużyny z Monachium, której członkowie położyli się na trawie, nie wierząc w wynik.

Na myśl o tym, że tamtego wieczoru dobrze się bawił, podczas gdy jego żona tak bardzo cierpiała, do dziś kłuje go w sercu poczucie winy.

Maryam mówi:

– Nie chcę, żeby Sofia się dowiedziała.

– Nikt nie musi o tym wiedzieć.

– Musimy powiedzieć policji.

– Dlaczego?

– Bo Abdi szuka tego mężczyzny. Wie, że jest tutaj, w Bristolu. Zobaczył go w Centrum Powitalnym i musiał podsłuchać, jak rozmawialiśmy o nim tamtej nocy. Jeśli to jego rozpoznał na fotografii – Maryam dźga palcem w twarz mężczyzny z rozszczepioną wargą – mógł sobie wszystko złożyć do kupy, bo mecz piłkarski podsunął mu datę. Rozwiązanie zagadki nie byłoby zbyt trudne.

– To niemożliwe – mówi Nur, ale wypowiadając te słowa, myśli o tym, jak trudno strzec tajemnic, zwłaszcza takiego kalibru.

– Możliwe. Widział, jak zemdlałam. Jest spostrzegawczy, bystry, dokładnie taki, jak zawsze chcieliśmy.

– Nie drap tej blizny – mówi jej Nur. Delikatnie odciąga jej dłoń od ramienia. Maryam często skubała tę dawną ranę aż do krwi.

– Bez względu na to, co zdarzyło się nad kanałem, teraz sytuacja się pogorszyła. Abdiemu grozi niebezpieczeństwo – stwierdza Maryam.

Napada ją wspomnienie tamtej nocy i mężczyzny z rozciętą wargą. Maryam chwytą Nura za rękę i próbuje odegnąć od siebie to wspomnienie, ale dźwięk zderzenia ciała tamtego mężczyzny z jej ciałem to coś, czego nigdy nie będzie w stanie zapomnieć.

Tamtego wieczoru Maryam pomagała przyjaciółce, która się rozchorowała i której syn wbrew zakazom wymknął się, by obejrzeć mecz piłkarski. Przyjaciółka była wściekła, choć zarazem się martwiła – samotne tułanie się nocą po obozie nie było dla chłopców bezpieczne. Powinni byli zostać w swoich chatach, gdzie mogli się uczyć. Wiele ze znanych Maryam kobiet strzegło zapasów nafty jak tygrysy, by mieć pewność, że ich dzieci po zachodzie słońca będą miały wystarczająco dużo światła do nauki. Żadna mieszkanka obozu nie chciała, żeby jej dzieci włóczyły się po obozie i wplątywały w takie czy inne towarzystwo. Wiele z nich nadal miało nadzieję na przyszłość, mimo wszystko. Ale perspektywa meczu piłkarskiego pokazywanego na wolnym powietrzu sprawiła, że chłopcom lekko odbiło. Maryam zostawiła Sofię na noc u przyjaciółki i poszła długą, prostą ścieżką do miejsca, w którym pracownicy pomocy humanitarnej czasami odpoczywali.

Tamtego wieczoru ustawili telewizor tak, by każdy, kto chciał, mógł obejrzeć mecz, ale kiedy Maryam tam dotarła, transmisja już się skończyła, a chłopca, którego szukała, nigdzie nie było widać. Pracownicy pomocy humanitarnej, radośni i roześmiani, wsiadali do ciężarówek mających zabrać ich do domów. Maryam zastanawiała się, czy chłopak poszedł do chaty innego z przyjaciół rodziny. Ruszyła w jej kierunku, ale pomyliła drogę. Przez panującą ciemność straciła orientację. Niektóre ze schronień oświetlały pochodnie lub lampy, większość jednak była pogrążona w mroku.

Z tego, że się zgubiła, zdała sobie sprawę, gdy znalazła się na obrzeżach obozu, na których kobiety – w grupkach, dla bezpieczeństwa – zbierały drewno na opał. Zgasła swoją lampę w obawie, że może ona przyciągnąć uwagę, było już jednak za późno. Stali tam mężczyźni. Trzej, ale tylko jeden z nich miał szerokie rozcięcie na górnej wardze. Dwóch pozostałych zaciągnęło ją siłą w głęboką ciemność, daleko od obozu, tak by nikt nie mógł usłyszeć jej wołania o pomoc. Gdy ją ciągnęli, jej obcasy zostawiały ślady na ziemi; przez całą drogę przyglądała się mężczyźnie podążającemu za nimi, widziała jego zdeformowaną twarz, niezwykle beztroski chód i to, jak nachylił pochodnię, wskazując im, gdzie mają Maryam zabrać. Kiedy już tam dotarli, oświetlił jej ciało pochodnią.

Zdeformowane usta sprawiały, że jego mowa była bełkotliwa.

Kiedy gwałt dobiegł końca, Maryam skuliła się samotnie w ciemności,

mężczyźni zaś ruszyli przez pustynię z powrotem w kierunku obozu; słyszała ich śmiech. Na powrót okryła się ubraniem i nie podnosiła się, bowiem lęk przed bólem i tym, jak będzie wyglądała reszta jej życia, był większy od strachu przed skorpionami i hienami.

Poczuła ciepło krwi między nogami i na ramieniu, w miejscu, gdzie tamten mężczyzna zranił ją nożem. Nim rana zdąży się zagoić, wda się w nią zakażenie, co pozostawi brzydką bliznę.

Mimo wszystkich dotychczasowych trudów i upokorzeń, dopiero tej nocy jej życie zostało określone przez wstyd. Tej nocy także został poczęty Abdi.

* * *

Ed odbiera ze szpitala telefon z informacją, że coroner, który przeprowadzi sekcję, został powiadomiony o śmierci Noaha. Według planu, wyjaśnia mu lekarz, zajmie to kilka najbliższych dni, po których ciało zostanie wydane, ale Ed i Fiona będą musieli ustalić to bezpośrednio z gabinetem coronera. Myśl o autopsji przyprawia Eda o mdłości. Najbardziej chciałby, żeby – po latach interwencji medycznych – lekarze zostawili Noaha w spokoju.

Kiedy przekazuje wieści Fionie, ta prawie nie reaguje. Po ich kłótni poszła do łóżka i wciąż w nim leży, szara na twarzy.

– Porozmawiamy o pogrzebie? – pyta Ed.

– Nie.

Ed wie, czego życzył sobie Noah; rozmawiali o tym tej samej nocy, podczas której uzgadniali listę postanowień i planów na ostatnie miesiące życia chłopca, a Ed robił wtedy notatki. Noah miał o pogrzebach taką wiedzę, że w innych okolicznościach przyprawiłaby ona Eda o niepokój. Chłopak chciał, by na okładce planu uroczystości znalazł się określony rysunek i żeby sama ceremonia była ponadwyznaniowa. Rozważał trzy utwory muzyczne, jeden uwielbiany przez Fionę, drugi przez Eda, a ostatni należący do jego własnych faworytów. Ponadto życzył sobie też, by odczytano wybrany przez niego fragment Małego Księcia, a każde z jego rodziców miało wybrać swój.

– Obojętne, kto będzie je czytał, ale byłoby miło, gdyby jeden z nich dostał Abdi.

Ed zastanawiał się, jak to się do cholery stało, że tak dojrzałą rozmowę odbył z Noahem dopiero wtedy, gdy pozostało mu kilka miesięcy życia. Nie mógł się powstrzymać przed obwinianiem o to Fiony. Trzymała mnie od niego na dystans, pomyślał. Była tak przelęknięta wszystkim, co wiązało się z Noahem, że mnie od niego odsuwała. Najczęściej myślałem o nim jako o chorym. Nie poznałem go

tak dobrze, jak powinienem.

– Odwołam wystawę – powiedział Noahowi któregoś dnia po rozmowie w sprawie rokowań.

– Nie! Chcę ją zobaczyć i pójść na wernisaż. Zostało mi kilka miesięcy, tato, nie dni. Musimy robić fajne rzeczy.

– Fajne rzeczy?

– No głupio byłoby robić niefajne. Chcę zobaczyć twoją wystawę.

Ed stracił wtedy kontrolę nad sobą i się rozplakał.

Noah nie był pierwszym umierającym dzieckiem, z jakim się zetknął, ale dopiero teraz potrafił prawdziwie współczuć rodzicom i członkom rodzin tych malców, których poznał i sfotografował za granicą. Nastawienie Noaha z tamtego wieczoru zważyło mury, jakie Ed wznosił wokół siebie, by nie oszaleć w obliczu tego, co widział podczas swoich podróży. W porównaniu z odwagą jego syna kpina wydawała się brawura, jaką on sam wraz z innymi fotografami, a także dziennikarzami popisywali się każdego dnia, czekając wśród hotelowych wygód na moment, kiedy będą mogli bezpiecznie zdobyć swoje materiały – nieustannie próbując uchwycić rzeczywistość w sposób, który najlepiej się sprzeda. Bądź co bądź mieli swoich zleceniodawców. Byli tam dla pieniędzy.

Ed schodzi piętro niżej i odnajduje swoje notatki. Bez pośpiechu czyta wszystkie życzenia Noaha. Skończywszy, ostrożnie składa kartkę i z powrotem chowa ją w szufladzie biurka. Całym sercem ma nadzieję, że policja odkryje, co wydarzyło się nad kanałem. Chce, żeby Abdi przyszedł na pogrzeb z czystym sumieniem i mógł pożegnać się z przyjacielem tak jak należy. Noah też by sobie tego życzył.

Ed ponownie idzie na górę i siada na brzegu ich małżeńskiego łóżka.

– Fi – szepcze. Kładzie się przy żonie i obejmuje ją. Jej poduszka jest wilgotna. Zatapia twarz we włosach żony.

Fiona się nie porusza, co trochę go złości, ma bowiem ochotę błagać ją, żeby choć raz nie zawłaszczala sytuacji, nie starała się udowodnić mu, że jej smutek jest większy niż jego. Po kilku minutach Ed czuje, że żona próbuje go od siebie odsunąć.

– Za ciepło – mówi, choć skóra na jej szyi jest chłodna od wilgoci.

Ed wstaje. Wyjmuje z szafy swoją torbę podróżną i rozsuwa zamek. Pakuje do niej te same ubrania i ekwipunek co zwykle. Nie za wiele, tylko najpotrzebniejsze rzeczy.

– Co robisz? – Fi patrzy na niego, unosząc się na łokciach.

– Muszę stąd wyjechać.

– Teraz?

W odpowiedzi jedynie wbija w nią wzrok.

– A co z pogrzebem?

– Wróć do domu, kiedy tylko autopsja dobiegnie końca. Do tego

czasu i tak nie będziemy w stanie niczego zorganizować.

– Nie możesz teraz wyjechać. Chodzi o pracę?

Ed kręci przecząco głową. Do Fiony w końcu dociera prawda: jej mąż jest – i od lat był – przerażająco samotny. I teraz, gdy Noah odszedł, oboje znaleźli się w tym stanie.

– Och, Ed.

– Nie dam rady tutaj zostać.

– Dokąd pojedziesz?

Nie ma całkowitej pewności, ale przypomina sobie pewne miejsce u wybrzeży Irlandii, które kiedyś wspólnie odwiedzili, jeszcze przed narodzinami Noaha. Żadnej elektryczności, jedynie widoki i całkowite odosobnienie. Chciałby się znaleźć właśnie w tego rodzaju miejscu.

– Dam ci znać.

– Proszę, nie wyjeżdżaj.

– Chyba muszę.

Tak więc kontynuują schemat, w którym znajdowali się od zawsze – gdzie Ed opuszcza dom, a Fiona nie potrafi go zatrzymać, bo nie jest w stu procentach pewna, czy chce, żeby został. Oboje zastanawiają się, czy kiedykolwiek łączyła ich prawdziwa więź, czy też po prostu zbliżyło ich do siebie rodzicielstwo.

Gdy Ed dociera na lotnisko, zauważa, że dostał od Fiony esemesa: „Też rozmawiałam z tą dziennikarką. Nigdy nawet nie zapytałeś, jak się dowiedziałam, że dałeś jej tamto zdjęcie”.

* * *

Razem z Woodleyem włączamy Fraser tamto nagranie rozmowy z numerem alarmowym i opowiadamy jej o ochroniarzu i jego psach. Mamy jego zeznania. Podczas naszej wizyty u niego w domu w końcu przyznał się, że był na złomowisku, ale twierdził, że przyjechał już po tym, jak Janet wezwała służby ratunkowe.

– Kłamie – mówię. – I mogę się założyć o odznakę, że Janet Pritchard też nas okłamuje. Moim zdaniem powinniśmy wezwać ich oboje na oficjalne przesłuchanie.

Nie tylko ja przyniosłem nowe wieści. Jeden z pracowników komendy puka w szybę pokoju konferencyjnego i wskazując na mnie, wykonuje gest odbierania telefonu. Dzwoni do nas Ed Sadler.

– Inspektorze Clemo – mówi. – Wyjeżdżam na kilka dni. Fiona będzie wiedziała, jak się ze mną skontaktować. Chciałem pana o tym powiadomić osobiście.

– Dziękuję. Doceniam.

– Niekoniecznie doceni pan to, co powiem za chwilę.

– Proszę mówić. – Czuję mrowienie na karku. Jego ton jest bardziej oficjalny niż zazwyczaj. Bardziej napięty.

– Fiona udzieliła wywiadu dziennikarce. Obawiam się, że może on być nieco – jak by to ująć – nieco źle wyważony i prawdopodobnie oskarżycielski. Inspektorze?

– Tak. Słucham.

– Proszę jej za bardzo nie obwiniać. W obecnych okolicznościach nie jest sobą...

Mam na tyle oleju w głowie, żeby nie dewastować niczego na oczach kolegów i koleżanek z pracy, więc gdy rozmowa telefoniczna dobiega końca, powstrzymuję chęć przywalenia pięścią w ścianę gabinetu Fraser i zamiast tego idę schodami w dół i wychodzę z budynku.

Na końcu parkingu, gdzie hałas samochodów jadących estakadą zapewnia mi prywatność, dzwonię do Emmy. Nie odbiera, a ja nie zostawiam jej wiadomości na poczcie głosowej, bo wiem, że będę krzyczał. Rozłączam się i zbieram do kupy. Przychodzi mi do głowy, że zniechęcenie jej do opisywania śledztwa może być o wiele bardziej skuteczne, jeśli zrobię to podczas rozmowy w cztery oczy. Ponownie wybieram jej numer.

– Emmo – zaczynam – tak się zastanawiałem: miałabyś ochotę spotkać się dziś wieczorem na drinka? Za pół godziny kończę służbę. Miło byłoby cię zobaczyć.

Po powrocie na górę widzę, że narada się skończyła, a Woodley dyskutuje o czymś z kolejnym facetem z działu technicznego. Złe wieści są takie, że nie udało im się jeszcze dostać do prywatnej skrzynki mejlowej Abdiego, ale pojawiły się też wieści dobre.

– Chłopak właśnie skorzystał ze swojego konta na portalu społecznościowym – oznajmia Woodley.

On i technik pokazują mi na laptopie ciąg wiadomości, jakie wymienili ze sobą Abdi i jego siostra Sofia. Nie ma w nich nic ciekawego – nie licząc dwóch ostatnich.

– Dziewczyna wysłała mu zdjęcie mężczyzn oglądających mecz i zapytała: „Co to znaczy?”. Odpowiedział jej przed dwunastoma minutami.

Odpowiedź Abdiego brzmi: „Nic nie znaczy. Najlepiej będzie, jeśli o mnie zapomnisz. Nie wracam do domu. Wybacz”.

– Kurwa mać.

– Wiem – mówi Woodley.

Czytam reakcję Sofii: „Proszę, Abdi, wróć do domu albo powiedz nam, gdzie jesteś! Kochamy cię, całusy”. Dalej następuje seria emotikonów w kształcie serca.

– Przeczytał tę jej ostatnią wiadomość, ale na nią nie odpowiedział – mówi Woodley.

- Wiecie, gdzie się zalogował?
- Pracujemy nad tym.
- Ile czasu wam to zajmie?
- Parę godzin.
- Ile dokładnie?
- Zależy od właścicieli portalu.
- Musimy do niego dotrzeć. Nie zgubmy tego tropu.

Rozbrzmiewa dzwonek mojej komórki – to esemes od Emmy.

„Dasz radę spotkać się teraz? W Berkeley Lounge Bar. Później jestem zajęta”.

Mhm, pewnie puszczeniem do druku kolejnego artykułu. Odpisuję: „Do zobaczenia”.

– Daj mi znać od razu, gdy tylko się czegoś dowiesz – mówię Woodleyowi.

Odnalezienie lokalu wybranego przez Emmę zajmuje mi trochę czasu. Parkuję samochód na Berkeley Square, nieopodal sławnej strefy ze sklepami i restauracjami w centrum miasta. Po krótkim spacerze, podczas którego mijam budki z kebabem, knajpkę utrzymaną w amerykańskim stylu i indyjską restaurację, trafiam na uliczkę, której dziurawy asfalt jest upstrzony kałużami i która wydaje się prowadzić donikąd. Z oświetlonego okna na drugim piętrze budynku przypatruje mi się kot. Poza nim dookoła nie ma żadnego życia. Zaczynam się zastanawiać, czy Emma skierowała mnie w ślepy zaułek, żeby mi coś udowodnić, i kiedy już postanawiam się stamtąd zbierać, dwóch delikwentów – porządnie ubranych i równie porządnie wstawionych – wyłania się z nieoznakowanych, czarnych drzwi. Pukam w nie.

Wewnątrz znajduję Emmę siedzącą przy barze. To elegancki lokal, choć panuje w nim mrok. Lampy stołowe o kloszach ozdobionych frędzlami utrzymują twarze gości w półcieniu. Butelki z alkoholami, ustawione za barem w równe, przypominające miejsca na stadionie rzędy, połyskują w przyćmionym świetle. Emma trzyma w dłoni wysoką szklanekę z drinkiem. Młody barman w białej koszuli i kamizelce poleruje kieliszki. W mankietach ma srebrne spinki.

To szpanerski lokal stylizujący się na nielegalny amerykański bar z czasów prohibicji i wybór tego miejsca na spotkanie śledczego i reporterki kryminalnej wydaje się paradoksalny – jak gdybyśmy byli postaciami z filmu, a nie rzeczywistymi ludźmi. Jestem pewien, że Emma ma tego świadomość, i zastanawiam się, co próbuje mi tym zakomunikować.

Zamawiam wodę gazowaną. Emma nie podnosi na mnie oczu, dopóki nie zajmę miejsca obok niej, a gdy w końcu to robi, jej spojrzenie zarazem elektryzuje i budzi grozę, dokładnie tak jak dawniej. Muszę odwrócić wzrok, skupić się na parze rękawiczek, które ułożyła starannie

na kontuarze, a nie na jej szczupłym przedramieniu spoczywającym obok, opuszkach palców na brzegu szklanki, pomalowanych, połyskujących paznokciach.

– Cześć, Jim – mówi.

– Rozmawiałas z Fioną Sadler?

– Czyli nie przyszedłeś tu na osobistą pogawędkę, co?

– Przykro mi. – Wypowiadam te słowa w sposób, który nie pozostawia złudzeń, że nie są to przeprosiny.

– Niepotrzebnie. – Wyzywająco unosi podbródek, zauważam jednak, że równocześnie przełyka ślinę. Denerwuje się. Czyli nie jestem w tym sam. W jej głosie jednak nie ma żadnej nerwowości. – Owszem, rozmawiałam z Fioną Sadler. Na jej prośbę.

– Zamierzacie opublikować to, co powiedziała?

Miesza swojego drinka. Wygląda jak koktajl i jestem pewien, że zamówiła go tylko na pokaz. Znam Emmę i wiem, że – o ile nie zmieniła się diametralnie od czasu naszego zerwania – zbyt poważnie traktuje karierę, by w godzinach pracy sięgać po alkohol. Nawet jeśli w jej nowym zawodzie picie uchodzi za coś oczywistego.

– Tak – odpowiada.

– Nie róbcie tego.

Kręci głową, lekko parskając śmiechem. Sięgam po jej dłoń. Nie spodziewała się tego gestu. Przez chwilę pozwala mi się trzymać za rękę, na tyle długo, żebyśmy mogli nawzajem poczuć swoje ciepło, po czym cofa dłoń i kładzie ją na kolanie, między fałdami spódnicy.

– Nie chcesz tego robić. Nie jesteś tego rodzaju osobą. Pomyśl o tym drugim chłopcu i jego rodzinie.

– Nie mów mi, co chcę robić, a czego nie. Zamierzam opublikować ten artykuł, bo jestem przekonana, że porusza on ważny temat. Według mnie razem z Fraser i całym Wydziałem Kryminalnym próbujecie umorzyć dochodzenie, bo boicie się gwałtownych reakcji po tym, jak potężnie spieprzyliście sprawę z Marszem Białej Nacji. Ilu ludzi zostało tam rannych? Ilu aresztowano? Możesz mi przypomnieć? Ile wyniosły w sumie straty poniesione przez miasto?

– Jesteś rozgoryczona.

– Ciekawe dlaczego.

– To ma być jakaś zemsta? Nie ty jedna poniosłaś konsekwencje w związku z tamtą sprawą.

– Na moje oko tylko jedno z nas wciąż nosi odznakę Wydziału Kryminalnego.

Barman rzuca nam spojrzenie. Emma zaczyna mówić ciszej.

– Jesteś niemożliwy, Jim. Niemożliwy.

– Ten chłopak z Somalii nie zasługuje na coś takiego. Jest niewinny.

– Doprawdy? Mogę zacytować te słowa?

Kręcę głową.

– Jesteś w stanie wskazać mi jakieś dowody jego niewinności?

– Bez uszczerbku dla śledztwa, nie.

– To w takim razie opublikuję artykuł.

– Myślałem, że stać cię na więcej.

– Nic z tych rzeczy. To ty zniszczyłeś moją karierę.

– Sama ją sobie zniszczyłaś, nikt inny. – Wstaję. Jestem gotowy, żeby wyjść. Ta rozmowa to zwykła strata czasu i pora ją skończyć.

Kiedy odwracam się do wyjścia, Emma łapie mnie za ramię.

– Spójrz na mnie, Jim.

Jak ukryć uczucia, które są tak silne, że potrafią pozbawić cię racjonalności i wykpić twoją lojalność? Gdy patrzę na Emmę, nie jestem w stanie odeprzeć od siebie wizji naszej potencjalnej wspólnej przyszłości. To bolesne i kuszące; zastanawiam się, jak to możliwe, by tak ogromnie kogoś jednocześnie nienawidzić i pożądać.

Emma też wbija we mnie wzrok. Przy każdym wdechu nozdrza lekko jej się rozszerzają. W jej spojrzeniu pojawia się jakaś surowość.

– Nieważne – stwierdza, puszczając moje ramię.

Opróżnia szklankę i zgarnia swoje rzeczy charakterystycznym płynnym ruchem, o którym zdążyłem już zapomnieć. Przyglądam się, jak odchodzi. Jest zrobiona na bóstwo. Ciekawe, czy wystroiła się tak dla mnie.

Kilka minut po jej wyjściu staję w posępnej alejce przed barem i dzwonię do Janie Green.

– Biuro prasowe Wydziału Kryminalnego – mówi.

– Jak tam dzisiaj stoisz z kłopotami?

– Mam ich więcej, niż trzeba, dziękuję.

– Znajdzie się miejsce na jeszcze jeden?

Warto było spróbować zobaczyć się z Emmą. Sądziłem, że mi się powiedzie, ale wygląda na to, że ponieważ sprawy między nami skończyły się tak, jak się skończyły, zależy jej na zwycięstwie bardziej, niż przypuszczałem. Jeszcze jednak nie załatwiłem sprawy. Umiem być cierpliwy. Umiem wykrzesać z siebie nowe siły. Jeżeli czegokolwiek nauczyłem się u doktor Manelli, to właśnie tego.

* * *

Sofia budzi się i w drzwiach pokoju widzi ojca, trzymającego w dłoni jej komórkę. Dziewczyna jest zdezorientowana – po co mu ten telefon?

– Abdi do ciebie pisze! – mówi Nur.

Rodzice Sofii siadają wraz z nią nad komórką, głęboko skonsternowani wiadomością od Abdiego. Przyglądają się, jak córka

wpisuje odpowiedź i ją wysyła.

– Przeczytał! – mówi Sofia, gdy przy jej wiadomości wyświetla się malutka ikonka ze zdjęciem profilowym Abdiego. Po chwili całą trójką wstrzymują oddech, bo na ekranie pokazuje się symbol oznaczający, że Abdi pisze odpowiedź, nagle jednak symbol znika i więcej się już nie pojawia.

– Nie! – krzyczy Sofia. – No weź!

W kawiarence internetowej w dzielnicy St Paul's Abdi Mahad wylogowuje się z Facebooka. Chciał odpowiedzieć siostrze, ale po prostu nie wiedział, co napisać. Jego zdaniem lepiej się już nie kontaktować.

Od jakiegoś czasu Abdi patrzy też na fotografię mężczyzny, który według niego jest jego ojcem. Wie, że ten człowiek nie ma już rozszczepionej wargi ani okropnie krzywych zębów, lecz chirurgicznie skorygowane usta, wie też, że fotografia pochodzi sprzed piętnastu lat, ale mimo to patrzy na nią. W twarzy na zdjęciu szuka śladów samego siebie.

Na trop, który doprowadził go do odkrycia, że ten mężczyzna jest jego prawdziwym ojcem, wpadł w zeszłym tygodniu. Pracował w kuchni Centrum Powitalnego, gdy spostrzegł, że matka wpatruje się w jednego z mężczyzn stojących w kolejce po jedzenie. Takiego wyrazu jej twarzy nie widział nigdy wcześniej. Nie była w stanie oderwać wzroku od tego człowieka, a jej oczy wypełniał strach. Chwilę później zemdląca. Gdyby nie to, że złapał ją szef kuchni Sami, wyrznięłaby o coś głową.

Korzystając z zamieszania, jakie nastąpiło, mężczyzna rozplątał się w zatłoczonej stołówce, ale Abdi zdążył go zobaczyć i dostrzec bliznę na jego górnej wardze. Maryam powiedziała wszystkim dookoła, że po prostu źle się poczuła, Abdi jednak wiedział, że to nie była prawda. Próbował odnaleźć tego mężczyznę, żeby zapytać go, co powiedział albo zrobił Maryam, że ta się tak przestraszyła – był bowiem pewien, że coś musiało się stać, a on zamierzał bronić matki za wszelką cenę.

Później znajoma podwiozła jego i Maryam do domu, a matka kazała mu przysiąc, że nie wspomni Sofii o omdleniu. Dziewczyna miała ważną pracę domową, na której musiała się skupić, a Maryam nie chciała jej martwić.

– Za to ty obiecaj, że powiesz tacie – odparł Abdi. – Bo inaczej sam to zrobię.

Tej samej nocy, bardzo późną porą, coś wyrwało Abdiego ze snu. W pierwszej chwili pomyślał, że obudził go powrót ojca z nocnej zmiany, ale zaraz potem dobiegły go dźwięki, od których przeszły mu ciarki po plecach. Jego matka płakała w głoś, niemal krzyczała. Była niesamowicie zrozpaczona. Wstał z łóżka, gotowy do niej pobiec. Kiedy już miał otworzyć drzwi swojego pokoju, usłyszał głos Nura.

– Maryam, Maryam. – Głos był melodyjny, opanowany, cichy;

wyrywał ją ze szponów okropnych wspomnień. Abdi znieruchomiał.

Z tego, co podsłuchał później, wynikało, że tego wieczoru Maryam stanęła twarzą w twarz z mężczyzną, który zgwałcił ją wtedy, gdy rodzina Abdiego żyła w obozie Hartiszejk. Dalszy ciąg wydał się chłopakowi w dziwny sposób logiczny i z góry przesądzony, Abdi bowiem zawsze czuł, że rodzice traktują go inaczej niż Sofię. Przejawiało się to głównie w tym, że zawsze sprawiali wrażenie mocno przestraszonych, gdy choć odrobinę odbiegał od wizerunku idealnego syna. Nie wywierali takiej presji na Sofię; nie w takim stopniu. A nie zachowywali się tak, jak niektóre ze znanych im imigranckich rodzin, nie mieli wobec Sofii mniejszych oczekiwań, bo jest dziewczyną. Jeśli Sofii coś nie wyszło, zachęcali ją, by spróbowała ponownie, by nie zamartwiała się swoim błędem. Jeśli Abdiemu coś się nie udało, wydawali się przestraszeni – teraz już rozumiał dlaczego. Nie wiedzieli, na kogo ich syn wyrośnie.

Abdi nie odważył się porozmawiać z rodzicami o tym, co podsłuchał, często jednak myślał o mężczyźnie z blizną na wardze i o tym, że jest dzieckiem gwałciciela. Może i znalazłby odwagę i właściwy czas, żeby pomówić o całej tej sprawie z matką i ojcem – gdyby nie wernisaż wystawy Eda Sadlera.

Kiedy Abdi zobaczył tamtą fotografię, od razu wiedział, że ma przed sobą tego samego mężczyznę, którego widział w Centrum Powitalnym. Kolejne potwierdzenie pojawiło się, kiedy Ed Sadler powiedział mu, że człowiek ten znany jest z brutalności. Gdy Abdi zaczął szukać informacji o meczu oglądanym przez ludzi ze zdjęcia, odkrył, że odbył się on dziewięć miesięcy przed jego narodzinami. Właśnie wtedy pojął, że mężczyzna z rozszczepem podniebienia i surowym spojrzeniem niemal na pewno jest jego ojcem. To by wiele wyjaśniało.

Teraz zaś Abdi zamierza skonfrontować się z tym człowiekiem, wie bowiem, gdzie go znaleźć. Co do tego, jak dokładnie będzie wyglądała ta konfrontacja, nie ma pewności. W jednej chwili chciałby go zabić za to, co zrobił Maryam, w kolejnej – powiedzieć: „Jestem twoim synem” i zobaczyć, jak tamten zareaguje. Chociaż z drugiej strony, myśli, może po prostu spojrzę na niego, a potem zniknę, bo jeśli ten człowiek stanowi połowę mnie, chcę na własne oczy zobaczyć, kim mogę się stać.

Poza tym Abdi okropnie martwi się o Noaha. Wiedział, że upadek do kanału był groźny. Kiedy Noah wpadł do wody, Abdi skamieniał i stał bezradnie obok, bo nie potrafił pływać. Mimo wszystko założył, że leżący w szpitalu Noah wraca do zdrowia, więc gdy zobaczył zdjęcie przyjaciela w gazecie, był wstrząśnięty. Chciałby się dowiedzieć, jak miewa się Noah, ale nie wie, w jaki sposób to zrobić. Wie, że nie uda mu się zakraść do szpitala, tak żeby go nikt nie zauważył. Powinien był wysłać mu wiadomość przez Facebooka, myśli, ale teraz już na to za

późno. Jego czas korzystania z internetu dobiegł końca.

Abdi wstaje i opuszcza kawiarenkę. Z nasuniętym kapturem i opuszczoną głową kieruje się w stronę metra. Zostało mu tylko dwadzieścia funtów i nie ma gdzie nocować, więc zdaje sobie sprawę, że powinien rozsądniej obchodzić się z pieniędzmi, ale jego rosnące ciało domaga się jedzenia. Je kupioną kanapkę, idąc ulicą. Wie, że nie wolno mu zatrzymywać się nigdzie na dłużej, bo ktoś może go zobaczyć. By uniknąć spojrzeń, umyka w boczne uliczki, kiedy tylko ma do tego okazję.

Dotarcie piechotą do miejsca, gdzie sypia, zajmuje mu piętnaście minut. Pod osłoną sporego krzewu o błyszczących, grubych zimozielonych liściach zrobił sobie coś w rodzaju gniazda. Wybrał to miejsce, bo widać z niego domki szeregowe, o których opowiadał mu Ed Sadler.

– To szalony zbieg okoliczności – powiedział ojciec Noaha w swoim gabinecie w noc po wystawie, po tym jak Abdi zatrzymał nagrywanie. – Przysięgam, że widziałem tego faceta z zajęczą wargą, kiedy ostatnio poszedłem z kumplem do Centrum Wspinaczkowego w dawnym kościele St Werburgh's. Mógłbym przysiąc, że to on. Dobrze teraz wygląda, twarz ma ogarniętą, zęby na swoich miejscach; zrobił to sobie w ramach systemu służby zdrowia, bez wątpienia. Ta przemiana na chwilę zbiła mnie z tropu, bo dopiero co skończyłem wybierać zdjęcia na wystawę i na świeżo miałem w pamięci jego dawną twarz, ale to on. Gdy go zobaczyłem, wychodził właśnie z jednego ze stojących naprzeciwko domków. Miał bliznę na górnej wardze.

Abdi znał tamto miejsce. Brał kiedyś udział w wycieczce szkolnej do tego dawnego kościoła, w którym obecnie mieściła się ściana wspinaczkowa. Pamiętał rząd położonych naprzeciwko domków, a także to, że przy jednym z jego końców znajdował się ciemny tunel, nad którym biegły tory kolejowe, a obok wznosiło się strome, zadrzewione zbocze, gdzie miałyby szansę się ukryć.

W dniu tamtej wycieczki przyglądał się wielu osobom: wspinaczom odwiedzającym centrum, a także gościom pubu wchodzącym do lokalu i opuszczającym go. Gdy przechodzi obok niego teraz, dopada go tęsknota za ciepłem i poczuciem koleżeństwa, jakie widzi przez okna. Mijając grupkę nastolatków, opuszcza głowę, żaden z nich jednak nie zatrzymuje na nim wzroku.

Zeszłej nocy na śmietniku znalazł porzucony koc i zabrał go do swojego legowiska. Po powrocie z zadowoleniem spostrzega, że wciąż tam jest. Swoją kryjówkę stworzył, obrywając parę gałęzi w środku krzewu – dzięki temu zyskał niewielką przestrzeń, w której może jedynie siedzieć. Wpełza tam i zwija się w kłębek, otulając się kocem. Żałuje, że nie wziął ze sobą butelki wody. Zdaje sobie sprawę, że

powinien obserwować domki, ale jest ciemno, a on czuje się wykończony, więc zamyka oczy.

Jakiś czas później budzi się nagle z głębokiego snu i wyczuwa niebezpieczeństwo, choć nie wie dokładnie, z jakiego powodu. Niepokój budzi w nim nawet odgłos jego własnego oddechu i dopiero po chwili uświadamia sobie, co się dzieje, i się uspokaja. W powietrzu unosi się silny zapach ziemi, i gdy w końcu Abdi zbiera się na odwagę, by się poruszyć, pojmuję, że obudził go deszcz. Strużki wody spływają po liściach krzewu, mocząc jego samego i jego koc. Chłopak trzęsie się z zimna.

Wyrzebuje się spod krzaka i odkrywa, że na zewnątrz, gdzie nie sięga ochronny baldachim liści, jest jeszcze bardziej mokro. Przechodzi go dreszcz. Torami kolejowymi przejeżdża pociąg – tylko trzy wagony, światła w oknach, widoczni za nimi ludzie. Abdi myśli, czy nie kupić biletu i jechać tak długo, na ile tylko mu pozwolą. Zaraz potem zastanawia się, jak by to było rzucić się pod pociąg, wie jednak, że nigdy nie zrobiłby czegoś takiego maszyniście. Sika przy drzewie i postanawia, że zejdzie po zboczu i znajdzie jakieś schronienie pod wiaduktem kolejowym. Boi się tamtego miejsca, ale jest mu tak zimno, że nie wytrzyma stania w tym deszczu.

Na pokrytym długą trawą zboczu Abdi traci równowagę, ześlizguje się w dół i mocno upada na tyłek. Chce mu się wrzeszczeć z bólu i frustracji, z nienawiści do samego siebie za to, że pozwolił, by jego życie w tak szybkim tempie uległo podobnej degradacji. Myśli o swoim szkolnym mundurku i podręcznikach, i o tym, jaką dumą go one napawały. Myśli o pierwszej czystej stronie świeżo kupionego zeszytu ćwiczeń oraz o całej tej nadziei, jaka mu wtedy towarzyszyła, i całej tej ekscytacji możliwościami łączącymi się z tym przedmiotem. Kiedy się zastanawia, czy nie powinien wrócić do domu, a jednocześnie wstaje, starając się nie wpaść znowu w kałużę błota, w której wcześniej wylądował, zauważa ruch w jednym z domków naprzeciwko.

Otworzyły się drzwi, ukazując dwóch mężczyzn stojących w progu. W domu jest ciemno, ale z okien znajdującego się po drugiej stronie ulicy pubu pada tyle światła, że Abdi jest niemal pewien, kogo widzi. Z knajpy dochodzą dźwięki skrzypiec – wznoszące się i opadające tony energicznej szkockiej muzyki – zaś w drzwiach domu naprzeciwko mężczyźni, przebywający jak gdyby w innym świecie, wymieniają ze sobą zaledwie kilka słów, po czym jeden z nich wychodzi, a drugi, ten, w którym Abdi wydaje się rozpoznawać swojego ojca, robi krok w głąb domu i zatrząskuje za sobą drzwi.

Wzbudza to czujność Abdiego. Gramoli się z powrotem w górę zbocza i wpełza do swojego schronienia wewnątrz krzewu. Koc jest już przemoczony, ale mimo to chłopak okrywa nim sobie ramiona i siada

zgarbiony w taki sposób, żeby mieć oko na dom. Obserwuje go przez całą noc. Światło w domu pali się aż do wczesnych godzin porannych. Wtedy gaśnie i już więcej się nie zapala. Abdi wciąż się nie porusza, mimo że całkiem już zeszywniał i nie ma czucia w kończynach.

Zaczyna pojmować, co naprawdę chciałby zrobić, i z zaskoczeniem uświadamia sobie, że już się nie boi.

* * *

Fiona Sadler po wyjściu Eda wsłuchuje się w odgłosy domu. Najgłośniejsza jest pustka po Noahu. Nawet gdy był w szkole, Fiona wyczuwała w domu jego obecność. To poczucie mogło płynąć z oczekiwania na jego powrót, ze szlaku przedmiotów, jakie za sobą zostawił, z obracanych w myślach wszystkich przeszłych i przyszłych rozmów ich obojga. Teraz nie pozostało nic poza wyjącą pustką po stracie.

Słowa wypowiedziane przez onkolożkę Noaha krążyły Fionie po głowie od tygodnia. Teraz znowu wracają.

– Tak bardzo mi przykro. Pojawiły się oznaki nawrotu choroby.

Fiona przez siedem lat panicznie się bała, że usłyszy te słowa, a najgorsze, absolutnie najgorsze było to, jak zareagował na nie Noah. W pierwszej chwili rzecz jasna był zszokowany, ale potem – Fiona miała takie wrażenie – zachował się tak, jak gdyby mu ulżyło. Tylko odrobinę i tylko przez moment, ale jednak ulżyło. Poczucia się tym okropnie zraniona. Nie była gotowa go stracić; wiedziała, że nigdy nie będzie.

– To, że poczuł ulgę, wcale nie jest czymś niepojętym – powiedział Ed, gdy wiele godzin później przyjechał do szpitala. Był nieogolony i zaniedbany. Stali wtedy w szpitalnej kawiarence, do której poszli, żeby kupić Noahowi croissanta z czekoladą i wykroić sobie chwilę na rozmowę w cztery oczy. Na górze, na oddziale, torba podróżna Eda i jego aparaty zajmowały sporą część podłogi w sali Noaha. Ed przyjechał z workiem pełnym kiczowatych prezentów z lotniska, bezcłowych butelek z alkoholem dla pielęgniarek i czekoladek dla całego oddziału, a Fiona zazdrościła mu, że potrafił siedzieć z synem i śmiać się w trakcie wspólnego przeglądania tej tandety. Noah oznajmił, że pluszowy maskonur to jego nowy faworyt.

– Nie jestem w stanie tego znieść – powiedziała mężowi Fiona.

– Nic się nie stało – odparł. Kiedy wziął ją w ramiona, wstrzymali stojącą za nimi kolejkę. Nikt się nie poskarżył.

Teraz gdy Ed znowu zniknął, Fiona nie ma niczego, co mogłoby jej przywrócić równowagę, nikogo w najbliższym kręgu, na kogo mogłaby się wściec i komu wypłakać.

Bezsilność wywołuje w niej swego rodzaju furję. Jest wściekła na niesprawiedliwość sytuacji, w jakiej się znalazła. Jak to możliwe, myśli, że Noah nie żyje, a ona z Edem muszą stawiać czoło natrętnym pytaniom i wizytom policji, podczas gdy Abdi Mahad, który, jak się zdaje, mógł ponosić odpowiedzialność za to, co się zdarzyło, stał się tematem apelu telewizyjnego, w którym podkreśla się jego bezbronność? Fiona obejrzała ten apel wielokrotnie, raz po raz przewijając go na początek i pozwalając, by z każdym kolejnym wyświetleniem pogrążał ją w coraz większej rozpacz.

Jak to możliwe, że nikt nie mówi o tym, przez co musiał przejść Noah, o tym, że ukradziono mu resztę życia po tym wszystkim, co razem z nim przeszli. Jak to możliwe, że ona sama o istnieniu naocznego świadka musi się dowiadywać od dziennikarki, a policja nie wydaje się poświęcać temu faktowi żadnej uwagi? Na dodatek nie ma nikogo, komu mogłaby się zwierzyć. Nikogo, kto jej wysłucha i stwierdzi: „Tak, to niesprawiedliwe”. Nikogo, kto powie jej: „Przykro mi”, „Rozumiem” i „Kocham cię”. Nikogo, kto ją przekona, że powinna się zachowywać rozsądnie albo że powinna panować nad swoim żalem, nie zaś wybuchać gniewem.

Fiona ma obolałe mięśnie twarzy – tyle płakała – choć same łyzy zdążyły już wyschnąć. Sięga po komórkę i dzwoni do jedynej osoby, która w ciągu ostatnich kilku dni wysłuchiwała ją bez osądzania i która być może będzie w stanie przedstawić te wydarzenia z perspektywy Noaha.

Kiedy w słuchawce rozbrzmiewa głos Emmy Zhang, Fiona mówi:

– Zmieniłam zdanie. Czy jest już za późno?

– Nie – odpowiada Emma. – W żadnym razie. Niedługo jadę do studia. Mogę panią zgrać po drodze.

Po zakończeniu rozmowy Fiona idzie do garderoby i przegląda swoje ubrania. Wybiera czarną sukienkę i taki sam żakiet. Bierze prysznic, suszy włosy i nakłada nieco makijażu, szczególną uwagę poświęcając czarnym cieniem pod oczami. Zapina naszyjnik, który podarował jej Noah – srebrny łańcuszek z niewielkim srebrnym kółkiem. Przegląda się w lustrach, gładząc palcami wisiołek.

– Kocham cię – mówi do swojego odbicia, choć tak naprawdę słowa te kieruje do syna, którego straciła.

Kwadrans później rozlega się dzwonek do drzwi.

Kierowca przytrzymuje dla niej otwarte drzwiczki lśniącego samochodu. Fiona wsiada. Czeka ją na nią na tylnym siedzeniu Emma Zhang łapie ją za rękę.

– W porządku? – pyta.

Fiona kiwa głową.

Gdy docieram do biura, Woodley wydaje się jedyną osobą, która się uśmiecha.

– Skąd ci się wzięło to coś na twarzy? – pytam.

– Od odrobiny dobrych wieści, szefie.

– No to posłuchajmy ich.

– Pamiętasz, co usłyszeliśmy na nagraniu rozmowy z Janet Pritchard z numerem alarmowym: czyjs głos mówiący, jak się nam wydawało, „Roger Platts”? Chyba udało mi się rozgryźć, co to znaczy.

Kiwa na mnie, żebym podszedł i spojrział na jego monitor, na którym wyświetla się strona internetowa ze zdjęciem wielkiego owczarka niemieckiego w nagłówku.

– To specjalistyczna witryna poświęcona tresurze psów obronnych. Tresurze, jaką niemal na pewno przeszły psy Wrighta. Jeśli spojrzysz tutaj – Woodley klika w zakładkę na stronie – zobaczysz, że istnieje zbiór określonych, specjalistycznych komend, na które reagują tego rodzaju psy. Po niemiecku.

Na ekranie wyświetla się lista słów, przy których znajdują się tłumaczenia i przyciski uruchamiające nagrania z właściwą wymową.

Woodley klika na słowo oznaczające „Leżeć”, a z komputera rozlega się głos lektora mówiącego „Platz”. Woodley odtwarza nagrania jeszcze dwukrotnie.

– Łapię – stwierdzam.

– To nie tak, że ten pies po prostu tam był. Jason Wright, to na pewno jego słyszeliśmy na tamtym nagraniu, kazał psu leżeć, co sugeruje, że ten zrobił coś, czego nie powinien.

– Na przykład przestraszył śmiertelnie chłopców.

– Otóż to. Myślę, że Wright nie kłamał, mówiąc, że nie ma dostępu do złomowiska, ale jeśli te psy rzucały się na ogrodzenie i narobiły rabanu jak wtedy przy nas, to chłopcy mogli się przerazić i poczuć złapani w pułapkę.

– I w wyniku tego Noah wpadł do wody?

– Nie można wykluczyć takiego scenariusza – stwierdza Woodley. – Jedyne, nad czym się zastanawiam, to to, dlaczego Janet Pritchard zadzwoniła pod numer alarmowy, skoro wiedziała, że wpędzi to ją i Wrighta w kłopoty.

– Pewnie naprawdę się zaniepokoiła. Trzeba by mieć serce z kamienia, żeby nie być zaniepokojonym, jeśli widzi się, jak dzieciak wpada do wody i nie wypływa.

– Dziwi mnie po prostu, że nie zadzwoniła anonimowo.

– Skąd? Nie widziałem w okolicy żadnych budek telefonicznych, więc pozostawała jej tylko komórka. Nie masz co liczyć na anonimowość, jeśli

twój numer wyświetla się na ekranie dyspozytora.

– No to w takim razie jest miłosierną samarytanką – podsumowuje Woodley. – Mam o tej sprawie z psem opowiedzieć Fraser?

Fraser dziwnym trafem jest nieobecna, co mi odpowiada, bo zanim z nią pomówię, chcę nabrać większej pewności w tej sprawie.

– Najpierw jeszcze raz pogadajmy ze świadkiem.

– Odrobina mniej dobrych wieści – mówi Woodley. – Nurkowie dopiero jutro będą mogli ponownie przeszukać kanał.

– Dlaczego?

– Wyławiają ciało z rzeki w Bath.

Nie mogę z tym polemizować, chociaż z chęcią bym to zrobił. Przynajmniej tyle dobrego, że jutro, a nie w przyszłym tygodniu.

Janet Pritchard odnajdujemy w jej sklepie. Gdy orientuje się, że nie przyszliśmy, żeby złożyć jej gratulacje za wzorową postawę obywatelską, zamyka za nami drzwi na klucz i prowadzi nas do prywatnego biura położonego na tyłach. Jest to ciasne, pozbawione okien pomieszczenie o tak małej powierzchni, że Woodley musi stać w progu. Podłogę pokrywa ciemnoróżowy dywan z długim włosiem. Każdy wolny kawałek ścian pokryto grubą warstwą błyszczącej białej farby. Ma się wrażenie duchoty – to jednak może zadziałać na naszą korzyść. Świadkowie często nie najlepiej radzą sobie w sytuacjach, kiedy są ściśnięci na małej przestrzeni ze śledczymi. Powstaje wtedy spore napięcie. Poprawiam krzesło, ostrożnie przysuwając się odrobinę bliżej Janet.

– Zechce nam pani powiedzieć, dlaczego pani skłamała? – pytam.

– Nie skłamałam.

– Zechce nam pani powiedzieć, dlaczego pani skłamała?

Janet Pritchard ściąga pomalowane jaskrawą szminką usta.

– A dlaczegoż to się pan powtarza, inspektorze?

– W poniedziałkową noc nie była pani nad kanałem sama, prawda? Świadek mruga.

– Poinformowano nas, że na miejscu zdarzenia znajdował się ktoś jeszcze, drugi świadek.

– Nic o tym nie wiem.

– Myślę, że pani wie, i jeśli nie zacznie pani mówić nam prawdy, może pani mieć kłopoty. Utrudnianie śledztwa to bardzo poważny zarzut.

– Idzie się za to do pudła – dodaje Woodley.

– W porządku – mówi Janet Pritchard. – Nie byłam sama. Był jeszcze Jason, który robi tam obchód, ale zjawił się dopiero, gdy zaczęłam dzwonić po służby.

– Dlaczego nie wspomniała pani o tym wcześniej?

– Bo zapomniałam.

– To zabawne, że chłopcy wzbudzali w pani taki strach, skoro był z panią tamten ochroniarz.

Jej oczy przeskakują ode mnie do Woodleya i z powrotem.

– Kiedy dotarł na miejsce, nie bałam się, ale zjawił się dopiero wtedy, gdy dzwoniłam.

– Żadne z państwa nie próbowało pomóc chłopcu?

– Nie mogliśmy się dostać na złomowisko. Jason nie miał kluczy.

– Nie miał kluczy, choć robił obchód?

Janet wzrusza ramionami.

– Kiedy Jason opuścił miejsce zdarzenia?

– Gdy przyjechały służby ratownicze. Musiał wracać do swoich zajęć.

– Nie przyszło mu do głowy, że jego zeznania mogłyby się okazać pomocne?

– O to już musi pan zapytać Jasona.

– Mam nadzieję, że rozumie pani, dlaczego jesteśmy zdziwieni, że nie wspomniała nam pani o tym wcześniej.

W pewnym stopniu podziwiam ją, że potrafi trzymać język za zębami i przy tym wciąż zachowywać się wyzywająco, ale jednocześnie zastanawiam się, skąd bierze się w niej ta odwaga.

– Myślę, że będzie pani musiała stawić się na komendzie i złożyć nowe zeznania.

– Jak przypuszczam, nie mam wyboru, prawda?

Ani ja, ani Woodley nie odpowiadamy.

– Mogę chociaż zadzwonić do kogoś, kto zajmie się sklepem?

– Nie sądzę, żebyśmy mieli na to czas.

Po przyjeździe na komendę prowadzimy ją do pokoju przesłuchań.

– Idź poszukać informacji o Ianie Shawcrossie – mówię Woodleyowi.

– Zrób to tak porządnie i szczegółowo, jak należy. I dopiero po tym weź od niej zeznania. Nic jej się nie stanie, jeśli sobie parę minut posiedzi.

Kiedy wczesnym wieczorem widzę się z Fraser, wręczam jej wydruk z zeznaniami świadka. W miarę lektury coraz mocniej marszczy brwi.

– Dobra. Sprowadź tu jeszcze tego stróża na złożenie oficjalnych zeznań i zobaczmy, czy ich wersje się pokrywają.

– Zrobię to jutro z samego rana. Wszystko u ciebie w porządku, szefowo?

– Będzie w porządku, kiedy zamkniemy tę sprawę. Na górze tyle osób gapi mi się na ręce, że czuję się tak, jakby mnie ktoś rozpląszczył na pieprzonym stole sekcyjnym, a nade mną wisiałaby cała klasa pryszczatych nastolatków. Dlaczego pytasz? Czyżbym wyglądała na równie cholernie przepracowaną i niedofinansowaną, jak się czuję?

Wiem, że lepiej na to pytanie nie odpowiadać.

Kiedy wracam do domu, widzę, że Becky wystroiła się do wyjścia. Na siniaki na twarzy nałożyła podkład, tak że wyglądają teraz jednocześnie

fioletowo i beżowo, a kąciki oczu pociągnęła czarną konturówką, by dodać sobie seksapilu. Siedzi na kanapie, malując paznokcie granatowym lakierem. Dredy owinęła barwną chustą. Usta też ma pomalowane.

– Co to za okazja?

– Wychodzę z kimś na drinka.

Wyraz jej twarzy ostrzega mnie, żebym nie pytał z kim, więc tego nie robię. Jeśli nie chcę ryzykować utraty jej towarzystwa, będę musiał podchodzić ją delikatnie, bardzo delikatnie.

– Wygląda na to, że wróciłeś do domu w samą porę.

– Na co?

– W telewizji będą robić z kimś wywiad na temat twojej sprawy. Za chwilę się zacznie.

Żołądek podchodzi mi do gardła. To nie może oznaczać nic dobrego. Gdyby to było coś oficjalnego, wiedziałbym o tym wcześniej. Z narastającym strachem siadam obok siostry i zaczynam oglądać. Kiedy obraz przeskakuje z prezentera naszego lokalnego kanału informacyjnego do studia, w którym znajdują się trzy kobiety, zdaję sobie sprawę, że gorzej już być nie mogło.

Emma Zhang i Fiona Sadler siedzą obok siebie na obitej aksamitem kanapie. W jednej chwili pojmuję, że kiedy widzieliśmy się w barze, elegancki strój Emmy ani nie był przeznaczony dla mnie, ani nie wynikał z chęci sztucznego dodania sobie odwagi przed naszym spotkaniem. Z góry doskonale wiedziała, dokąd uda się później. Nie mógłbym się bardziej pomylić w osądzie; strzeliłem tym sobie samobója. Szczęki mi się zaciskają, a w ich tylnej części czuję tępe pulsowanie wokół dziąseł. I jedno, i drugie to znane mi objawy narastającego gniewu.

Naprzeciwko Emmy i Fiony Sadler, na krześle z tego samego kompletu co kanapa, siedzi prezenterka lokalnej telewizji, której specjalnością jest nadawanie choćby najbardziej mdłym codziennym doniesieniom emocjonalnej porywistości. Na niskim stoliku stojącym pośrodku leży pudełko chusteczek. Prezenterka spogląda głęboko w obiektyw i zaczyna mówić:

– Na dzisiejszy wieczór przygotowaliśmy dla państwa wyjątkowy wywiad z reporterką kryminalną Emmą Zhang oraz Fioną Sadler, matką Noaha, piętnastoletniego chłopca, który w tym tygodniu poniósł tragiczną śmierć w wyniku incydentu, do jakiego doszło w naszym mieście. Ogromnie dziękuję obydwu paniom za to, że są tu dziś z nami.

Fiona Sadler przypomina spłoszone zwierzę, ale widać, że jest zdeterminowana. Z początku jej głos brzmi ochryple, ale po krótkiej przerwie na łyk wody słowa zaczynają się z niej wylewać. Mówi o Noahu jako o chłopcu bez najmniejszej rysy na charakterze, opowiada

też o swoim mężu, odcinając kupony od jego pozycji uznanego fotografa wojennego. Następnie rozpoczyna opowieść o chorobie Noaha. Prezenterka, kiwając głową, dodaje jej odwagi.

Wszystko to jednak jest tylko przystawką przed daniem głównym. Zachęcona przez prezenterkę Fiona Sadler zaczyna opisywać początki tego, co pasek u dołu ekranu określa jako „przyjaźń skazaną na porażkę”. Przez cały ten czas Emma siedzi bardzo spokojnie – ręce ma złożone na kolanach, w skupieniu słucha Fiony Sadler i potakuje za każdym razem, gdy wypada okazać współczucie, co oznacza, że jej głowa, podobnie jak głowa prezenterki, kiwa się w górę i w dół przez większą część wywiadu.

Ta rozmowa jest dla niej prawdziwym triumfem. To widać. Prawdziwym triumfem i prawdziwą bombą. Szlag mnie trafia.

Skandaliczne naginanie zasad doprowadziło Emmę właśnie tutaj, do tego momentu czystego zawodowego triumfu. Wierzę, że to, co zrobiła, jest z gruntu niewłaściwe, ale jednocześnie nie mogę zaprzeczyć, że każe mi to zakwestionować moje własne podejście do tego śledztwa. Czy powinienem był nagiąć nieco zasady, wyrzucić na Abdiego większą presję, zastanowić się, czy metodyczność to rzeczywiście najlepsza droga do osiągnięcia rezultatów? Czy sprawa Bena Fincha tak głęboko zasiała we mnie strach, że stałem się typem śledczego, który nie robi nic innego, jak tylko odhacza kolejne punkty z listy procedur? Nudnym wyrobnikiem?

Telefon zaczyna mi buczeć. Dzwoni Fraser. Ignoruję to. Ani nie chcę uronić choćby słowa z tego wywiadu, ani nie jestem gotowy na słuchanie, jak się mnie opieprza, że w jakiś sposób do niego dopuściłem.

– Usłyszeliśmy już o tym, jak chłopcy się poznali, ale teraz jak opisałyby pani istotę ich relacji? – prezenterka pyta Fionę Sadler.

– Powiedziałabym, że chłopców łączyło to i owo, mieli wspólne zainteresowania i hobby, a poza tym na ogół przepadali za swoim towarzystwem, ale jednocześnie uważam, że w samym centrum ich relacji mogło się znaleźć fundamentalne zderzenie kultur.

– Mogłaby nam pani podać jakiś przykład?

Fionie Sadler zbiera się na płacz; bez ustanku musi powstrzymywać łzy. Lada chwila ziści się marzenie każdej stacji telewizyjnej – załamanie nerwowe w programie emitowanym na żywo.

– Nie. W zasadzie nie. Na dobrą sprawę nie jestem pewna, czy w ogóle to miałam na myśli.

Prezenterka podsuwa jej pudełko chusteczek.

– Ale czy prawdą byłoby stwierdzenie, że w pani odczuciu to zderzenie kultur mogło doprowadzić do tego, że tamten chłopiec skrzywdził pani syna?

– Mówię tylko, że nie można mieć pewności co do tego, kim ludzie

naprawdę są. Nie zawsze się ich rozumie. – Zaczyna płakać, a prezenterka zwraca się w stronę Emmy, która zabiera głos, jednocześnie ostentacyjnie gładząc Fionę Sadler po plecach.

Proszę, uratuj tę sytuację, mówię w myślach, proszę.

– Może pani byłaby w stanie odpowiedzieć nam na to pytanie, pani Emmo Zhang. Czy to prawda, że pani zdaniem doszło tu do przestępstwa i policja nie wywiązuje się należycie ze swoich obowiązków?

– Owszem. Sądzę, że na przeszkodzie stoi poprawność polityczna. To delikatna sprawa, dotyczy bowiem osób niepełnoletnich, ale ciekawi mnie, czy do jej rozwiązania policja nie podchodzi zbyt opieszale, bo chłopak, który jest w nią zamieszany, to somalijski imigrant.

– I mówi to pani z pozycji osoby należącej do mniejszości narodowej?

– Jestem w połowie Chinką, a w połowie Angielką, więc wydaje mi się, że mogę się wypowiadać z obydwu perspektyw.

Zastanawiam się, jak ona mogła upaść tak nisko. Nie wydaje mi się, żeby choć w jednym szczególe łączyło ją podobieństwo z rodziną Abdiego Mahada.

– Zatem myśli pani, że możemy tu mieć do czynienia ze swego rodzaju uprzedzeniem rasowym à rebours?

– Istnieje taka możliwość.

– Ale dlaczego ten chłopiec miałby skrzywdzić Noaha?

Z Fioną Sadler nie ma już kontaktu. Rozszlochała się i sprawia wrażenie, jakby nie chciała tam dłużej być. Kamera robi zbliżenie na Emmę, która jest gotowa wykorzystać swój moment.

– To tylko przypuszczenie, ale zastanawiam się, czy nie był to rodzaj inicjacji.

– Jakiej inicjacji?

– Nie wiem. Może inicjacji na członka grupy, mającej dowieść, że byłby zdolny do przeprowadzenia większego aktu.

– Aktu terroru?

– Dlaczego nie?

– Czy nie jest to dość śmiała teza? – Nawet prezenterka wygląda na zszokowaną tym, jak daleko posunęła się Emma. Fiona Sadler jest przerażona.

Znowu zaczyna mi dzwonić komórka. Tym razem odbieram.

– Czy ja powiedziałam „toksyczna”? – To Fraser. – Miałam na myśli coś gorszego, ale szczerze mówiąc, z trudem przychodzi mi teraz dobieranie słów.

– Nie wiem, co powiedzieć. Nie miałem o tym zielonego pojęcia.

– Muszę przedyskutować z Janie, jak to rozwiążemy. Pogadam z tobą jutro z samego rana.

Rozłącza się, a ja nie potrafię odpędzić od siebie przecucia, że bez względu na to, jakie będą dalsze działania, ja zostanę od nich odsunięty.

Gdy w mieszkaniu rozbrzmiewa dzwonek domofonu, Becky rzuca:

– Ja otworzę.

Mówi coś cicho do słuchawki, po czym woła:

– Wychodzę na trochę.

– Z kim?

Zatrzymuje się z ręką na klamce.

– Z kim, Becky?

– Nie twoja sprawa. Co w ciebie wstąpiło?

– Idziesz się spotkać z mężczyzną, który cię skrzywdził?

Wychodzi, zatraskując za sobą drzwi, ale ja ruszam za nią. Razem głośno zbiegamy po schodach i docieram do drzwi wejściowych wcześniej niż ona.

Na zewnątrz na schodach stoi mężczyzna z przydługimi włosami i bukietem czerwonych róż.

To jedyne, co zauważam, nim biorę zamach i walę go pięścią w brzuch.

* * *

Kiedy Maryam popija herbatę w kuchni swojej przyjaciółki Aminy, dostrzega w telewizji Fionę Sadler. Nur znowu pojechał szukać Abdiego, a Maryam wyszła, żeby uporządkować myśli. Z determinacją postanowiła, że Sofia nie może się dowiedzieć prawdy o Abdim, dziś jednak nie ufa samej sobie; boi się, że mogłaby się wygadać przed córką.

Maryam i Amina oglądają wywiad, zdjęte zgrozą. Amina nie ma wyboru – musi przetłumaczyć przyjaciółce fragmenty wypowiedzi, których ta nie rozumie. Przekazując te ohydne słowa, czuje się nimi skalana.

– Muszę iść do domu – oznajmia Maryam.

– Pójdę z tobą.

– Nie.

Pędząc przez Easton, Maryam stara się po drodze dodzwonić do Nura, ale ten nie odbiera. Kobieta widzi, że ma nieodebrane połączenie od Sofii. Wybiegła od Aminy, bo instynkt podpowiedział jej, że powinna wrócić do domu, by wesprzeć córkę po tym telewizyjnym wywiadzie, nagle jednak poczuła się przytłoczona okropnym ciężarem, jaki nakładają na nią próby obronienia Sofii przed tym wszystkim, i nie wie już, czy wystarczy jej na to sił. Zatrzymuje się i przysiadła na ulicznym murku. Torebka zsuwa jej się z ramienia i ląduje przy stopach. Już pora, myśli. Pora o wszystkim powiedzieć. Żeby chronić Abdiego.

Przechodzący obok młody mężczyzna pyta ją, czy wszystko z nią w porządku, a ona odpowiada:

– Proszę, czy mógłby mi pan pomóc?

Na jej prośbę mężczyzna idzie z nią na postój taksówek przy Stapleton Road i podprowadza ją aż do drzwi jednego z aut. Maryam prosi kierowcę, żeby zawiózł ją na komisariat.

– Który? – pyta taksówkarz. Za szybą neony na wystawie jednego ze sklepów reklamują firmę zajmującą się przekazami pieniężnymi, a w bocznym lusterku wozu odbija się nadjeżdżający autobus, którego światła na chwilę ją oślepiają. W radiu leci żywa azjatycka muzyka, a w całym samochodzie czuć nieprzyjemną woń odświeżacza powietrza. Maryam czuje się tym wszystkim przytłoczona. Nie wie, który to komisariat. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że może być ich kilka. Powtarza tylko:

– Na komisariat, proszę.

Kierowca, spoglądając w lusterko wsteczne, nawiązuje z nią przelotny kontakt wzrokowy, po czym rusza, włączając się do ruchu.

– No dobrze, proszę pani – rzuca.

Maryam siedzi z wyprostowanymi plecami, jakby połknęła kij, i kurczowo trzyma się podłokietnika, kiedy taksówkarz zbyt szybko pokonuje zakręty i wjeżdża na drogę szybkiego ruchu. Prostokątne sylwetki rozmieszczonych wzdłuż niej wieżowców odcinają się na tle czarno-pomarańczowego nieba. Myśli Maryam wędrują ku wszystkim tym życiom, które są ułożone jedno na drugim w ich wnętrzu, całej zawartej w tych życiach miłości i całej ich brzydocie.

Taksówkarz dowozi ją do jednego z lokalnych komisariatów. Mieści się on w budynku z czerwonej cegły, stojącym na pokrytej asfaltem wysepce przy ruchliwym skrzyżowaniu, nieopodal miejsca, gdzie jej dzielnica graniczy z centrum miasta. Maryam płaci kierowcy drobnymi, które ma przy sobie, i zastanawia się, w jaki sposób wróci do domu, skoro nie może skontaktować się z Nurem. Przychodzi jej na myśl, by zapytać taksówkarza, czy zna Nura, ale brakuje jej odwagi, żeby to zrobić.

W komisariacie Maryam czuje się przestraszona widokiem policyjnej recepcji, ale zbiera się w sobie i podchodzi do lady. W myślach doskonale wie, co chce powiedzieć, ale gdy tylko zwraca się do siedzącej za kontuarem funkcjonariuszki, słowa zaczynają jej się mieszać i zdaje sobie sprawę, że wyrzuca z siebie dwu-, trzywyrazowe frazy, które sprawiają, że czoło policjantki marszczy się coraz bardziej.

– Powtórz mi to, moja droga – mówi funkcjonariuszka w chwili, gdy Maryam milknie. To kobieta w średnim wieku z ołówkiem wsuniętym za ucho i widoczną na koszuli plamą po kawie, obramowaną wilgotną otoczką, znakiem, że policjantka próbowała ją zmyć.

Maryam, próbując spełnić tę prośbę, łapie powietrze w poszukiwaniu odpowiednich słów, ale ich nie znajduje. Wygląda przy tym jak ryba,

którą wyjęto z wody.

– Twój syn zniknął, ale pokazują go w telewizji? – bardzo powoli powtarza policjantka.

– Proszę nam pomóc. – To jedyne, co Maryam jest w stanie wydobyć z siebie w odpowiedzi. Zaczyna szlochać, po raz kolejny pokonana przez swoją obcość.

– Usiądź, moja droga. Zobaczmy, czy uda nam się sprowadzić tłumacza, dobrze?

Funkcjonariuszka wyłania się zza recepcyjnej lady i sadza Maryam na twardej drewnianej ławce, którą stworzono z myślą o pozbawianiu jej użytkowników poczucia komfortu. Podaje Maryam plastikowy kubeczek z wodą.

– W jakim języku mówisz? Skąd jesteś? – pyta.

– Z Somalii – odpowiada Maryam.

Maryam siedzi i gapi się w swoje palce u stóp na tle beżowego linoleum. Podnosi wzrok na sufit, gdzie pomiędzy białymi płytkami o fakturowanej powierzchni rozmieszczono gładkie, prostokątne lampy. Sprawdza komórkę i spostrzega, że bateria niedługo się rozładuje. Żołądek zaczyna jej dokuczać, a ona zdaje sobie sprawę, że nawet nie pamięta, kiedy ostatnio coś jadła.

Pół godziny później policjantka, z którą wcześniej rozmawiała, woła do niej:

– Przykro mi, kochana, zajmujemy się tym, ale to pracowita noc.

Maryam kiwa głową w odpowiedzi. Ma ochotę powiedzieć: „Musicie odnaleźć mojego syna. Zaginął, bo życie mu się posypało, gdy w poniedziałkową noc odkrył, że jest dzieckiem gwałciciela i zbrodniarza wojennego, a jego przyjacielowi przydarzyło się coś strasznego. Jest samotny i ruszył na poszukiwanie mężczyzny, który go skrzywdzi”.

Kiedy Maryam zdała sobie sprawę, że jest w ciąży, dobrych kilka tygodni po napaści, liczyła, że poroni. Wcześniejszą trójkę dzieci poroniła albo urodziła martwe, ale obecne, czwarte, było silne. Wraz z brzuchem coraz bardziej rosło w niej przecucie, że ta ciąża przetrwa. To dziecko wzbudzało w niej strach. Zmuszona niegdyś do spojrzenia w kpiącą, sadystyczną twarz jego ojca, bała się, kim się ono stanie.

Odkąd Nur wrócił z Eastleigh, czuła trwogę na myśl o chwili, w której odkryje jej tajemnicę.

Nie trzeba było na to długo czekać.

Tamtej nocy – gdy Sofia już zasnęła, a dym ze zgaszonej lampy naftowej zdążył się rozproszyc – Nur zaczął pieścić jej ciało, ona zaś powstrzymała go i wyszeptala mu swoją opowieść. Wiedziała, że Nur może wyjść i nigdy nie wrócić, zostawiając ją samą z własnym wstydem i gębami do wykarmienia. Wielu tak robiło – mieli zbyt wiele dumy, by

pozostać z kobietą zhańbioną przez innego mężczyznę. Nur położył dłonie na jej napiętym brzuchu, jak gdyby próbował wyczuć dziecko. Pozostali w tej pozycji przez długi czas, oboje pełni obaw.

Nad ranem Nur podjął decyzję.

– Wyjedziemy stąd – powiedział – zanim urodzisz dziecko. Pieniądzy mamy prawie tyle, ile trzeba.

– Dokąd pojedziemy?

– Do Europy. Jeśli dziecko przeżyje, wychowam je jako swojego syna albo córkę. Nikt się nie zorientuje.

Nur obiecał jej, że stworzą bezpieczny dom dla obojga dzieci i że Abdi nigdy się nie dowie, czyja krew płynie w jego żyłach. Anglia – obiecał jej – zapewni im schronienie. Nur nigdy nie wspomniał o wstydzie, ona jednak wiedziała, że starał się ją ochronić także przed nim. Gdyby ludzie się dowiedzieli, skazaliby na ostracyzm zarówno ją, jak i Abdiego. Dzieci z gwałtu określano okropnymi słowami; ich matki również. Maryam zakrywała swój rosnący brzuch, tak by sokole oczy jej znajomych nie były w stanie ocenić jego rozmiarów, niemniej do samej ciąży się przyznała.

Siedząc na komisariacie, pociąga łyk z kubeczka z wodą. Minęło już półtorej godziny, odkąd tu przyjechała. Bateria jej telefonu zupełnie się rozładowała. Przez drzwi wejściowe wpada mężczyzna i zmierza prosto ku recepcji. Twarz ma całą we krwi – jej ciemne krople skapują na linoleum. Śmierdzi alkoholem. Staje przy kontuarze i stara się wyjaśnić, że go zaatakowano, ale jest zbyt pijany, żeby składnie opowiedzieć, co mu się przydarzyło. Maryam zdaje sobie sprawę, że mężczyzna mówi równie niejasno jak wcześniej ona sama.

Siedząca za ladą policjantka wzywa pomoc, a Maryam, korzystając z powstałego rozgardiaszu, wymyka się na zewnątrz. Opuściła ją odwaga.

W deszczu idzie piechotą do domu. Lęka się własnego cienia.

* * *

Fiona Sadler patrzy, jak Emma Zhang wymienia uścisk dłoni i uśmiechy z prezydentką telewizyjną.

Ktoś z ekipy dotyka ramienia Fiony i pyta, czy mogą pomóc jej w zdjęciu mikrofonu, a ona pozwala im grzebać przy swoim ubraniu i wyciągnąć spod niego kabel. Doświadcza tego wszystkiego, jak gdyby tak naprawdę nie była przy tym obecna. Ma wrażenie, że przyplływ gniewu porwał ją ze sobą, a teraz wyrzucił w miejscu, w którym nie chciałyby się znaleźć.

W drodze do domu możliwie najdalej odsuwa się od siedzącej z nią

w samochodzie Emmy i wygląda przez okno; jego przyciemniona szyba pokrywa miasto szarą mgłą. Nie odpowiada Emmie, która nabuzowana adrenaliną, w podekscytowany, pełen samozadowolenia sposób próbuje nawiązać z nią rozmowę. Zachowanie dziennikarki przywodzi Fionie na myśl Eda, w chwilach gdy opowiadał o swojej pracy. To ekscytacja drapieżnika, który dopadł ofiarę.

Kiedy dojeżdżają do jej domu, zanim jeszcze samochód całkowicie się zatrzymuje, Fiona wyskakuje i potyka się przy tym, ale się nie odwraca. Gdy jest już w środku, w holu, dopada ją odruch wymiotny; jego groteskowy dźwięk brzmi jak nagana.

Fiona wczługuje się do łóżka. Czuje straszliwy wstyd. W myślach pyta samą siebie: Co ja zrobiłam?

Ed Sadler siedzi w poczekalni na lotnisku. Przeszedłszy przez bramki, spostrzegł, że razem z jego kartą pokładową wydrukowała się też kopia jednej z jego fotografii. Przyglądał się jej przez jakiś czas, przypominając sobie, że Abdi go o nią wypytywał, po czym wyrzucił ją do kosza.

Dostaje kolejnego esemesa. Tym razem od znajomego, który pisze, że razem z żoną widzieli przed chwilą Fionę w telewizji. Musi walczyć z powolnym wi-fi, ale w końcu udaje mu się obejrzeć nagranie. Jest przerażony. Gdy materiał dobiega końca, stewardesa wywołuje przez głośniki numer jego lotu. Podnosi torbę i myśli: Powinienem zostać przy niej.

Z każdym kolejnym postawionym krokiem coraz bardziej ma wrażenie, że postępuje niewłaściwie, ale mimo to się nie zatrzymuje. Kiedy dociera na miejsce, nie znajduje żadnego wolnego krzeselka, więc stoi, spoglądając przez szybę na płytę lotniska. W pewnym momencie dzwoni jego komórka. Wyświetlacz pokazuje numer Sofii Mahad. Ed czuje pokusę, by zignorować to połączenie, ale wie, że w obecnej sytuacji nie tylko jego rodzina zмага się z bólem.

– Cześć, Sofio – mówi.

W panującej za oknem ciemności wszystko jest rozświetlone. Ed widzi światła pasów startowych, samolotów i uwijających się pojazdów obsługi lotniska. Przypominają mu one o setkach innych podróży i kuszą, by przeniósł się gdzieś indziej, gdziekolwiek.

– Tak mi przykro – mówi Sofii. – Fiona okropnie cierpi. Według mnie popełniła błąd. Obecnie jej osąd jest zmacony, na pewno to rozumiesz. To bardzo trudne...

Spodziewa się, że dziewczyna go ochrzani, ale ona nie zadzwoniła w sprawie wywiadu. Chodzi jej po głowie co innego.

– Proszę, czy może mi pan dokładnie powiedzieć, o co Abdi pana zapytał, kiedy rozmawiał z panem o obozie Hartiszejk? Wie pan, tamtej nocy, w której zdarzył się wypadek?

Pasażerowie samolotu Eda zaczynają wchodzić na pokład. Słyszy, jak

wywołują numer jego miejsca.

– Sofio, ogromnie przepraszam, ale czy mogę do ciebie oddzwonić za parę godzin? Obiecuję, że to zrobię, po prostu teraz jestem na lotnisku. A zresztą czy Abdi czasem nie nagrał naszej rozmowy?

– Proszę – odpowiada dziewczyna. – Muszę to usłyszeć od pana: na wypadek, gdyby się okazało, że nagrał tylko kawałek rozmowy. Sądzę, że Abdi nie uciekł z powodu Noaha. Coś innego jest na rzeczy i jestem pewna, że ma to związek z tym zdjęciem. Wysłał nam wiadomość na Facebooku i boję się, że nie wróci do domu. Strasznie się boję.

Może i by się rozłączył, gdyby Sofia zachowywała się konfliktowo, ale w jej słowach słychać było taką bezradność, że nie miał serca powiedzieć jej „nie”. Jakaś jego część zdaje sobie sprawę, że prawdopodobnie tym razem nie uda mu się oddalić od wszystkiego równie łatwo jak dawniej. Myśli o zdjęciu, które nieco wcześniej wyrzucił do kosza. Można zniszczyć pojedynczą kopię jakiegoś obrazu, myśli sobie, ale w dzisiejszych czasach jego istnienie nigdy się na tym nie kończy.

– Chwileczkę.

Ed podchodzi do stanowiska odprawy i mówi stewardesie, że nie wchodzi do samolotu i że nie zdał bagażu. Podaje jej swoją kartę pokładową, wsuwa paszport do kieszeni i siada na jednym z wielu wolnych już krzeseł.

– Sofio?

– Słucham.

– Abdi zapytał mnie o pewnego mężczyznę.

Przypomina sobie teraz tamtą rozmowę o wiele bardziej szczegółowo niż wcześniej. Rozpacz Sofii pobudziła jego pamięć.

– Mężczyznę z rozszczepionym podniebieniem? – pyta dziewczyna.

– Tak. Abdi bardzo się nim interesował. Powiedziałem mu wszystko, co wiedziałem, czyli to, że facet miał opinię bardzo groźnego. W tamtym czasie był nowy w obozie, a niektóre z rodzin zgłosiły, że go kojarzą i że dawniej był zamieszany w jakieś okropności. Że był żołnierzem bojówki, a teraz podaje się za uchodźcę. Nie on jeden tak robił.

– Czy Abdi powiedział panu, dlaczego go to interesowało?

– Nie, nie sądzę. – Ed jest tego dość pewien. – Założyłem, że to po prostu jego wrodzona ciekawość. No wiesz, zawsze chciał wiedzieć wszystko o wszystkim, prawda? Przypuszczałem, że to wystawa rozbudziła jego ciekawość. – Wypowiadając te słowa, Ed nagle zdaje sobie sprawę, jak arogancko muszą brzmieć i jak bardzo się mylił co do całej tej sprawy. – Tu nie chodzi o mnie, co nie? – pyta Sofię. – Chodzi o to, co Abdi zobaczył. Czy mogę coś zrobić? Pomóc ci w jakikolwiek sposób?

– Wystarczy, że powie mi pan, czy pamięta cokolwiek więcej.

– Jest jedna rzecz. – Przypomniał mu się kolejny szczegół. – Powiedziałem Abdiemu, że wydaje mi się, że widziałem tego człowieka w Bristolu.

Sofia przez chwilę milczy, po czym rzuca:

– Jak do tego doszło?

Ed błędnie odczytuje jej pytanie.

– Skoro kiedykolwiek był w Hartiszejk, to nie powinno dziwić, że mógł trafić tutaj. Wielu uchodźców z tamtego obozu przedostaje się do Bristolu, podobnie zresztą jak do paru innych brytyjskich miast.

– Mam na myśli, jak doszło do tego, że pan go zobaczył? Gdzie to było?

– W zeszłym tygodniu byłem z kumplem w Centrum Wspinaczkowym. Kiedy wychodziliśmy, zobaczyłem, jak z jednego z domów naprzeciwko wychodzi mężczyzna bardzo podobny do niego. Mogłem się rzecz jasna pomylić, ale wcześniej obejrzałem tamto zdjęcie w trakcie wybierania fotografii na wystawę, więc miałem jego twarz na świeżo w pamięci.

– Mówi pan poważnie?

– Absolutnie poważnie.

W słuchawce rozbrzmiewają odgłosy dzwonka do drzwi oraz rozmowy.

– Sofio? – mówi.

– Muszę kończyć – pada odpowiedź.

Dziewczyna się rozłącza, a Ed przyśpiesza kroku, wychodząc z lotniska. Zatrzymuje się jedynie po to, by wysłać Fionie esemesa z informacją, że jest w drodze do domu.

* * *

Becky krzyczy, żebym wracał do domu, po czym przykuca przy swoim chłopaku. Odciągam ją od niego i szarpnięciem stawiam go na nogi. Smród jego płynu po goleniu to czysta zniewaga.

– Jeśli kiedykolwiek znowu tkniesz moją siostrę, dopilnuję, żebyś wylądował w pudle na bardzo długo, albo sam cię znajdę i osobiście się tobą zajmę. Zrozumiałeś?

Kiwa głową.

– Powiedz to.

– Zrozumiałem.

Tchórz, nawet nie potrafi spojrzeć mi w oczy. Czuję przerażająco silny impuls, żeby jeszcze mu dołożyć, ale po kilku sekundach, w czasie których dyszę mu w twarz i przyglądam się, jak przemyka przez nią cień tchórzostwa, popycham go w tył. Nie tak mocno, jak bym tego chciał.

Facet czmycha, rękami trzymając się za brzuch w miejscu, gdzie go uderzyłem. Róże leżą rozrzucone na chodniku.

Kiedy Becky zaczyna biec za nim, wołam ją.

– Spierdalaj! – odkrzykuje.

Patrzę, jak się oddala. Mam nadzieję, że dotarło do niego to, co chciałem mu przekazać. Coś mi jednak mówi, że nie będzie to takie proste.

Po powrocie do mieszkania ochlapuję sobie twarz wodą i unikam przy tym spoglądania w lustro, w obawie, że w odbiciu dostrzegę podobieństwo do swojego ojca. W chwili gdy się wycieram, dzwoni Woodley i prosi, żebym dołączył do wideocztatu z Jamiem Silvą, tym tak zwanym Superrecogniserem.

Włączam laptop, robię pokerową minę i patrzę na wyświetlającą się na ekranie twarz młodego, łysiego mężczyzny, który wesoło się do mnie uśmiecha. W tle jest jakieś biuro.

– Znalazłem tego faceta, którego szukasz – mówi. – Nazywa się Maxamud Abshir Garaar.

– O cholera, szybko ci poszło. Jak to zrobiłeś? Widziałeś go już kiedyś?

– Nie, nie widziałem, więc nie rozpoznałem go od razu. W głównej bazie danych też nie było niczego na jego temat. Coś drgnęło, dopiero kiedy zajrzałem do bazy DIO, czyli Dyrektoriatu do spraw Imigracji i Obywatelstwa. Trudno uzyskać do niej dostęp, więc nie będę cię zanudzał szczegółami. W każdym razie udało mi się przejrzeć listę nazwisk i twarzy imigrantów, których wnioski o azyl zostały odrzucone i którzy po otrzymaniu odmowy zniknęli. Właśnie tam go znalazłem. Zaraz wyślę ci mejlem wszystkie informacje, jakimi dysponujemy na jego temat, ale mówiąc w skrócie: facet jest ekstremalnie groźny. Odrzucono jego pierwsze podanie o azyl, bo urzędnicy odnieśli wrażenie, że wyolbrzymia grożące mu niebezpieczeństwo, więc się odwołał, ale odwołanie też zostanie odrzucone, bo DIO dostał cynk, że najprawdopodobniej mężczyzna ten sam jest sprawcą zbrodni wojennych w Somalii. Sprawcą, a nie ofiarą, jak twierdzi. Tak czy inaczej, na razie nic jeszcze na pewno nie wiadomo, bo niedługo później facet się rozplynął, a jakby tego było mało, zaczęła go szukać policja. Podejrzewają, że może być tutaj zamieszany w przemyt ludzi i że wykorzystuje nielegalnych imigrantów do niewolniczej pracy. To by wyjaśniało, po co zjawił się w Centrum Powitalnym.

– Żeby rekrutować ludzi?

– Mhm. Jako że nasz kochany rząd skazuje wszystkich uchodźców, którzy nie otrzymali jeszcze decyzji w sprawie swoich wniosków albo odwołań, na skrajne ubóstwo, w tego rodzaju miejscach można znaleźć mnóstwo zupełnie bezbronnych osób. Mogą stanowić podatny grunt dla kogoś takiego jak ten typek.

– Ogromnie mi pomogłeś, Jamie.

– Jeszcze jedno: Maxamud Abshir Garaar ma powiązania z innym mężczyzną zamieszany w przemyt ludzi. Mówią na niego Rob Summers. Mamy go już na radarze tutaj, w Bristolu, ze względu na całkiem niedawne zakłócanie porządku w jednej z nieruchomości w Montpellier. Naszym zdaniem istnieje możliwość, że w tym miejscu przebywa jeden z nich albo i obaj. Więcej szczegółów masz w wiadomości, którą właśnie ci wysyłam.

Kiedy mejl łąduje w mojej skrzynce, przekazuję go Fraser i dzwonię do niej, żeby zgodziła się na poddanie obserwacji tamtego domu w Montpellier. Jeśli jest w nim Maxamud Garaar, to możliwe, że znajdziemy Abdiego Mahada, a w bonusie przyskrzynimy faceta poszukiwanego przez władze.

Buzuje we mnie adrenalina. Jestem tak nakręcony, że nawet nie mam ochoty usiąść. Szanse na to, że dziś w nocy zasnę, są zerowe. Gdybym był przekonany, że dostanę zgodę Fraser, spróbowałbym się wkręcić do zespołu prowadzącego obserwację, ale wiem, że nie mam co na to liczyć. Ręka wciąż boli mnie od zadanego ciosu. Tego wieczoru gniew był we mnie silny, a moja samokontrola pozostawiała wiele do życzenia, nadszedł więc dokładnie ten moment, w którym powinienem zadzwonić do doktor Manelli. Kiedy wybieram jej numer, a jej nagrany na sekretarkę głos prosi mnie, żebym zostawił wiadomość, zdaję sobie sprawę, że nie mam ochoty z nią rozmawiać – skoro nie mam ochoty, to nie muszę tego robić. Rozłączam się.

Na biblioteczce, między tomem poezji Yeatsa a kompletem powieści Jamesa Lee Burke'a, odnajduję wypełnioną do połowy paczkę papierosów. Otwieram okno na oścież. Do środka wpada podmuch ostrego wiatru, niosącego ze sobą krople przejmująco zimnego deszczu, które padają mi na twarz i koszulę. Stoję tak dłuższą chwilę, po czym z powrotem zamykam okno. Przynoszę sobie popielniczkę, gaszę światła i kładę się na kanapie. Łóżko zostawiam wolne, na wypadek gdyby Becky wróciła do domu.

Włączam telewizor i rozpoczynam odliczanie długich godzin i minut pozostałych do rana.

* * *

Tego wieczoru Nur spędza kilka minut, siedząc w taksówce, którą zaparkował w swoim ulubionym miejscu – zatrzymuje się tam czasem, gdy czuje, że musi odetchnąć.

Nigdy nie siedzi tam za długo – jest na to zbyt pracowity – ale czasami nie potrafi się oprzeć, uwielbia bowiem patrzeć na rozciągające się

przed nim miasto: jego pagórki, zmiany perspektywy, mieszanina starych budynków i nowych. Spoglądanie na Bristol z wysokości przypomina mu czasy, kiedy w dzieciństwie wujek zabierał go swoim land roverem na przejażdżkę za Hargejsę, gdzie pokonywali porośnięte krzakami równiny i wjeżdżali na otaczające miasto wzgórza. Razem patrzyli z góry na pojedyncze białe budynki znajdujące się w kotlinie.

Tego wieczoru myśli Nura krążą wokół Abdiego. Nie potrafi zwalczyć strachu, że to, kim jest ojciec Abdiego, mogło określić los chłopca jeszcze przed jego narodzinami, a oni, mimo najlepszych starań, nie są w stanie tego zmienić. W minionych latach Nur musiał użyć całej swojej mocy, by podtrzymać w sobie przekonanie, że przemoc nie jest wpisana w DNA Abdiego. Kilka ostatnich dni stanowiło największe wyzwanie dla jego wiary w chłopaka i w słuszność decyzji, by wychować go jako własnego syna, przed jakim dotychczas stanął.

Nur przygląda się mrugającym światłom samolotu, który akurat wyrusza w świat. Nie potrafi oprzeć się fantazjowaniu, że mógłby uciec od kłopotów, z jakimi zmagają się w Bristolu, i znaleźć sobie ścieżkę życiową w innym miejscu świata. Wielu mężczyzn w jego położeniu opuściło swoje rodziny. Wrócili do Somalii albo przenieśli się gdzie indziej w poszukiwaniu większych pieniędzy, a czasem i nowej żony.

Zjawia się w domu zaledwie kilka minut po Maryam, która właśnie rzuca z siebie w łazience przemoczone ubranie, trzęsąc się przy tym z zimna. Kiedy kobieta wychodzi, Nur spogląda na nią i córkę i serce mu się ścisza z poczucia straty. Jest ich troje, a powinno być o jedną osobę więcej.

Tak to właśnie wyglądało w Somalii, gdzie członkowie rodzin znikali albo ginęli w okolicznościach, które zwykłym ludziom z początku wydawały się niepojęte, lecz z czasem stały się codziennością; gdzie sąsiedzi donosili na sąsiadów i gdzie nikomu nie można było ufać. W Bristolu miało być zupełnie inaczej.

Gdy Maryam mówi, że poszła na policję, Nur uświadamia sobie, iż usiadł, jak gdyby chciał się przygotować na kolejną porcję druzgocących wieści. Kiedy Maryam opowiada, jak nikt jej nie zrozumiał i jak sfrustrowana wróciła do domu, serce mu się kraje.

Sofia pyta:

– Co chciałaś im powiedzieć?

Jej rodzice wstrzymują na chwilę oddech.

– Co? – upiera się dziewczyna.

– Usiądź z nami – mówi Maryam, a Nur już wie, że jego żona zdecydowała się powiedzieć córce całą prawdę. Nie zamierza oponować.

Rozmawiają do późna w nocy.

Sofia ma wrażenie, jak gdyby w świecie, który sobie tutaj stworzyła – mieszczącym w sobie członków jej rodziny i wszystkie jej radosne

sukcesy – powstało pęknięcie, które wraz z kolejnymi zdaniami wypowiedzianymi przez rodziców coraz bardziej rozszerza się i przeistacza w otchłań. Stara się przyswoić sobie wszystko, czego dowiaduje się o Abdim i matce, a jednocześnie w jakiś sposób zachować obraz ich życia jako czegoś jasnego i czystego, jest to jednak niemożliwe. W końcu zadaje jedyne pytanie, jakie przychodzi jej do głowy – pytanie sprawiające, że zaczyna się czuć jak dziecko, a nie jak niezależna młoda kobieta, którą się stała.

– Co to oznacza?

Na to właśnie pytanie Maryam i Nur nigdy nie byli w stanie znaleźć pełnej odpowiedzi. Szukali jej w religii, szukali też we własnych sercach – udało im się odkryć odpowiedzi częściowe, jednak żadna z nich nie była zdolna w pełni ulżyć ich bólowi ani go wyjaśnić, ani też przepowiedzieć, jak potoczy się życie Abdiego. Mieli nadzieję, że chłopak nigdy nie będzie musiał poznać całej prawdy.

– Będzie to miało takie znaczenie, jakie sami mu nadamy – odpowiada Nur po dłuższej chwili. – Dla mnie znaczy to tyle, że zyskałem syna.

– To oznacza, że Abdi szuka tego mężczyzny, bo chce spotkać swojego ojca – mówi Maryam.

– Chce wiedzieć, kim on jest – dodaje Nur.

– Kojarzycie Centrum Wspinaczkowe w dawnym kościele St Werburgh's?

– Oczywiście.

Sofia opowiada rodzicom o tym, o czym i jej, i Abdiemu wspomniał Ed Sadler – że mężczyzna, który jest ojcem Abdiego, był w okolicach St Werburgh's.

Po piętnastu minutach docierają na miejsce. Gdy Nur prowadzi, kobiety rozglądają się badawczo przez zalane deszczem szyby, ale jest druga nad ranem i na ulicy panują zupełne pustki. Po kilku minutach rzuca im się w oczy, że w jednym z domów włączono światło; poza tym nie ma żadnych oznak życia. Wieża kościoła, w którym mieści się Centrum Wspinaczkowe, góruje wysoko nad ulicą niczym mroczny obelisk. Mijają kościół i dostrzegają jeszcze tunel i jakiś park, ale nic ponadto.

– Musimy wrócić tu rano – mówi Maryam. – Kiedy tylko zrobi się jasno. Jeśli zaczniemy pukać do drzwi o tej porze, ktoś zadzwoni na policję.

Później będzie żałować, że to powiedziała. Będzie żałować, że nie wyszła z samochodu i nie zaczęła nawoływać syna. Że nie znalazła go i nie zabrała do domu. Zanim wydarzyło się cokolwiek z tego, co nastąpiło później.

Abdi nie ma pojęcia, że jego rodzina jest w pobliżu.

3 Dwudziesty szósty czerwca to w Somalii Święto Niepodległości, uzyskanej tego dnia w 1960 roku (przyp. tłum).

Dzień piąty

Nic dziwnego, że przez większą część nocy leżę z otwartymi oczami. Gdy już moja bezsenność obnażyła pazury, nie pozwalała mi odpłynąć w nieświadomość na dłużej niż na parę minut. Sen przychodził do mnie w urywkach, a i wtedy nie przynosił mi żadnego wytchnienia od myśli, które podczas tych późnonocnych godzin krążyły i zaciskały się wokół mnie niczym stryczek.

Kiedy już udawało mi się zasnąć, owe myśli przekształcały się po prostu w mroczniejsze, bardziej bezładne wizje, które wprawiały mnie w jeszcze większe poczucie zagubienia, gdy już się z nich wybudziłem. Jedyne, co pamiętam z tych urywków snu, to twarze, na przemian wyraźne i rozmazane, oraz fakt, że żadnej z nich nie byłem w stanie rozpoznać.

Przed piątą nad ranem budzę się spocony i wyczerpany, a miasto wokół mnie jest nienaturalnie ciche, jak gdyby nie chciało dotrzymać mi towarzystwa.

Z ulgą wstaję z łóżka. Dziś znajdziemy Abdiego Mahada; jestem pewny, że nam się uda. O szóstej jadę do biura, choć Fraser kazała nam się stawić dopiero o wpół do ósmej. W oczekiwaniu na zebranie przeglądam dowody.

Fraser jest w optymistycznym nastroju.

– Funkcjonariusze, którzy obserwowali przez noc nieruchomość w Montpellier, spostrzegli, jak wchodzi do niej i opuszczają ją dwaj somalijscy mężczyźni i jeden Brytyjczyk. Jesteśmy pewni, że jeden z nich to Maxamud Abshir Garaar, a drugi Robert Summers, jego wspólnik. Przyznano nam wsparcie, bowiem Summers ma na swoim koncie oskarżenia o posiadanie broni. Na podstawie ograniczonych informacji, które byliśmy w stanie uzyskać, sądzymy, że podejrzany Maxamud Garaar może, przynajmniej od czasu do czasu, mieszkać w tym domu wraz z Summersem. Mamy jednak obawy, że drugi z mieszcących się tam lokali może być zajmowany przez rodzinę, niewykluczone, że z małymi dziećmi. Obecnie nie dysponujemy żadnym szerszym wywiadem, ponieważ nie byliśmy w stanie zdobyć zbyt wielu informacji w ciągu nocy, w związku z czym nie udało nam się określić, czy Abdi Mahad odwiedził rzeczony lokal. Ale nie chcę marnować czasu.

Jedziemy tam bez chwili zwłoki.

Na dziś rano wezwałem do komendy stróża, który przyjdzie do nas po nocnej zmianie, tak żebyśmy mogli ostatecznie ustalić, co przydarzyło się chłopcom, ale to przesłuchanie będzie musiał poprowadzić ktoś inny. Sprawa domu w Montpelier jest zbyt ważna. Dzwonię do zaufanego sierżanta z prośbą, by zastąpił mnie w pokoju przesłuchań.

Stoję na parkingu z resztą zespołu zebranego przez Fraser, wraz z nimi przygotowując się do odjazdu, gdy zauważam nadjeżdżającą taksówkę. Wysiada z niej rodzina Abdiego Mahada. Klnę pod nosem. Nie mogę ich zignorować.

– Kontynuujcie beze mnie – mówię Woodleyowi. – Dołączę do was tak szybko, jak tylko będę mógł.

Prowadzę Mahadów do pokoju przesłuchań, starając się przy tym nie okazać, że z niecierpliwością czekam, aż będę mógł się stamtąd wyrwać.

Sofia Mahad bierze na siebie rolę rzeczniczki.

– Mamy panu coś do powiedzenia – zaczyna. – To bardzo trudna kwestia. – Mówi tak cicho, że ledwo ją słyszę.

– Słucham państwa – odpowiadam.

– Uważamy, że mój brat Abdi wyruszył na poszukiwanie bardzo niebezpiecznego mężczyzny, bo odkrył, że ten człowiek jest jego ojcem.

Sofia i Nur Mahadowie przyglądają mi się uważnie. Maryam nie podnosi oczu.

– Moja matka została zgwałcona – mówi Sofia – w obozie dla uchodźców, piętnaście lat temu. – Panowanie nad głosem kosztuje dziewczynę wiele wysiłku.

– Ogromnie mi przykro.

– Zrobił to bardzo zły człowiek. Był nim mężczyzna z tamtej fotografii, ten z rozszczepionym podniebieniem. Myślimy, że Abdi dowiedział się, że ten mężczyzna jest jego ojcem, i że wie, gdzie on mieszka. Naszym zdaniem uciekł z domu, żeby spróbować się z nim spotkać.

– Wiedzą państwo, w jaki sposób Abdi mógł odkryć, gdzie powinien szukać tego człowieka?

– Tata Noaha, pan Sadler, powiedział Abdiemu, że widział, jak ten mężczyzna wychodził z domu naprzeciwko Centrum Wspinaczkowego w St Werburgh's. Rozpoznał go, bo zrobił mu kiedyś zdjęcie, a ponadto zauważył bliznę na jego wardze.

– Jak się o tym dowiedziałas, Sofio?

– Tata Noaha mi o tym powiedział. Rozmawiałam z nim wczoraj wieczorem. Był na lotnisku.

– W porządku.

Mój umysł działa na najwyższych obrotach: Sofia i jej rodzice doszli

do tych samych wniosków co my – że Abdi wyruszył na poszukiwania Maxamuda Garaara – ale mają inne informacje o tym, gdzie przebywa. A pochodzą one od naocznego świadka, który przekazał je również Abdiemu.

– Ten człowiek brutalnie zgwałcił moją matkę. Proszę, inspektorze, musi pan go odnaleźć, zanim zrobi to Abdi. On skrzywdzi mojego brata.

Trzy pary oczu wpatrują się we mnie w skupieniu.

– Proszę tu poczekać – mówię Mahadom.

Wychodzę z pokoju i dzwonię do Fraser.

– Mam informację o prawdopodobnym innym miejscu pobytu podejrzanego – mówię jej. – Gdy wychodziliśmy, do komendy przyjechała rodzina Mahadów. Dane są wiarygodne.

– Ta operacja jest już w toku. Nie będę jej teraz odwoływała. Zbieraj się i przyjeżdżaj tutaj.

– Szefowo, rodzina Mahadów...

– Opowiesz mi, jak tu przyjedziesz, Jim. A masz przyjechać szybko. To rozkaz.

– Możemy chociaż wysłać paru funkcjonariuszy do tego drugiego miejsca?

Wypowiadam te słowa w próżnię, bo Fraser już się rozłączyła. Kiedy odkładałam telefon – z frustracją i wcale niemałą ilością gniewu – czuję, że moje policzki płoną. Mam już dość podcinania mi skrzydeł.

Przez okienko w drzwiach mogę zobaczyć Mahadów siedzących w pokoju przesłuchań. Ledwo jestem w stanie sobie wyobrazić, ile musiało ich kosztować, by tutaj przyjść i opowiedzieć mi swoją historię. Wchodzę znowu do pokoju i siadam z nimi, choć nie mogę się doczekać, by już wyjść.

– Państwa informacja jest niezwykle pomocna i mają państwo moje słowo, że dzisiejszego ranka podążymy jej śladem.

– Czy ma pan syna, inspektorze? – pyta Nur Mahad.

– Nie.

– Abdi to mój syn. Proszę pana, żeby pan go znalazł i ochronił.

– Rozumiem.

Na kilka sekund obejmuje moje dłonie swoimi, jak gdyby na przypieczętowanie umowy. Gest ten łączy w sobie człowieczeństwo, desperację i godność. Wiem, co mam zrobić.

– Dziękuję – mówi mężczyzna.

Podnoszę się z krzesła. Zachowanie profesjonalizmu przychodzi mi z trudem, ale jako tako mi się to udaje.

– Chyba najlepiej będzie, jeśli wrócą państwo do domu. Obiecuję, że skontaktuję się z państwem, gdy tylko się czegoś dowiemy.

– Pójdzie pan tam? – pyta Sofia. Jest sprytna. Chce potwierdzenia, że przekazanie nam informacji zaowocuje jakimiś działaniami.

Będę działał, i zrobię to natychmiast. Nie miałem tego w planach. Zamierzałem podejść do tego zgodnie z wolą Fraser. Aż do chwili, gdy Nur Mahad powierzył mi życie swojego syna i objął dłońmi moje ręce. Jak człowiek człowiekowi.

– Tak – odpowiadam. – Daję słowo. A teraz proszę, niech państwo idą do domu.

Kiedy wychodzę z budynku komendy, myślę: Kiedyś już tak zrobiłem. Pokierowałem się intuicją i zacząłem działać na własną rękę – i pamiętam, jak się to skończyło. Odsuwam od siebie tę myśl. Zrobię to i jestem winien Fraser telefon z wyjaśnieniami. Ona jednak nie odbiera, więc zamiast tego dzwonię do Woodleya i tłumaczę mu sytuację. Po westchnieniu, które słyszę, wnioskuje, że jego zdaniem to kiepski pomysł. Pewnie myśli, że nawarzę tym sobie piwa.

– Co u was? – pytam.

– Zaraz zaczniemy otaczać budynek od przodu i od tyłu. Jestem z Fraser ulicę albo dwie dalej i oglądamy to na wideo, ale ona na chwilę wyszła z wozu. – Mówi o obrazie z kamer, które nasi ludzie mają przymocowane do hełmów.

– Jadę do St Werburgh's – podaję mu nazwę ulicy. – Muszę sprawdzić tę lokalizację, żeby potwierdzić informacje od Mahadów. Gdyby Fraser pytała, powiedz jej, że wyruszam najszybciej, jak się da.

Przed wyjściem z komendy proszę jednego z dyżurujących funkcjonariuszy, by skontaktował się z Edem Sadlerem i upewnił się, czy to, co powiedziała mi Sofia, jest prawdą.

Wsiadam na rower i po dwudziestu minutach jestem w St Werburgh's. Centrum Bristolu znajduje się zaledwie kilometr stąd, ale St Werburgh's to senna okolica, która – pomimo że otaczające ją miasto przez ponad sto lat zagarniało kolejne tereny – zachowała odrobinę subtelnej wiejskiej atmosfery. W ułożonych w rzędzie domach znajdujących się naprzeciwko Centrum Wspinaczkowego wydaje się panować spokój. Samo centrum mieści się wewnątrz kilkusetletniego kościoła, którego wysoka wieża dominuje w okolicznym pejzażu. Wiktoriańskie domki stoją tuż przy ulicy.

Pukam do drzwi stojącego po drugiej stronie pubu. Szczęście się do mnie uśmiecha – właścicielka, która właśnie myje podłogę, wpuszcza mnie do środka. Ze spojrzenia, jakim obrzuca moją odznakę, wnioskuje, że nie jest zbyt wielką miłośniczką policji, ale zgadza się, bym obserwował ulicę przez okna jej lokalu. Mam z nich dobry widok.

Pytam ją, czy mogę tu na trochę zostać, na co ona odpowiada:

– Nie przyjmuję teraz żadnych zamówień.

– Nie po to tu przyszedłem, proszę pani – odpowiadam.

Siadam i czekam.

Abdi budzi się sztywny i obolały. Ubranie ma wilgotne i ubłocone. Nim przypomina sobie, dlaczego się tu znalazł i co ma w planach, przez chwilę czuje się skonsternowany. Kiedy otwiera oczy, ze zdziwieniem zauważa, że jest już jasno. Wymyka się spod swojego krzaka, żeby pójść za drzewo i ulżyć pęcherzowi. Męczy go pragnienie i jest mu zimno, choć dzień zapowiada się ładny, błękitne niebo traci swoją wczesnoporanną żółtą barwę i ciemnieje, nabierając kobaltowego odcienia.

Zastanawia się, o której otwierają pub, i czy uda mu się wślizgnąć do środka, żeby napić się wody i wysuszyć sobie w toalecie ubrania za pomocą suszarki do rąk. Szybko jednak ruga się w myślach. Ma zadanie do wykonania i wie, że nadeszła już na nie pora. Po co zwlekać? W obecnej sytuacji jaki sens ma dbanie o schludny wygląd albo robienie tego, co należy?

Zsuwa się w dół z bocza, tym razem ostrożnie. W butach mu chlupocze. Gdy dociera na ulicę, niewiele brakuje, by zawiodły go nerwy. Wprawdzie od domu, w którym zobaczył swojego prawdziwego ojca, dzieli go tylko jakieś siedemdziesiąt pięć metrów, ale Abdi zdaje sobie sprawę, że ten mężczyzna jest niebezpieczny. W końcu zdobywa się na odwagę wyłącznie dlatego, że w świetle dnia dostrzega, iż dom jest pomalowany na różowo, na łagodny, blade róż. Kiedy idzie w jego kierunku, na chodniku mija go drepczący pies, niewielki terrier, Abdi schodzi mu z drogi, opuszczając głowę, by nie zauważyła go właścicielka zwierzęcia. Widzi jedynie, że kobieta trzyma pod pachą gazetę, a na nogach ma błyszczące gumowce.

Przechodząc przez ulicę, Abdi rzuca pobieżne spojrzenie w kierunku pubu. Dostrzega sylwetkę siedzącego w oknie mężczyzny. Wygląda to tak, jakby ten mężczyzna go obserwował. Chłopak znowu spuszcza głowę.

Abdi trzy razy głośno stuka w drzwi domu. Przez moment ma wrażenie, że ktoś łomocze w okno znajdującego się za jego plecami pubu, ale to ignoruje. Skupia się na próbach złapania oddechu. Drzwi się otwierają.

– Mohammed Asad Muse? – pyta domniemany ojciec Abdiego. Mężczyzna mówi dość niewyraźnie, ale Abdi orientuje się, że spodziewa się innego gościa. Chłopak czuje się zaskoczony, ale tylko przez chwilę. Postanawia skłamać, bo w ten sposób będzie miał okazję dostać się do środka.

– Tak – mówi. – To ja.

Drzwi otwierają się dokładnie na tyle, by go wpuścić.

Gdyby nie to, że w tamtym momencie odezwała się do mnie właścicielka pubu, istniałaby szansa, że patrzyłbym wtedy przez okno i wcześniej dostrzegł Abdiego Mahada. Istniała szansa, że powstrzymałbym go przed wejściem do tamtego domu.

Jego twarz widzę tylko przez krótką chwilę, ale rozpoznaję ją z nagrania z kamery przemysłowej; wzrost i sylwetka też się zgadzają. Jestem pewien, że to on. Walę w okno pubu, żeby zwrócił na mnie uwagę, chłopak jednak mnie nie słyszy, a gdy opuszczam lokal i wybiegam na ulicę, on jest już wewnątrz domu. Nie widziałem, kim była osoba, która otworzyła mu drzwi.

Dzwonię do Fraser.

– Przed chwilą widziałem Abdiego Mahada i wydaje mi się, że może znajdować się w jednym budynku z naszym celem. Potrzebuję tu posiłków.

– Zobaczylesz Garaara?

– Nie.

– To w takim razie nie zamierzam przerywać operacji, którą prowadzimy tutaj. Za daleko zaszliśmy.

– Możesz tu przysłać kogokolwiek? Jestem zaledwie czterysta metrów od ciebie. – Mógłbym wezwać wsparcie z komendy, ale specjalistyczna, uzbrojona ekipa szybciej dotrze z miejsca, w którym znajduje się Fraser.

– Zobaczę, co się da zrobić. Nie spuszczaaj oka z tego budynku. Jeśli chłopak wyjdzie, zgarnij go. Gdzie dokładnie jesteś?

Podaję jej współrzędne.

Idę ku końcowi ulicy, żeby przekonać się, czy uda mi się zorientować, co dzieje się na tyłach domów, ale nie sposób tam cokolwiek zobaczyć, nie tracąc z pola widzenia frontu. Przechodzę na drugą stronę ulicy, gdzie mieści się Centrum Wspinaczkowe, i czekam na otaczającym je starym cmentarzu. Nade mną góruje wieża kościoła. Jest wysoka i są w niej cztery duże gotyckie okna, rozmieszczone od parteru aż po szczyt. Próbuję ściągnąć na telefon mapę, żeby mieć jakieś pojęcie o okolicy, ale sygnał okazuje się za słaby. Centrum Wspinaczkowe jest zamknięte. Walę w drzwi i szczęście znów się do mnie uśmiecha – do środka wpuszcza mnie pracownik, który przyszedł przed czasem.

– Może pan tutaj zostać? – pytam go. – Proszę nie spuszczać oka z ulicy i natychmiast dać mi znać, jeśli ktoś wyjdzie z tamtego domu.

Wyjaśniam, czego jeszcze mi trzeba, a on wskazuje mi klatkę schodową – ciąg stromych, wąskich kamiennych stopni z tabliczką z napisem: WEJŚCIE TYLKO DLA PERSONELU. Schody są wytarte i śliskie; prowadzą na wieżę. Wspinam się na wysokość, z której będę miał dobry punkt obserwacyjny na Mina Road przez przezroczystą

szybkę w jednym z okien. Mam stąd idealny widok.

Abdi Mahad wszedł do szeregowego domku pomalowanego na różowo. W niewielkiej luce między oknem wykuszowym a murem oddzielającym posesję od sąsiedniej zasadzono bambus, który jest na tyle wysoki, że zasłania większą część okna. W domku wstawiono drzwi i okna z PCW. Są brudne, ale w dobrym stanie, w przeciwieństwie do dachu, na którym wokół komina podpadały dachówki. Nieruchomość znajduje się na skraju kwartału podobnych do siebie domków szeregowych, w większości zbudowanych z czerwonej cegły. Ogródki wszystkich stykają się na zamkniętym obszarze na tyłach. Jestem w stanie zlokalizować tylko jedno, dwa łatwo dostępne wyjścia, choć dałoby się uciec przez dowolny z domków, jeśli tylko można by się było do niego dostać.

Dzwonię do Woodleya.

– Jak tam? – pytam.

– Zajęli pozycję – odpowiada. – Zaraz wejdą. Fraser poprosiła o posiłki dla ciebie, ale prędko się nie pojawią.

Zerkam przez okno. Wydaje się, że w domku panuje całkowity spokój, tyle że jakiś mężczyzna zmierza ulicą w jego kierunku. Wygląda na Somalijczyka.

– Wchodzą do budynku – relacjonuje mi w słuchawce Woodley.

* * *

Abdi wchodzi do domu i zamyka za sobą drzwi. W środku, w malutkim pokoju frontowym, stoją dwa poplamione fotele, na podłodze leży materac, a na nim śpiwór.

Mężczyzna, który zdaniem Abdiego jest jego ojcem, mierzy chłopca wzrokiem tak, jak gdyby Abdi nie wyglądał na osobę, której się spodziewał. Wyciąga do chłopaka dłoń i wymienia z nim zdawkowy uścisk, a następnie daje mu znak, żeby usiadł na jednym z foteli. Abdi ma wrażenie, że dotyk ten jest elektryzujący. Przygląda się mężczyźnie i dostrzega jego bliznę. Abdi czuje ogromny strach, wywołany przez aurę zagrożenia, którą ten człowiek roztacza. Jej źródłem jest jego sposób poruszania się, a także to, jak patrzy na Abdiego – po części z pogardą, po części wyzywająco.

Mężczyzna pyta po somalijsku:

– No to jak, przyniosłeś to?

W pierwszej chwili Abdi nie jest w stanie odpowiedzieć. Wszystko, co przeciwiczył sobie w głowie, by przygotować się na tę chwilę, teraz ustąpiło miejsca przeczuciu, że popełnił okropny błąd. Wcześniej w jakimś stopniu miał nadzieję, że ten mężczyzna będzie wiedział, kim

Abdi jest, że w jakiś sposób się rozpoznają, teraz jednak chłopak widzi, jak był głupi. Abdi wiedział, że ten mężczyzna jest brutalny, ale nie przyszło mu do głowy, że cecha ta będzie wręcz wyczuwalna ani że w jego obecności będzie mu towarzyszyło tak silne poczucie zagrożenia.

Abdi wyrывa się w kierunku korytarza, ale mężczyzna szybko podnosi się z miejsca i zatrzaskuje drzwi, zanim Abdiemu udaje się wydostać z pokoju. Jedną ręką popycha go z powrotem na fotel.

– Siadaj – mówi.

Abdi nie ma wyboru.

– Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz – mówi Abdi po somalijsku. Wyrzuca z siebie te słowa, jak gdyby został wywołany do tablicy przez nauczyciela. Nie wie, co jeszcze miałby powiedzieć. Chce już tylko stamtąd wyjść.

– To w takim razie kim jesteś? – Każde wypowiedziane przez mężczyznę słowo brzmi ochryple. Abdi ledwo go rozumie.

– Jestem Abdi Nur Mahad.

– Ile masz lat, Abdi Nurze Mahadzie?

– Piętnaście.

– A dlaczego tu przyszedłeś?

– Pomyliłem domy.

Po Abdim spływa pot. Zdaje sobie sprawę, że mężczyzna nie ma wątpliwości, że to kłamstwo.

– Spróbuj jeszcze raz.

Abdi przełyka ślinę.

– Mam do ciebie pewną sprawę.

Mężczyzna wybucha śmiechem.

– Jestem dziś bardzo zajęty, Abdi, ale wzbudziłeś moją ciekawość. Jaka to sprawa?

– Jesteś moim ojcem.

Abdi spodziewał się różnych rzeczy po tym momencie, ale żadne z jego oczekiwań się nie spełniło. Wyobrażał sobie najprzeróżniejsze emocje, lecz nie był przygotowany na ich całkowity brak.

Mężczyzna wzdycha, jakby zastanawiał się nad zrobieniem czegoś, co jest mu nie na rękę.

– W takim razie powinienem cię sprać – mówi w końcu. – Bo nie znasz swojego miejsca w szeregu.

Wstaje, a Abdi zapada się głębiej w fotel.

Mężczyzna łapie go, podnosi i mocno popcha na ścianę.

Abdi wydaje z siebie krzyk i czuje, jak ręka mężczyzny zaciska mu się wokół ust, boleśnie pchając jego głowę w tył. Drugą ręką mężczyzna oklepuje kieszenie Abdiego. Na twarzy maluje mu się wyraz zniesmaczenia.

– Jeśli ja jestem twoim ojcem, to twoja matka musiała być

pożałowania godną dziwką.

Jego twarz znajduje się tak blisko twarzy Abdiego, że chłopiec jest w stanie zobaczyć pory na jego nosie i nabiegłe krwią żyłki w oczach.

– Pójdę stąd – próbuje powiedzieć Abdi. Jego wargi ocierają się o wnętrze dłoni mężczyzny.

Ktoś puka do drzwi.

Mężczyzna kładzie drugą rękę na szyję Abdiego i naciska.

– Cicho – mówi. – Ani drgnij.

Gdy puszcza chłopca, Abdi osuwa się plecami po ścianie, aż w końcu opada na kolana. Łapczywie chwytając powietrze.

Mężczyzna wychodzi z pokoju, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Abdi słyszy, jak otwierają się drzwi frontowe.

– Kto to? – pyta.

– Mohammed Asad Muse.

– Wejdz.

* * *

Gdy z powrotem zbiegam głośno po schodach kościelnej wieży, Woodley pozostaje ze mną w kontakcie.

– Parter czysty – relacjonuje. – Bardzo tam ciemno.

– Abdi Mahad nadal jest w tym domu – mówię. – Chyba muszę tam wejść.

– Nie rób tego – odpowiada Woodley. – Nie działaj pochopnie.

– Według mnie Abdiemu grozi niebezpieczeństwo. Do domu właśnie wszedł inny mężczyzna.

– Cierpliwości. Wsparcie za chwilę do ciebie dołączy.

– Ta chwila trwa za długo!

– Idę na górę. – Woodley zdaje sprawozdanie z nagrania z nalotu. – Ponuro to wygląda. Wszędzie śmieci i zużyte strzykawki po narkotykach. Stopnie schodów są zniszczone.

– Wchodzę – oznajmiam.

– Nie rób tego, szefie. Nie zapominaj.

Nie musi mówić mi niczego więcej – wiem, co ma na myśli. Nie zapomniałem mglistego świtu, podczas którego on i ja pojechaliśmy na głęboką wieś, żeby przesłuchać podejrzaną. Pod koniec wizyty porzygałem się do jej frontowego ogródka, uświadomiwszy sobie, że decyzja, którą podjąłem, mogła okazać się zgubna i kosztować życie dziecka.

– Pierwsze piętro czyste – kontynuuje Woodley. – Zostało jeszcze jedno. O kurwa!

– Co się dzieje? – pytam, choć momentalnie zdaję sobie sprawę, że to,

co dobiega mnie z drugiej strony linii, to odgłosy strzałów.

* * *

Sofia, Maryam i Nur Mahadowie zostali w Kenneth Steele House z uczuciem niepewności.

Inspektor Clemo dodał im otuchy i powiedział, żeby wracali do domu, po czym wyszedł w pośpiechu, nie wyjaśnił jednak, na czym dokładnie będą polegały jego działania. Nur i Maryam martwią się, że ich spławił.

Kiedy wychodzą z budynku, pojawia się mężczyzna z żoną i oboje zaczynają zgłaszać w recepcji jakieś przestępstwo. Mężczyzna wprost gapi się na Mahadów, lecz oni ledwo obdarzają go spojrzeniem. Ma na sobie spodnie do biegania i adidas, za to jego żona przyszła w czółenkach na niskich obcasach, które stukają przy każdym kroku. Mężczyzna ręką trzyma się za dolną część pleców, jak gdyby dokuczał mu ból.

Kiedy Nur zatrzymuje samochód pod ich blokiem, Maryam mówi:

– Jedźmy jeszcze raz do St Werburgh's.

Sofia wtrąca:

– Moim zdaniem musimy zaufać policji. Wiedzą już, gdzie naszym zdaniem przebywa Abdi.

Maryam i Nur wymieniają spojrzenia. Zdają sobie sprawę, że powinni zaufać policji, ale co, jeśli Clemo nie potraktował ich informacji o Abdim poważnie?

– Abdi mógł zrobić coś głupiego – stwierdza Maryam. – Nie wiemy, co będzie chciał zrobić, jeśli znajdzie... – Nie jest w stanie nazwać tego mężczyzny. – On nie pojmie zagrożenia.

– Pojedziemy tam i się rozejrzemy, a jeśli zobaczymy policję, zawrócimy – mówi Nur.

Po drodze nie rozmawiają ze sobą zbyt wiele. Wszyscy troje są przerażeni.

* * *

Po strzelaninie nie miałem już żadnych wieści od Woodleya. Ostatnimi słowami, które od niego usłyszałem, były: „Oddzwonię do ciebie”. Stoję w drzwiach Centrum Wspinaczkowego i postanawiam zaczekać jeszcze pięć minut przed podjęciem działania. Nie zamierzam ani chwili dłużej ryzykować, że Abdiemu Mahadowi coś się stanie.

Na ulicy pojawiło się kilkoro przechodniów – jeden czy dwóch wspinaczy, którzy przyszli na trening w budynku dawnego kościoła,

a także starsza kobieta, ciągnąca za sobą torbę zakupową na kółkach. Ich obecność mnie niepokoi. Muszę zadbać, by okolica była pusta, ale jest o wiele za dużo punktów dostępu, żebym mógł sobie z tym poradzić w pojedynkę. Odsuwam się na bok, by wpuścić wspinaczy. Cieszę się, że mam dzisiaj na sobie weekendowe cywilne ciuchy, bo inaczej rzucałbym się w oczy na kilometr.

Jeszcze trzy minuty. Jeśli nie liczyć tamtych przechodniów, ulica jest pusta.

Próbuję się dodzwonić do Woodleya, ale nie odbiera telefonu. Starsza pani pokonała zaledwie pięćdziesiąt metrów ulicy.

Dwie minuty.

Drzwi domu się otwierają. Mężczyzna, który zjawił się chwilę wcześniej, wychodzi za próg. Robię mu zdjęcie komórką. Jedna z jego kieszeni wyraźnie jest czymś wypchana – wcześniej chyba taka nie była. Odchodzi, wyprzedzając staruszkę, i prędko znika z pola widzenia. W domu wciąż nie sposób dostrzec żadnego ruchu.

Jeszcze raz próbuję zatelefonować do Woodleya.

– To pierdolona katastrofa – mówi. – Padły strzały, ale naszego celu ani śladu.

– Powiedz im, że mają tutaj przyjść! – rzucam. – Potrzebuję tu kogoś, kogokolwiek. Muszę mieć ludzi, którzy będą obstawiali wszystkie drogi ucieczki w Centrum Wspinaczkowym na Mina Road oraz na Lynmouth Road, St Werburgh's Road i Seddon Road. Potrzebuję uzbrojonych funkcjonariuszy, zanim będzie za późno!

– Rozumiem, szefie. Przekażę.

Gdy dzwonię do Fraser, włącza się poczta głosowa. Nagrywam jej tę samą wiadomość. Dzwonię do dyspozytora i jeszcze raz powtarzam tę prośbę, dodając, by wysłali tu kogokolwiek, kto tylko jest wolny. Staram się nie krzyczeć.

Z domu położonego kilka numerów dalej wychodzi matka z dzieckiem ubranym w strój do piłki nożnej.

Dostaję esemesa od Woodleya: „Uzbrojone wsparcie już do ciebie jedzie”.

Rozmawiam krótko z jednym z pracowników Centrum Wspinaczkowego, po czym idę ulicą i pukam do drzwi domu położonego na parceli znajdującej się na drugim końcu kwartału. Pokazuję legitymację policyjną właścicielowi, a gdy ten próbuje mi coś odpowiedzieć, przykładam palec do ust.

– Proszę opuścić dom, upewnić się, że wszystkie drzwi i okna są zamknięte, i pójść do Centrum Wspinaczkowego. W ciszy – dodaję. – Proszę tam zostać do czasu, aż dostanie pan sygnał do powrotu. Niech pan stamtąd nie wychodzi. – Dzwonię po kolei do każdego z domów położonych w tym samym szeregu co nieruchomości, w której przebywa

Garaar, i powtarzam ich mieszkańcom tę wiadomość. Trwa to długo. Nie mogę ryzykować, że wszyscy wyjdą jednocześnie i przyciągną uwagę osób przebywających w różowym domku.

Żeby móc powiadomić mieszkańców budynków leżących po drugiej stronie, muszę minąć różowy dom, mam jednak nadzieję, że dzięki liściom zasłaniającym okno nie zostaną zauważony. Ludzi zajmujących tamte nieruchomości kieruję z kolei do sklepu położonego po drugiej stronie ulicy. Nie chcę, by ktokolwiek z nich włóczył się przed domem, w którym przebywają Garaar i Abdi.

Doprowadziwszy akcję do końca, żałuję, że nie mógłbym tego samego zrobić z mieszkańcami sąsiednich ulic, nie tracąc przy tym z oczu frontowych drzwi obserwowanego domu.

Znowu dzwonię do Woodleya.

– Jesteśmy już ulicę od ciebie, szefie – mówi. – Ja, Fraser i dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy.

– Gdzie, do kurwy nędzy, są pozostali?

– Wciąż na miejscu zdarzenia. Potrzebują lekarza.

Nie brzmi to zbyt dobrze, ale będziemy musieli sobie poradzić z tym, co mamy.

* * *

Abdi siedzi w pokoju i słucha strzępów rozmowy, którą jego ojciec prowadzi z niedawno przybyłym mężczyzną. Po chwili drzwi wejściowe ponownie się zamykają. Abdi ma posiniaczoną szyję i nie ruszył się z miejsca, w którym kazano mu pozostać. Bardzo się boi.

Słyszy, jak w drzwiach obraca się klucz i ojciec ponownie się zjawia w pokoju. Siada na brzegu fotela, jak gdyby byli w trakcie niezobowiązującej pogawędki, i mówi:

– A teraz, Abdi, musisz mi powiedzieć, jak mnie znalazłeś.

Abdi wyrzuca z siebie całą opowieść.

– Ktoś wie, że tutaj jesteś?

Abdi z desperacją stara się wykalkulować, jaka odpowiedź będzie najlepsza. W pierwszym odruchu chce powiedzieć „moja rodzina”, ale przeczuwa, że mogłoby ich to narazić na niebezpieczeństwo.

– Policja – mówi.

– Policja. Można ci ufać, Abdi?

Abdi kiwa głową. Pomyśl o ogólnej prawdziwości tego stwierdzenia, mówi sobie, a nie o fakcie, że teraz akurat skłamałeś, to jest szansa, że ci uwierzy.

– Zachowałeś się bardzo głupio.

Ruchy ojca Abdiego są tak szybkie, że po raz kolejny zaskakuje

chłopca. Mężczyzna podnosi go i ściskając mu głowę ramieniem, ciągnie go do zapuszczonej kuchni znajdującej się w tylnej części domu. Abdi widzi jedynie okropnie brudne płytki podłogowe. Słyszy otwieranie szafki i kątem oka dostrzega błysk noża wyjmowanego przez jego ojca.

– Na kolana – mówi mężczyzna.

Abdi się trzęsie – zarówno z fizycznego osłabienia, będącego skutkiem kilkudniowego pobytu poza domem, jak i niedowierzania, że znalazł się w tej sytuacji, że przemoc przychodzi temu mężczyźnie z taką łatwością, jak gdyby była jego drugą naturą. Jednocześnie zaś Abdiego ogarnia nagły gniew. Gdy ojciec poluzowuje nieco chwyt, by Abdi mógł uklęknąć, rzuca się do nóg mężczyzny, uderza go i popycha w bok. Ojciec Abdiego wpada na kuchenne meble, ale szybko odzyskuje równowagę. Abdi stoi naprzeciwko niego, dysząc. Ojciec znajduje się między nim a drzwiami.

Uśmiecha się do Abdiego, jak gdyby przyznając, że chłopak całkiem nieźle się spisał, ale uśmiech prędko znika mu z twarzy. Wyjmuje z kieszeni niewielki pistolet i wycelowuje go w Abdiego.

– Chciałem uniknąć strzelania – mówi – ale jak mus, to mus.

Kiedy unosi broń, Abdi wyzywająco patrzy mu w oczy – chce bowiem, żeby mężczyzna wiedział, że nie udało mu się go zastraszyć, że jest potworem, któremu Abdi nie boi się stawić czoła. Chłopak robi to dla swojej matki i dla Nura.

Kiedy tak stoją naprzeciwko siebie, a ojciec Abdiego zaczyna naciskać spust pistoletu, za tylnym oknem przemyka cień. Ktoś tam jest.

Mężczyzna ocenia sytuację.

– Pod drzwi wejściowe – mówi. – Natychmiast.

Kilkoma krokami pokonują odległość dzielącą ich od frontowych drzwi. Stając za plecami Abdiego, mężczyzna otacza ramieniem jego szyję i przykłada mu pistolet do skroni.

– Otwieraj – nakazuje.

* * *

– Tylna część obiektu jest zabezpieczona. – Taką informację dostaję przez radio, zaledwie kilka sekund przed tym, jak frontowe drzwi domu się otwierają.

Jednego z naszych uzbrojonych funkcjonariuszy wysłaliśmy na tyły, a drugi ustawia się właśnie w kościelnej wieży, gdzie usunęliśmy niewielką szybkę w oknie, tak by miał dobry widok na front budynku.

Po paru sekundach z domu wyłaniają się jednocześnie Abdi Mahad i Maxamud Abshir Garaar. Zatrzymują się przed drzwiami, a Maxamud Garaar – bełkotliwie i z mocnym akcentem – wykrzykuje:

– Chcę mieć bezpieczną drogę ucieczki i wypuszczę chłopaka, jeśli mi ją zapewnicie!

Garaar rozgląda się dookoła, próbując nas wypatrzyć. Zdaje sobie sprawę, że go obserwujemy, nie wie jednak skąd. Zauważa nieoznakowany samochód Fraser, który został zaparkowany tak, by częściowo zablokować drogę. Za samochodem zajęli stanowiska Fraser i Woodley. Na razie nie dysponujemy wystarczającą liczbą pojazdów, by zatarasować wszystkie sąsiednie uliczki.

Abdi się krzywi. Lufa pistoletu mocno wbija mu się w skórę na skroni.

Z wieży utrzymujemy kontakt radiowy ze znajdującymi się w dole Fraser i Woodleyem. Kolejnych kilku policjantów przybyłych na nasze wezwanie zajmuje pozycje na każdym z końców tej części Mina Road, na której się znajdujemy.

– Nie mam czystej linii strzału – mówi policjant stojący obok mnie. Jest nieruchomy jak szykujący się do skoku kot, jedynie nieznacznie poprawia broń, którą oparł o ramię.

– Odejdę powoli, a wy nie będziecie mi przeszkadzać. Inaczej zastrzelę chłopaka! – krzyczy Maxamud Garaar.

Idzie bokiem niczym krab, ciało i głowę przyciskając do ciała i głowy Abdiego, tak jak to tylko możliwe. Dobrze go widzimy, gdy oddala się w kierunku najbliższej bocznej uliczki, mimo że tuż za nią pozycję zajęła Fraser.

Fraser woła do Garaara:

– Puść chłopca wolno, to załatwimy ci list żelazny.

Mężczyzna ją ignoruje.

Na końcu ulicy, za Fraser, widzę trzy zbliżające się osoby.

Mówię przez radio do Woodleya:

– Zbliżają się przechodnie, upewnij się, proszę, że nie przyjdą tutaj.

– Zajmuje się tym jeden z naszych ludzi – odpowiada. – Musieli go wyminąć.

Z wieży widzę, jak Woodley, kucając, zbliża się do nadchodzących ludzi. Garaar i Abdi również bardzo powoli idą w ich stronę. Mój snajper cały czas trzyma ich na muszce.

– Masz okazję do strzału? – pytam go.

– Jeśli się nadarzy, to z niej skorzystam.

Woodley pokazuje tamtej trójce, że mają ukucnąć, i zbliża się do nich na tyle, by móc z nimi porozmawiać. Kiedy się temu przyglądam, wywraca mi się żołądek, uświadamiam sobie bowiem, że to rodzice i siostra Abdiego.

– Będę musiał puścić go wolno – zwraca się do mnie snajper. – Lada chwila zejdzie z linii strzału. Mam zająć inną pozycję?

– Za radiowozem nie będzie bezpiecznie – odpowiadam. – Zbyt wielu

cywilów. Wydaje mi się, że odbije w bok.

Kontaktuje się przez radio z drugim snajperem, dając mu wytyczne, by przeniósł się z tyłów do bocznej uliczki.

Garaar znajduje się w odległości pięćdziesięciu metrów od samochodu Fraser, gdy zauważa za nią dwa nadjeżdżające radiowozy. To nasze wsparcie. Nie mogli zjawić się w gorszym momencie. Garaar przystaje, by ocenić sytuację. W tym samym czasie jedna z osób kucających przy Woodleyu wyprostowuje się.

Jest nią Maryam Mahad.

– Cholera! – mówię. W słuchawce słyszę, jak Fraser krzyczy na Woodleya.

Maryam Mahad, najwyraźniej nie zważając na to, co dzieje się dookoła, odważnie zmierza ulicą ku swojemu synowi i mężczyźnie, który ją zgwałcił. Z początku idzie szybko, a po chwili, gdy Maxamud Garaar ją zauważa, zaczyna biec i na niego krzyczeć. Krzyczy po somalijsku, więc nie rozumiem, ale brzmi to tak, jakby te słowa gromadziły się w niej przez całe życie.

To wystarczy.

Garaar zaledwie na sekundę traci koncentrację – jak gdyby nie był w stanie uwierzyć w zbieg okoliczności, jaki następuje na jego oczach – i właśnie w ciągu tej sekundy Abdi Mahad się wykręca, a ja słyszę obok siebie wystrzał. Pod wpływem odrzutu karabin uderza o ramię snajpera.

Garaar upada na chodnik. Abdi biegnie do matki.

– Zabierzcie ich z ulicy! – krzyczę w krótkofalówkę. – Szybko!

Garaar został zraniony w ramię, a jego broń upadła na ziemię tuż obok niego. Widzę, jak po nią sięga.

– Zabierzcie ich z tej ulicy!

Fraser wychodzi z za swojego samochodu i przechwytuje Abdiego dokładnie w chwili, w której Garaar strzela. Oboje z Abdim padają na ziemię przy samochodzie, tak że tracę ich z oczu. Wydaje mi się, że słyszę odbijający się rykoszetem pocisk, po czym, sekundę później, Maryam także upada. Woodley wychodzi z za osłony i podbiega do niej.

Woodley pochyła się nad Maryam, uciskając ranę na jej ramieniu. Nura i Sofię odciągnięto ku grupce gapiów przy końcu ulicy, zaś Fraser ruszyła w pogoń za Garaarem, który zniknął w bocznej uliczce. Nie mogę dostrzec Abdiego, ale modłę się, żeby siedział bezpiecznie w samochodzie. Znajdujący się obok mnie snajper rozmawia nagłym głosem ze swoim kolegą, instruując go, żeby przechwycił Garaara.

Wraz ze snajperem biegniemy schodami na górę, aż znajdujemy okno, z którego mamy lepszy widok na boczną ulicę. Widzimy na niej poruszającego się Garaara.

– Jest poza zasięgiem – mówi strzelec.

Garaar trzyma się lewą ręką za brzuch; na koszuli, w okolicy łopatki,

wykwitła mu plama krwi. W prawej ręce ma pistolet. Idzie wąskim chodnikiem biegnącym między zaparkowanymi samochodami a obrośniętymi pnączem murkami stojącymi przed wszystkimi domami. Dokładnie w chwili, w której po raz kolejny miałyby zniknąć nam z pola widzenia, zatrzymuje się i wpatruje w koniec uliczki.

Przez krótkofalówkę słyszymy komendę wykrzyczaną przez snajpera, który zajął tam pozycję. Każe Garaarowi rzucić broń. Przez moment napięcie opuszcza ciało Garaara, jak gdyby przestał czuć jakikolwiek ból, jak gdyby zdał sobie sprawę, że to już koniec; chwilę później jednak znowu unosi ramię z pistoletem.

Rozlega się kolejny okrzyk snajpera, który trzyma go na muszce, w żaden sposób jednak nie powstrzymuje to ruchu ręki Garaara. Snajper strzela i kolano Garaara eksploduje. Jesteśmy za wysoko, żeby go usłyszeć, ale upadając, mężczyzna się obraca i mogę zobaczyć, że ryczy – z bólu i złości. Jego broń, podobnie jak wcześniej, upada kilka metrów obok niego, ale tym razem, bez względu na to, ile wkłada w to wysiłku, nie jest w stanie jej dosięgnąć. Pochyla się nad swoim rozstrzaskanym kolanem, krew przesiąka mu przez koszulę i spodnie i tworzy kałużę na chodniku. Widzimy, jak snajper wyłania się zza samochodu i odsuwa broń Garaara, która leży na drodze. Jego kolega zbiega koło mnie ze schodów, żeby mu pomóc.

Przed ruszeniem za nim odwracam się, żeby po raz ostatni obejrzeć z góry scenę zdarzenia. Chcę wypatrzeć Abdiego Mahada, żebym mógł bezpiecznie go stąd zabrać. Widzę, jak Woodley pomaga Maryam, a w tym czasie Abdi stoi z boku. Nie ma ani śladu Fraser. Próbuję się z nią połączyć przez krótkofalówkę. Żadnej odpowiedzi.

Abdi stoi na drżących nogach niczym jelonek. Opiera się o drzwi samochodu i rozgląda wokół siebie, jak gdyby był tylko obserwatorem tych zdarzeń, a nie ich uczestnikiem. Z miejsca, w którym się znajduje, nie jest w stanie dostrzec matki i Woodleya. Nie słyszy swojej siostry, choć widzę, jak otwiera ona usta i je zamyka, wykrzykując jego imię z odległego końca ulicy. Możliwe, że wciąż dzwoni mu w uszach odgłos wystrzału albo może ogłuszyła go emocjonalna kakofonia tego wszystkiego, przez co właśnie przeszedł.

Zbiegam głośno po schodach i ruszam ulicą. Gdy docieram do Abdiego, gapi się na mnie z otwartymi ustami. Zjawiam się przy jego boku równocześnie z innym funkcjonariuszem. Patrzy na nas obu tak, jakby właśnie urzeczywistniły się wszystkie jego największe koszmary.

Łapię go, gdy nogi się pod nim załamują.

– Abdi, nic ci nie grozi – mówię, chwijając się pod jego ciężarem. – Trzymam cię.

Drugi policjant nam pomaga. Abdi stracił przytomność, jest ciężki jak kłoda. Szukam na jego ciele śladów krwi, ale żadnych nie znajduję.

- To Abdi Nur Mahad – mówię pomagającemu mi funkcjonariuszowi.
- To on jest zaginionym dzieckiem.
Oddycham tak ciężko, jak gdybym właśnie przebiegł maraton.

Dzień później

Maryam Mahad leży w łóżku w pojedynczym pokoju bristolskiego Szpitala Królewskiego. Sofia siedzi obok niej i trzyma ją za rękę.

Wczoraj po trafieniu na oddział stan Maryam ustabilizowano, a dziś wieczorem zostanie zoperowana jako pierwsza. Jest ranna w ramię, na którym ma bliznę.

– Obawiam się, że będzie pani miała kolejną bliznę – oznajmił chirurg, wyjaśniewszy rodzinie, na czym ma polegać operacja – ale ta powinna być nieco schludniejsza.

Sofia przetłumaczyła jego słowa. Potem dodała coś, co sprawiło, że Maryam uśmiechnęła się mimo bólu.

– Miło zobaczyć uśmiech – pochwaliła ją pielęgniarka, która zdjęła z jej ramienia mankiet ciśnieniomierza.

– Powiedziałam jej, że ta nowa blizna jest świadectwem odwagi – wyjaśnia Sofia.

Operacja się udała.

Gdy Nur otwiera drzwi sali, Maryam przykłada palec do ust.

– On wciąż śpi – mówi.

Abdi leży na łóżku dla bliskich, które znajduje się pod oknem. Wygląda na wychudzonego. Ostatniej nocy Nur i Sofia powiedzieli mu, że Noah zmarł. Informacja ta bardzo mocno go poruszyła.

Nur obejmuje żonę i córkę, po czym podchodzi do Abdiego. Kiedy lekko potrząsa ramieniem chłopca, ten otwiera oczy. Zasnął, pogrążony w żalu po stracie, a obudziwszy się, nadal czuje to samo. Nur siada obok niego i otwiera ramiona. Abdi pozwala się objąć i odwzajemnia uścisk. Mijają długie minuty, nim przestaje drżeć. Gdy się uspokaja, Nur podaje mu ciepły napój i coś do jedzenia, po czym kobietom także wręcza przekąski.

Mahadowie wiedzą, że lada chwila znów będą musieli stawić czoło światu. Wiedzą, że Abdi zostanie oskarżony o to, co przydarzyło się Noahowi, wiedzą również, że sytuacja ich wszystkich się zmieniła.

Na razie jednak jedzą wspólny posiłek. Reszta może poczekać.

Kilka godzin później Sofia jedzie do domu, żeby trochę wypocząć. Sprząta mieszkanie. Chce, żeby wszystko wyglądało ładnie na powrót matki i brata. Na razie jeszcze nie wiedzą, kiedy znowu będą mieli

okazję pobyc razem w domu, mają jednak nadzieję, że stanie się to w ciągu najbliższego dnia albo dwóch.

W swoim pokoju Sofia trafia na torbę Abdiego, tę, którą wziął ze sobą, kiedy miał zostać na noc u Sadlerów. Sofia opróżnia ją, żeby móc wyprać rzeczy brata. Między ubraniami znajduje papiery, które zabrała z biurka Noaha. W czasie gdy pralka pierze, dziewczyna siedzi obok niej na kuchennej podłodze. Jest wykończona i nie będzie sobie zawracała głowy wstawaniem. Powoli przegląda papiery. Na samym dole znajdują się dwie koperty formatu A5, których nie zauważyła, gdy przeglądała te materiały w autobusie. Na pierwszej z nich starannymi, pochyłymi literami napisano „Mama i Tata”; na drugiej ta sama ręka nakreśliła słowo „Abdi”. Na dolnej części każdej z kopert wykaligrafowano zdanie: „Otworzyć, gdy odejdę”.

Charakter pisma nie należy do Abdiego, więc Sofia w mig pojmuje, że koperty zostały podpisane przez Noaha i że musi wręczyć je adresatom.

* * *

Abdi czyta swój list w szpitalu, otoczony przez rodzinę.

Drogi Abdi,

dziwnie jest mi to pisać, bo jeśli czytasz te słowa, to ja jestem już na tamtym świecie. Ale wiesz o tym i tak, bo jeżeli wszystko poszło zgodnie z planem, byłeś ze mną, gdy do tego doszło.

Tak bardzo chciałem, żebyś tam był, i cieszę się, że tak się stało.

Jakiś tydzień temu moja lekarka powiedziała mi, że moja choroba znalazła się w stadium terminalnym, a myśl o powolnym umieraniu była dla mnie zbyt trudna do zniesienia. Byłem świadkiem czegoś takiego w szpitalu i widziałem, jak wpływa to na pacjenta i jego rodziców. To nie dla mnie. Nie chciałem zanikać stopniowo w szpitalnym łóżku, aż zostaną ze mnie tylko skóra i kości.

Samobójstwo to duża sprawa – ale niekoniecznie w sytuacji, gdy i tak jedną nogą jest się już na tamtym świecie.

Jedyny problem miałem z tym, że nie byłbym w stanie zrobić tego samemu, a jednocześnie nie mogłem dopuścić, by stało się to na oczach moich rodziców.

Wybrałem Ciebie, Abdi, bo jesteś moim najlepszym przyjacielem.

Pomyślałem, że docenisz ten plan, tę taktykę i wykonanie. To, że na miejsce wybrałem okryty mgłą most, dodał całości nieco dramatyzmu, który, jak sądzę, także mógłby zasłużyć na Twoje uznanie. Chciałem swoje ostatnie minuty spędzić na zabawie – razem z Tobą. Jak na porządne pożegnanie nastolatków przystało.

Czy zanim wpadłem do wody, zauważyłeś, że mój plecak jest wyładowany ciężarkami? Mam nadzieję, że nie.

Wszystkie elementy na swoim miejscu, jak w porządnej partii szachów, prawda?

Proszę Cię, nie smuć się tym ani się nie obwiniaj. Wiem, że przysporzy Ci to zmartwienia, i z tego powodu jest mi przykro, że Cię w to wciągnąłem, ale proszę, postaraj się z tym pogodzić i pomyśl o tym zdarzeniu jako o czymś, co nas łączy, nawet po moim odejściu. Bardzo bym sobie tego życzył.

Dzięki za wszystko.

*Twój najlepszy przyjaciel na zawsze
Noah*

Skończywszy czytać, Abdi myśli sobie: Wykorzystałeś mnie. Planowałeś umrzeć w poniedziałek w nocy.

Właśnie wtedy w końcu zaczynają mu płynąć łzy. Jest to swego rodzaju ulga.

Kilka godzin później prosi o rozmowę z inspektorem Clemo. Jest gotowy, żeby opowiedzieć całą historię własnymi słowami.

* * *

Fiona Sadler słyszy metaliczny dźwięk klapki w drzwiach wejściowych.

Powoli idzie korytarzem, w którym rozlega się miarowe tykanie rodzinnego zabytkowego zegara. Na dywaniku w przedsionku leży koperta wraz z dołączoną karteczką samoprzylepną z wyjaśnieniem, że Sofia wzięła ten list przez pomyłkę, gdy zabierała rzeczy Abdiego. Fiona odkleja karteczkę i dostrzega pismo Noaha. Woła Eda.

Palce jej drżą, gdy – bardzo ostrożnie – otwiera kopertę i rozkłada list. Widok liter nakreślonych przez syna jest tak bolesny, jakby słowa zostały wryte na jej własnej skórze.

Wyjaśnienia Noaha są krótkie – postanowił odebrać sobie życie, bo nie chciał, żeby musieli patrzeć, jak jego stan gwałtownie i nieuchronnie się pogarsza. Nie chciał gasnąć na oczach rodziców. Słowa syna są dla Fiony bolesne. Oboje z Edem wiedzieli, że Noah nie będzie żył długo, ale Fiona pragnęła wykorzystać pozostały chłopcu czas co do sekundy. Przyzwyczała się już do bólu, jaki sprawiało jej patrzeć na walkę Noaha z chorobą. Czuła, że ma w sobie dość siły, by wspierać go do samego końca, i na tyle, na ile w ogóle jest to możliwe, była psychicznie gotowa stawić czoło temu zadaniu.

List Noaha kończy się podziękowaniami za wszystko, co rodzice dla niego zrobili, oraz kilkoma napisanymi od serca wyrazami miłości, które

pomogą Fionie i Edowi przetrwać czas żałoby, choć pogodzenie się z jego decyzją, by w taki sposób rozstać się z życiem, nie przyjdzie im łatwo.

Krótko po przeczytaniu listu Ed Sadler dzwoni do inspektora Clemo.

– W poniedziałek wieczorem Noah wyszedł z domu, zamierzając odebrać sobie życie – mówi. – Abdi Mahad nie jest odpowiedzialny za jego śmierć.

Fiona także sięga po telefon i wybiera numer Emmy Zhang. Zabrania dziennikarce publikowania jakiegokolwiek fragmentu wywiadu, którego jej udzieliła. Grozi Emmie pozwem, jeśli ta postąpi wbrew jej życzeniu. Fiona zdaje sobie sprawę, że prawdopodobnie bez sensu jest liczyć na szlachetność dziennikarki, ale mimo to próbuje.

Odkładając telefon, Emma czuje się zirytowana, choć nie zaskoczona. Dla niej jednak sprawa jest prosta. Ciężko pracowała nad tym materiałem i teraz jest już niemal gotowy do publikacji. To niesamowity temat i nie ma mowy, żeby z niego zrezygnowała.

Telefon od Fiony Sadler raczej pobudził zainteresowanie Emmy, zamiast je ostudzić. Zastanawia się, czy za tą sprawą kryje się coś więcej. Nie może zadzwonić do Jima, ale jest ktoś jeszcze, dzięki komu może zyskać wgląd w śledztwo. Jeśli ten temat okazałby się znacznie bogatszy, niż początkowo sądziła, napisałaby tekst, który dałoby się opublikować w kilku częściach. Choćby poświęcony bristolskim napięciom rasowym artykuł w stylu „raportu o stanie państwa”, osnuty wokół porywającej historii z życia wziętej. Redaktor na pewno nosiłby ją na rękach, gdyby dostał taki materiał.

Nagrywa się na pocztę głosową policjanta, z którym kiedyś pracowała, przedstawiając się umówionym, fikcyjnym nazwiskiem. Zastanawia się, kiedy do niej oddzwoni. Czekając – zazwyczaj nie trwa to długo – ponownie zagląda do pliku na swoim laptopie. Jest to nieukończone jeszcze sprawozdanie z wczorajszej nieudolnej policyjnej strzelaniny, a konkretniej obszerny komentarz napisany z perspektywy byłej policjantki, wyjaśniający, jak mogło dojść do czegoś takiego. Gdy ten tekst będzie już gotowy, Emma wróci do pracy nad głównym artykułem o chłopcach, ale jednocześnie spróbuje ukazać tę sprawę z perspektywy różnych osób, choćby świadka, Janet Pritchard.

Emma włącza wyszukiwarkę i wpisuje nazwisko kobiety. Kiedy się z nią spotkała, miała wrażenie, że skądś ją zna, ale dopiero teraz, gdy po kwerendzie w Google znalazła jej profil na Facebooku, elementy układanki wskoczyły w jej głowie na właściwe miejsca. Właśnie tam, wśród bardzo starych zdjęć, natknęła się na brakujące ogniwo: Iana Shawcrossa. Za sprawą poprzedniego małżeństwa miał powiązania z dość znaną bristolską rodziną mafijną, z którą Emma zetknęła się w czasie swojej pierwszej sprawy w życiu, tuż po dołączeniu do wydziału kryminalnego. W trakcie tamtego śledztwa musiała spotkać

Iana albo przynajmniej natknąć się na jego fotografię, nie pamięta jednak, kiedy dokładnie do tego doszło.

W notatniku zapisuje jego nazwisko obok nazwiska Janet Pritchard i obydwie bierze w kółko.

* * *

Fiona i Ed Sadlerowie dopiero po kilku dniach są w stanie rozmawiać ze sobą tak, jak przystało na małżonków.

Gdy dociera do nich informacja, że ciało Noaha wróciło od koronera i można zorganizować pogrzeb, Ed – bardzo ostrożnie, nie chcąc ryzykować – sugeruje:

– Moglibyśmy zaprosić na pogrzeb Abdiego i jego rodzinę.

– Tak – odpowiada Fiona. – Możemy też poprosić Abdiego o mowę, ale tylko jeśli będzie tego chciał.

Słowa Fiony zarówno jej samej, jak i mężowi wydają się dziwne. Brzmiały tak rozsądnie. Sama nie ma pewności, czy są szczerze, czy nie.

* * *

Gdy budzę się następnego ranka po znalezieniu Abdiego Mahada, widzę na zegarze, że przespałem sześć godzin. Nie pamiętam, kiedy ostatnio mi się to zdarzyło. Choć Abdiemu Mahadowi nic już nie grozi, to wciąż muszę się zająć wieloma kwestiami związanymi ze sprawą, nie wyłączając tego, czy postawimy chłopakowi jakieś zarzuty, czy nie. Jadę do komendy.

W niedzielne poranki w biurze panuje śmiertelna cisza. Zaledwie garstka policjantów siedzi w pracy – poza nimi jest pusto jak na statku widmie. Trafił do nas nowy dowód – plecak Noaha Sadlera, który wczoraj po południu został wyłowiony z kanału. Jest w magazynie dowodów rzeczowych, ale jeszcze do końca nie wysechł. Są w nim dwie duże butelki piwa, przemoczona paczka papierosów, zapalniczka i pełny zestaw kuchennych odważników, takich jakich używa się do staroświeckich wag.

W chwili gdy wraz z odbywającym dyżur funkcjonariuszem zaczynamy dochodzić do własnych wniosków na temat zawartości plecaka, dzwoni Ed Sadler i powiadamia nas o pozostawionym przez Noaha liście. Nieco później zaś dostaję telefon ze szpitala z informacją, że Abdi Mahad jest gotowy, by z nami porozmawiać, i że on także otrzymał list od Noaha.

W drodze do szpitala staram się dogłębnie przemyśleć całe śledztwo.

Nie lubię, gdy pozostają jakieś niedomknięte wątki, zdaję sobie jednak sprawę, że jednym z nich jest Janet Pritchard. Zgadzam się z Woodleyem, iż prawdopodobnie kryje się za tym coś więcej. Jason Wright, stróż, zgodnie z umową stawiał się wczoraj rano w komendzie i jego zeznania znacząco różnią się od tych złożonych przez Janet Pritchard. Wygląda na to, że zapytał przesłuchującego go funkcjonariusza, czy jeśli okaże się dla nas pomocny, to może liczyć, że łaskawszym okiem spojrzymy na wyludzenie przez niego zasiłków. Nie wiem, czy to jego zeznania są prawdziwe, czy Janet Pritchard, ale do tego dojdę. Zapisuję sobie, że mam pomówić o tym z Fraser w poniedziałek z samego rana. Gdy dostanę od niej pozwolenie, zamierzam głębiej pogrzebać w tej sprawie.

Kiedy docieram do szpitala, Abdi czeka na mnie w niewielkiej salce, którą przygotowały dla nas pielęgniarki. Chłopakowi towarzyszy Nur Mahad, który w trakcie rozmowy siedzi blisko syna i dla dodania mu otuchy kładzie dłoń na jego ramieniu. Abdi jest wymizerowany i zapłakany.

Siadam na krześle ustawionym pod kątem prostym do tego, które zajmuje chłopak. Zależy mi, by ta rozmowa sprawiała wrażenie niezobowiązującej.

– Nie wiedziałem, że on chce się zabić – mówi Abdi. – Myślałem, że ten wypadek to tylko jego kolejny postrzelony pomysł. Noah ciągle próbował udowodniać, na co go stać. Przez raka czuł się jak dziwoląg i dorobił się porządnego kompleksu niższości. Nawet nie wiedziałem, że on umiera.

Czekamy, aż chłopak otrze łzy z twarzy.

– Możemy porozmawiać kiedy indziej – mówię.

– Nie! Chcę to zrobić teraz. Chcę o wszystkim opowiedzieć.

Zaczyna mówić. Jego opowieść traktuje o nocy, gdy odkrył druzgocącą prawdę o własnych korzeniach. Następnie mówi o podróży przez miasto, podczas której z początku czuł się bezradny i zdezorientowany, bo nie wiedział, do czego ta wyprawa ma zmierzać, a w miarę upływu czasu – coraz bardziej przerażony. Wszystko, co mówi, pokrywa się z nagraniami z kamer, do których dotarliśmy, a także z zebraniem materiałem dowodowym: zawartością przemoczonego plecaka i listami. Abdi mówi niezwykle jasno, choć jego słownictwo i gestykulacja co chwila przypominają mi, że jest tylko chłopcem i że cała ta sprawa zdecydowanie go przerasta.

– To moja wina, że umarł – stwierdza, kończąc swoją opowieść.

– To nie była twoja wina, Abdi. Noah planował odebrać sobie życie.

– Nic z tego, co się stało, nie jest twoją winą – dodaje ojciec chłopca.

– Nie wierzyłem mu. Kiedy powiedział mi, że niedługo umrze, pomyślałem, że kłamie. Gdybym mu uwierzył, może udałoby mi się go

powstrzymać.

– Noah od początku zamierzał odebrać sobie życie w poniedziałek w nocy. Nawet gdybyś próbował go od tego odwieść, nie sądzę, żeby ci się to udało. A jeśli wtedy byś go powstrzymał, prawdopodobnie zrobiłby to w inny sposób i przy innej okazji.

– No ale ja go popchnąłem. On pchnął mnie pierwszy, ale nie powinienem był się rewanżować. Z tym że głowę zajmowało mi tyle różnych myśli, że nie mogłem jeszcze zajmować się jego problemami. No więc nie zastanawiałem się, po prostu go popchnąłem.

– Czy chciałeś, żeby wpadł do wody?

– Nie. Potknął się, a potem wyglądało to tak, jakby sam chciał upaść. Gdy wpadł do kanału, rozłożył ramiona, a po chwili woda strasznie szybko go pochłonęła. No ale powinienem postarać się go uratować.

– Nie – mówię. – Nie powinienesz być. Gdybyś to zrobił, nie umiejąc pływać, naraziłbyś własne życie.

– Tamtej nocy myślałem, że moje życie się skończyło. Miałem mętlik w głowie.

– Nie skończyło się – mówi Nur. Delikatnie obejmuje twarz chłopca dłońmi i patrzy mu w oczy. – Twoje życie wcale się nie skończyło, Abdi. Ono dopiero się zaczyna.

Niedługo później żegnam się z chłopcem i jego ojcem.

Choć ostateczna decyzja nie należy do mnie, to mam nadzieję, że Abdiemu nie zostaną postawione żadne zarzuty. O ile nie znajdą się nowe, jednoznaczne dowody, będę ostro walczył o jego uniewinnienie. Oskarżenie nie byłoby sprawiedliwym finałem tej sprawy dla dzieciaka, który z taką siłą został wciągnięty w cudzy świat i który zмага się z wiedzą, że jego własny świat jest o wiele trudniejszym i bardziej pogmatwanym miejscem, niż sądził.

Kiedy docieram do domu, krótko rozmawiam przez telefon z Fraser. Odciągając Abdiego w St Werburgh's, groźnie upadła i złamała sobie nadgarstek. Siedzi teraz w domu z ręką w gipsie. Słyszę w tle dźwięki opery. Fraser mówi mi, że jest zadowolona zarówno z wyników sprawy, jak i mojej pracy. Wspomina też o tym, że właśnie na nowo spojrziała na kwestię uzależnienia od środków przeciwbólowych.

– Napruta jak diabli, Jim, oto jak się czuję. Nie ma mowy, żebym pracowała, będąc na tych prochach. Tak czy inaczej, w razie gdybyś nie zauważył, nadal jest weekend, a mąż robi dla mnie pieczeń i chciałabym już pójść ją skosztować, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Uświadamiam sobie, że nawet mimo dobrych wyników mojej pierwszej po przerwie sprawy, kolejny tydzień nie okaże się szczególnie przyjemny, jeśli Fraser będzie pracowała ze złamanym nadgarstkiem i bez środków przeciwbólowych. Mniejsza z tym. Z ekscytacją czekam na ten nadchodzący tydzień, cokolwiek miałyby on przynieść. Na razie

jednak pozostało mi jeszcze wiele godzin, które muszę przeżyć, nim nadejdzie poniedziałek. Czuję gwałtowny spadek adrenaliny. Chcę pomówić z kimś jeszcze o śledztwie, ale w domu nie ma nikogo.

Dzwonię do Woodleya. Włącza się poczta głosowa, więc zostawiam mu na niej wiadomość, gratulując mu, że nieźle się spisał w czasie śledztwa. „Dobrze było znowu z tobą pracować” – kwituję. Zdecydowanie łatwiej to powiedzieć do słuchawki niż w cztery oczy.

Przez chwilę – być może wskutek skłonności do masochizmu – unoszę palec nad imieniem Emmy na mojej liście kontaktów, ale w końcu stwierdzam, że dzwonienie do niej byłoby bardzo złym pomysłem. Nawet nie wiem, co miałbym jej powiedzieć.

Wrzucam ubrania robocze do pralki.

Włączam telewizor i znowu go gaszę.

Zauważam, że w telefonie stacjonarnym mruga dioda sygnalizująca, że ktoś zostawił mi wiadomość na automatycznej sekretarce. Naciskam ODTWÓRZ.

„Cześć, Jim. Tu Francesca Manelli. Doktor Manelli. Widziałam, że zadzwoniłeś do mnie w piątek wieczorem i się rozłączyłeś. Zastanawiam się, czy wszystko u ciebie w porządku. Jeśli chciałbyś zadzwonić, przez kilka godzin będę dziś u siebie w gabinecie. Cieszę się, że do mnie zatelefonowałeś. Zawsze możesz na mnie liczyć, jeśli będziesz chciał porozmawiać”. Żegnając się, zostawia mi numer swojej komórki.

Odtwarzam wiadomość ponownie, tym razem zauważając datę jej nagrania – pochodzi ono z wczoraj. Zastanawiam się, czy jej ton rzeczywiście brzmi cieplej, niż powinien, gdyby jej telefon miał charakter ściśle zawodowy, czy też to tylko złudzenie. Włączam nagranie po raz kolejny. Nie wydaje mi się, żeby to było złudzenie, nie sądzę też, żeby terapeuci mieli w zwyczaju podawać pacjentom numery swoich komórek.

Nie oddzwaniam od razu, ale chyba to zrobię, może w następnym tygodniu.

Trochę się odstresowuję, ale nadal nie wiem, co mam ze sobą zrobić.

W niedzielę późną porą, gdy popołudnie przechodzi w wieczór, znowu siedzę na gzymsie pod pierzastym niebem, paląc papierosa i przyglądając się, jak weekendowi spacerowicze przechadzający się po Brandon Hill zaczynają się zbierać do domów, gdy Becky otwiera drzwi do mieszkania. Nie mówi ani słowa, ale za to robi nam obojgu po filiżance herbaty i gramoli się na zewnątrz, żeby do mnie dołączyć. Z jednego z sąsiednich mieszkań dochodzi intensywny zapach niedzielnej kolacji. Becky okryła się wielką parką, mimo to widzę, że ma nieudolnie zabandażowany nadgarstek. Nie komentuję tego.

Jedno z drzew na Brandon Hill rozkwitło. W miarę jak światła latarni ulicznych zdobywają coraz większą przewagę nad gasnącym słońcem,

pąki okrywają się pomarańczową mgiełką, która sprawia, że zaczynają wyglądać jak sztuczne.

- Ładny widok – mówi Becky. Jej głos jest zachrypnięty.
- Możesz zostać tu tak długo, jak będziesz chciała.
- Dziękuję.
- Ale jemu nie wolno się zbliżyć do tego budynku ani nawet ulicy.
- Tym razem sprawy między nami są już skończone na dobre.
- Mam nadzieję.

Palimy.

– Dlaczego pożądamy ludzi, którzy nas ranią? – pyta Becky, gdy jej papieros wypalił się już prawie do połowy.

Patrzy na mnie tak, jakby rzeczywiście chciała otrzymać odpowiedź. Po policzku spływa jej łza.

- Bo się boimy samotności.

* * *

Pogrzeb Noaha Sadlera odbywa się dwa tygodnie później w krematorium na peryferiach Bristolu. Ekumeniczna kaplica znajduje się pośrodku żyznego i zadbanego terenu, na którym nagrobki delikatnie muskają wypielęgowane wiosenne rośliny.

Na pogrzebie Noaha zjawia się wiele osób. Ponieważ parking prędko się zapełnia, kierowcy samochodów, które się na nim nie zmieściły, ustawiają wozy wzdłuż długiego podjazdu, w większości uważając, by nie najechać na krótko przystrzyżoną trawę. Jim Clemo przyjeżdża na rowerze. Jako że uroczystość odbywa się późnym rankiem, przybył prosto z komendy. Stanąwszy przy jednej ze ścian kaplicy, pośpiesznie wiąże czarny krawat i ściąga klamerki ze spodni od garnituru. Gdy wchodzi do kaplicy, bierze od jakiegoś mężczyzny, którego uważa za przyjaciela rodziny, plan nabożeństwa i dyskretnie zajmuje miejsce w tylnej części nawy. Usiadłszy, zauważa dyrektorkę i kilkoro pracowników szkoły Noaha. Wygląda na to, że zjawiała się także całkiem spora grupa uczniów.

Jim nie widzi Emmy Zhang, siedzącej w miejscu jeszcze bardziej dyskretnym niż on. Ona jednak go dostrzega i odchyła się w ławce tak, by zasłaniał ją inny uczestnik uroczystości.

Jednym z ostatnich samochodów, który przybywa na miejsce, jest taksówka Nura Mahada. Jedzie wzdłuż podjazdu i okrąży krematorium. Abdi, Sofia i Maryam Mahadowie wysiadają w pobliżu wejścia do kaplicy, Nur zaś rusza dalej, by rozejrzeć się, gdzie mógłby zaparkować. Ostatnie wolne miejsca znajdują się na dalekim końcu podjazdu, kilka minut drogi dalej. Nur w ostatniej chwili dociera z powrotem do kaplicy.

Jego żonę i dzieci posadzono z przodu, w rzędach przeznaczonych dla osób biorących udział w uroczystości.

W kaplicy rozbrzmiewają dźwięki muzyki klasycznej, utworu, który Noah wybrał ze względu na to, że uwielbiała go jego matka. Jest to trio fortepianowe Dvořáka, proste i piękne. Goście rozmawiają ze sobą szeptem; część z nich już płacze. Kaplica jest wypełniona po brzegi.

Abdi Mahad – wbrew notatkom, które Noah przygotował ze swoim ojcem – odmówił wzięcia udziału w czytaniach. Zamiast tego, w porozumieniu z Edem i Fioną, wziął na siebie fragment mowy pogrzebowej. Jej główną część wygłosi przyjaciel rodziny Sadlerów, ale rodzicom Noaha zależało, by na pogrzebie ich syna głos zabrał także ktoś młody. Poprosili Abdiego, żeby przygotował kilkuminutowe przemówienie, nie dłuższe, o ile oczywiście będzie miał na to ochotę.

Zgodnie z życzeniem Noaha podczas uroczystości zostają odczytane fragmenty Małego Księcia, a grupka uczniów Medes College wykonuje Super Trouper Abby – Noah wybrał tę piosenkę, bo jego ojciec śpiewał ją często w samochodzie, by rozśmieszyć jego i Fionę.

Następnie przychodzi kolej na mowę Abdiego. Chłopak wstaje z miejsca, wymija ostrożnie swojego ojca, siedzącego na skraju ławki, i z pochyloną głową idzie w stronę mównicy. Przysuwa do siebie mikrofon i odchrząkuje. Któraś z siedzących w ławach osób płacze w głos; szluchy przeplatają pojedyncze kaszlnięcia innych żałobników. Abdi wyjmuje z kieszeni kartkę i rozkłada ją na pulpicie. Kartkę pokrywa jego odręczne pismo. Chłopak napisał tę przemowę z pomocą Sofii. Nie mówi ona wszystkiego, co chciałby powiedzieć, nie jest też tak zniuansowana, jak by sobie tego życzył, bo to nie odpowiedni czas ani miejsce. Słowa są jednak prawdziwe. W większości.

Drogi Noahu,

tuż przed śmiercią napisałeś do mnie list – oto moja odpowiedź.

Jestem na Ciebie zły, że odebrałeś sobie życie, rozumiem jednak, dlaczego to zrobiłeś.

Zrobiłeś to, bo przez lata cierpiełeś z powodu swojej choroby i nie chciałeś cierpieć dłużej. Zrobiłeś to, bo chciałeś oszczędzić sobie, swojej rodzinie i przyjaciołom widoku okropności, które przyniosłyby ostatnie tygodnie Twojego życia, oraz związanych z nimi bolesnych uczuć. Zrobiłeś to, bo miałeś już dość choroby, która rządziła Tobą przez ponad połowę Twojego życia.

Nigdy nie znałem Cię zdrowego. Gdy spotkałem Cię po raz pierwszy, choroba była już częścią Ciebie. Zdawałem sobie sprawę, że codziennie, wstając z łóżka, musiałeś mierzyć się z faktem, że wewnątrz Ciebie znajduje się coś, co Cię niszczy. Życie z tego rodzaju świadomością musiało być trudne.

Chciałbym jednak, żebyś nie zakończył swojego życia przedwcześnie, bo okradłeś tym ludzi, którzy Cię kochali i się o Ciebie troszczyli. Pozbawiłeś nas czasu i okazji, by się z Tobą pożegnać. Wolelibyśmy spędzić ostatnie tygodnie Twojego życia razem z Tobą – jakiegokolwiek by one były – i móc rozstać się z Tobą jak należy.

Oto moje pożegnanie. Oto rzeczy, które bym Ci powiedział, gdybym miał do tego okazję.

Byłeś dla mnie dobrym przyjacielem, bo umiałeś mnie rozśmieszyć. Byłeś moim ulubionym partnerem do szachów, nawet jeśli czasami nie sposób było Cię pokonać. Kilka razy wyciągnąłeś mnie z tarapatów. Gdy czułem się głupi, mówiłeś mi, że jestem bystry. Gdy czułem, że nie pasuję do otoczenia, mówiłeś mi, że to nieprawda. Gdy miałem wrażenie, że nie uda mi się czegoś zrobić, mówiłeś mi, że dam radę. Oceniałeś mnie po osobowości, a nie po wyglądzie. Niekiedy doprowadzałeś mnie do szału, ale przy innych okazjach mi to wynagradzałeś.

Jestem przekonany, że byłeś lepszym człowiekiem, niż sądziłeś.

Będę za Tobą tęsknił.

Spoczywaj w pokoju.

*Twój przyjaciel
Abdi*

Podziękowania

Za pomoc w pracy nad tą powieścią chciałabym podziękować wielu ludziom. Wyrazy ogromnej wdzięczności należą się osobom, bez których wsparcia, talentu i ciężkiej pracy zarówno ta książka, jak i cała moja kariera byłyby znacznie uboższe. Są to: Helen Heller, Emma Beswetherick, Emily Krump, Liate Stehlik, Amanda Bergeron, Tim Whiting, Cath Burke, Jen Hart, Molly Waxman, Lauren Truskowski, Elle Keck, Julia Elliot, Aimee Kitson, Stephanie Melrose, Dom Wakeford, Thalia Proctor, pracownicy agencji PFD, Camilla Ferrier, Jemma McDonagh, zespół Marsh Agency, wydawcy i redaktorzy obcojęzycznych wydań moich powieści, a także cudowni pracownicy działów sprzedaży, którzy wypuszczają egzemplarze moich książek w świat.

Specjalne podziękowania należą się Elsie Lyons za zdumiewający projekt okładki wydania angielskiego.

Moja kwerenda miałaby ogromne luki, gdyby nie pomoc dwóch emerytowanych śledczych, którzy w bardzo uprzejmy sposób wyjaśniali mi policyjne procedury i pokrewne tematy. Dziękuję Wam obu. Wyrazy podziękowań kieruję także do Franka Hemswortha, który cierpliwie odpowiadał na moje pytania o sprawy związane z informatyką. Za wszelkie potknięcia odpowiadam wyłącznie ja sama!

Jeśli chodzi o osoby z bliższego kręgu, chciałabym podziękować Abbie Ross, która pomaga mi w pisaniu, a także wszystkim moim cudownym przyjaciółom i członkom rodziny, którzy mnie wspierają i których regularnie porzucam, by zająć się pisarstwem, ale i z jednym, i z drugim radzą sobie z wielkim wdziękiem. Największe i najcieplejsze wyrazy wdzięczności należą się Julesowi, Rose, Maxowi i Louisowi, którzy chcąc nie chcąc, każdego dnia muszą mierzyć się z moim procesem pisarskim i w jakiś sposób są w stanie przez cały czas darzyć mnie szczodrym i niezachwianym wsparciem. Bez Was bym sobie nie poradziła.